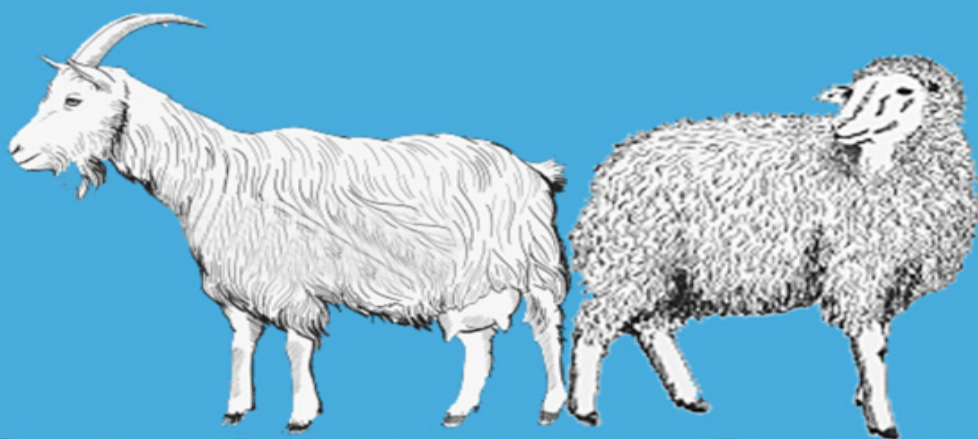


Kryminał filozoficzny

OWIECZKI DOBRE



OWIECZKI ZŁE

Joanna Cannon


AMBER

OWIECZKI
DOBRE
OWIECZKI
ZŁE

Joanna Cannon

Przekład
STANISŁAW REK



Redaktor prowadzący
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Anna Tłuchowska

Korekta
Hanna Lachowska
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok
Na podstawie koncepcji
© HarperCollinsPublishers Ltd 2016

Ilustracje na okładce
© la_puma/iStock/Thinkstock

Tytuł oryginału
The Trouble with Goats and Sheep

Copyright © Joanna Cannon 2016
Bye Bye Baby © Bob Gaudio, Bob Crewe
Knock Three Times © Irwin Levine, L. Russell Brown
Crazy © Willie Nelson
Save all your kisses for me © Tony Hiller, Lee Sheriden, Martin Lee
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5893-5

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

Arthurowi i Janice

Ulica
numer 4

21 czerwca 1976

Pani Creasy zniknęła w poniedziałek.

Wiem, że to był poniedziałek, bo w poniedziałek przyjeżdżają śmieciarze i na całej ulicy rozchodził się smród oskrobywanych talerzy.

– Co on chce zrobić? – Ojciec kiwnął głową w stronę okna w kuchni. Pan Creasy chodził po chodniku w samej koszuli. Co kilka chwil stawał nieruchomo i rozglądał się wokół swojego hillmana huntera, jakby czegoś słuchał.

– Zgubił żonę. – Wzięłam jeszcze jednego tosta, bo nikt nie uważał. – Ale pewnie wreszcie spieprzyła.

– Grace Elizabeth! – Matka odwróciła się od kuchenki tak szybko, że płatki poleciały za nią i spadły na podłogę.

– Ja tylko cytuję pana Forbesa – powiedziałam. – Margaret Creasy nie wróciła na noc do domu. Pewnie w końcu spieprzyła.

Wszyscy patrzyliśmy na pana Creasy'ego. Zaglądał ludziom do ogródków, jakby pani Creasy mogła nocować w namiocie na czyjejs rabatce.

Ojciec stracił zainteresowanie.

– Podsluchujesz wszystkich sąsiadów? – zapytał z nosem w gazecie.

– Pan Forbes był w ogrodzie, rozmawiał z żoną. Okno było otwarte. Usłyszałam przypadkiem, a to wolno. – Mówiłam do ojca, ale kierowałam słowa do Harolda Wilsona z fajką, który gapił się na mnie z pierwszej strony.

– Nie znajdzie kobiety, jeśli będzie łąził tam i z powrotem po ulicy – odparł ojciec. – Może miałyby więcej szczęścia, gdyby spróbował pod dwunastką.

Spojrzałam na twarz matki. Chciała zaprotestować, ale się uśmiechała. Myśleli, że nie rozumiem, o czym mówią, i było znacznie łatwiej, kiedy tak myśleli. Matka twierdziła, że jestem w trudnym wieku. Nie czułam, żeby mi było specjalnie trudno, pomyślałam więc, że widać jest trudny dla nich.

– Może ją porwali – powiedziałam. – Może jest zbyt niebezpiecznie, żebym dzisiaj poszła do szkoły.

– Jest zupełnie bezpiecznie – oznajmiła matka. – Nic ci się nie stanie. Ja na to nie pozwolę.

– Jak ktoś może po prostu zniknąć? – Patrzyłam na pana Creasy'ego, który wciąż krążył po chodniku. Garbił się, idąc, patrzył na swoje buty.

– Czasem ludziom potrzebna jest własna przestrzeń – powiedziała matka do kuchenki. – Czują się zagubieni.

– Margaret Creasy była rzeczywiście zagubiona. – Ojciec przeszedł do działu sportowego i potrząsał stronami, aż się wyprostowały. – Zadawała za dużo pytań. Nie można było uciec przed jej gędzeniem.

– Derek, po prostu interesowali ją ludzie. Można czuć się samotnym nawet w małżeństwie. A oni nie mieli dzieci.

Spojrzała na mnie, jakby zastanawiała się, czy ostatnie słowa mają w ogóle jakieś znaczenie, a potem nałożyła łyżką owsianki do wielkiej miski z purpurowymi sercami wokół brzegu.

– Dlaczego mówisz o pani Creasy w czasie przeszłym? – zapytałam. – Czy ona nie żyje?

– Nie, oczywiście, że nie. – Matka postawiła miskę na podłodze. – Remington! – krzyknęła. – Mamusia zrobiła ci śniadanie.

Remington przyczłapał do kuchni. Kiedyś był labradorem, ale zrobił się taki gruby, że trudno to poznać.

– Znajdzie się – mruknął ojciec.

To samo mówił o kocie z sąsiedztwa. Kot zniknął przed laty i nikt go od tamtej pory nie widział.

Tilly czekała przy furtce przed domem, w swetrze, który od prania w ręku wyciągnął się jej do kolan. Uczesła się, ale włosy zostały w dokładnie takim nieładzie jak przedtem.

– Zamordowano panią spod ósemki – powiedziałam.

Szłyśmy w milczeniu ulicą, aż dotarłyśmy do głównej drogi. Szłyśmy obok siebie, chociaż Tilly musiała robić więcej kroków, żeby iść równo ze mną.

– Kto mieszka pod ósemką? – zapytała, kiedy czekałyśmy, aż przejadą samochody.

– Pani Creasy.

Mówiłam szeptem, na wypadek gdyby pan Creasy rozszerzył poszukiwania.

– Lubiłam panią Creasy. Uczyła mnie szydełkowania. Przecież lubiłyśmy ją, Grace, prawda?

– O tak – powiedziałam. – Bardzo.

Przeszliśmy przez drogę naprzeciwko uliczki obok Woolwortha. Jeszcze nie było dziewiątej, ale chodniki były zakurzone i gorące, a ja czułam, że materiał przylepia mi się do pleców. Ludzie prowadzili samochody z opuszczonymi szybami i urywki muzyki zaśmiecały ulicę. Kiedy Tilly zatrzymała się, żeby przewiesić szkolną torbę na drugie ramię, zapatrzyłam się na wystawę. Była wypełniona patelniami z błyszczącej nierdzewnej stali.

– Kto ją zamordował? – Z wystawy mówiło do mnie sto Tilly.

– Nie wiadomo.

– Gdzie była policja?

Patrzyłam na Tilly mówiącą z patelni.

– Myślę, że przyjadą później. Pewnie są bardzo zajęci.

Weszliśmy na bruk, sandałki klapały na kamieniach, jakby szła armia piechurów. Zimą, gdy był lód, trzymałyśmy się poręczy i siebie nawzajem, ale teraz ulica rozciągała się przed nami jak dno rzeki z kruchych grud, spragnionych wody chwastów i mączystej ziemi, która brudziła nam palce u stóp.

– Dlaczego nosisz sweter? – zapytałam.

Tilly zawsze nosiła sweter. Nawet w piekącym upale. Naciągała go na dłonie i robiła z rękawów rękawiczki. Twarz

miała jak magnolia, jak ściany w naszym salonie, a pot przykleił jej do czoła śliskie, brązowe loki.

– Moja matka mówi, że nie mogę niczego złapać.

– Kiedy w końcu przestanie się martwić? – Zezłościło mnie to, nie wiem dlaczego, i to zezłościło mnie jeszcze bardziej, a sandaalki zrobiły się bardzo głośne.

– Chyba nigdy – powiedziała Tilly. – Pewnie to dlatego, że jest tylko jedna. Musi się martwić dwa razy, żeby nie zostać w tyle za innymi.

– To się więcej nie zdarzy. – Zatrzymałam się i zdjęłam jej torbę z ramienia. – Możesz ściągnąć sweter. Teraz jest bezpiecznie.

Patrzyła na mnie. Trudno było zgadnąć, co myśli Tilly. Oczy miała ukryte za grubymi okularami w czarnych oprawkach, a cała reszta dawała bardzo mało znaków.

– Dobrze – powiedziała i zdjęła okulary. Ściągnęła sweter przez głowę, a kiedy pokazała się po drugiej stronie wełnianej dzianiny, twarz miała czerwoną i w plamach. Podała mi sweter, a ja przewróciłam go na właściwą stronę, tak jak robiła moja matka, i przewiesiłam przez ramię.

– Widzisz? – powiedziałam. – Jest zupełnie bezpiecznie. Nic ci się nie stanie. Ja na to nie pozwolę.

Sweter pachniał syropem na gardło i nieznanym mi mydłem. Niosłam go przez cały czas w drodze do szkoły, gdzie zmieszaliśmy się z gromadą innych dzieci.

Znałam Tilly Albert przez jedną piątą życia.

Przyjechała dwa lata temu w budzie wielkiej białej furgonetki i wyładowali ją razem z kredensem i trzema fotelami. Przyglądałam się temu z kuchni pani Morton, jedząc drożdżówkę z serem i słuchając prognozy pogody dla Norfolk Broads. Nie mieszkaliśmy w Norfolk Broads, ale pani Morton była tam na wakacjach i lubiła wiedzieć o tym miejscu co nieco.

Pani Morton siedziała ze mną.

„Posiedziałyś z Grace, a ja się na chwilę położę”, mawiała moja matka, chociaż pani Morton prawie wcale nie siadała, tylko odkurzała, piekła i wyglądała przez okno. Moja matka spędziła większą część 1974 roku, kładąc się na chwilę, więc dość często siedziałam z panią Morton.

Patrzyłam na białą furgonetkę.

– Kto to jest? – zapytałam z ustami pełnymi ciasta.

Pani Morton przycisnęła się do firanki zwisającej do połowy okna na kawałku drutu. W środku było zagłębienie, bo firanka zmoczyła się od tego przyciskania.

– To pewnie nowa banda – powiedziała.

– Kto to jest ta nowa banda?

– Nie wiem. – Trochę mocniej wcisnęła firankę. – Ale nie widzę mężczyzny, a ty?

Popatrzyłam przez firankę. Było dwóch mężczyzn, ale nosili kombinezony i pracowali. Dziewczynka, która zeszła z tyłu furgonetki, nadal stała na chodniku. Była mała, okrągła i bardzo blada, jak wielki biały kamyk, i miała zapięty po szyję

płaszcz przeciwdeszczowy. Zrobiła minę, jakby miała płakać, a potem nachyliła się do przodu i zwymiotowała na swoje buty.

– Obrzydliwe – stwierdziłam i wzięłam kolejną drożdżówkę.

O czwartej siedziała obok mnie przy kuchennym stole.

Sprowadziłam ją, bo siedziała na murku przed swoim domem i wyglądała, jakby się zawieruszyła. Pani Morton wyjęła napój gazowany z ziół i nową paczuszkę pingwinów. Wtedy nie wiedziałam, że Tilly nie lubi jeść przy ludziach. Trzymała czekoladowy baton, aż zaczął jej ściekać po palcach.

Pani Morton napluła na chusteczkę i wytarła Tilly rękę, chociaż metr dalej był kran. Tilly przygryzła wargę i wyjrzała przez okno.

– Kogo szukasz? – zapytałam.

– Mojej matki. – Tilly odwróciła się i spojrzała na panią Morton, która znowu pluła. – Chciałam tylko sprawdzić, czy nie patrzy.

– Nie szukasz ojca? – zapytała pani Morton, z której była niezła oportunistka.

– Nie wiedziałabym, gdzie patrzeć. – Tilly bardzo dyskretnie otarła dłonie o sukienkę. – Chyba mieszka w Bristolu.

– W Bristolu? – Pani Morton z powrotem włożyła chusteczkę w rękaw swetra. – Mam kuzyna, który mieszka w Bristolu.

– Właściwie, myślę, że może mieszkać w Bournemouth – dodała Tilly.

– Och. – Pani Morton zmarszczyła brwi. – Nie znam nikogo z Bournemouth.

– Tak – powiedziała Tilly. – Ja też.

Wakacje spędzałyśmy przy stole kuchennym pani Morton. Po jakimś czasie Tilly poczuła się na tyle zadomowiona, że jadła z nami. Bardzo powoli wkładała łyżką do ust purée ziemniaczane i podjadała groszki, które łuskałyśmy, siedząc na gazetach, na dywanie w pokoju od frontu.

– Chcesz jakiś batonik? – Pani Morton zawsze próbowała wmusić w nas czekoladę. W spiżarni miała jej pełną puszkę, a nie miała własnych dzieci. Spiżarnia była ogromna, pękała od kremów waniliowych i krówek, a ja często fantazjowałam, że zamknięto mnie tam na noc i musiałam się zapchać na śmierć kremami.

– Nie, dziękuję – odparła Tilly, ledwie otwierając usta, jakby się bała, że pani Morton ukradkiem coś w nie włoży, kiedy nikt nie patrzy. – Moja matka powiedziała, że nie powinnam jeść czekolady.

– Ona na pewno coś je – oznajmiła później pani Morton, kiedy patrzyłyśmy, jak Tilly niknie za drzwiami swojego domu. – Przecież wygląda jak baryłka.

We wtorek pani Creasy nadal nie było, a w środę, kiedy zwykle przygotowywała się do sprzedawania losów na loterię w Brytyjskim Legionie, nie było jej tym bardziej. W czwartek jej

nazwisko przelatywało nad płotami ogródków i wiło się w kolejkach przed sklepowymi kasami.

Co więc się stało z Margaret Creasy, mógłby ktoś zapytać. I to było jak wystrzał z pistoletu startowego.

Mój ojciec spędzał czas zamknięty w biurze po drugiej stronie miasta i kiedy wracał do domu, zawsze kazał sobie mówić, co działo się w ciągu dnia. Ale co wieczór moja matka nadal pytała ojca, czy słyszał coś nowego o pani Creasy, i co wieczór ojciec wzdychał głęboko, kręcił głową i siadał z butelką jasnego oglądać wiadomości.

W sobotę rano siedziałyśmy z Tilly na murku przed moim domem i machałyśmy nogami przy ceglach. Drzwi były uchylone, wszystkie okna otwarte, jakby ktoś chciał, żeby pani Creasy łatwiej mogła się dostać do środka. Pan Creasy był w garażu, wyciągał pudła z ustawionych jak wieże kartonów i sprawdzał po kolei ich zawartość.

– Myślisz, że ją zamordował? – zapytała Tilly.

– Pewnie tak – powiedziałam.

Przerwałam na chwilę, zanim nadałam ostatni komunikat.

– Zniknęła i nie zabrała z sobą butów.

Tilly wybałuszyła oczy jak ryba.

– Skąd wiesz?

– Kobieta na poczcie powiedziała o tym mojej matce.

– Twoja matka nie lubi kobiety na poczcie.

– Ona przecież wie – odpowiedziałam.

Pan Creasy zabrał się do następnego pudła. Z każdym kolejnym robił się coraz bardziej chaotyczny, rozrzucał na ziemi zawartość i dziwnie szeptał do siebie, jakby z kimś rozmawiał.

– On nie wygląda na mordercę – powiedziała Tilly.

– A jak wygląda morderca?

– Zazwyczaj mają wąsy – odparła – i są znacznie grubszy.

Zapach gorącego asfaltu szczypał mnie w nos, przełożyłam nogi na rozgrzanych ceglach. Przed upałem nie było ucieczki. Był codziennie, kiedy się budziliśmy, natarczywy, nieustający, wisiał w powietrzu jak niedokończona kłótnia. Przenikał przez ludzkie dni na chodniki, tarasy i nie mogliśmy już schronić się za cegłami i cementem. Wytapialiśmy się na zewnątrz, zabierając z sobą nasze życie. Posiłki, rozmowy, dyskusje poza domem były ożywione, swobodne i dozwolone. Nawet ulica się zmieniła. W poźółkłych trawnikach otworzyły się wielkie szczeliny, a ścieżki zrobiły się miękkie i niepewne. Rzeczy, które były twarde i godne zaufania, teraz stały się miękkie i niepewne. Już nie było niczego oczywistego. Temperatura zniszczyła więzy, które trzymały rzeczy razem – tak powiedział mój ojciec – ale wyglądało, że jest jeszcze gorzej. Miało się wrażenie, jakby cała ulica przesuwała się, rozciągała i sama próbowała uciec.

Tłusta mucha kreśliła ósemki przed twarzą Tilly.

– Moja mama mówi, że pani Creasy zniknęła przez upał. – Grzbietem dłoni odgoniła muchę. – Moja mama mówi, że przez upał ludzie robią dziwne rzeczy.

Przyglądałam się panu Creasy'emu. Skończyły mu się pudła, kucał na podłodze garażu, nieruchomy i milczący, otoczony resztkami przeszłości.

- Myślę, że chyba tak – zgodziłam się.
- Moja mama mówi, że potrzebny jest deszcz.
- Myślę, że chyba ma rację.

Spojrzałam w niebo, które rozciągało się nad naszymi głowami jak ocean. Miało nie padać przez kolejne pięćdziesiąt sześć dni.

Święty Antoni

27 czerwca 1976

W niedzielę poszliśmy do kościoła i prosiłyśmy Boga, żeby znalazł panią Creasy.

Moi rodzice nie prosili, bo wylegiwali się w łóżku, ale pani Morton i ja siedziałyśmy z przodu, żeby Bóg mógł lepiej nas słyszeć.

– Myślisz, że to pomoże? – szepnęłam, kiedy klęczałyśmy na śliskich poduszkach.

– Hm, nie zaszkodzi – powiedziała.

Niewiele rozumiałam z tego, co mówił proboszcz, ale uśmiechał się do mnie od czasu do czasu, a ja próbowałam wyglądać, jakbym była bezgrzeszna i zasłuchana. W kościele pachniało woskiem i starym papierem. Znajdowaliśmy tutaj schronienie przed opasłym słońcem. Łuki drewnianego żebrowania sufitu rozciągały się nad parafianami, wpuszczając upał i pot w chłodny, suchy kamień, tak że drżałam pod bawełnianą sukienką. Siedzieliśmy z daleka od siebie na kościelnych ławkach, żeby wyglądało, że jest pełno, ale ja przysunęłam się do pani Morton i jej ciepłego swetra. Wyciągnęła rękę, chwyciłam ją, chociaż byłam na to za duża.

Słowa proboszcza toczyły się po kamieniach jak odległy grzmot.

– „Znajdziecie mnie”, powiedział Pan, „a ja wyprowadzę was z niewoli”.

Patrzyłam, jak kropelka potu szuka drogi na skroni pani Morton. W kościele łatwo jest zasnąć, jeśli odpowiednio się usadowić.

– „Mieczem, głodem i zarazą wygubię ich. Albowiem nie słuchali słów moich”.

To przyciągnęło moją uwagę.

– „Zbawię tych, którzy mnie kochają; bronić będę tych, którzy znają moje imię, i kiedy się do mnie zwrócą, odpowiem im”.

Patrzyłam na wielki złoty krzyż na ołtarzu. Odbijaliśmy się w nim wszyscy: pobożni i bezbożnicy, lawiranci i szczerzy. Każde z nas miało swoje powody, żeby tu być, ciche i pełne nadziei, ukryte między kartkami księgi hymnów. Jak Bogu uda się odpowiedzieć nam wszystkim?

– Baranku Boży – powiedział proboszcz – który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami.

A ja zastanawiałam się, czy prosiliśmy Boga, żeby znalazł panią Creasy, czy przede wszystkim, żeby przebaczył jej, że zniknęła.

Wyszliśmy na zewnątrz, w maślane słońce. Rozlewało się po grobach, wybielało kamienie, pokazywało nazwiska zmarłych. Patrzyłam, jak pełźnie po ścianach kościoła, aż dociera do witraży, skąd rozrzuca po bezchmurnym niebie odpryski szkarłatu i purpury. Pani Morton i jej dłoń zostały wchłonięte

przez grupkę dzielnych kobiet w kapeluszach i tak to chodziłam po cmentarzu przy kościele w ostrożnych, poziomych liniach, żeby przypadkiem na kimś nie stanąć.

Podobał mi się grunt pod butami. Wydawał się bezpieczny i doświadczony, jakby wszystkie kości, które tu pogrzebano, pozwalały mądrości rosnąć w glebie. Szłam obok Ernestów, Maud i Mabeli, teraz nieodżałowanych i pamiętanych tylko przez dmuchawce, porastające ich imiona, aż wypielegnowana, wysypana żwirem ścieżka doprowadziła mnie do prezbiterium. Tutaj groby były bardzo stare, liszaje wżarły się w to, kim były, i rzędy zapomnianych ludzi patrzyły na mnie z kamieni nagrobnych pochylonych i poprzewracanych jak pogrzebani pijacy.

Usiadłam na świeżo skoszonej trawie, za grobem z wzorkiem w zielone i białe zawijasy. Wiedziałam, że kobiety w kapeluszach mają skłonność do marnowania czasu, więc zaczęłam robić wianuszek ze stokrotek. Dotarłam do piątej stokrotki, kiedy otworzyły się drzwi prezbiterium i pokazał się proboszcz. Wietrzyk podwiał brzeg jego komży i proboszcz nadął się jak prześcieradła na sznurze do bielizny. Patrzyłam, jak idzie przez cmentarz, żeby podnieść pustą torbę po chrupkach, a kiedy wrócił do wejścia, zdjął buty i ostukał je o drzwi, żeby strząsnąć ściętą trawę.

Nie miałam pojęcia, że wolno robić coś takiego.

– Dlaczego ludzie znikają? – zapytałam go zza kamienia nagrobnego. Nie przestał stukać, ale zwolnił i obejrzał się za siebie.

Zrozumiałam, że mnie nie widzi. Wstałam.

– Dlaczego ludzie znikają? – znowu zapytałam.

Proboszcz włożył buty i podszedł do mnie. Był wyższy niż w kościele i bardzo poważny. Zmarszczki na czole miał głębokie i wyraźne, jakby jego twarz poświęcała cały czas na rozwiązanie jakiegoś naprawdę trudnego problemu. Nie patrzył na mnie, tylko na kamienie nagrobne.

– Z wielu powodów – powiedział w końcu.

Była jaka odpowiedź. Sama bym na to wpadła i nawet nie musiałabym pytać Pana Boga.

– Na przykład jakich?

– Zbaczają ze ścieżki. Schodzą z kursu. – Popatrzył na mnie, a ja zmrużyłam oczy w słońcu i spojrzałam na niego. – Gubią się.

Pomyślałam o Ernestach, Maud i Mabel.

– Albo umierają – powiedziałam.

Zmarszczył brwi i powtórzył moje słowa.

– Albo umierają.

Proboszcz pachniał zupełnie tak samo jak kościół. Wiara uwięzła w fałdach jego ubrania i wypełniła mi płuca zapachem gobelinów i świec.

– Jak zrobić, żeby ludzie nie znikali? – zapytałam.

– Pomóż im znaleźć Pana Boga. – Przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę i żwir zachrząścił mu pod butami. – Jeśli we wspólnocie jest Bóg, nikt się nie zagubi.

Pomyślałam o naszym osiedlu. Brudne dzieci wybiegające z domów i pijackie kłótnie wytaczające się zza okien. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Pan Bóg w ogóle spędzał tam czas.

– Jak się szuka Pana Boga? – zapytałam. – Gdzie On jest?

– Jest wszędzie. Wszędzie. – Zamachał rękami na wszystkie strony, żeby mi pokazać. – Wystarczy, że popatrzysz.

– I jeśli znajdę Pana Boga, wszyscy będą bezpieczni? – zapytałam.

– Oczywiście.

– Nawet pani Creasy?

– Jasne.

Z dachu kościoła zleciała wrona, złowrogi krzyk wypełnił ciszę.

– Nie wiem, jak Pan Bóg może to zrobić – powiedziałam. – Jak powstrzyma nas przed znikaniem?

– Grace, wiesz, że Pan jest naszym pasterzem. My jesteśmy po prostu owieczkami. Tylko owieczkami. Jeśli zejdziemy ze ścieżki, potrzebujemy Boga, żeby nas znalazł i sprowadził do domu.

Myśląc o tym, opuściłam wzrok na stopy. Trawa wbiła się w materiał skarpetek i wyżłobiła ostre czerwone linie na nogach.

– Dlaczego ludzie muszą umierać? – spytałam, ale kiedy podniosłam wzrok, proboszcz był już przy drzwiach prezbiterium.

– Idziesz na herbatę do sali kościelnej?

Naprawdę nie miałam ochoty. Wolałam wrócić do Tilly. Jej matka nie wierzyła w zorganizowaną religię i bała się, że proboszcz wypierze nam mózgi, ale musiałam się zgodzić, bo wyglądałoby to trochę jak odrzucenie Jezusa.

– Idę – odparłam i zdjęłam źdźbła traw z kolan.

Szłam za panią Morton dróżką między kościołem a salą. Jej brzegi były gęste od lata: ptasie ziele, jaskry i wysokie naparstnice rozsiewające chmury pyłków z soczystych, purpurowych dzwonków. Wiatr opadł, pozostawiając nas ostremu jak brzytwa upałowi, który wrzynał się w skórę ramion i sprawiał, że trudno było mówić. Szłyśmy rzędkiem, milczący pielgrzymi przyciągani do świątyni herbaty i biszkoptów, wszyscy odziani w niedzielne ubrania, przyozdobieni potem.

Kiedy dotarliśmy do parkingu, Tilly siedziała na murku. Była upačkana kremem przeciwsłonecznym i nosiła zydwestkę.

– To był jedyny kapelusz, który udało mi się znaleźć – powiedziała.

– Myślałam, że twoja matka nie chce, żebyś stała się religijna? – Wyciągnęłam rękę.

– Poszła ustawiać towar na półkach w spółdzielni – powiedziała Tilly i zsunęła się z cegieł.

Sala kościelna był to niski biały budynek przycupnięty na końcu dróżki. Wyglądał, jakby go tu postawiono, gdy ktoś jeszcze się zastanawiał, co z nim zrobić. W środku grzechotało od filiżanek i aktywności. Niedzielne obcasy stukały o parkiet, a wielkie barowe termosy z nierdzewnej stali pluły i syczały na nas z kąta.

– Chcę bulion wołowy – powiedziała Tilly.

Przyglądałam się uważnie pani Morton, kiedy zamawiała dla nas napoje po drugiej stronie sali. Wczesne wdowieństwo zmuszało ją do utkania sobie życia z resztek po innych

ludziach. Piekła, latała, szydełkowała, aż otoczyła ją aureola niezastąpionej. Zastanawiałam się, kim byłaby pani Morton, gdyby nadal miała męża – gdyby pan Morton nie szukał New Seekersów na podłodze swojego samochodu i nie zderzył się czołowo ze środkową barierą na M4. Pasażerem była kobieta (szeptali ludzie), która pojawiła się na pogrzebie w czerni po kostki i karmazynowej szmince i tak gwałtownie szlochała, że zaniepokojony kościelny musiał wyprowadzić ją z kościoła. Nic z tych spraw nie pamiętałam. Byłam za mała. Panią Morton znałam, odkąd była taka jak teraz, w tweedach, wyszorowana, grzechocząca jak kamyczek w życiu na miarę dwojga.

– Bulion. – Pani Morton wręczyła Tilly filiżankę. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie będzie piła, ale udawaliśmy, nawet Tilly udawała, podnosząc filiżankę do ust, aż zaparowało jej okulary.

– Proszę pani, czy pani wierzy w Boga? – Spojrzałam na panią Morton.

Czekałyśmy razem z Tilly.

Pani Morton nie odpowiedziała natychmiast, szukała wzrokiem odpowiedzi w belkowaniu sufitu.

– Wierzę, że nie wolno zadawać ludziom głupich pytań w niedzielę rano – odpowiedziała w końcu i poszła rozglądać się za toaletą.

Sala wypełniła się ludźmi. Był w niej znacznie większy tłum niż w kościele i dzinsy mieszały się z niedzielnymi ubraniami. Wychodziło na to, że Jezus przyciągnie znacznie większe tłumy, jeśli dostarczy herbatniki z marmoladą. Byli ludzie z naszej ulicy – Forbesowie i człowiek, który zawsze kosił swój trawnik, i

kobieta z domu na rogu otoczona przez gromadkę dzieci. Przywarły do jej bioder i nóg, a ja patrzyłam, jak wsuwa herbatniki do kieszeni. Wszyscy stali z gazetami pod pachą i okularami słonecznymi na czole, a w rogu czyjś szpic kłócił się z collie. Ludzie mówili o niedoborach wody i Jamesie Callaghanie i czy pani Creasy już się odnalazła. Nie odnalazła się.

Nikt nie wspomniał o Jezusie.

Prawdę mówiąc, to myślę, że nikt by nie zauważył, gdyby Jezus wszedł do sali, chyba że przypadkiem miałby lody waniliowe z truskawkami.

– Wierzysz w Boga? – zapytałam Tilly.

Siedziałyśmy w kącie sali, na niebieskich plastikowych krzesłach, które wyciągały pot z naszej skóry. Tilly wachała swój bulion, a ja podciągnęłam kolana do piersi, jak tarczę. W oddali widziałam panią Morton uwięzioną przez stół na krzyżakach i dwie duże kobiety w fartuchach w kwiaty.

– Chyba – powiedziała. – Myślę, że Bóg uratował mnie, kiedy byłam w szpitalu.

– Skąd wiesz?

– Moja mama prosiła go o to codziennie. – Zmarszczyła się pod adresem filiżanki. – Dała sobie z Nim spokój, kiedy mi się poprawiło.

– Nigdy mi o tym nie opowiadałaś. Zawsze mówiłaś, że byłaś za mała, żeby pamiętać.

– To pamiętam – powiedziała. – I pamiętam, że było Boże Narodzenie i pielęgniarki miały lametę we włosach. Poza tym nic nie pamiętam.

Nie pamiętała. Pytałam nie raz. To lepiej, jeśli dzieci nie znają wszystkich faktów, powtarzała, a słowa zawsze wychodziły jej z ust kursywą.

Kiedy wreszcie mi powiedziała, wrzuciła to w rozmowę z całkowitą obojętnością, jak kartę do gry. Jeszcze nie spotkałam kogoś, kto prawie umarł, i na początku zaatakowałam problem z gwałtowną ciekawością. Potem zrobiło się z tego coś więcej niż fascynacja. Chciałam wiedzieć wszystko, tak żeby można było zszyć wszystkie szczegóły. Jakby słowa prawdy mogły nas jakoś od tego uratować. Gdybym ja prawie umarła, mogłabym wygłosić całą mowę na poczekaniu, ale Tilly zapamiętała tylko lametę i że coś było nie tak z jej krwią. To było za mało – nawet, kiedy powiązałam wszystkie słowa jak w modlitwie.

Kiedy więc mi powiedziała, przyłączyłam się do jej matki w milczącym spisku czujności. Obserwowałam Tilly, gdy biegłyśmy pod gładkim sierpniowym niebem. Zziajane spojrzenie przez ramię, czekam, aż jej kroki zrównają się z moimi. Od pięknego lata chronił ją parasol do golfa należący do mojego ojca. Życie przeżywała z daleka od kantów krawężników i pęknięć w chodnikach, a kiedy wrzesień przyniósł mgłę i deszcz, sadowiono ją tak blisko gazowego kominka, że nogi miała opalone w kraciastą czerwień tartanu.

Pilnowałam jej bez końca, kontrolowałam jej życie, czy nie pojawiło się najmniejsze zakłócenie albo zmiana, a jednak o

tym nie wiedziała. Moje niepokoje były bezszelestne, milcząca obsesja, że jedyna przyjaciółka, jaką miałam, zostanie mi odebrana tylko dlatego, że byłam za mało skupiona.

Hałas w sali zmienił się w bełkot głosów. To była maszyna tykająca w upale, napędzana plotkami i krytyką, a my patrzyłyśmy na „silnik” ugotowanych ciał i stóp tych ludzi. Pan Forbes stał przed nami, balansując wiśniowym puddingiem, wyrażał swoje zdanie, a ciepło wsiąkało w materiał jego koszuli.

– Obudził się w poniedziałek rano, a jej nie było. Zniknęła.

– Zbyt piękne, żeby było prawdziwe – powiedział Eric Lamb, który u dołu spodni nadal miał kawałki skoszonej trawy.

– Żyjmy chwilą, oto co sądzę. – Patrzyłam, jak pan Forbes balansuje kolejnym puddingiem, jakby chciał podkreślić swoje przekonanie.

Pani Forbes nie odzywała się, tylko szurła sandałami po parkiecie i kręciła filiżanką na podstawce. Twarz miała ściągniętą ze zmartwienia.

Pan Forbes przyglądał się jej uważnie, rozprawiając się z wiśniowym puddingiem.

– Dorothy, przestań w tym dłużyć. To nie ma z tym nic wspólnego.

– Ma i to wszystko – powiedziała. – Po prostu wiem.

Pan Forbes pokręcił głową.

– Powiedz jej, Eric – rzekł. – Mnie nie posłucha.

– To przeszłość. Tu chodzi o co innego. Jakaś tam drobna sprzeczka i tyle – powiedział Eric Lamb.

Pomyślałam, że mówi łagodniejszym tonem, trochę z ulgą, ale pani Forbes nadal szurała sandałami, a myśli skryła pod zmarszczonym czołem.

– Albo upał – dodał pan Forbes, klepiąc się po brzuchu, żeby upewnić się, że wiśniowe puddingi dotarły bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. – Przy takiej pogodzie ludzie robią dziwne rzeczy.

– O, właśnie – potwierdził Eric Lamb. – To przez upał.

Pani Forbes podniosła wzrok znad kręcącej się filiżanki. Uśmiech miała bardzo niewyraźny.

– Ale jeśli jest inaczej, to mamy trochę przerabane, prawda?

We troje stali w milczeniu. Patrzyłam, jak na siebie spoglądają, a pan Forbes wierzchem dłoni otarł z ust okruszki. Eric Lamb nic nie powiedział. Kiedy spojrzenie dotarło do jego oczu, opuścił wzrok, żeby nie odpowiadać na nie.

Po dłuższej chwili pani Forbes powiedziała:

– Do tej herbaty trzeba dodać więcej mleka. – I zniknęła w ścianie opalonych ciał.

Poklepałam Tilly po ramieniu i trochę bulionu wylało się na niebieski plastik.

– Słyszałaś? – zapytałam. – Pani Forbes powiedziała, że oni wszyscy mają przerabane.

– To nie bardzo pasuje do sali kościelnej, prawda? – Tilly nadal w zydwestce wytarła rozlany bulion skrajem sweterka. – Ostatnio pani Forbes jest trochę dziwna.

To prawda. Nie dalej jak poprzedniego dnia widziałam, że chodzi po ogródku w nocnej koszuli i długo rozmawia z grządkami.

To przez upał, powiedział pan Forbes, wprowadzając ją z powrotem do środka z filiżanką herbaty i „Radio Timesem”.

– Dlaczego ludzie zwalają wszystko na upał? – zapytała Tilly.

– Tak jest łatwiej – powiedziałam.

– Łatwiej niż co?

– Łatwiej niż powiedzieć wszystkim, jakie są prawdziwe powody.

Pojawił się proboszcz.

Wiedziałyśmy, że przyszedł, zanim go zobaczyłyśmy, bo w całej sali rozmowy przycichły i rozległo się pokaszanie. Przebił się przez tłum, który znów się za nim uformował, jak powierzchnia Morza Czerwonego. Jakby szybował w swojej sutannie, a wokół niego rozciągała się sfera bezruchu i każdy, do kogo się zbliżył, robił się nadpobudliwy i trochę histeryzował. Ludzie z lekka się prostowali, podając mu rękę. Widziałam, jak pani Forbes robi coś jakby lekki dyg.

– I co on takiego mówił w kościele? – zapytała Tilly, przyglądając się proboszczowi chodzącemu po sali.

– Powiedział, że Bóg goni ludzi z nożami, jeśli uważnie Go nie słuchają.

Tilly znowu powąchała bulion.

– Nie wiedziałam, że On się tak zachowuje – odparła.

Czasem musiałam mocno się starać, żeby odwrócić od niej wzrok. Była prawie przezroczysta i krucha jak szkło.

– Powiedział, że jak znajdziemy Boga, to On da nam bezpieczeństwo.

Tilly podniosła wzrok. Na samym koniuszku nosa miała rozmazany krem przeciwsłoneczny.

– Gracie, myślisz, że jeszcze ktoś zniknie?

Pomyślałam o kamieniach nagrobnych, o pani Creasy i o popękanych, pożółkłych trawnikach.

– Czy potrzebujemy Boga dla naszego bezpieczeństwa? Czy nie jesteśmy bezpieczne tak po prostu? – zapytała.

– Już sama nie wiem.

Przyglądałam się jej i nawlekałam swoje zmartwienia jak paciorki.

Proboszcz zakończył obchód pomieszczenia i zniknął za zasłoną obok sceny, jakby był pomocnikiem magika. Silnik rozmów znów ruszył, z początku po cichu i niepewnie, potem coraz silniej, aż wrócił na poprzedni poziom, a powietrze wypełniło się zakazami zużywania wody do podlewania trawników i historiami o znikających sąsiadkach.

I pewnie już by tak było. I pewnie szłoby tak dalej i dalej, aż ludzie poszliby do domów, żeby napchać się brukselką, gdyby pan Creasy nie wpadł przez podwójne drzwi i nie pomaszerował przez całą salę między zaskoczonymi widzami.

Po całej sali szła za nim cisza, słyhać było tylko stukanie filiżanek o podstawki i odgłos szturhających się łokci.

Zatrzymał się przed panem Forbesem i Erikiem Lambem, twarz miał zniekształconą gniewem. Potem Tilly powiedziała, że myślała, że kogoś uderzy, ale według mnie wyglądał, jakby coś wyгнаło z niego wszystkie bijatyki.

Te słowa przez kilka sekund widać było w jego oczach, wreszcie odezwał się.

– Powiedziałaś jej, prawda?

Ten szept chciał być wykrzyczany. Potem usta pana Creasy'ego zwinęły się z wściekłości jak do plucia.

Pan Forbes odwrócił się od słuchaczy i poprowadził pana Creasy'ego pod ścianę. Słyszałam, jak mówił: „Chryste”, „uspokój się” i „na litość boską”, a potem:

– Niczego jej nie mówiliśmy.

– To dlaczego miałyby wstać i odejść? – zapytał pan Creasy. Gniew jakby go unieruchomił, zrobił z niego wściekłą kukłę, sztywną i nieruchomą, nie licząc rumieńca, który wypełził spod koszuli na szyję.

– Nie wiem – powiedział pan Forbes – ale jeśli się dowiedziała, to nie od nas.

– Tacy głupi nie jesteśmy – rzekł Eric Lamb. Spojrzał za siebie na morze ciekawości i filiżanek z herbatą. – Wyjdźmy stąd razem, wypijesz drinka.

– Nie chcę cholernego drinka. – Pan Creasy syknął na nich jak wąż. – Chcę, żeby moja żona wróciła.

Nie miał wyboru. Wyprowadzili go z sali jak więzienni strażnicy.

Patrzyłam na panią Forbes.

Wpatrywała się w drzwi jeszcze długo, kiedy się za nimi zamknęły.

Ulica
numer 4

27 czerwca 1976

Wszystkie ulice w osiedlu nosiły nazwy drzew. Razem z Tilly poszliśmy z kościoła do domu ulicą oddzielającą Jaworową od Cedrowej. Po naszych obu stronach, wzdłuż opuszczonych ogródków, sznury prania rozciągały się jak flagi, czekając na szept wiatru. Kiedy szliśmy, kropelki ociekającej wody wydobywały klaskające tony z betonu.

Wtedy nikt nie miał pojęcia, że przez wiele kolejnych lat ludzie nadal będą mówili o tym lecie, że wszystkie inne fale gorąca będą porównywane do tej, a ci, którzy ją przeżyli, będą kręcili głowami i uśmiechali się za każdym razem, gdy ktoś zacznie narzekać na temperaturę. To było lato wyzwolenia. Lato piłek kangurów z uchwytami i tańczących królowych, kiedy Dolly Parton błagała Jolene, żeby nie zabierała jej męża, a wszyscy patrzyliśmy na powierzchnię Marsa i czuliśmy się mali. Musieliśmy dzielić się wodą w wannie i napełniać czajniki do połowy i wolno nam było spuszczać wodę w toalecie po – jak to nazywała pani Morton – specjalnej okazji. Jedyne problem tkwił w tym, że wszyscy wiedzieli, kiedy miało się specjalną okazję, a to było trochę niezręczne. Pani Morton mówiła, że skończy się na wiadrach i hydroforach, jeśli nie będziemy

ostrożni, i należała do straży obywatelskiej, która zgłaszała każdego, kto po ciemku podlewał ogródek (pani Morton używała popłuczyn, co było dozwolone). „To odniesie skutek tylko wtedy, kiedy się zjednoczymy”, mówiła. Wiedziałam, że to nieprawda, rozumiecie, bo w przeciwieństwie do suchych, pożółkłych trawników innych, trawnik pana Forbesa miał dziwny i podejrzany odcień zieleni.

Słyszałam za sobą głos Tilly. Bębnił po wyschniętych, drewnianych sztachetach płotów z obu stron, wymęczonych na białą przez upał.

Jakby pytał, co myślę.

Od Pine Crescent powtarzała słowa pana Creasy, próbując przerobić je w pogląd.

– Myślę, że pan i pani Forbesowie mają z tym coś wspólnego!
– odkrzyknęłam za siebie.

Dogoniła mnie, jej nogi zmagaly się z rytmem zdania.

– Myślisz, że to oni ją zamordowali?

– Myślę, że oni wszyscy razem ją zamordowali.

– Chyba nie wyglądają na takich – powiedziała. – Moja mama uważa, że Forbesowie są staromodni.

– Nie, są bardzo nowocześni. – Znalazłam patyk i pociągnęłam nim wzdłuż płotu. – Mają syfon sodastream.

Mama Tilly uważa, że wszyscy są staromodni. Mama Tilly ma długie kolczyki i pije campari, i ubiera się wyłącznie w cienką

bawełnę. Jak jest zimno, wkłada po prostu więcej bawełny, którą okręca się jak całunem.

– Moja mama mówi, że pan i pani Forbesowie to dziwni ludzie.

– Hm, pewnie ma rację.

Tylne drzwi były otwarte i zablokowane w upale, a zapach ciasta na naleśniki i brytfanek ulatywał z domostw. Nawet przy takim upale brukselka i tak gotowała się na wolnym ogniu, a mięsny sos i tak skapywał i gromadził się na ciężkich płytach.

– Nienawidzę niedziel – powiedziałam.

– Dlaczego? – Tilly też znalazła patyk i ciągnęła go obok mojego.

Tilly niczego nie nienawidzi.

– To tylko dzień przed poniedziałkiem – powiedziałam. – Zawsze jest taki pusty.

– Niedługo kończy się nauka. Będziemy miały sześć tygodni samych niedziel.

– Wiem. – Patyk wstukiwał moją nudę w drewno.

– Co zrobimy w wakacje?

Dotarliśmy do końca płotu i na ulicy zapanowała cisza.

– Jeszcze nic nie postanowiłam – powiedziałam i wypuściłam patyk z dłoni.

Szłyśmy do Lime Crescent, sandałkami wyrzucając luźne kawałki żwiru na drogę. Podniosłam wzrok, ale słońce

odbijające się od samochodów i okien raziło mnie w oczy. Zmrużyłam je i spróbowałam jeszcze raz.

Tilly nie zauważyła, ale ja zobaczyłam je od razu. Grupa dziewczyn zrobionych na Suzi Quatro z błyszczącym na wargach, z dzinsowymi kieszeniami, które rozciągały na boki wepchniętymi w nie rękami. Stały na rogu naprzeciwko i nic nie robiły, tylko tyle, że były ode mnie starsze. Widziałam, jak oceniają naszą obecność, odmierzają chodnik zdartymi butami z marketu i żują gumę. Były zakładką na stronie, którą jeszcze miałam przeczytać. Próbowałam wyciągnąć się, żeby się do nich dopasować.

Znałam je wszystkie. Od tak dawna przyglądałam się z marginesu ich życia, że ich twarze były mi znajome jak moja własna. Zerkalam, może jest jakaś nić rozpoznania, ale niczego nie było. Nawet gdy błagałam o nią wzrokiem. Nawet gdy zwolniłam prawie do zera. Tilly wysuwała się naprzód, a ja zwiększałam odległość między nami, póki nie dosięgły mnie spojrzenia pełne oceny. Nie wiedziałam, co zrobić z rękami, więc założyłam je na piersi i próbowałam bardziej buntowniczo klapać sandałkami.

Tilly czekała na mnie za rogiem.

– Co mamy teraz zrobić? – zapytała.

– Nie wiem, a co mi tam.

– Mamy pójść do ciebie, do domu?

– No.

– Dlaczego mówisz w taki sposób?

Rozplotłam ręce.

– Nie wiem.

Uśmiechnęła się, odpowiedziałam uśmiechem, chociaż był to niespokojny uśmiech.

– Daj! – Zdjęłam jej zydwestkę z głowy i włożyłam na swoją.

Roześmiała się, natychmiast sięgając po swoją własność.

– Gracie, niektórzy ludzie nie powinni nosić kapeluszy – powiedziała. – Niech zostanie tam, gdzie powinien.

Wzięłam ją pod rękę i poszliśmy w stronę domu. Obok takich samych trawników, obok skopiowanego przez kalkę życia i domów szeregowych, łączących kajdankami rodziny, przypadkowo i przygodnie.

A ja starałam się, żeby to było w sam raz.

Kiedy dotarliśmy do domu, moja matka obierała ziemniaki i mówiła do Jimmiego Younga. Siedział na półce nad nią, a ona kiwała głową i uśmiechała się do niego, splukując w zlewie ziemię.

– Nie było cię dłuższy czas.

Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do Jimmiego.

– Byłyśmy w kościele – odparłam.

– Podobało się?

– Właściwie to nie.

– To miło – powiedziała i wyłowiła z błota kolejnego ziemniaka.

Śmiech Tilly uwiązł w jej swetrze.

– Gdzie jest tato? – Wyjęłam z lodówki dwa trójkąciki sera i wysypałam torebkę chrupków na talerz.

– Poszedł po gazetę – odparła matka i z większą śmiałością zanurzyła w wodzie ziemniaki. – Zaraz wróci.

„Pub”, bezgłośnie, tylko poruszając wargami, powiedziałam do Tilly.

Odpakowałam trójkącik, a Tilly zdjęła zydwestkę. Słuchaliśmy Brotherhood of Man i patrzyłyśmy, jak moja matka obiera ziemniaki.

„Wszystkie twoje pocałunki są tylko dla mnie”, oznajmiło radio i zatańczyłyśmy z Tilly rękami.

– Wierzysz w Boga? – zapytałam matkę, kiedy piosenka się skończyła.

– No proszę, czy wierzę w Boga? – Zaczęła wolniej obierać, zapatrzyła się w sufit.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego wszyscy spoglądali w stronę nieba, kiedy zadawałam to pytanie. Jakby spodziewali się, że Bóg pojawi się w chmurach i udzieli im właściwej odpowiedzi. Jeśli tak, to mojej matce Bóg sprawił zawód, a my nadal czekałyśmy na jej odpowiedź, kiedy mój ojciec pojawił się w drzwiach bez gazety, a w oczach jeszcze świecił mu Brytyjski Legion.

Owinął się wokół matki jak prześcieradło.

– Jak się miewa moja piękna żona? – zapytał.

– Nie ma czasu na te bzdury, Derek. – Zanurzyła kolejnego ziemniaka.

– I moje dwie ulubione dziewczyny? – Potargał nas za włosy, co było błędem, bo ani Tilly, ani ja nie miałyśmy włosów, które można było skutecznie potargać. Moje były zbyt blond i twarde, a włosy Tilly i tak były potargane.

– Zostaniesz na lunch? – chciał wiedzieć mój ojciec. Nachylił się, żeby coś powiedzieć, i znów potargał jej włosy. Za każdym razem, kiedy Tilly tu była, robił się z niego rodzic z kreskówki, zastępczy ojciec. Zanurkował, żeby wypełnić lukę w życiu Tilly, lukę, o której nawet nie wiedziała, dopóki tak kunsztownie jej nie podświetlił.

Zacząła odpowiadać, ale ojciec trzymał głowę w lodówce.

– Widziałem w Legionie Cienkiego Briana. – Mówił do mojej matki. – Zgadnij, co mi powiedział.

Matka milczała.

– Ta stara kobieta, która mieszka na końcu Mulberry Drive, wiesz która?

Moja matka pokiwała głową w stronę obierek.

– W ostatni poniedziałek znaleźli ją martwą.

– Derek, ona była bardzo stara.

– Rzecz w tym – powiedział, rozpakowując trójkącik sera – że według nich leżała martwa od tygodnia i nikt tego nie zauważył.

Moja matka podniosła wzrok, a Tilly i ja patrzyłyśmy na talerz chrupek, starając się, żeby o nas zapomniano.

– Nawet wtedy by jej nie znaleźli – powiedział mój ojciec – gdyby nie ten zap...

– Czemu nie każesz dziewczynkom wyjść do ogrodu? – zapytała moja matka. – Zawołam, jak obiad będzie gotowy.

Siedziałyśmy na tarasie, plecami przyciśnięte do cegieł, żeby nie wysunąć się poza wstążkę cienia.

– Śmieszna śmierć i nikt za tobą nie tęskni – powiedziała Tilly.

– To niezbyt po bożemu, prawda?

– Proboszcz mówi, że Bóg jest wszędzie – odparłam.

Tilly naburmuszyła się.

– Wszędzie. – Zamachałam ramionami, żeby jej pokazać.

– To dlaczego nie było Go na Mulberry Drive?

Patrzyłam na rząd słoneczników po drugiej stronie ogrodu. Moja matka zasadziła je tam ostatniej wiosny i teraz wyrastały nad murek i zaglądały do ogródka Forbesów, jak roślinni szpiedzy.

– Bo ja wiem – odparłam. – Może był gdzie indziej.

– Mam nadzieję, że ktoś będzie za mną tęsknił, kiedy umrę – powiedziała.

– Nie umrzesz. Żadna z nas nie umrze. Dopiero, jak będziemy stare. Dopiero jak ludzie będą się po nas tego spodziewać. Do tego czasu Bóg będzie nas chronił.

– Ale pani Creasy nie ochronił, prawda?

Patrzyłam na trzmielę unoszące się między słonecznikami. Badały każdy kwiat, zanurzały się w środek, szukały, sprawdzały i znowu pojawiały się w słońcu, pokryte żółtym pyłkiem, pijane od sukcesu.

I wszystko stało się takie jasne.

– Wiem, co zrobimy podczas wakacji – powiedziałam i wstałam.

Tilly podniosła wzrok. Zmrużyła oczy, patrząc na mnie, i osłoniła oczy przed słońcem.

– Co?

– Zrobimy tak, żeby wszyscy byli bezpieczni. Sprowadzimy panią Creasy.

– Jak to zrobimy?

– Będziemy szukały Boga.

– My?

– Tak – powiedziałam – my. Właśnie tu, na tej ulicy. I nie skończę, aż Go znajdę.

Wyciągnęłam rękę. Schwyciła ją, a ja pomogłam jej stanąć obok mnie.

– Zgoda, Gracie – powiedziała.

Włożyła zydwestkę i uśmiechnęła się.

Ulica
numer 6

27 lipca 1976

W poniedziałek było *Are You Being Served?*, we wtorek *The Good Life*, a w sobotę *The Generation Game*. Chociaż Dorothy bardzo się starała, nie była w stanie pojąć, co śmiesznego ludzie widzą w Brusie Forsycie.

Podczas zmywania próbowała przypomnieć sobie seriale, jakby to był jakiś sprawdzian. To odwracało jej myśli od kościelnej sali, miny Johna Creasy'ego i nieprzyjemnego uczucia w piersi.

Poniedziałek, wtorek, sobota. Zazwyczaj lubiła zmywanie. Lubiała porządkowanie ogródka i myślenie na wolnych obrotach, ale dzisiaj ciężar upału naciskający na szyby sprawił, że wydawało się jej, jakby patrzyła na świat z wielkiego pieca.

Poniedziałek, wtorek, sobota.

Nadal pamiętała, ale nie ryzykowała. Wszystko było zakreślone w „Radio Timesie”.

Harold bardzo się denerwował, kiedy pytała go o coś więcej niż raz.

„Dorothy, postaraj się i zapamiętaj”, mówił.

Kiedy Harold się złościł, potrafił wypełnić pokój swoją irytacją. Potrafił wypełnić nią salon i gabinet lekarski. Potrafił

wypełnić nawet cały supermarket.

Bardzo się starała, żeby wszystko zapamiętywać.

Jednak czasem brakowało jej słów. Kryły się za innymi słowami albo wysuwały się tylko troszeczkę, a potem znowu niknęły w jej umyśle, zanim zdążyła je złapać.

„Nie mogę znaleźć moich...”, mawiała, a Harold rzucał jej podpowiedzi jak kule. „Kluczy? Rękawiczek? Torebki? Okularów?” I wtedy słowo, którego brakowało niknęło jeszcze bardziej.

„Pluszowej zabawki”, powiedziała pewnego dnia, żeby go rozśmieszyć.

Ale Harold się nie roześmiał. Popatrzył na nią, jakby nieproszona włączyła się do rozmowy, a potem bardzo ostrożnie zamknął tylne drzwi i zaczął kosić trawnik. I jakoś cisza bardziej wypełniła pokój niż gniew.

Złożyła ścierkę do naczyń i położyła ją na skraju ociekacza.

Harold był spokojny, odkąd wrócili z kościoła. Razem z Erikiem odprowadzili dokądś Johna Creasy’ego, chociaż Bóg wie dokąd, nie śmiała nawet zapytać. Usiadł i w milczeniu czytał gazetę. W milczeniu zjadł obiad, w milczeniu poplamił sobie sosem koszulę, a kiedy go zapytała, czy chce na deser kawałki mandarynki z mlekiem, tylko skinął głową.

Kiedy to przed nim postawiła, wypowiedział jedyne zdanie, które opuściło jego usta przez całe popołudnie. „Dorothy, to są brzoskwinie”.

Tak było ciągle. Gdzieś przeczytała, że to się zdarza w rodzinach. Jej matka też tak skończyła, zatrzymano ją, kiedy o

szóstej rano błąkała się po ulicach (listonosz, nocna koszula) i wkładała różne rzeczy nie tam, gdzie należało (kapcie, pojemnik na chleb). „Świruje przy ludziach”, powiedział o niej Harold. Była mniej więcej w wieku Dorothy, kiedy zaczęła tracić rozum, chociaż Dorothy zawsze uważała, że tracić rozum to jakiś dziwny zwrot. Jakby można było zgubić umysł, jak klucz do domu albo pieska, jakby to na pewno była twoja wina, że jesteś tak cholernie roztrzepana.

Przenieśli matkę do domu opieki w ciągu paru tygodni. Wszystko odbyło się bardzo szybko.

„To dla jej dobra”, powiedział wtedy Harold.

Powtarzał to za każdym razem, kiedy szli z wizytą.

Kiedy zjadł brzoskwinie, ułożył się na kanapie i zasnął, chociaż nie potrafiła zrozumieć, jak można spać przy takim upale. Teraz był spokojny, brzuch unosił mu się i opadał, kiedy poruszał się między snami, chrapał rytmicznie i w takt zegara kuchennego odmierzał popołudnie dla nich obojga.

Dorothy wzięła resztki posiłku spożytego w milczeniu i wyrzuciła je do kosza z pedałem. Jedynym problemem, kiedy traci się pamięć, jest to, że nie traci się tych wspomnień, które chciałoby się stracić. Wspomnienia, które są naprawdę potrzebne, odchodzą jako pierwsze. Trzymała stopę na pedale, patrzyła na odpadki. Ile by się list nie napisało, ile by się kółek nie nakreśliło w „Radio Timesie”, ile razy nie powtarzałoby się słów, próbując oszukać ludzi, jedynymi wspomnieniami, które pozostają, są te, których naprawdę by się nie chciało.

Sięgnęła do śmieci i wyjęła puszkę z ziemniaczanych obierków. Patrzyła na nią.

– Dorothy, to są brzoskwinie – powiedziała do pustej kuchni. – Brzoskwinie.

Poczuła łzy, zanim zorientowała się, że płacze.

– Problem w tym, Dorothy, że za dużo myślisz. – Harold nie odrywał wzroku od telewizora. – To nie jest zdrowe.

Wieczór utemperował słońce i cienka warstwa złota rozpostarła się po salonie. Nadała kredensowi nasycony, ciemny kolor koniaku i wpiła się w fałdy zasłon.

Dorothy zdjęła wyimaginowany pyłek z rękawa.

– Trudno o tym nie myśleć, Haroldzie, w takich okolicznościach.

– To jest zupełnie co innego. Jest dorosłą kobietą. Posprzeczali się pewnie o coś z Johnem i odeszła na trochę, żeby dać mu nauzkę.

Dorothy spojrzała na męża. Światło z okna nadawało jego twarzy lekki marcepanowy kolorek.

– Mogę mieć tylko nadzieję, że masz rację – powiedziała.

– Oczywiście, że mam rację. – Wzrok nadal miał przykuty do telewizora, widziała, jak oczy mu migoczą wraz ze zmianą obrazów.

Szła *Sale of the Century*. Powinna dobrze wiedzieć, że nie należy rozmawiać z Haroldem, kiedy ogląda Nicholasa Parsonsa. Lepiej byłoby wpasować rozmowę w przerwę na

reklamy, ale nagromadziło się za dużo słów i nie mogła ich utrzymać w ustach.

– Tylko, że się z nią widziałam. Na parę dni przed jej zniknięciem. – Dorothy odchrząknęła, chociaż nie musiała. – Szła pod jedenastkę.

Harold wreszcie na nią spojrział.

– Nie mówiłaś mi.

– Nie pytałeś – odparła.

– Co ona tam robiła? – Odwrócił się do niej, a jego okulary spadły z poręczy fotela. – Co mogli mieć sobie do powiedzenia?

– Nie mam pojęcia, ale to nie mógł być przypadek, prawda? Rozmawia z nim, a potem, kilka dni później, znika. On musiał coś powiedzieć.

Harold zapatrzył się w podłogę, czekała, aż jego strach dorówna jej strachowi. Z telewizora w rogu śmiech wylewał się do salonu.

– Nie rozumiem – powiedział – jak on mógł zostać na tej ulicy po wszystkim, co się stało. Powinien się przeprowadzić.

– Haroldzie, nie możesz mówić ludziom, co mają robić.

– On tu nie pasuje.

– Całe życie mieszkał pod jedenastym.

– Ale po tym, co zrobił?

– On nic nie zrobił. – Dorothy spojrzała na ekran, żeby uniknąć wzroku Harolda. – Tak mówili.

– Wiem, co mówili.

Słyszała, jak dyszy, ciepłe powietrze świstało mu w zmęczonych płucach. Czekala. Ale on odwrócił się do telewizora

i wyprostował plecy.

– Dorothy, po prostu histeryzujesz. Tamta sprawa jest skończona i zamknięta. To było dziesięć lat temu.

– Właściwie to dziewięć – powiedziała.

– Dziewięć, dziesięć, czy to ma znaczenie? To wszystko przeszłość, chyba że zaczynasz o tym mówić. Wtedy to przestaje być przeszłością i znów jest teraźniejszością.

Zebrała spódnicę w fałdy i wypuściła je z dłoni.

– Przestań majdrować, kobieto.

– Nie mogę się powstrzymać.

– Hm, idź zrobić coś pożytecznego. Idź się wykąpać.

– Kąpałam się rano.

– Hm, no to wykąpać się jeszcze raz – odparł. – Zbijasz mnie z tropu pytaniami.

– A oszczędzanie wody, Haroldzie?

Ale Harold nie odpowiedział. Zaczął dłubać sobie w zębach. Dorothy to słyszała. Bardziej niż słowa Nicholasa Parsonsa.

Wygładziła włosy i spódnicę. Zrobiła głęboki wdech, żeby zdusić słowa, potem wstała i wyszła z pokoju. Zanim zamknęła drzwi, spojrzała za siebie.

Odwrócił się od telewizora i patrzył przez okno, za koronki firanek, za ogródki i chodniki, na drzwi numeru jedenaście.

Jego okulary nadal leżały na podłodze.

Dorothy dobrze pamiętała, gdzie schowała puszkę.

Harold nie wchodził do tylnej sypialni. To był składzik. Poczekalnia dla wszystkich rzeczy, których już nie potrzebowała, ale nie mogła się z nimi rozstać. Powiedział, że myśl o tym przyprawia go o ból głowy. Z upływem lat pokój się zapełnił. Teraz przeszłość poupychana po kątach sięgała sufitu. Rozciągała się wzdłuż parapetu i dotykała kredensów. Dorothy miała to wszystko pod ręką. Czasem nie wystarczało pamiętać. Czasem musiała nieść z sobą przeszłość, żeby wiedzieć, że na pewno jest jej częścią.

Pokój uwięził lato w swoich ścianach. Trzymał Dorothy w dusznym muzeum kurzu i papieru, poczuła, że pot spływa jej z włosów. Przez deski podłogi wpełzał dźwięk telewizora. Mogła sobie wyobrazić Harolda na dole, jak odpowiada na pytania i dłubie w zębach.

Puszka stała między stosem koców zrobionych na szydełku przez jej matkę i paroma naczyniami stołowymi z przyczepy kempingowej. Zobaczyła ją od drzwi, jakby na nią czekała. Uklękła na dywanie i wyciągnęła ją. Puszka miała na wierzchu zdjęcia biszkoptów, które miały kusić, żeby zajrzeć do środka, różowe wafle, okrągłe, lukrowane ciasteczka i ciasteczka z nadzieją. Wszystkie trzymały się za narysowane rączki i tańczyły na narysowanych nóżkach. Schwyciła za nie, otwierając wieczko.

Na wierzchu zobaczyła bilet na loterię z 1967 roku i zestaw agrafek. Były tam zmatowiałe spinki Harolda, kilka oderwanych guzików i wycinek z lokalnej gazety o pogrzebie jej matki.

„Odeszła w pokoju”, było napisane.

Nie odeszła w pokoju.

Ale pod agrafkami, spinkami i guzikami leżało to, po co przyszła. Koperty od Kodaka, pogrubiłe ze starości. Harold nie miał serca do fotografii. Mówił, że są ckliwe. Dorothy nie знаła nikogo innego, kto używałby słowa ckliwe. Było bardzo mało zdjęć Harolda. Od czasu do czasu łokieć na stole obiadowym, nogawka na trawniku, a jeśli komuś udało się skadrować jego twarz, to z miną człowieka, który padł ofiarą oszustwa.

Przeszukała koperty. Większość zdjęć została ocalona z domu jej matki. Ludzie, których nie znała, obramowani białymi ząbkowanymi krawędziami, siedzieli w ogródkach, których nie rozpoznawała, i w pokojach, których nigdy nie odwiedziła. Byli George'owie, były Florry i mnóstwo ludzi o imieniu Bill. Napisali swoje imiona na odwrocie, zapewne z nadzieją, że jeśli się zachowają, to może lepiej się ich zapamięta.

Było kilka zdjęć z nią samą – rzadkie przyjęcia bożonarodzeniowe, obiad w kole gospodyń. Na dywan upadło zdjęcie Whiskeya, a ona poczuła ściskanie w gardle.

Nie wrócił do domu.

„Po prostu kot”, powiedział Harold.

Wtedy o mało nie straciła panowania nad sobą.

Zdjęcie, którego szukała, leżało na dnie przyciśnięte ciężarem wspomnień. Musiała je zobaczyć. Musiała się upewnić. Może, z upływem lat, przeszłość uległa zniekształceniu. Może czas rozszerzył ich w tym udział i rozbuchał jej wyrzuty sumienia. Może jak jeszcze raz zobaczy twarze, rozpozna, że są niewinne.

Patrzyli znad stołu w Brytyjskim Legionie. To było, zanim wszystko się zdarzyło, ale była pewna, że to ten sam stół – stół, przy którym podjęto decyzję. Harold siedział obok niej, oboje patrzyli w obiektyw z zakłopotaniem. Pamiętała, że fotograf zaskoczył ich. Był to ktoś z miejskiej gazety, kto chciał zrobić zdjęcia do artykułu o „lokalnym kolorycie”. Oczywiście, zdjęcie nie zostało wykorzystane. Za nimi stał John Creasy, ręce miał wciśnięte w kieszenie, spoglądał spod beatlesowskiej grzywki. Przed Johnem siedział ten stuknięty błazen Cienki Brian, ze szklanką piwa w dłoni, a Eric Lamb siedział naprzeciwko Harolda. Sheila Dakin była na końcu – długie rzęsy i wino gruszkowe.

Dorothy patrzyła na ich twarze z nadzieją, że coś jeszcze z nich wyczyta.

Nie było nic. Byli tacy sami jak za poprzednim razem, kiedy ich widziała.

Rok 1967. Rok, w którym Johnson wysłał kolejne tysiące na śmierć w Wietnamie. Rok, kiedy Chiny wyprodukowały bombę wodorową, a Izrael stoczył wojnę sześciodniową. Rok, kiedy ludzie maszerowali, krzyczeli, wymachiwali transparentami, opowiadając się za tym, w co wierzyli.

To był rok dokonywania wyborów.

Żałowała, bo nie mogła wiedzieć, że pewnego dnia popatrzy na siebie i pożałuje, że nie podjęli innej decyzji. Odwróciła zdjęcie. Imion nie było. Po tym wszystkim, co się stało, było dla niej oczywiste, że żadne z nich nie będzie chciało pamiętać.

– Co ty tam robisz?

Kroki Harolda nie były zazwyczaj takie dyskretne. Odwróciła się od niego i schowała zdjęcie za pasek.

– Przeglądam różne rzeczy.

Oparł się o framugę. Dorothy nie wiedziała, kiedy to się stało, ale Harold się postarzał. Skóra na twarzy zrobiła mu się cienka jak pergamin, a sylwetka przygarbiła się i wygięła, jakby powoli wracał do pozycji embriona.

– No, Dorothy, dlaczego się tutaj zaszylaś?

Spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła, że jego umysł nie ogarnia sprawy.

– Robię... – powiedziała – robię...

– Postępy? – Harald zajrzał do sypialni. – Bałagan? Kłopoty?

– Wybór. – Dorothy uśmiechnęła się do niego. – Dokonuję wyboru.

I patrzyła, jak Harold ociera rękawem koszuli pot z czoła.

Kiedy Harold wrócił na dół, Dorothy zeszła na półpiętro i znów spojrzała na zdjęcie. Najpierw dotarł do niej zapach, zapach, który zdawał się nie opuszczać ulicy przez wiele tygodni, trzymany w paszczy grudniowego mrozu. Czasem wydawało jej się, że nadal może go poczuć, nawet po tylu latach. Chodziła po chodnikach, włączyła się we własnych myślach i znów zapach do niej podpełzał. Jakby nigdy naprawdę nie zniknął, jakby został specjalnie, żeby im wszystkim nie dać zapomnieć. Tamtej nocy stała tu, gdzie stoi teraz, i patrzyła, jak to wszystko się dzieje. Tyle razy odtwarzała

sobie tamtą scenę, może licząc na to, że coś się zmieni, że mogłaby już sobie odpuścić, ale tamta noc głęboko wbiła się jej w pamięć. I nawet wtedy wiedziała, że nie będzie od tego odwrotu.

21 grudnia 1967

Syreny tłuką w drogę, wyciągają ulicę ze snu. Światła trzeszczą i tykają, akwaria ludzi wyglądają w noc. Dorothy patrzy z półpiętra. Poręcz wbija się jej w kości, kiedy nachyla się do przodu, ale to jest okno z najlepszym widokiem, więc nachyla się jeszcze trochę. Kiedy to robi, dzwony syren milkną, a z wozu strażackiego ludzie wypadają na ulicę. Usiłuje nasłuchiwać, ale szyba tłumi ich głosy i jedynym dźwiękiem, który słyszy, jest powietrze w jej oddechu i tętno w szyi.

Paprocie lodu wyrastają z rogów okna, musi patrzeć obok nich, żeby dobrze widzieć. W poprzek chodnika wiją się węże, rzeki światła lśnią w czerni. To wygląda nierealnie, teatralnie, jakby ktoś wystawiał sztukę pośrodku ulicy. Po drugiej stronie drogi Eric Lamb otwiera drzwi, wkłada kurtkę, krzyczy za siebie i wybiega na ulicę, wszędzie wokół niej okna otwierają się, wyrzucając oddech w ciemność.

Woła do Harolda. Musi zawołać kilka razy, bo jego sny są jak cement. Kiedy wreszcie się pojawia, jest niewyraźny jak ktoś, kogo wytrząsnęto do przytomności. Chce wiedzieć, co się dzieje, wykrzykuje do niej pytania, mimo że stoi trzy kroki

obok. Dorothy widzi resztki snu w kącikach jego oczu i ścieg poduszki na policzku.

Dorothy znów odwraca się do okna. Otwiera się więcej drzwi, pojawia się więcej ludzi. Ponad zapachem domu, ponad wypolerowanymi parapetami i płynem do czyszczenia zlewu wyobraża sobie zapach dymu, wsączonego się przez szczeliny i drzazgi, szukającego drogi między cegłami.

Patrzy na Harolda.

– Chyba stało się coś bardzo złego – mówi.

Docierają do ogrodu. John Creasy krzyczy z drugiej strony ulicy, ale jego głos niknie w jazgocie silnika i uderzeniach butów o beton. Dorothy patrzy przez ciemność w stronę wylotu drogi. Sheila Dakin stoi na trawniku, przykładając dłoń do twarzy, wiatr targa jej szlafrokiem, chłoząc materiałem nogi, jak flagą. Harold mówi Dorothy, żeby została tam, gdzie jest, ale pożar jest jak pole magnetyczne, wszystkich ciągnie bliżej, zbliżają się ścieżkami i chodnikami. Tylko May Roper nie rusza się. Stoi w drzwiach, przytrzymywana światłem, hałasem i zapachem. Brian chwytając ją, przebiegając obok, ale ona jakby tego nie zauważała.

Strażacy pracują jak maszyna, stają się ogniwo łańcucha ciągnącego wodę z ziemi. Parabola dźwięku. Wybuch. Harold krzyczy do Dorothy, żeby weszła z powrotem do środka, ale ona przesuwa się trochę bliżej. Patrzy na Harolda. Jest zbyt zainteresowany tym, co się dzieje, żeby to zauważyć, Dorothy

powoli idzie w stronę muru. Chce tylko przez chwilę popatrzeć. Sprawdzić, czy to naprawdę się dzieje.

Dochodzi do końca ogrodu, kiedy strażak zaczyna machać rękami i odgania ich jak kukielki. Zbierają się pośrodku ulicy, zbici w gromadkę, bo jest mróz.

Strażak wykrzykuje pytania. „Ilu ludzi mieszka w tym domu?”

Odpowiadają jednocześnie, ich głosy są rozmazane, porywa je wiatr.

Strażak przygląda się ich twarzom, wskazuje na Dereka.

– Ilu? – znów pyta, jego usta układają się wokół tego słowa.

– Jeden – krzyczy Derek – tylko jeden. – Ogląda się na własny dom, Dorothy podąża za jego wzrokiem. W oknie stoi Sylvia z Grace na rękach. Sylvia przygląda się im, potem odwraca się, trzymając główkę dziecka przy piersi. – Jego matka mieszka w domu opieki, ale zabrał ją na Boże Narodzenie – mówi Derek. – Więc tam jest pusto. – Strażak już biegnie z powrotem i słowa Dereka giną w ciemności.

Rolka dymu rozwija się w stronę nieba. Niknie na tle czerni, szepczące brzegi widać na tle ławicy gwiazd, potem strzępi się w nicość. Harold łapie spojrzenie Erica, a Eric króciutko kręci głową, jakby prawie w ogóle nią nie ruszał. Dorothy widzi to, ale odwraca wzrok, znów daje się uwieść hałasowi i dymowi.

Z początku żadne z nich go nie zauważyło. Zbyt wciągają ich płomienie, przyglądanie się pomarańczowym i czerwonym wystrzałom, które łapią i trzymają w oknach. To Dorothy zobaczyła go pierwsza. Jej szok jest niemy, nieruchomy, ale i tak

dociera do każdego z nich. Toczy się przez tłumek, aż wszyscy odwracają się od numeru jedenaście i patrzą.

Walter Bishop.

Wiatr wślizguje mu się pod płaszcz i unosi kołnierz. Szarpie loki, próbuje zakryć mu oczy. Wargi Bishopa poruszają się, ale słowa nie są jeszcze gotowe, żeby zza nich wyjść. Ma torbę na kółkach. Torba wypada mu z ręki, jakaś puszka toczy się po chodniku i wpada do rynsztoka. Dorothy podnosi puszkę, próbuje mu ją oddać.

– Wszyscy myśleli, że wyjechałeś z matką – mówi, ale Walter nie słyszy.

Z domu dochodzą krzyki, niosą się po ulicy, głos jakiegoś strażaka wznosi się ponad inne.

– W środku ktoś jest, mówi. Ktoś jest w domu.

Wszyscy odwracają się od pożaru, żeby spojrzeć na Waltera.

– Kto jest w środku? – To pytanie wszyscy mają w oczach, ale wypowiada je Harold.

Z początku Dorothy nie sądzi, żeby Walter w ogóle usłyszał pytanie. Nie odwraca wzroku od gęstwy czarnego dymu, który zaczyna się wylewać z okien jego domu. Kiedy w końcu odpowiada, mówi tak cicho, szepcze, że wszyscy muszą się nachylić do przodu, żeby usłyszeć.

– Rosół z kurczaka – mówi.

Harold marszczy brwi. Dorothy widzi, jak wszystkie przyszłe zmarszczki schodzą mu się na czole.

– Rosół z kurczaka? – Zmarszczki robią się jeszcze głębsze.

– O tak – Walter nie odwraca wzroku od numeru jedenaście. – Robi cuda z grypą. Grypa, coś straszego, prawda?

Wszyscy kiwiają głowami w ciemności, jak upiorne marionetki.

– Ledwie dotarliśmy do hotelu, kiedy zachorowała. Powiedziałem jej: „Matko, przy złym samopoczuciu musisz trafić do własnego łóżka”. Więc zawróciliśmy i wróciliśmy do domu.

Wszystkie oczy marionetek zwracają się na okno na pierwszym piętrze domu Waltera.

– Ona jest tam teraz? – pyta Harold. – Twoja matka?

Walter kiwa głową.

– Nie mogłem jej odwieźć do domu opieki, prawda? Nie w takim stanie. Więc położyłem ją do łóżka i poszedłem zadzwonić po lekarza. – Patrzy na puszkę, którą podała mu Dorothy. – Chciałem mu powiedzieć, że podawałem jej rosół, tak jak zalecił. Teraz dodają do tego tyle rzeczy. Nie można być za ostrożnym, prawda?

– Prawda – mówi Dorothy – nie można być za ostrożnym.

Dym pełźnie w poprzek ulicy. Dorothy czuje jego smak. Miesza się ze strachem i mrozem, Dorothy ciasniej otula się swetrem.

Harold wchodzi tylnymi drzwiami do kuchni. Dorothy wie, że ma jej coś do powiedzenia, bo nigdy nie wchodzi tylnymi

drzwiami, chyba że to coś nadzwyczajnego albo gdy ma na nogach gumowce.

Podnosi głowę znad krzyżówki i czeka. Harold chodzi wokół blatów, bez potrzeby podnosi różne przedmioty, otwiera drzwi kredensu, patrzy na spód naczyń stołowych, wreszcie nie może już utrzymać słów.

– Tam jest strasznie – mówi, odwieszając kubek na suszarkę do kubków. – Strasznie.

– Byłeś w środku? – Dorothy odkłada długopis. – Pozwolili ci wejść do środka?

– Policja i straż pożarna nie była tam od wielu dni. Nikt nie powiedział, że nie wolno wchodzić.

– Czy to bezpieczne?

– Nie weszliśmy na górę. – Znajduje paczkę herbatników, którą celowo schowała za mąką z proszkiem do pieczenia. – Eric uważał, że to brak szacunku, rozumiesz, w tych okolicznościach.

Dorothy nie sądziła, żeby objawem szacunku było buszowanie nawet na dole, ale łatwiej było nic nie mówić. Jeśli sprzeciwi się Haroldowi, całymi dniami będzie się usprawiedliwiał, jakby odkręciło się kran. Sama chciała tam wejść. Doszła nawet do tylnych drzwi, ale zmieniła zdanie. W tych okolicznościach byłoby to pewnie nierozsądne. Ale Harold miał siłę woli małego berbecia.

– I co na dole? – pyta.

– To jest najdziwniejsze. – Bierze herbatnika z samej góry i zaczyna jeść. – W salonie i korytarzu jest bałagan. Kompletnie

zniszczone. Ale kuchnia jest prawie nietknięta. Tylko parę śladów po dymie na ścianach.

– Nic?

– Nic a nic – mówi. – Zegar tyka, ściereczka do naczyń złożona na ociekaczu. Cholerny cud.

– Dla jego matki to nie był cud, niech spoczywa w pokoju. – Dorothy sięga po chusteczkę w rękawie, ale zmienia zdanie. – Żaden cud, że wcześniej wrócili.

– Żaden. – Harold patrzy na kolejnego herbatnika, ale odkłada go do paczki. – Tyle że nic nie wiedziała. Musiała majaczyć w gorączce. Nawet nie mogła wstać z łóżka. Dlatego poszedł zadzwonić po lekarza.

– Nie rozumiem, dlaczego nie zawiózł jej z powrotem do domu opieki.

– Co? W środku nocy?

– To uratowałyby jej życie.

Dorothy patrzy w dal za Harolda, za zasłony, na ulicę. Od pożaru ulica przybrała smutny, stalowoszary odcień. Nawet pozostałości gwiazdkowych ozdób nie zmieniły nastroju. Wyglądały jakoś nieuczciwie. Jakby za bardzo próbowali wszystkich rozweselić, odciągnąć ludzkie oczy od wypalanej skorupy numeru jedenaście.

– Przestań drążyć. Wiesz, że jak za dużo myślisz, to się gubisz – mówi Harold i patrzy na nią. – To był niedopałek albo iskra z kominka. Właśnie na tym stanęło.

– Ale po tym, co się powiedziało? Po tym, co wszyscy postanowiliśmy?

– Niedopałek. – Wziął herbatnika i złamał go na pół. – Iskra z kominka.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Długi język może obciąć głowę.

– Na litość boską, nie prowadzimy wojny, Haroldzie.

Odwraca się i wygląda przez okno.

– Naprawdę? – mówi.

Jarzębinowa Farma
numer 3

28 czerwca 1976

Nie myślisz, że ludzie mogą być odrobinę podejrzliwi, kiedy dwie dziewczynki zapukają do ich drzwi i zapytają, czy w domu jest Bóg? – Pani Morton postawiła na stole miseczkę z kremem na deser.

– Będziemy tajniakami. – Wyrzeźbiłam łyżeczką swoje imię.

– Tak? – zapytała Tilly. – Ale fajnie.

– A jak to sobie wyobrażasz? – Pani Morton nachyliła się i popchnęła miseczkę trochę bliżej Tilly.

– Będziemy to robiły na odznakę zuchowską – powiedziałam. Tilly podniosła wzrok i zmarszczyła się.

– Nie jesteśmy w zuchach, Gracie. Mówiłaś, że za tym nie przepadamy.

– Zuchami będziemy tymczasowo – odparłam. – Takimi na krótko.

Uśmiechnęła się i na brzegu miseczki bardzo małymi literkami napisała: „Tilly”.

– Będę udawać, że tego nie słyszałam. – Pani Morton wytarła ręce o fartuch. – I skąd to zainteresowanie Bogiem?

– Wszyscy jesteśmy owieczkami – powiedziałam. – A owieczki potrzebują pasterza, żeby je chronił. Tak powiedział proboszcz.

– Naprawdę? – Pani Morton założyła ręce.

– Więc chcę się upewnić, że mamy pasterza.

– Rozumiem. – Oparła się o ociekacz. – Przecież wiesz, że to tylko zdanie proboszcza. Niektórzy ludzie dają sobie nieźle radę bez pasterza.

– Ale to ważne, żeby słuchać Boga. – Zanurzyłam łyżkę w miseczce. – Jak się na Niego nie zwraca uwagi, to On goni człowieka.

– Z nożami – powiedziała Tilly.

Pani Morton zmarszczyła czoło.

– Rozumiem, że i to powiedział wam proboszcz.

– Tak – odparłam.

Zegar na ścianie tykał w ciszy, widziałam, jak usta pani Morton starają się dobrać słowa.

– Po prostu nie chcę, żebyście się rozczarowały – powiedziała w końcu. – Boga nie zawsze łatwo jest dostrzec.

– Znajdziemy Go, a kiedy to się stanie, wszyscy będą bezpieczni, a pani Creasy wróci do domu. – Włożyłam łyżeczkę kremu do ust.

– Będziemy miejscowymi bohaterkami – powiedziała Tilly, uśmiechnęła się i polizała czubek łyżeczki.

– Chyba trzeba trochę więcej niż Boga, żeby sprowadzić panią Creasy. – Pani Morton nachyliła się i otworzyła kolejne okno. Słyszałam, jak furgonetka z lodami jedzie po osiedlu i jak magik wyciąga dzieci z ogródków.

– Pomyślałyśmy, że przecież nie umarła – powiedziałam.

– Hm, to już coś.

– A teraz potrzebujemy Boga, żeby ją znaleźć. Proszę pani, trzeba pamiętać, że Pan Bóg jest wszędzie. – Pomachałam ramionami na wszystkie strony. – Więc bez trudu może znaleźć ludzi i sprowadzić ich z niewoli.

– Kto to powiedział? – Pani Morton zdjęła okulary i ścisnęła znaki, które po nich zostały.

– Bóg – odparłam wstrząśniętym głosem i jak najszerzej otworzyłam oczy.

Pani Morton zaczęła mówić, ale zaraz westchnęła, pokręciła głową i postanowiła zająć się raczej wycieraniem naczyń.

– Tylko nie miejcie wielkich nadziei – powiedziała.

– Zaraz będzie *Blue Peter*. – Tilly ześlizgnęła się z krzesła. – Włączę telewizor, żeby się nagrzał.

Zniknęła w przednim pokoju, a ja odkleiłam nogi od krzesła i zaniósłam miseczkę do zlewu.

– Od czego zaczniecie? – zapytała pani Morton.

– Będziemy sobie chodziły, aż On wyskoczy. – Podałam jej miseczkę.

– Rozumiem.

Już doszłam do korytarza, kiedy mnie zawołała:

– Gracie!

Stałam w drzwiach. Furgonetka z lodami pojechała dalej i urwane nutki wpadły do pokoju.

– Kiedy będziesz chodziła po ulicy – powiedziała – staraj się unikać numeru jedenaście.

Zmarszczyłam się.

– Mam unikać?

– Masz unikać.

Zaczęłam coś mówić, ale mina pani Morton nie wskazywała na chęć rozmowy.

– No dobrze – odparłam.

Moja odpowiedź nastąpiła po prawie niezauważalnej przerwie. Ale nie sądzę, żeby pani Morton to usłyszała.

Ulica
numer 4

29 czerwca 1976

Policjant był bardzo wysoki, nawet kiedy zdjął czapkę.

Jeszcze nigdy nie widziałam policjanta z tak bliska. Był ubrany w gruby mundur i dlatego czuć go było materiałem, a guziki miał takie lśniące, że kiedy mówił, widziałam, jak odbija się w nich cała kuchnia.

„Rutynowe dochodzenie”, powiedział.

Pomyślałam, że podobałaby mi się praca, w której wypytywanie się wszystkich o prywatne sprawy uważane jest za rutynę.

Patrzyłam, jak kuchenka tańczy mu na piersi.

W połowie *Crossroads* rozległo się pukanie do drzwi. Matka miała ochotę to zignorować, póki ojciec nie wyjrzał przez okno i nie zobaczył samochodu policyjnego zaparkowanego pod naszym murkiem. Powiedział: „Cholera” i roześmiał się w poduszkę, a matka tak go zbeształa, że prawie przewrócił się o Remingtona, kiedy szedł do drzwi.

Teraz policjant stał pośrodku naszej kuchni, a my staliśmy pod ścianami i patrzyliśmy na niego. Trochę przypominał mi proboszcza. Obaj potrafili tak robić, że ludzie wyglądali na małych i winnych.

– Hm, cóż, zaraz, hm – powiedział ojciec. Ściereczką do naczyń otarł pot z górnej wargi i popatrzył na moją matkę. – Sylve, pamiętasz, kiedy ostatni raz ją widzieliśmy?

Matka zbierała ze stołu kuchennego podkładki pod nakrycia.

– Nie wydaje mi się – odparła i znów je rozłożyła.

– To mógł być czwartek – powiedział ojciec.

– Albo piątek – stwierdziła matka.

Ojciec spojrzał z ukosa na matkę.

– Albo piątek – mruknął przez ściereczkę do naczyń.

Gdybym to ja była tym lśniącym policjantem, tylko popatrzyłabym na ich zachowanie i aresztowałabym ich od razu za to, że są groźnymi przestępcami.

– Właściwie to było w sobotę rano.

Trzy pary oczu i ściereczka do naczyń zwróciły się w moją stronę.

– Naprawdę? – Policjant przykucnął, usłyszałam, jak materiał zatrzeszczał wokół jego kolan.

Był teraz mniejszy ode mnie, a ja nie chciałam, żeby czuł się niezręcznie, więc usiadłam.

– Tak – powiedziałam.

Oczy miał ciemne, tak jak mundur. Bardzo długo w nie patrzyłam, a on ani mrugnął.

– A skąd wiesz? – zapytał.

– Bo szło *Tiswas*.

– Moje dzieci uwielbiają *Tiswas*.

– Ja tego nie znoszę – powiedziałam.

Ojciec zakaszłał.

– No to co ona powiedziała, kiedy się z nią widziałaś, Grace? – Policjant znowu zatrzeszczał i podniósł się.

– Zapukała do drzwi, bo chciała skorzystać z telefonu.

– Oni nie mają telefonu – powiedziała matka takim głosem, jakiego używają ludzie, który mają coś, czego inni nie mają.

– A dlaczego chciała to zrobić?

– Mówiła, że chce zadzwonić po taksówkę, ale ja jej nie wpuściłam, bo moja matka drzemała.

Wszyscy odwróciliśmy się do mojej matki, która zajęła się podkładkami na naczynia.

– Mówiono mi, że bym nigdy nie wpuszczała obcych do domu – powiedziałam.

– Ale pani Creasy nie była obca, prawda? – Policjant wreszcie zamrugął.

– Nie była obca, ale dziwnie wyglądała.

– To znaczy jak?

Rozparłam się w fotelu i przemyślałam to.

– Wie pan, jak wyglądają ludzie, kiedy bardzo boli ich ząb?

– Wiem.

– Hm, wyglądała trochę gorzej.

Policjant wstał i znowu włożył czapkę. Wypełniał cały pokój.

– Znajdziecie ją? – zapytałam.

Policjant nie odpowiedział. Wyszedł z ojcem do holu, gdzie rozmawiali tak cicho, że nie słyszałam ani słowa. Nawet kiedy wstrzymałam oddech i nachyliłam się nad kuchennym stołem w ich stronę.

– Chyba nie znajdą – powiedziałam.

Matka opróżniła imbryk.

– Nie znajdą – powiedziała. – Ja też tak myślę.

Potem bardzo energicznie napełniła czajnik, bo chyba nie chciała mówić tego na głos.

Nie wiem i nie obchodzi mnie to, ile razy ludzie mnie pytali.

Nie wiedziałam, nawet kiedy pan Creasy wpadł do naszego salonu i stanął między moją matką a Hildą Ogden. Jego twarz była tak blisko, że czułam jego oddech.

– Nie powiedziała mi, dokąd chciała pójść, pytała tylko, czy może skorzystać z telefonu – powtarzałam.

– Chyba coś ci jednak powiedziała? – Słowa pana Creasy’ego przeszły mi po skórze i wślizgnęły się do nosa.

– Nic. Chciała tylko zadzwonić po taksówkę.

Kołnierzyk miał postrzępiony na brzegach, koszulę poplamioną na piersi. Wyglądało to na jajko.

– Grace, myśl, myśl, proszę – powtarzał. Jeszcze bardziej zbliżył twarz do mojej twarzy, czekał, żeby schwytać słowa, jak tylko się pojawią.

– Stary, daj spokój. – Mój ojciec próbował wepchnąć się między nas. – Powiedziała ci wszystko, co wie.

– Derek, ja tylko chcę, żeby wróciła do domu. Na pewno to rozumiesz.

Zobaczyłam, że matka zaczyna wstawać, potem schwyciła za poręcze fotela, żeby się zatrzymać.

– Może chciała wrócić tam, gdzie mieszkała. – Mój ojciec położył rękę na ramieniu pana Creasy’ego. – To było Walsall? Czy Sutton Coldfield?

– Tamworth – powiedział pan Creasy. – Nie była tam od sześciu lat. Odkąd się pobraliśmy. Teraz nikogo tam nie zna.

Nadal czułam jego oddech na mojej twarzy. Był nieprzyjemny.

– Gdzie jest Tamworth? – Tilly ciągnęła tornister po chodniku. To był ostatni dzień szkoły.

– Daleko stąd. W Szkocji – odparłam.

– Jak to możliwe, że rozmawiał z tobą prawdziwy policjant, a mnie przy tym nie było. Czy to tak jak w *Lotnej brygadzie*?

Matka Tilly ostatnio ugięła się i kupiła telewizor.

Myślałam o zapachu materiału i o tym, jak lśniący policjant zapisywał moje słowa w małym czarnym notatniku. Robił to ołówkiem, bardzo powoli, a pisząc, oblizywał wargi.

– To było dokładnie tak jak w *Lotnej brygadzie* – przytaknęłam.

Wlokłyśmy się przez osiedle. Temperatura wokół nas pęczniała i rosła. Szybko zabierano mleko z progów, drzwi samochodów były szeroko otwarte, a ludzie poganiali psy na chodnikach, zanim upał ukradnie im dzień.

– Czy ten policjant będzie jej szukał? – Tornister Tilly szurał po betonie, a chmurki białego kurzu stały w powietrzu. – Co mówił?

– Że pani Creasy jest oficjalnie osobą zaginioną.

– Gdzie zaginioną?

Myślenie spowalnia mi krok.

– Chyba w swoim życiu.

– Jak można zaginać we własnym życiu?

Jeszcze bardziej zwalniam.

– Zaginioną w życiu, w którym się żyje.

Tilly zatrzymała się, żeby podciągnąć skarpetki.

– Tak sobie myślałam, skąd wiesz, które to życie – szepnęła ze spuszczoną głową.

Zdałam sobie sprawę, że stoję, odwróciłam się od Tilly, żeby zmarszczyć brwi.

– Zrozumiesz, jak będziesz większa – powiedziałam.

Tilly podniosła wzrok znad skarpetek.

– Twoje urodziny są tylko o miesiąc wcześniej niż moje.

– Tak czy siak, Bóg dobrze wie, w jakim życiu się żyje. – Odeszłam od pytań. – Więc to naprawdę nie ma znaczenia, co kto sobie myśli.

– Gdzie zaczniemy szukać Boga? – Tilly nadal podciągała skarpetki, żeby były na równej wysokości.

– U państwa Forbesów. – Idąc, dotykałam ręką żywopłotu. – Kiedy śpiewamy hymny, oni nie muszą patrzeć na słowa.

– Ale nie znajdziemy pani Creasy, jeśli pojechała do Tamworth, nawet jak znajdziemy Boga! – krzyknęła Tilly.

Zaczął iść za nami kot. Szedł po płocie, znacząc swoją drogę ostrożnie stawianymi łapami. Patrzyłam, jak wyciąga się do

kolejnej sztachety i przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Potem zeskoczył na chodnik, wcisnął się w żywopłot i zniknął.

– Czy to był kot z sąsiedztwa?

Ale Tilly była za daleko. Odwróciłam się i czekałam, aż mnie dogoni.

– Nie pojechała do Tamworth – powiedziałam. – Ona nadal tu jest.

Ulica
numer 6

3 lipca 1976

No to zaczynaj. – Tilly trąciła mnie skrajem sweterka.

Patrzyłam na dzwonek u drzwi.

– Przygotowuję się – powiedziałam.

Dom państwa Forbesów był jednym z tych domów, które wyglądają, jakby w środku nigdy nikogo nie było. Wszystkie inne domy na ulicy osłupiały z upału. Palce chwastów wyciągały się na ścieżki w ogródku, szyby były przyćmione warstwą kurzu, a długie wieczory leżały porzucone na trawnikach, jakby zapomniano o wszystkim, co należało zrobić. Dom Forbesów nadal był zadowolony z siebie i stanowczy, jakby dawał przykład wszystkim innym bardziej niechlujnym domom.

– Może nikogo nie ma – zawahałam się. – Może spróbujemy jutro.

Przejechałam palcem u nogi po skraju schodka przed drzwiami. Był wymieciony na gładko.

– Na pewno są w domu. – Tilly przycisnęła twarz do kawałka barwionego szkła w drzwiach. – Słyszę telewizję.

Przyłożyłam twarz obok jej twarzy.

– Pewnie oglądają film – powiedziałam. – Może powinniśmy przyjść później.

– Nie sądzisz, że jesteśmy to winne pani Creasy, żeby jak najprędzej nacisnąć dzwonek? – Tilly odwróciła się do mnie i zrobiła najpoważniejszą ze swoich min. – I Bogu?

Słońce odbijało się od białego jak brylant żwiru państwa Forbesów, zmrużyłam oczy przed blaskiem.

– Tilly, jako zastępowa postanowiłam wyznaczyć ciebie do naciśnięcia dzwonka. Ja przygotuję mowę.

Popatrzyła na mnie spod zydwestki.

– Gracie, ale my właściwie nie jesteśmy w zuchach.

Uśmiechnęłam się lekko.

– To ważne, żeby wejść w rolę.

Tilly nachmurzyła się i popatrzyła na drzwi.

– Może masz rację. Może nikogo nie ma w domu.

– Ktoś bardzo jest w domu.

Pani Forbes pojawiła się na dróżce z boku domu. Ubrana była w rzeczy, które moja matka trzyma na wizyty lekarskie, pod pachą niosła wielką rolkę toreb na śmieci. Oderwała jedną i wystraszone stadko gołębi sfrunęło z dachu.

Zapytała, czego chcemy. Tilly patrzyła na żwir, a ja założyłam ręce, stanęłam na jednej nodze i starałam się zająć jak najmniej miejsca na schodku przed drzwiami.

– Jesteśmy z zuchów – powiedziałam, gdy tylko sobie przypomniałam.

– Jesteśmy zuchnami. Jesteśmy tutaj, żeby pomagać – dodała Tilly, chociaż udało się jej powstrzymać przed śpiewaniem.

– Nie wyglądacie jak skautki. – Pani Forbes zmrużyła oczy.

– Włożyliśmy codzienne ubrania. – Też zmrużyłam oczy.

Wyjaśniłam, że potrzebujemy sąsiedzkiej pomocy, a pani Forbes przyznała, że istotnie jest sąsiadką i zaproponowała, żebyśmy weszły, bo taki upał. Tilly w podnieceniu machała rękami zza blezera pani Forbes, a ja odpowiadałam jej machaniem, żeby ją uspokoić.

Poszliśmy krok w krok za panią Forbes wzdłuż domu. Jej obcasy stuknęły elegancko o ścieżkę, nasze sandały mlaskały i sprzeczały się nieudolnie, próbując dotrzymać jej kroku. Po chwili odwróciła się, a ja i Tilly, nadal wymachując rękami, o mało na nią nie wpadłyśmy.

– Grace, czy twoja matka wie, gdzie jesteś? – zapytała.

Uniosła ręce do góry, jakby kierowała ruchem.

– Tak, proszę pani – odparłam.

Opuściła ręce i znów zaczęła stukać obcasami.

Zastanawiałam się, czy pani Forbes wie, że powiedzieć coś mojej matce i że moja matka o czymś wie, to zazwyczaj dwie zupełnie różne sprawy, że palce mojej matki często szybowwały ku gardłu i stanowczo zaprzeczała, żeby coś takiego jej mówiono – nawet kiedy mój ojciec przedstawiał jej świadka (mnie) i dosłowny, słowo w słowo, opis całej rozmowy.

– Nie zapytała o moją mamę – wyszeptała Tilly.

Matkę Tilly uważano zazwyczaj za zbyt nieprzewidywalną, żeby się o nią dopytywać.

Wyprostowałam plecy jej sweterka.

– Jest w porządku. Pytanie o moją mamę wystarczy na nas dwie. Zawsze możesz moją pożyczyć.

Tilly uśmiechnęła się i wzięła mnie pod rękę.

Czasem wydaje mi się, że była tutaj zawsze.

Dywan pani Forbes miał kolor syropu na kaszel. Rozciągał się przez przedpokój i sięgał do salonu, a kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, że wspina się na schody. Nadal były na nim linie, gdzie przejechał odkurzacz, a kiedy weszliśmy do salonu, był w nim dodatkowy kwadrat syropu, tylko na wypadek, gdyby miało się odkryć, że nie starczało go na cały dom.

Pani Forbes zapytała, czy nie chciałybyśmy napoju owocowego, a ja powiedziałam, że tak i że nie odmówiłabym kremówki, a ona ułożyła usta w taki kształt, jakby mówiła: och, i zostawiła nas na ciemnoróżowej kanapie z kręconymi oparciami i własnym zestawem dołączków. Postanowiłam balansować na samym skraju. Tilly usiadła pierwsza. Siedzenia były takie głębokie, że nie sięgała nogami podłogi i wyciągnęła je przed siebie jak lalka.

Przetoczyła się przez siedzenie i zajrzała do przerwy między kanapą a ścianą.

– Już Go zobaczyłaś? – zapytała prawie z dywanu.

– Kogo?

Przetoczyła się z powrotem, twarz miała purpurową z wysiłku.

– Boga.

– Tilly, nie wydaje mi się, żeby On po prostu wyskoczył spod listwy podłogowej.

Na wszelki wypadek obie popatrzyłyśmy na listwę podłogową.

– Może powinniśmy już zacząć? – zapytała. – Pani Creasy może być w niebezpieczeństwie.

Patrzyłam na pokój. Wyglądał, jakby ktoś wniósł go do domu w rożku na lody. Nawet rzeczy, które nie były różowe, miały w sobie coś z różowości, jakby nie wpuszczono ich za drzwi, zanim na poważnie się nie zobowiązały. Sploty łososiowego sznura przytrzymały rozciągnięte zasłony, przy wszystkich poduszkach frędzle w kolorze fuksji, a pieski doniczki strzegące półki nad kominkiem miały wokół szyi girlandy z pączków róży. Między psimi doniczkami stał rząd zdjęć: pan i pani Forbesowie na leżakach na plaży, pan Forbes stojący obok samochodu i państwo Forbesowie z jakimiś ludźmi na pikniku. W samym środku była dziewczyna z włosami ułożonymi w fale. Wszyscy ludzie na innych zdjęciach z poważnymi minami odwracali wzrok od kamery, ale dziewczyna patrzyła prosto w obiektyw i uśmiechała się, i to było takie szczere i bezbronne, że aż chciałam odpowiedzieć jej uśmiechem.

– Ciekawe, kto to jest – powiedziałam.

Ale Tilly sprawdzała przestrzeń za leżanką.

– Myślisz, że On jest tutaj gdzieś na dole? – Podniosła poduszkę i obejrzała ją od tyłu.

Podniosłam wzrok na leżki w kolorze szampana, zwisające z kinkietów.

– To jest chyba trochę za różowe, nawet dla Jezusa – stwierdziłam.

Pani Forbes wróciła z tacą i pudełkiem herbatników.

– Obawiam się, że nie mam kremówek – powiedziała.

Wzięłam trzy herbatniki z figami i jeden z porzeczkami.

– Może być, proszę pani. Mogę się tym obejść.

Z pokoju obok dobiegł mnie hałas telewizora i głos pana Forbesa wykrzykującego do niego instrukcje. Brzmiało to jak mecz piłkarski. Chociaż dźwięki dochodziły zza ściany, wydawało się, że są bardzo odległe i że reszta świata gra swoją grę oddzielona różową izolacją, a my jesteśmy poza tym, opakowane w różową, sztuczną tapicerkę, chronione przez porcelanowe pieski i owinięte jak celofanem truskawkową mrożoną ciszą.

– Proszę pani, pani ma bardzo ładny dom – powiedziała Tilly.

– Dziękuję, kochana.

Wgryzłam się w herbatnik z porzeczkami, a pani Forbes pospiesznie położyła mi na kolanach papierową serwetkę.

– Kluczem do schludności w domu jest przewidywanie. I listy. Mnóstwo list.

– Listy? – zapytałam.

– O tak, listy. Dzięki temu o niczym się nie zapomni.

Wyjęła kawałek papieru z kieszeni blezera.

– To jest lista na dzisiaj – powiedziała. – Muszę coś zrobić z kosztami na śmieci.

Lista była długa. Ciągnęła się na dwie kartki pętlami niebieskiego atramentu, który grubiał i rozmazywał się tam, gdzie pióro przestawało myśleć. Poza odkurzaniem korytarza i opróżnieniem koszy na śmieci na liście były wpisy takie jak „umyć zęby” i „zjeść śniadanie”.

– Proszę pani, czy pani wszystko wpisuje na listę? – Napoczęłam pierwsze ciasteczko z figami.

– O tak, lepiej nie zdawać się na przypadek. To był pomysł Harolda. Powiedział, że przestanę niedbale się zachowywać.

– Nie pamięta pani spraw, jak ich pani nie zapisze na liście? – zapytała Tilly.

– Nie. – Pani Forbes skuliła się na fotelu i wtopiła w różowy krajobraz. – W ogóle nie dałabym sobie rady. Harold mówi, że strasznie bym wszystko poplątała.

Złożyła kartkę dokładnie na pół i włożyła z powrotem do kieszeni.

– Więc od dawna jesteście w zuchach?

– Całe wieki – powiedziałam. – Kto to jest ta dziewczyna na zdjęciu?

Nachmurzyła się, potem spojrzała na kominek i znów się nachmurzyła.

– Och, to ja – powiedziała zaskoczonym głosem, jakby zapomniała o sobie.

Przyjrzałam się dokładnie pani Forbes i dziewczynie na zdjęciu, próbowałam znaleźć coś, co by pasowało. Niczego takiego nie było.

– Nie bądź taka zdumiona – powiedziała pani Forbes. – Wiesz, nie urodziłam się stara.

Moja matka często tak mówiła. Doświadczenie nauczyło mnie, żeby nie odpowiadać nawet słowem. Napiłam się soku, by uniknąć sytuacji, w której musiałabym to jakoś skomentować.

Pani Forbes podeszła do półki nad kominkiem. Zawsze wydawała mi się masywna i zادیorna, ale z bliska to się rozłaziło. Jej postawa była cokolwiek przepraszająca, fałdki ubrania mówiły, że coś już się kończy. Nawet ręce wyglądały na małe, rażone artretyzmem i pocętkowane przez czas.

Przejechała palcem po ramce zdjęcia.

– To było tuż przed moim spotkaniem z Haroldem – powiedziała.

– Wygląda pani na bardzo szczęśliwą. – Wzięłam kolejne ciastko z figą. – Ciekawe, o czym pani myślała.

– Widać że jestem zamyślona, prawda? – Pani Forbes wyjęła ścierkę z za paska i zaczęła odkurzać samą siebie. – Żałuję, że nie pamiętam.

Za ścianą mecz piłkarski dość nagle się skończył. Rozległo się trzeszczenie i gderanie, stuknęły drzwi, a potem odgłos kroków po syropowym dywanie. Kiedy się odwróciłam, w drzwiach stał pan Forbes, patrzył na nas. Ubrany był w szorty. Nogi miał blade i nieowłosione, wyglądały, jakby pożyczył je od kogoś innego.

– No, co tu się wyprawia? – zapytał.

Pani Forbes odstawiła siebie na półkę nad kominkiem.

– Grace i Tilly są zuchami. – Oczy miała tak błyszczące, jakby zrobione z emalii. – Są tutaj, żeby po... – Słowo jej umknęło.

Zmarszczył czoło, nachmurzył się, oparł ręce o biodra.

– Pożyczyć książkę? Pieniądze? Szklanekę cukru?

Pani Forbes była jak zahipnotyzowana, owijała ściereczkę wokół palców, aż pokryły się białymi cętkami.

– Żeby po... – powtórzyła.

Pan Forbes nadal się gapił. Słyszałam, jak sztuczna szczęka stuka mu o podniebienie.

– Pomóc – powiedziała Tilly.

Na to on: „chyba że naprawdę o to chodzi” i „czy Sylve wie, że ona tutaj jest”, a pani Forbes przytakiwała tak żywiołowo, że krzyżyk na jej szyi tańczył nad obojczykami.

– Mam zamiar wysłać list – oznajmił pan Forbes. – Gdybyśmy czekali, aż ty to zrobisz, minąłby drugi termin wyjmowania listów ze skrzynki. Muszę tylko dowiedzieć się, gdzie schowałaś moje buty.

Pani Forbes znów kiwnęła głową, a krzyżyk kiwnął wraz z nią, chociaż pana Forbesa dawno już nie było w drzwiach.

– Moi nauczyciele ciągle robią mi to samo – powiedziała Tilly.

– Co takiego robią, kochana?

– Rzucają we mnie słowami, aż się gubię. – Tilly zebrała okruszki herbatników z porzeczkami z dywanu i położyła je na talerzu. – Zawsze wtedy czuję się głupio.

– Głupio? – zapytała pani Forbes.

– Ale nie jestem głupia. – Tilly uśmiechnęła się.

Pani Forbes odpowiedziała uśmiechem.

– Tilly, lubisz szkołę? – zapytała.

– Właściwie nie. Mnóstwo dziewczyn wcale nas nie lubi. Czasem się nad nami znęcają.

– Biją cię? – Dłoń pani Forbes podniosła się do ust.

– Och nie, proszę pani, nie biją nas.

– Nie zawsze trzeba bić, żeby znęcać się nad ludźmi – powiedziałam.

Pani Forbes sięgnęła po najbliższe krzesło i usiadła na nim.

– Uważam, że masz rację – odparła.

Już miałam się odezwać, kiedy pan Forbes wrócił do pokoju. Nadal miał na sobie szorty, ale dodał do nich kaszkiet i okulary słoneczne. Niósł list. Przypominał mi mojego ojca. Kiedy robiło się gorąco, zamieniał spodnie na szorty, ale wszystko inne zostawało tak samo.

Pan Forbes położył list na kredensie i usiadł na kanapie tak mocno, że wstrząs mało nie wyrzucił Tilly w powietrze. Zaczął sznurować buty, ciągnął za sznurowadła, aż małe kawałki nici zawisły w powietrzu nad jego palcami. Wstałam, żeby dać jego nogom więcej prywatności.

– Więc zacznij od tego, żeby wykreślić to ze swojej listy, Dorothy – powiedział. – Chociaż jest mnóstwo innych spraw do załatwienia.

Popatrzył na mnie.

– Długo tu będziesz? – zapytał.

– Nie, proszę pana. Wcale niedługo. Pójdziemy, jak tylko pomożemy.

Znów popatrzył na swoje stopy i chrząknął. Nie wiedziałam, czy był zadowolony ze mnie, czy z tego, że ciasno zawiązał sznurowadła.

– Widzisz, ją łatwo rozproszyć. – Skinął daszkiem czapki w stronę pani Forbes. – To wiek. Prawda, Dorothy? – Zakręcił palcem przy swojej skroni.

Pani Forbes uśmiechnęła się, ale tak na pół gwizdka.

– Nie jest w stanie utrzymać myśli w głowie dłużej niż na pięć minut. – Mówił zza trzymanej przed ustami dłoni, niby szeptem, ale głos nie był stłumiony. – Obawiam się, że zaczyna świrować.

Wstał, a potem teatralnie się pochylił, żeby poprawić skarpetki. Tilly odsunęła się dla bezpieczeństwa w najdalszy kąt kanapy.

– Wychodzę do skrzynki pocztowej. – Poszedł w stronę korytarza. – Będę za pół godziny. Postarajcie się nie narozrabiać, kiedy mnie nie będzie.

Zniknął za drzwiami, zanim to do mnie dotarło.

– Proszę pana! – Musiałam krzyknąć, żeby usłyszał.

Znów się pojawił. Nie wyglądał na człowieka, który przywykł do tego, żeby na niego krzyczano.

Wręczyłam mu kopertę.

– Zapomniał pan listu.

Pani Forbes poczekała, aż trzasną zamykane drzwi, i zaczęła się śmiać. Jej śmiech sprawił, że ja i Tilly też się roześmiałyśmy i reszta świata znów wpełzła do pokoju, jakby nie było do niego tak daleko, jak mi się wydawało.

Kiedy się śmiałyśmy, popatrzyłam na panią Forbes i na dziewczynę z półki nad kominkiem. Śmiała się razem z nami przez korytarz czasu i zdałam sobie sprawę, że doskonale do siebie pasują.

– Nie wiedziałam, że naprawdę będziemy musiały robić prawdziwe porządki w domu – powiedziała Tilly.

Pani Forbes zostawiła nas w fartuchach, które sięgały nam po pachy. Tilly stała po drugiej stronie pokoju i nacierała pastą do polerowania śpiącego białego teriera.

– To ważne, żebyśmy nie wzbudziły podejrzeń – wzięłam ostatniego herbatnika z porzeczkami na kanapę.

– Ale myślisz, że tutaj jest Bóg? – Tilly popatrzyła na psa i przetarła mu uszy ściereczką. – Jeśli Bóg dba o bezpieczeństwo nas wszystkich, to myślisz, że dba także o bezpieczeństwo pani Forbes?

Pomyślałam o krzyżyku na szyi pani Forbes.

– Mam nadzieję – odparłam.

Pani Forbes wróciła do pokoju z nową paczką herbatników z porzeczkami.

– Na co masz nadzieję, kochana?

Patrzyłam, jak wysypuje herbatniki na talerz.

– Proszę pani, czy pani wierzy w Boga? – zapytałam.

– Oczywiście.

Nie wahała się. Nie patrzyła w niebo ani na mnie, ani nawet nie powtórzyła pytania. Tylko dalej układała herbatniki.

– Skąd pani ma pewność? – zapytała Tilly.

– Bo w Boga się wierzy. Bóg łączy ludzi. Nadaje wszystkiemu sens.

– Nawet złym rzeczom? – zapytałam.

– Oczywiście. – Przez chwilę na mnie patrzyła, potem odwróciła się do talerza.

Za plecami pani Forbes widziałam Tilly. Teraz polerowała powoli i z namysłem, wzrokiem zachęcała mnie do rozmowy.

– Jak Bóg mógł nadać sens zniknięciu pani Creasy? – zapytałam. – Na przykład.

Pani Forbes odsunęła się o krok i mgiełka okruszków spadła na dywan

– Nie mam pojęcia. – Składała puste opakowanie, chociaż już nie dawało się go zmniejszyć. – Nigdy nawet nie rozmawiałam z tą kobietą.

– Spotkała ją pani? – zapytałam.

– Nie. – Pani Forbes owijała opakowanie wokół serdecznego palca. – Sprowadzili się do domu dość dawno temu, po śmierci matki Johna. Nie miałam okazji.

– Tak tylko się zastanawiam, dlaczego zniknęła? – Skierowałam to zdanie pod jej adresem jak wyzwanie.

– Hm, ja nie mam z tym nic wspólnego, nie powiedziałam ani słowa. – Zaczęła mówić najeżonym, rozgorączkowanym tonem, a to zdanie wypadło z jej ust, jakby chciało uciec.

– Co to znaczy, proszę pani? – Popatrzyłam na Tilly, a Tilly popatrzyła na mnie. Obie się nachmurzyłyśmy.

Pani Forbes opadła na kanapę.

– Dajcie mi spokój, mam mętlik w głowie. – Poklepała się po karku, jakby sprawdzała, czy jej głowa nadal solidnie na nim siedzi. – To mój wiek.

– My po prostu nie rozumiemy, dokąd odeszła.

Pani Forbes wygładziła frędzle na jednej z poduszek.

– Jestem pewna, że wróci, kiedy przyjdzie czas – powiedziała.

– Z ludźmi już tak jest.

– Mam nadzieję, że wróci. – Tilly odwiązała fartuch spod ramion. – Lubiałam panią Creasy. Była miła.

– Na pewno tak. – Pani Forbes manipulowała przy poduszce. – Ale nigdy nie miałam do czynienia z tą kobietą, więc trudno mi powiedzieć.

Przesuwałam herbatniki z porzeczkami po talerzu.

– Może ktoś inny na ulicy wiedziałby, dokąd się wybrała.

Pani Forbes wstała.

– Bardzo wątpię – rzekła. – Przyczyna zniknięcia Margaret Creasy nie ma nic wspólnego z żadnym z nas. Nieodgadnione są ścieżki Boga. Harold miał rację. Wszystko ma swoją przyczynę.

Chciałam ją zapytać, jaka była ta przyczyna i dlaczego ścieżki Boga są takie nieodgadnione, ale pani Forbes wyjęła z kieszeni listę.

– Wkrótce wróci Harold, lepiej wezmę się do roboty – stwierdziła. Zaczęła sunąć palcem po liniijkach niebieskiego atramentu.

Wracałyśmy ulicą. Przyciskał nas ciężar nieba, kiedy w upale ciągnęłyśmy nogi. Patrzyłam na wzgórza górujące nad miasteczkiem, ale nie było widać, gdzie się zaczynają, a gdzie kończy się niebo. Lato zespawało je, a horyzont pobłyskiwał, syczał i nie można go było znaleźć.

Gdzieś zza ogródków wypływała z okna relacja z Wimbledonu.

„Przewaga, Borg”. I odległy trzepot oklasków.

Ulica była pusta. Prażące popołudniowe słońce zagnało wszystkich do domów, gdzie wachlowali się gazetami i wcierali krem przeciwsłoneczny w przedramiona. Została tylko Sheila Dakin. Siedziała na leżaku, na trawniku przed numerem dwunastym, ramiona i nogi szeroko rozłożyła, twarz wystawiła na upał, jakby ktoś przybił ją do pali w charakterze wielkiej, mahoniowej ofiary.

– Dzień dobry pani! – krzyknęłam przez asfalt.

Sheila Dakin uniosła głowę, zobaczyłam ślad śliny lśniącej w kąciku jej ust.

Pomachała.

– Cześć, damulki.

Zawsze nazywała nas damulkami. Tilly zaczerwieniała się, a ja się uśmiechnęłam.

– Więc Bóg jest w domu pani Forbes – powiedziała Tilly, kiedy przestałyśmy się uśmiechać.

– Myślę, że tak. – Ściągnęłam zydwestkę Tilly do tyłu, żeby ochronić jej kark. – Możemy być pewne, że pani Forbes jest

bezpieczna, chociaż nie jestem taka pewna, jeśli chodzi o jej męża.

– Szkoda, że nie spotkałyśmy się nigdy z panią Creasy, mogłaby nam dać jakieś wskazówki. – Tilly kopnęła luźno leżący zwirek, poleciał w żywopłot.

Zatrzymałam się tak nagle, że moje sandały wzniosły kurz na chodniku.

Tilly obejrzała się.

– Co jest, Gracie?

– Piknik.

– Jaki piknik?

– Zdjęcie z pikniku na półce nad kominkiem.

Tilly ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem.

Wpatrywałam się w chodnik, próbowałam sobie przypomnieć.

– Ta kobieta – powiedziałam. – Ta kobieta.

– Jaka kobieta?

– Kobieta, która podczas pikniku siedziała obok pani Forbes.

– Co z nią takiego?

Podniosłam wzrok i spojrzałam Tilly w oczy.

– To była Margaret Creasy.

Ulica
numer 2

4 lipca 1976

Brian śpiewał do lustra w korytarzu, próbując znaleźć przedziałek we włosach. To było trochę trudne, bo jego matka uparła się, żeby kupić lustro w gwiazdki i było na nim więcej gwiazdek niż szkła, ale kiedy lekko ugiął kolana i przechylił głowę w prawo, mógł zmieścić prawie całą twarz.

Matka mówiła mu, że włosy są jego największym atutem. Teraz, kiedy dziewczyny lubiły u mężczyzn nieco dłuższe, nie był już tego pewny. Jego sięgały najwyżej do podbródka, a dalej nie miały ochoty rosnąć.

– Brian!

Może gdyby założył je za uszy...

– Brian!

Jej krzyk pociągnął go jak smycz. Wsunął głowę w drzwi salonu.

– Tak, mamo?

– Podaj nam tamto pudełko czekoladek, dobrze? Te stopy bołą mnie cały czas.

Matka leżała na kanapie w morzu szydełkowanych robótek, z nogami podniesionymi do góry, przez rajstopy pocierała haluksy.

– Cholernie gorąco. – Twarz miała ściągniętą i pomarszczoną, policzki wydęte skupieniem.

– Tutaj! Tutaj! – Przestała się pocierać i pokazała podnózek, który pod nieobecność jej stóp stał się siedziskiem dla „TV Timesa”, pantofli i rozsypanej torebki miętówek. Wzięła od niego czekoladki i zapatrzyła się w pudełko z takim skupieniem, jak ktoś, kto próbuje odpowiedzieć na szczególnie trudne pytanie egzaminacyjne.

Wepchnęła do ust czekoladkę z kremem pomarańczowym i ściągnęła brwi, patrząc na jego skórzaną marynarkę.

– Wychodzisz, co?

– Idę na piwo z chłopakami.

– Z chłopakami? – Wzięła czekoladkę z tureckim nadzieniem.

– Tak, mam.

– Brian, masz czterdzieści trzy lata.

Już miał przejechać palcami po włosach, ale przypomniał sobie o brylantynie i powstrzymał się.

– Chcesz, żeby Val cię podstrzygła, jak tu wpadnie?

– Nie, dziękuję, zapuszczam włosy. Dziewczyny lubią, jak są dłuższe.

– Dziewczyny? – roześmiała się, a kawałeczki czekolady zadrgały na jej zębach. – Brian, masz czterdzieści trzy lata.

Zmienił pozycję, skórzana marynarka zatrzeszczała na ramionach. Kupił ją na targu. Pewnie nawet nie była z prawdziwej skóry, tylko z plastiku, udawała skórę, a jedyną osobą, która dawała się nabrać, był dureń, który ją nosił. Pociągnął za kołnierzyk, zatrzeszczał mu w palcach.

Przełyk jego matki uniósł się i opadł nad czekoladką z tureckim nadzieniem, patrzył jak dłubie językiem przy tylnych zębach, żeby się upewnić, że na pewno dostała to, na co wydała pieniądze.

– Zanim pójdziesz, opróżnij popielniczkę. Grzeczny z ciebie chłopiec.

Podniósł popielniczkę, trzymał ją na odległość wyciągniętego ramienia, jak jakąś niewiadomego pochodzenia rzeźbę, cmentarz papierosów, każdy datowany szminką innego koloru. Kiedy niósł popielniczkę przez pokój, patrzył, jak niedopałki na jej brzegu chwieją się i przechylają.

– Nie do kominka! Wyrzuć do kosza za drzwiami. – Przesyłała instrukcje przez baryłkę z limonką. – Pokój prześmierdnie, jak to tutaj zostawisz.

Kłęb dymu wyleciał gdzieś z głębi góry petów. Z początku pomyślał, że mu się zdawało, ale potem zapach dotarł mu do nosa.

– Musisz być ostrożna. – Skinął głową w stronę popielniczki. – Od tego zaczynają się pożary.

Popatrzyła na niego i znów spojrzała na pudełko czekoladek. Żadne się nie odezwało.

Poszperał i znalazł w popiele żarzący się niedopałek. Przydusił go, aż żar zamigotał, a warkocz dymu urwał się i rozwiął.

– Teraz zgaszony – powiedział.

Ale jego matkę pochłaniały czekoladki, haluksy i pomarańczowe kremówki oraz „film, który właśnie zaczyna się

na BBC2”. Wiedział, że gdy wróci z Legionu, będzie tak samo. Wiedział, że naciągnie koc na nogi, zmasakrowane pudełko czekoladek zostawi na dywanie, telewizor w rogu będzie rozmawiał sam ze sobą. Matka nie zaryzykuje wyjścia poza granice swojej szydełkowanej egzystencji. Świątek w świecie, życie, które wydziergała przez ostatnich parę lat, coraz mniejsze i ciaśniejsze, z każdym mijającym miesiącem.

Na ulicy było cicho. Zdjął wieko pojemnika na śmieci i wrzucił do środka niedopałki, w twarz poleciała mu chmura popiołu. Kiedy kończył kaszleć, machać rękami i chwytać powietrze, podniósł wzrok i zobaczył Sylwię w ogródku pod numerem czwartym. Nie było z nią Dereka ani Grace. Była sama. Rzadko widywał ją samą, ośmielił się popatrzeć przez chwilę. Nie podniosła wzroku. Wyrywała chwasty, wrzucała je do wiadra i otrzepywała ziemię z rąk. Co jakiś czas prostowała się, łapała oddech i ocierała czoło grzbietem dłoni. Nie zmieniła się. Chciał jej to powiedzieć, ale wiedział, że będzie z tego jeszcze więcej problemów.

Poczuł pot za kołnierzykiem. Nie wiedział, jak długo się przygląda, ale ona podniosła wzrok i zobaczyła go. Uniosła rękę, żeby mu pomachać, ale w tej samej chwili odwrócił się i wszedł z powrotem do domu.

Postawił popielniczkę na podnóżku.

– Wróc na pewno przed dziesiątą – powiedziała matka. – Będę musiała nałożyć maść.

Brytyjski Legion

4 lipca 1976

Legion był pusty, nie licząc dwóch starych mężczyzn w rogu. Za każdym razem, kiedy Brian ich widział, siedzieli na tym samym miejscu, ubrani w te same rzeczy, i rozmawiali o tym samym. Kiedy mówili, patrzyli na siebie, ale były to dwie osobne rozmowy, każdy z nich zwracał uwagę tylko na własne słowa. Oczy Briana przyzwyczajały się do mrocznego wnętrza. W środku było chłodniej i ciemniej. Lato przesiąkało przez pokryte obiciami ściany i wypolerowane drewno. Połykała je chłodna płyta stołu bilardowego, wpadało w materiał dywanu, zużywało się w zapamiętałych rozmowach. W Legionie nie było pór roku. Mógłoby to być środek zimy, gdyby nie pot na koszuli Briana i zmęczenie nóg.

Clive siedział na stołku przy barze, karmił chrupkami czarnego teriera. Pies przebierał łapami i powarkiwał, kiedy uznał że zbyt wiele czasu minęło między kęsami.

– Jasne? – zapytał, a Brian skinął głową.

Zszedł ze stołka.

– Jeszcze jedno ciepłe – rzucił, a Brian znów skinął głową.

Brian podał pieniądze. Było za dużo monet. Podniósł kufel i trochę piwa wylało się na blat.

– Nadal szukasz pracy? – Clive wziął szmatkę i wytarł nią drewno. Brian mruknął coś do piwa i odwrócił wzrok.

– No, chłopie. Jak mi jeszcze obetną godziny, będę musiał wrócić do gry. – Odwrócił dłoń i przyjrzał się paznokciom.

Brian przypatrywał mu się znad piwa.

– To dowcip, do cholery! – Clive roześmiał się, a Brian próbował śmiać się razem z nim, ale nie bardzo rozumiał z czego.

Pił drugie piwo, kiedy przyszli. Pierwszy wszedł Harold, w szortach, rozkrzyczany.

– Wieczór dobry – zawołał, chociaż bar nadal był pusty. Mężczyźni w kącie kiwnęli głowami i odwrócili wzrok.

– Clive! – Harold powitał go tak, jakby Clive był ostatnia osobą, którą spodziewał się zobaczyć. Podali sobie dłonie, a drugimi dłońmi nakryli uścisk, aż zrobił się stos podawanych dłoni i zamieszanie.

Brian przyglądał się im.

– Podwójny diamond? – Harold kiwnął głową na szklanek Briana.

Brian oświadczył, że nie, kupuje swoje, dziękuję, a Harold na to, jak sobie chcesz, odwrócił się do Clive'a i uśmiechnął, jakby prowadzili zupełnie odrębną rozmowę, której Brian nie słyszał. W trakcie tej niesłyszalnej rozmowy przybył Eric Lamb z Sheilą Dakin i Clive musiał zniknąć na zapleczu, żeby znaleźć sherry do gruszecznika Sheili.

Brian poszedł za nimi do stołu, a wtedy okazało się, że utknął w pułapce między automatem z papierosami a tajemnicą biustu Sheili Dakin.

Zmarszczyła na niego nos.

– Znowu zacząłeś palić, Brianie? Śmierdzisz jak stara popielniczka.

– To moja mama – odparł.

– Powinienieś też przystrzyc sobie włosy. Są strasznie skołtunione. – I dołała sherry do gruszecznika.

Gdzieś grało radio, Brian słyszał niewyraźną muzykę, ale wiedział, co idzie. Driftersi, a może Plattersi. Chciał poprosić Clive'a, żeby pogłośnił, ale Clive od kilku minut wycierał ścierką do naczyń tę samą szklankę i próbował przysłuchiwać się ich rozmowie. Brian stracił ochotę na to, żeby go o coś poprosić.

– Spokój, spokój. – Harold postukał w stół podkładką pod piwo, chociaż nikt się nie odzywał. – Zwołałem to zebranie w związku z ostatnimi wydarzeniami.

Brian zakręcił szklanką, żeby spłynęła piana, która osadziła się na brzegach.

– Ostatnie wydarzenia? – Sheila kręciła kolczykiem. Był ciężki, zrobiony z brązu i Brian pomyślał, że coś takiego można znaleźć na słupie totemicznym. Kolczyk rozciągał małżowinę i rozszarpywał dziurkę w uchu.

– Ta sprawa z Margaret Creasy. – Harold nadal trzymał w palcach podkładkę pod piwo. – John miał to z tyłu głowy, to coś jest związane z numerem jedenastym. Wpadł we wściekłość po nabożeństwie w ostatni weekend.

– Naprawdę? – zdziwiła się Sheila. – Nie było mnie przy tym.
Harold spojrział na nią.

– Nie było cię – odparł. – Nie spodziewałem się, że będziesz.

– Bezczelny drań. – Zaczęła kręcić drugim kolczykiem. Jej śmiech ogarnął cały stół.

Harold nachylił się do przodu, chociaż nie było miejsca, żeby się nachylić.

– Po prostu wszyscy musimy być czyści w tamtej sprawie.

Muzyka umilkła. Brian słyszał ściereczkę Clive'a piszczącą o szkło i pomruk słów wymienianych przez starych.

– Clive, może usiądziesz, zamiast tam stać. – Eric Lamb wskazał szklanką pusty stołek. – Jesteś w to zamieszany tak jak my wszyscy.

Clive zrobił krok do tyłu i przyłożył ścierkę do piersi, jakby chciał powiedzieć, że naprawdę nie uważa, aby to było miejsce dla niego, ale Brian dostrzegł, jak Harold patrzy na niego przenikliwie, a Clive pociągnął stołek po linoleum i usiadł między Haroldem a Sheilą.

– Celowo nie zaprosiłem Johna. – Harold rozsiadł się i założył ręce. – Niepotrzebna nam jest kolejna scena.

– Dlaczego on uważa, że to ma coś wspólnego z numerem jedenastym? – Sheila wypła gruszczyk i obracała nóżką kieliszka między palcami. Kieliszek powoli zbliżał się do skraju stołu.

– Znasz Johna. Zawsze szuka czegoś, żeby się martwić – stwierdził Harold. – Nie potrafi spokojnie pomyśleć.

Brian zgodził się, chociaż nigdy by tego nie przyznał. Kiedy byli dziećmi, John miał zwyczaj liczyć autobusy. Uważał, że przynoszą szczęście.

„Im więcej autobusów zobaczymy, tym lepiej”, mówił, „dzięki temu nie zdarzają się nieszczęścia”. Spóźniali się przez to do szkoły, szli określoną drogą, starali się zobaczyć jak najwięcej autobusów. Brian kpił: „spóźnimy się przez to, co to za szczęście” i śmiał się, ale John tylko obgryzał skórki przy paznokciach i mówił, że zobaczyli jeszcze za mało.

– John chyba nie myśli, że ten zboczeniec ją załatwił, prawda?
– zapytała Sheila. Kieliszek przechylił się i Eric odciągnął z powrotem jej rękę.

– Nie. Nic z tych rzeczy, nie. Nie. – Harold za często wypowiadał „nie”, słowo wychodziło mu z ust jak sznur chorągiewek. Opuścił wzrok na podstawkę do piwa.

– Nie byłabym zaskoczona, gdyby ją załatwił – oznajmiła Sheila. – Nadal myślę, że zabrał to dziecko.

Harold patrzył na nią przez chwilę.

– Ale dziecko wróciło całe i zdrowe. – Eric wyjął jej kieliszek z dłoni. – Tylko to się liczy.

– Cholerny zboczeniec. Nie interesuje mnie, co powiedziała policja. To normalna ulica, pełna normalnych ludzi. On tu nie pasuje – upierała się Sheila

Nad stołem zaległa cisza. Brian słyszał, jak guinness spływa w gardło Erica Lamba, ścierka do naczyń składa się i skręca w palcach Clive'a. Słyszał, jak kręci się kolczyk Sheili i jak podstawka do piwa Harolda stuka o drewno, słyszał, jak oddech

wylatuje z jego własnych ust. Cisza zmieniła się w swego rodzaju dźwięk. Wpychała mu się do uszu, aż nie mógł już tego znieść.

– Margaret Creasy dużo opowiadała mojej mamie – odezwał się. Przyłożył szklankę do ust. Była prawie pusta.

– O czym? – zapytał Harold. – O numerze jedenastym?

Brian wzruszył ramionami spoza szklanki.

– Nie siadywałem z nimi – odparł. – Całymi godzinami grały w remika. Mama mówiła, że dobrze się czuje w jej towarzystwie. Że ona jest dobrym słuchaczem.

– Haroldzie, ona często przychodziła do twojego domu. – Sheila z kliknięciem otworzyła portmonetkę i położyła banknot jednofuntowy przed Clivem.

– Tak? Nie widywałem jej.

– Pewnie dotrzymywała towarzystwa Dorothy, kiedy byłeś poza domem.

Brian chciał położyć stos monet na banknocie, ale Sheila odsunęła mu rękę.

– Dorothy widziała, jak Margaret Creasy idzie pod numer jedenasty – powiedział Harold. – Histeryzuje w tej sprawie tak samo jak John. Myśli, że ktoś coś powiedział.

Clive zebrał puste szkła, chwytając każde na palec.

– Co tu można powiedzieć? Policja stwierdziła, że pożar wybuchł przypadkiem.

– Znasz Dorothy – dodał Harold. – Każdemu coś powie, a przez pół życia nie wie, co mówi.

Szkło zagrzechotało, kiedy odchodzili od stołu.

– O ile policja nie zmieni zdania i nie znacznie znów drążyć. – Chociaż raz Sheila mówiła ściszym głosem. Nadal trzymała portmonetkę, a Brian patrzył, jak klika zatrzaskiem. Dłonie miała wyschnięte od upału, lakier schodził z krawędzi paznokci w poszarpanych liniach.

– Sheila, na litość boską, przecież właśnie o tym mówię. – W barze nie było nikogo innego, nawet starzy wyszli. Harold jednak rozejrzał się po sali z pustymi krzesłami, potem odwrócił się i podszedł bliżej stołu. – Przestań straszyć. Wtedy uzgodniliśmy, że pokażemy, co myślimy i tyle. Reszta to przypadek.

Brian odchylił się w tył na krześle. Czuł, jak krawędź automatu do papierosów wbija mu się w ramię.

– Ale ona rozmawiała ze wszystkimi, prawda? Przeszła całą ulicę. Nie wiadomo, co odkryła. Była inteligentna, ta pani Creasy. Naprawdę inteligentna.

Sheila włożyła portmonetkę z powrotem do torebki.

– Wolałabym tego nie mówić, ale Brian ma rację. Może wiedziała więcej niż my wszyscy.

– To był wypadek – powiedział Eric Lamb. Rozciągał słowa jak instrukcje.

Brian nie wiedział, co zrobić z rękami teraz, kiedy już nie miał szklanki. Wcisnął kciuk w kropelki piwa na stole, zrobił z ich linie, chciał narysować jakiś wzór. Na tym polegał problem z ludźmi, którzy znają się od dzieciństwa, nie dadzą spokoju, bo uważają, że człowiek musi wiedzieć, co ma myśleć.

– Musimy po prostu zachować spokój – stwierdził Harold. – Żadnych pogaduszek. Nie zrobiliśmy niczego złego, jasne?

Brian wzruszył ramionami, a kurtka zatrzeszczała i zaskrzypiała w odpowiedzi. Chyba jednak nie była ze skóry.

Wracali przez osiedle, Sheila wzięła Briana pod rękę, żeby utrzymać się w pionie, bo w jej butach cholernie trudno było chodzić. Brian uważał, że to nie buty stanowiły problem, ale i tak zaoferował jej ramię. Była prawie dziesiąta. Eric Lamb wyszedł pierwszy, Harolda zostawili w Legionie, żeby pomógł Clive'owi zamknąć pub. Brian pomyślał, że to najprzyjemniejsza część dnia. Upał zmalął, zmienił się w przygniatające milczenie, pojawił się nawet mdły wietrzyk, wbijał się w ciszę i torował sobie drogę wysoko wśród liści.

Kiedy dotarli do garaży na końcu ulicy, Sheila zatrzymała się, żeby naciągnąć pasek u buta. Zachwiała się, zakołysała i oparła o Briana, by zachować równowagę.

– Cholerne buty – powiedziała.

Patrzył na jezdnię. Światło uchodziło z nieba, wciskało się w horyzont, zabierało z sobą to, co znane i bezpieczne. O zmierzchu domy wyglądały inaczej, jakby były obnażone, odarte z przebrań. Stały twarzą w twarz, jak przeciwnicy, a na samym końcu, w oddali od innych, był numer jedenasty.

Nieruchomy i milczący. Czekał.

Sheila podniosła oczy i podążyła za jego wzrokiem.

– To nie ma sensu, prawda?. Dlaczego ktoś miałby zostać, skoro wie, że się go nie chce?

Brian wzruszył ramionami.

– Może myśli to samo o nas. Może czeka na przeprosiny.

Sheila roześmiała się. To był cienki, zły śmiech.

– Jeśli o mnie chodzi, będzie musiał cholernie długo czekać.

– Ale naprawdę myślisz, że to zrobił? Naprawdę uważasz, że zabrał dziecko?

Przyglądała mu się. Twarz jej twardniała stopniowo, aż w białkach oczu widać było tylko nienawiść.

– To ten typ, nie? Tylko na niego popatrz. Brian, nie jesteś taki głupi.

Poczuł, że się czerwieni. Cieszył się, że nie mogła tego zobaczyć.

– Walter Dziwak – mruknął.

– Właśnie. Nawet dzieci to widzą.

Spojrzał na światła w oknach Sheili.

– Kto jest u ciebie jest opiekunką? – zapytał.

Uśmiechnęła się.

– Nie potrzeba opiekunki. Nasza Lisa jest już duża. Rozgarnięta jak jej matka. Dobrze ją wyszkoliłam.

Znów popatrzył na numer jedenasty. Coraz słabiej go było widać, kontur dachu wchłaniała atramentowa czerń

– Chyba wszystkie dzieci powielają swoje mamy i swoich tatów? – zapytał.

Buty Sheili wlokły się po chodniku, wbijały się obcasami w beton.

– Właśnie – odparła. – I nie użalaj się nad Walterem Bishopem. Tacy ludzie nie zasługują na współczucie. Nie są tacy jak my.

Grzechot zasuwki rozległ się na pustej ulicy.

– Naprawdę myślisz, że policja znów zainteresuje się pożarem? Po tylu latach?

Odwróciła się w półmroku. Nie widział jej twarzy, tylko jej zarys. Drżący cień, przesuwany się na tle pociemniałych cegieł. Odpowiedziała szeptem, ale słowa dopełzły do niego przez ciszę.

– Miejmy nadzieję, że nie, do cholery.

Buty zgrzytnęły na schodkach, klucz obrócił się w zamku, a Brian patrzył, jak ostatnie promienie światła niktą z nieba.

Przeszedł przez ulicę w stronę domu, z rękami wepchniętymi w kieszenie marynarki. Najpierw pomyślał, że mu się wydaje, ale potem znowu to poczuł, jakaś tekturka ocierała mu się o kostki palców. Stał i ciągnął poprutą podszewkę, póki nie puściła.

Legitymacja z biblioteki.

Stał pod latarnią, nazwisko na legitymacji widać było w płynnym, pomarańczowym świetle.

Pani Margaret Creasy.

Zmarszczył brwi, zgiął tekturkę w pół i wpychał ją z powrotem pod podszewkę, póki nie zniknęła.

Brian stanął w drzwiach i spojrzał na salon. Ogromna jaskinia ust śpiącej matki odpowiedziała mu spojrzeniem; w porównaniu z nią, reszta twarzy wyglądała dziwnie banalnie. Pudełko z czekoladkami leżało wybebeszone na podpórce pod nogi, reszta ozdabiała dywan – druty do robótek, krzyżówki i strony z programem telewizyjnym wydarte z gazety.

– Mamo? – odezwał się. Nie na tyle głośno, żeby ją obudzić, ale dość głośno, żeby mieć pewność, że próbował.

Chrapnęła pod jego adresem. Nie było to gwałtowne, burzliwe chrapnięcie, którego można się było spodziewać, ale chrapnięcie łagodne. Rozważne. Jego ojciec powiedział kiedyś, że matka była delikatna i urocza, kiedy po raz pierwszy się spotkali, a Brian zastanowił się, czy chrapanie to wszystko, co zostało po tamtej szczupłej, kruchej kobiecie.

Patrzył w usta matki. Myślał, ile słów wypadło z nich i wpadło w uszy Margaret Creasy. Nie umiała się powstrzymać. Jakby pogłoski były dla niej siecią, w którą łapała zainteresowanie innych, bo nie wierzyła, że sama jest dość interesująca, żeby w inny sposób ich zatrzymać.

Usta matki otworzyły się jeszcze szerzej, oczy zacisnęły się mocniej, a gdzieś z głębi jej piersi dobiegł lekki zgrzyt nieświadomości.

Brian zastanawiał się nad tym, czy powiedziała Margaret Creasy o nocy pożaru. O tym, co widziała albo wydawało się jej, że widzi w mrocznych zakątkach ulicy.

I czy to były te magiczne słowa, które sprawiły, że Margaret Creasy zniknęła.

20 grudnia 1967

Brian przytyka płomień zapalki do skręta i patrzy jak tytoń iskrzy i migocze w ciemności.

Może palić w domu, jeśli zechce. Pokoje mają ściany poźółkłe od papierosów matki, ale woli stać na zewnątrz, żeby czuć na twarzy powiew wiatru i patrzeć w niezakłóconą czerń.

Ulicę skuła mroźna cisza. Wszystkie domy są opatulone przed zimnem, kominki rozpalone, gęsta rosa na oknach. Choinki zerkają przez szpary w zasłonach, ale Brian nie bardzo lubi Boże Narodzenie. A szczerze wątpi w to, że inni je lubią, po tym wszystkim, co się stało.

Skręt jest cienki i szybko się wypala. Drapie go w gardle i ściska w piersiach. Postanawia jeszcze raz się zaciągnąć i wrócić do wyłożonego dywanem ciepła kuchni, kiedy spostrzega jakiś ruch na końcu ulicy. Gdzieś przy numerze jedenastym jakieś przemieszczenie w ciemności, krótkie mignięcie światła, które przykuwa skraj jego uwagi w chwili, kiedy ma się już odwrócić.

Zakrywa papierosa dłonią, żeby nie było widać żaru i próbuje przyjrzeć się dokładniej, ale kształty rozmywają się w atramentowej czerni za pomarańczową kałużą światła latarni.

Ale tam na pewno coś się ruszało.

Zamykając drzwi, słyszy cichnące kroki. Jest tego pewien.

– Brian, możesz tutaj palić. – Matka kiwa głową w stronę przepełnionej popielniczki. – Mógłbyś mi pomóc rozwiesić te

kartki bożonarodzeniowe. Przypina kartki do maleńkich czerwonych i zielonych kołeczków, jak flagi na sznurku, tak że kończą się na paczce z kremówkami.

– Miałem ochotę na łyk świeżego powietrza, mamo.

– Tylko nie zapominaj o swoich nerkach – odpowiada matka.

Brian podchodzi do okna, lekko odchyła zasłonę, żeby móc popatrzeć przez fragment szczyby.

– Na co patrzysz? – Głos matki drży z ukrywanego zainteresowania, kładzie kartki na kolanach.

– Na numer jedenasty.

– Chyba mówiłeś, że wyjechał z matką. Myślałam, że nie ma sensu obserwować domu, zanim on wróci.

– Ktoś jest w ogrodzie.

Matka wstaje. Stos kart świątecznych robi salto w powietrzu, trzy skromne żłóbki i osiołek padają na dywan.

– Cóż, skoro chcesz to zrobić, zrób to jak należy – mówi matka. – Wyłącz górne światło i rozsuń zasłony.

Robi, co mu powiedziała i oboje wyglądają w ciemność.

– Widzisz coś? – pyta matka.

Nie widzi. Obserwują w milczeniu.

Sheila Dakin idzie do kosza na śmieci i ulica wypełnia się dźwiękiem szkła bębniącego w metal. Sylvia Bennett rozciąga zasłony w jednym z pokoi na piętrze i patrzy na ulicę. Wygląda to jakby patrzyła wprost na nich i Brian chowa się pod parapet.

– Ona cię nie może zobaczyć, głupcze – śmieje się matka. – Światło jest wyłączone.

Brian znów się wylania, ale kiedy podnosi wzrok, Sylvii już nie ma.

– Może to znowu byli ci chłopcy z osiedla – mówi matka. – Może wrócili.

Brian nachyla się do okna. Nogi mu martwieją, oparcie kanapy wbija mu się w klatkę piersiową.

– Nie odważyliby się po tym, co się stało.

Matka pociąga nosem.

– Nic nie widzę. Musiało ci się przywidzieć, tam nikogo nie ma.

Ale Brian znowu to widzi. Ruch za cienkim, bezlistnym drzewkiem, stojącym w ogródku Waltera Bishopa.

– Tam. – Stuka w szybę. – Teraz ich widzisz?

Matka przyciska twarz do okna, a para z pełnych fascynacji oddechów przysłania jej widok.

– No proszę – mówi. – Co on do diabła wyczynia?

– Kto? – Brian przyciska nos do szyby. – Kto to jest?

– Przesuń głowę, Brian. Zawsze mi przeszkadzasz.

– Kto to jest? – powtarza Brian, odsuwając głowę.

Matka z zadowoleniem zakłada ręce na piersi.

– Harold Forbes. Na pewno Harold Forbes.

– Tak? – Brian znów ryzykuje, przysuwając głowę do szyby. – Po czym go poznajesz?

– Wszędzie bym poznała ten garb. Ależ ten człowiek źle się trzyma. Tu, w okolicy, mieszkają bardzo dziwni ludzie – odpowiada matka

Oczy Briana dostosowują się do ciemności, po chwili widzi lekko zgarbioną postać, zajęta tym, co trzyma w rękach. Postać przesuwa się między drzewami, przechodzi przed frontonem numeru jedenastego. To z pewnością mężczyzna, ale Brian nie ma pojęcia, skąd matka ma pewność, że to Harold Forbes.

– Co on niesie? – Brian wyciera oddech z szyby. – Widzisz?

– Nie jestem pewna – mówi matka – ale nie to najbardziej mnie interesuje.

Brian odwraca się i marszczy brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Najbardziej mnie interesuje to, kogo z sobą zabrał?

Ma rację. Za pochyloną, przemieszczającą się między drzewami postacią jest druga postać. Trochę wyższa od pierwszej, bardziej wyprostowana, wskazuje coś na tyłach domu. Brian próbuje mocniej przycisnąć twarz do szyby, ale obraz tylko zaciera się, zniekształca i zamienia w nieład kształtów i cieni.

Brian przedstawia kilka możliwości, matka odrzuca wszystkie, za młody, za stary, za wysoki.

– No to jak myślisz, kto to jest? – pyta Brian.

Matka prostuje się jak może i wciska podbródek w szyję.

– Mam swoje podejrzenia – mówi – ale byłoby błędem z mojej strony prowadzić takie spekulacje.

Tylko jedną rzecz matka Briana lubi bardziej od plotek, a jest to powstrzymywanie się powtarzania ich stronie zainteresowanej, oparte na niespodziewanym fundamencie wysokich zasad moralnych.

Kłóćą się. Brian nigdy nie wygrywa w kłótniach, matka ma zbyt wiele doświadczenia i jest zbyt uparta.

Ale gdy Brian rezygnuje i znów wygląda na ulicę, nikogo już nie ma.

– A więc to tak – cedzi powoli matka. Kartki nadal leżą na dywanie. Po drodze do kanapy podnosi kilka Matek Boskich.

– Jak myślisz, co oni tam robili? – pyta Brian.

Matka bierze kolejne ciastko i Brian musi czekać na odpowiedź, póki nie podniesie górnej warstwy kremówki i nie przyjrzy się zawartości.

– Cokolwiek to było – mówi – miejmy nadzieję, że ma to związek z pozbyciem się Bishopa raz na zawsze. Ostatnio mamy tutaj za dużo zdarzeń.

Chociaż raz Brian zgadza się z nią. Przez ostatni tydzień awantura goniła awanturę. Kiedyś policja w ogóle nie pojawiała się na ulicy, teraz jakby w ogóle się stąd nie wynosiła.

– Wiem jedno. – Matka Briana ugryzła kremówkę i chmurka okruchów osiadła na pokrowcu na meble. – To dobrze, że tu jesteś, Brianie. Inaczej nie byłabym w stanie zasnąć we własnym łóżku. Póki ten człowiek mieszka tam, na końcu ulicy.

Brian znów opiera się o parapet, ale parapet wpija mu się w plecy. W pokoju jest za gorąco. Matka zawsze utrzymywała za wysoką temperaturę. Kiedy był dzieckiem, stawał dokładnie w tym samym miejscu i próbował znaleźć sposób, żeby pozbyć się gorąca, tak żeby znikło na zawsze.

– Wychodzę jeszcze na papierosa – mówi.

– Brianie, nie rozumiem, dlaczego nie zapalisz tutaj. Nie odpowiada ci moje towarzystwo?

Wróciła do przypinania kartek świątecznych. W tym jest jakiś sens, myśli Brian. Kolejne Dzieciątko Jezus. Jest trzynaście gwiazd betlejemskich. Trzynaście zapracowanych osiołków. Rządek Dzieciątek Jezus do zawieszenia pod półką nad kominkiem, żeby patrzyły, jak oboje jedzą kolację wigilijną w milczeniu i papierowych kapelusikach.

– Mam ochotę na łyk świeżego powietrza – powtarza.

– No, tylko nie bądź tam za długo. Wiesz, że przy moich nerwach nie lubię za długo być sama. Dopóki nie zrobi się porządku z tymi bzdurami.

Brian bierze z parapetu puszkę z tytoniem i zapalki.

– Wrócę jak najszybciej – mówi.

I wraca w ciemność.

Ulica
numer 4

5 lipca 1976

To był poniedziałek. Pierwszy prawdziwy dzień wakacji. Lato budowało zakurzony most do września, a ja leżałam w łóżku tak długo, jak tylko się dało, trzymając się chwili, zanim zrobię pierwszy krok.

Słyszałam rodziców w kuchni. Znajome hałasy, sekwencja kredensów, talerzy i drzwi. Znałam kolejność dźwięków, jak w muzyce. Ścisnęłam poduszkę pod głowę i słuchałam, i patrzyłam, jak wiatr wciska się w zasłony, wydymając je jak żagle. I tak wiedziałam, że nie będzie padać. Ojciec mówił, że deszcz można poczuć, tak jak czuje się brzeg morza. Kiedy tak leżałam, czułam tylko owsiankę Remingtona i zapach bekonu wciskający się do pokoju z czyjejs kuchni. Zastanawiałam się, czy pozwolą mi jeszcze pospać, ale przypomniałam sobie, że muszę znaleźć Pana Boga i panią Creasy. I moje śniadanie.

Matka była bardzo cicha. Cicha, kiedy weszłam do kuchni, cicha przez cały czas, gdy jadłam chrupki ryżowe, nadal była cicha, kiedy odstawiłam miskę do zlewu. To dziwne, ale nawet kiedy była cicha i tak udawało się jej być najgłośniejszą osobą w kuchni.

Ojciec siedział w kącie i czyścił buty na kawałku gazety, matka orbitowała wokół kredensów. Co jakiś czas ojciec mówił coś bardzo zwyczajnego, żeby sprawdzić, czy uda mu się skusić kogoś do rozmowy. Spróbował już o pogodzie, ale nikt się nie przyłączył. Przemówił nawet do Remingtona, ale Remington walił tylko ogonem o linoleum i wyglądał na zmieszanego.

– A więc to pierwszy dzień wakacji – powiedział ojciec.

– Mmm. – Kucnęłam przed lodówką i zajrzałam do środka, żeby wyobrazić sobie, co mogę dostać na lunch.

– Jak spędzisz lato z Tilly?

– Szukamy Pana Boga – odparłam z wnętrza lodówki.

– Pana Boga? – zapytał ojciec. Słyszałam, jak szczotka pociera skórę butów. – To będziecie zajęte.

– To nie powinno być takie trudne. On jest wszędzie.

– Wszędzie? – zdziwił się ojciec. – Nie wydaje mi się, żeby często szwendał się po tym osiedlu.

– Derek, nie zaczynaj znowu. – Wyjrzałam znad drzwi lodówki i patrzyłam, jak matka wkłada sztućce ze ściereczki do szuflady. – Powiedziałam ci, dlaczego nie pójdę.

– Nie o to mi chodziło, ale skoro już wspomniałaś...

Siedziałam bardzo cicho między jogurtem z czarnymi porzeczkami a tuzinem jaj z wolnego chowu.

– Nie widzę powodu, żeby się tłumaczyć. W życiu i tak chodzi się na wiele pogrzebów, nie trzeba chodzić na te, na które się nie musi.

– Po prostu martwi mnie, że nikt nie przyjdzie. – Ojciec przestał szczotkować i popatrzył na buty. – Sam bym poszedł,

gdybym nie był w pracy. Druga to naprawdę zły czas.

– Będzie mama Cienkiego Briana – zauważyła moja matka.

– Ta to chodzi na wszystkie pogrzeby. Tylko wtedy opuszcza dom. – Ojciec postukał szczotką o puszkę z pastą do butów. – To się nawzajem wyklucza.

– Nawet dobrze nie znałam tej Enid. – Matka przyłożyła dłoń do twarzy, usłyszałam, jak wydobywa się spoza nich westchnienie. – To straszne, że zmarła w samotności, ale nie rozumiem, jak pójście na jej pogrzeb mogłoby ją uszczęśliwić.

Kobieta z Mulberry Drive. Robił się ze mnie doskonały detektyw.

– Jak sobie chcesz – odparł ojciec i znów było słycać milczenie mojej matki.

– Nie mogę uwierzyć, że pani Forbes nas ocyganiła – powiedziała Tilly.

Zwołałam w mojej sypialni zebranie kryzysowe. Nie poszło gładko, bo Tilly bardzo łatwo było rozproszyć, ale pani Morton poszła na grób męża i uzupełnić zapas czekoladek, więc jej stół kuchenny był czasowo niedostępny.

Pomyślałam o swoich rodzicach. Kłamali, ile czasu zajmie dojazd dokądś i ile potrwa moja herbatka, a chociaż matka zawsze mówiła, że prezenty dla mnie są od nich obojga, to kiedy otwierałam je rano w Boże Narodzenie, ojciec wyglądał na równie zaskoczonego jak ja.

– Dorośli kłamią przez cały czas – oznajmiłam. –
Najważniejsze to, dlaczego pani Forbes kłamała.

Zapisałam datę w notatniku. Wiedziałam, że Tilly patrzy na figurki na półce za mną. Widziałam, jak przenosiła wzrok z jednej na drugą.

– Masz lemura – powiedziała – i żyrafę. Ja ich nie mam.

– Tilly, musisz się skupić.

Dotarła wzrokiem do końca półki.

– Masz dwa lemury – dodała. – Dwa. Ja nie mam nawet jednego.

– To para. Pasują do siebie. Mają być dwa.

– Nie wiedziałam, że chodzą parami. Więc pewnie nie można ich rozdzielać.

– Tilly, tu nie chodzi o figurki. Mamy ułożyć plan.

– Wiedziałam, że ona nie mówi prawdy – oznajmiła Tilly.

Moje pióro zatrzymało się podczas pisania.

– Skąd wiedziałaś?

– Tak wyglądała. Tak samo wygląda moja mama, kiedy mówi o moim tacie. Wiem, że na moich kartkach bożonarodzeniowych jest jej pismo.

– Moja matka pisze wszystkie kartki świąteczne.

– Ale to nie to samo, prawda? – powiedziała Tilly.

– Nie – odparłam. – Chyba nie.

Wiatr szarpnął zasłony. Moja matka przez cały dzień zaciągała zasłony, żeby chroniły przed upałem, a potem rozsuwała je, żeby upał mógł ulecieć. Przelazłam przez łóżko,

okrażyłam Tilly i trochę je rozsunęłam. Tilly odwróciła się i wyjrzała przez okno.

– Co robi pan Creasy? – zapytała.

John Creasy stał pośrodku ulicy, patrzył na jej koniec.

– Czekają na autobus. On się zatrzymuje na końcu ulicy za pięć jedenasta.

– Nie powinien stanąć na przystanku?

– Nie, on nie chce go złapać. Czekają, żeby zobaczyć, czy wysiądzie pani Creasy. Codziennie czeka.

Autobus zatrzymał się. Słyszałam, jak syczą i plują hamulce, potem było niezdarne kasłanie silnika, ale przystanek był pusty i pan Creasy wrócił do domu z rękami głęboko w kieszeniach. Wróciliśmy do notatnika.

– Kto był jeszcze na zdjęciu z pikniku? – zapytała Tilly.

Podniosłam nogi na łóżko.

– Państwo Forbesowie i pani Creasy.

– Tak, ale kto jeszcze?

Zamknęłam oczy, próbowałam to zobaczyć. Byłam zbyt zatopiona w przyglądaniu się pani Forbes z włosami ułożonymi w fale i obraz zaczął drżeć i rozplýwać się pod powiekami.

– Cienki Brian – odparłam w końcu. – Cienki Brian na pewno tam był.

Tilly zmarszczyła się.

– Kto to jest Cienki Brian?

– Pan Roper. Mieszka ze swoją mamą pod dwójką.

– A jest Gruby Brian?

Pomyślałam chwilę.

- Nie – odparłam – nie ma.
- To pójdziemy sprawdzić, co on wie?
- O tak. Ale nie dzisiaj po południu.

Tilly podniosła wzrok i podrapała się swetrem po nosie.

- Dlaczego?
- Bo po południu idziemy na pogrzeb.

- Gracie, nie wiem, czy to dobry pomysł. – Tilly stała przed szafą i patrzyła w lustro.

- Mówiłaś, że nie masz niczego czarnego.
- Ale to jest poncho.
- Na nim jest czarne.

Popatrzyła na siebie.

- I mnóstwo innych kolorów też.
- To ważne, żeby mieć na sobie czarne podczas pogrzebu. To oznaka szacunku.

- A jakie czarne ty nosisz?

- Miałam zamiar włożyć czarne skarpetki – powiedziałam – ale jest za gorąco, więc mam na sobie czarny pasek do zegarka.

Próbowałam dać jej moje zapasowe okulary słoneczne, ale uświadomiłam sobie, że nie ma wolnej ręki, więc sama jej włożyłam.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego idziemy.
- Bo może nikt inny nie przyjdzie. Słyszałam, jak mój ojciec mówił o tym mojej matce.
- Ale my nawet nie znałyśmy tej kobiety z Mulberry Drive.

Spojrzałam na nasze odbicia w lustrze.

– To nie ma znaczenia – powiedziałam. – Ktoś musi tam być. Wyobraź sobie, że nikt nie przyjdzie na twój pogrzeb. Wyobraź sobie, że odchodzisz i nie ma nikogo na tyle zaprzyjaźnionego, żeby się z tobą pożegnał.

Poczułam, że ściska mnie w gardle, nie miałam pojęcia dlaczego. Musiałam wyciskać słowa, żeby mówić, a kiedy słowa się formowały, były drżące i dziwne od tego wyciskania.

Tilly zmarszczyła się i próbowała wyciągnąć rękę spod wełny.

– Gracie, nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się. Po prostu chcę, żeby wiedziała, że coś dla kogoś znaczy.

Cofnęłam rękę i spróbowałam wszystko przełknąć. Byłam starsza, powinnam stanowić przykład.

Włożyłam okulary słoneczne i przygładziłam włosy.

– Poza tym tam będzie Bóg. Może odkryjemy jakieś wskazówki.

Nie byłyśmy same w kościele, ucieszyłam się, bo nigdy nie wiedziałam, kiedy siadać, wstawać, klękać i dobrze było mieć kogoś do naśladowania. Pani Roper siedziała z przodu, pocierała sobie stopy, a obok niej siedział barman z Brytyjskiego Legionu, ale po Cienkim Brianie nie było śladu. W drugim rzędzie byli dwaj starzy mężczyźni, chyba obaj mówili do siebie. Wślizgnęłyśmy się na ławkę na samym tyle, żeby móc wszystko obgadać. Kiedy ustawiałyśmy stopy na poduszkach,

weszli państwo Forbesowie. Pani Forbes poszła naprzód, ale pan Forbes pociągnął ją za ramię i dźgnął palcem w stronę jakichś miejsc bliżej środka, gdzie siedział Eric Lamb.

– Ciekawe, czy Bóg wie o pani Forbes i o tym, że tak kłamie – szepnęła Tilly i wygładziła poncho.

Proboszcz przywitał nas przy wejściu i stwierdził, że nie wiedział o naszej znajomości z Enid, a ja mu powiedziałam, że byłyśmy dla niej jak córki, a on zapytał, czy wiedziałyśmy, że miała dziewięćdziesiąt osiem lat. Położyłyśmy między sobą książeczkę z hymnami i kiwałyśmy głowami pod okularami słonecznymi. Gdzieś nad naszymi głowami organy zaintonowały muzykę. Melodia była cicha i pokorna, nuty wsiąkały w kamień i drewno, zanim można je było usłyszeć.

– Czy to Jezus? – zapytała Tilly.

Podążyłam za jej wzrokiem ku posągowi. Mężczyzna ubrany w czerwony i złoty materiał, który był owinięty wokół niego fałdami, stał na kawałku drewna w połowie drogi do sufitu. Wyciągał ręce, jakby nas zapraszał, żebyśmy do niego przyszły.

– Chyba tak – powiedziałam. – Ma brodę.

– Przecież oni wszyscy mają brody, prawda?

Rozejrzałam się i zdałam sobie sprawę, że mnóstwo ludzi stoi na kawałkach drewna i patrzy na nas z góry. To peszyło, bo wszyscy oni wyglądali na zamyślonych i trochę rozczarowanych. I nagle przestało być oczywiste, który to Jezus.

– Nie – powiedziałam. – Myślę, że Jezus to ten. Wygląda na najbardziej religijnego.

Kiedy nie mogliśmy się zdecydować, proboszcz przeszedł wzdłuż ławek i stanął przed trumną Enid.

Musiała być bardzo mała.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, mówi Pan. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”.

Proboszcz był bardzo głośny i przekonywający. Chociaż nigdy nie rozumiałam, co mówi, zawsze chciałam się z nim zgadzać.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby wspomnieć przed Bogiem naszą siostrę Enid i podziękować za jej życie. By oddać ziemi jej ciało i pocieszyć się wzajem w smutku.

Patrzyłam na stojącą za proboszczem trumnę Enid i myślałam o dziewięćdziesięciu ośmiu latach, które leżały w środku. Zastanawiałam się, czy ona też o tym myślała, samotna, na dywanie w swoim salonie, i miałam nadzieję, że tak. Myślałam, jak będą ją wynosić z kościoła i nieść przez cmentarz, obok Ernestów i Maud, i Mabel, i jak dziewięćdziesiąt osiem lat zostanie złożone w ziemi, żeby dmuchawce zarosły ich imię. Myślałam o ludziach, którzy na wieki będą obok niej przechodzić, w drodze do innego miejsca. O ludziach ze ślubów i chrztów. O ludziach idących na skróty, na papierosa. Zastanawiałam się, czy w ogóle zatrzymają się i pomyślą o Enid i jej dziewięćdziesięciu ośmiu latach i zastanawiałam się, czy świat chociaż trochę ją zapamięta.

Otarłam twarz, zanim Tilly zdążyła zobaczyć. Ale byłam zadowolona. To znaczyło, że Enid coś dla kogoś znaczyła. Że warto było płakać za jej dziewięćdziesiąt osiem lat.

Organy znów zagrały, tyle że były bardziej pewne siebie i wszystkie książeczki z hymnami zaczęły szeleścić.

– Co to znaczy: trwajcież? – Tilly pokazała stronę.

Popatrzyłam na słowa.

– To chyba znaczy, że musisz się zachowywać – powiedziałam.

Ludzie śpiewali bardzo cicho, a Tilly i ja trochę ich naśladowaliśmy, ale pani Roper nadrabiała za wszystkich, bo odłożyła książkę hymnów na ławkę i śpiewała co sił w płucach.

Kiedy śpiewaliśmy, że trzeba się zachowywać, proboszcz stanął za pulpitem i powiedział, że będzie czytał z Biblii.

– „Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale” – powiedział – „i wszyscy aniołowie z Nim, wtedy zasiądzie na swoim tronie pełnym chwały”.

Rozsiadłam się z mieszanką lukrecjową.

– „I zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych [ludzi] od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie”.

– Znowu owce – powiedziała Tilly.

– Wiem – odparłam. – One są wszędzie. – Podałam jej cukierki, ale pokręciła głową.

– „Wtedy odezwie się i do tych po lewej stronie: »Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!«”

Tilly szturchnęła mnie przez poncho.

– Dlaczego on tak nienawidzi kozłów?

– „Bo byłem głodny, a nie daliście Mi jeść;
byłem spragniony, a nie daliście Mi pić”.

– Bo ja wiem – odparłam. – On chyba lubi tylko owce.

– „Byłem przybyszem, a nie przyjęliście Mnie;
byłem nagi, a nie przyodzialiście Mnie;
byłem chory i w więzieniu, a nie odwiedziliście Mnie”.

– O, nie odwiedzali Go – powiedziała Tilly. – To chyba ma sens.

– „I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego”.

– Ale nie rozumiem – szepnęła Tilly. – Skąd Bóg wie, którzy ludzie są kozłami, a którzy owcami?

Popatrzyłam na Erica Lamba i na pana Forbesa, który poprawiał książeczkę z hymnami przed panią Forbes. Popatrzyłam na panią Roper, pocierającą stopy, i na barmana z Brytyjskiego Legionu i na dwóch starych mężczyzn, którzy nadal pochylali głowy i szeptali do siebie. A potem popatrzyłam na proboszcza, który patrzył na nas wszystkich z wysokości kilku schodków.

– Myślę, że z tym jest kłopot – mruknęłam. – Nie zawsze łatwo da się rozróżnić.

Kiedy wychodziliśmy z kościoła, proboszcz stał w drzwiach i zęgnął się ze wszystkimi. Podał mi rękę i podziękował za przyście, a ja odwzajemniłam uścisk ręki i podziękowałam, że nas przyjął. Próbował też podać rękę Tilly, ale Tilly zaplątała się

w poncho i nie zdążyła znaleźć jej na czas. Wszyscy znikali, tylko pani Roper siedziała na nagrobku i szczypała się w palce u stóp.

– Jestem niewolnicą własnych nóg – powiedziała do nas, szczypiąc się trochę mocniej. – Ciągle chodzę do lekarza.

– To wspaniale, że pani przyszła – odparłam – mimo że panią tak bardzo boli.

Pani Roper podniosła wzrok, zasłoniła oczy przed słońcem i szeroko się do nas uśmiechnęła.

– Musi pani być bardzo religijna, skoro zdecydowała się pani na taki wysiłek. – Wyciągnęłam rękę jak Jezus i podniosłam ją z grobu.

– O tak, ale to dobrze mi robi, że wychodzę z domu. Naprawdę lepiej się wtedy czuję.

Powiedziałam pani Roper, że jest wspaniałym przykładem dla młodego pokolenia, a pani Roper odparła, że tak, i jeszcze szerzej się uśmiechnęła.

Włożyła do torebki porządek nabożeństwa i zamknęła zatrzask.

– Dziewczynki, wracacie na ulicę? Możemy pójść razem?

Powiedziałam, że bardzo byśmy chciały i zobaczyłam, że Tilly zakrywa uśmiech poncho.

Doszliśmy do Lime Crescent. Dopiero wtedy wspomniała o pani Creasy.

– Straszna sprawa – powiedziała, wycierając chusteczką pachę. – Żeby tak zniknąć.

– Dobrze ją pani znała? – zapytałam.

– O tak. Lepiej niż inni. Wiedziała, że ze mną miło się gawędzi.

– Jestem pewna, że tak myślała – powiedziałam – bo pani wie, co to jest cierpienie, proszę pani.

Pani Roper zgodziła się, że wie.

– Ale dlaczego pani Creasy zniknęła, jak pani sądzi? – Szła bardzo szybko i musiałam robić więcej kroków, żeby dotrzymać jej tempa. Gdzieś z tyłu słyszałam oddech Tilly. Jakby pociąg parowy.

– Cóż, oczywiście, powodów mogło być wiele. – Doszliśmy do końca ulicy i chyba dlatego pani Roper zwolniła. – Ale wiem, na co bym postawiła.

Sięgnęłam do kieszeni.

– Chce pani jeszcze jedną chusteczkę? Wygląda pani na bardzo zmęczoną.

Wzięła chusteczkę i uśmiechnęła się.

– Śpieszy się wam, dziewczyny? Dopiero co otworzyłam nową puszkę cukierków czekoladowych.

Poszłyśmy za nią dróżką przez ogród.

Kiedy się odwróciłam, Tilly tak szeroko się uśmiechała, aż przestraszyłam się, że ktoś to usłyszy.

Ulica
numer 8

5 lipca 1976

Czy pokłócił się pan z żoną?

Zajęło to posterunkowemu Greenowi sześć minut i trzydzieści dwie sekundy. John wiedział, bo patrzył na zegar na półce nad kominkiem. Kiedy spisywał listę pytań, które mogliby mu zadać, to pytanie zapisał na pierwszym miejscu. Teraz wszystko wywróciło się do góry nogami.

– Proszę pana?

– Nie, nie kłóciliśmy się.

Chciał dodać, że nigdy się nie kłócili. Chciał dodać, że przez sześć lat nigdy nie było między nimi różnicy zdań w żadnej sprawie, ale uznał, że posterunkowy mógłby pomyśleć, że to coś dziwnego, że może jest jednym z tych dziwnych ludzi, którzy uważają, że sprzeczka małżeńska to coś zdrowego, więc powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych słów i patrzył na dużą wskazówkę zegara.

– Proszę pana?

– Przepraszam, zamyśliłem się.

Policjant siedział wyprostowany na skraju kanapy, jakby nie miał zamiaru zostać dłużej. Jakby myślał, że im mniej ciała

poświęci siedzeniu, tym mniej czasu tutaj spędzi. Na kołnierzu miał numer 1279.

– Pytałem, czy pańska żona mogła mieć jakiś spór z kimś innym.

Dwanaście miesięcy w roku, siedem dni w tygodniu. Co może oznaczać dziewiątka? Nie przychodziły mu do głowy żadne dziewiątki.

– Margaret żyła dobrze ze wszystkimi – powiedział. – Była przyjaźnie nastawiona do wszystkich sąsiadów. Naprawdę, za bardzo przyjaźnie.

Policjant przestał pisać i podniósł wzrok.

– Za bardzo przyjaźnie? – zapytał.

John wyciągał nici z ramienia fotela. Pruł go. Policjanci byli jak lekarze. Zaczynali z własnym pomysłem na jakiś temat i tak dobierali słowa, żeby udowodnić, że mają rację.

– To znaczy, że poświęcała dużo czasu, żeby pomagać ludziom. Próbowwała uporządkować ich problemy.

Policjant zajrzał do notesu.

– Rozumiem – powiedział. – Dobra sąsiadka.

Jeden szew założony na czas zaoszczędzi dziewięciu. Może być, chociaż niezbyt to rzeczowe. John patrzył, jak posterunkowy Green zapisuje słowa. Zastanawiał się, jak on może nosić taki gruby mundur w taki upał. Policja powinna zaopatrzyć ich w letnie mundury. A może zaopatrzyła. Może to był mundur letni, a zimowy był jeszcze grubszy.

– Czy pan to nagrywa? – zapytał.

Posterunkowy Green podniósł rękę. Jakby to miało czegoś dowieść.

– Proszę pana, nikt nie został aresztowany, chcę zadać tylko parę pytań.

– Tylko że w ubiegłym tygodniu wszystko powiedziałem pańskiemu koledze, posterunkowemu Hayowi. Numer służbowy 7523. Siedem dni w tygodniu, pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku plus Trójca Święta.

Posterunkowy Green przerwał pisanie i popatrzył na pana Creasy'ego.

– Pan przecież zna posterunkowego Haya?

Policjant skinął głową. Nadal patrzył.

– Więc pan wie, że już zadawał mi te pytania. Oczywiście w innej kolejności, ale na wszystkie wyczerpująco odpowiedziałem.

– Doceniam to, proszę pana. – Policjant nie odwracał wzroku, ale zmusił się i odwrócił wstecz kilka kartek w notatniku. – Odebraliśmy po prostu telefon, kilka telefonów od... – zająknął się na tym słowie – ...zatroskanego sąsiada i sierżant pomyślał, że warto byłoby złożyć panu ponowną wizytę.

– Zatroskany sąsiad?

– Proszę pana, nie wolno mi powiedzieć kto.

– Nie proszę o to, panie posterunkowy. Nie chcę, żeby pan łamał zasady.

W pokoju brakowało powietrza. John czuł, że ścisną go w piersi, a oddychanie sprawia mu problem. Wszystkie jego mięśnie kłóciły się z mózgiem, nie pozwalając napełnić mu

płuc, w koniuszkach palców poczuł mrowienie. Czuł to wszystko i nic na to nie mógł poradzić.

– Pan powiedział posterunkowemu Hayowi, że pańska żona nie ma rodziny?

– Powiedziałem.

Chciał otworzyć okno, ale bał się odwrócić tyłem.

– Że mieszkaliście w Tamworth zaraz po ślubie, a potem, po śmierci pańskiej matki, wróciliście do tego domu?

– Zgadza się.

Nie był nawet pewien, czy nogi go utrzymają. Zrobiły się jakby wodniste i oddalone, jakby ktoś odciągał je od jego ciała.

– Dobrze się pan czuje? Bardzo pan zbladł.

Założył nogę na nogę, żeby sprawdzić, co będzie.

– Po prostu jest mi gorąco – powiedział pan Creasy. – Tu brakuje powietrza.

– Pozwoli pan, że otworzę okno.

Policjant wstał i zaczął się przeciskać między meblami. Mundur chyba mu zawadzał. Był w nim niezdarny, sztywny, skraj jego kurtki zawadził o stos czasopism na parapecie. Ześlizgnęły się na dywan. John zastanawiał się, jak policjantom udaje się gonić przestępców, jeśli nie potrafią nawet przejść przez czyjś salon.

Posterunkowy Green znów usiadł. Przycupnął jeszcze dalej na brzegu kanapy niż poprzednio.

– Trochę lepiej? – zapytał.

John skinął głową, chociaż nie poczuł różnicy. Upał był odźwiernym. Nie przepuszczał niczego, trzymał w szachu cały

świat, zapuszkował ich w pozbawionym powietrza więzieniu.

– Czy coś jeszcze, panie posterunkowy? – Podniósł rękę do włosów i poczuł na skórze warstwę potu.

Policjant przekartkował notatnik. John słyszał, jak mówił o szpitalach i pozytywnym nastawieniu, o dworcach kolejowych i terminalach autobusowych i że dorośli czasem potrzebują przerwy w zwyczajnym życiu i że zazwyczaj wracają z własnej woli. I upał, mnóstwo słów o upale. Tyle razy pocieszano go w ten sposób, że mógłby sam to sobie powiedzieć i zaoszczędzić innym kłopotu.

– Panie Creasy?

Posterunkowy Green znów na niego patrzył. Creasy zapatrzył się w twarz policjanta, próbował znaleźć klucz do problemu.

– Numer jedenasty, proszę pana. Czy pańska żona rozmawiała kiedyś z Walterem Bishopem?

John Creasy słyszał własny oddech. Zastanawiał się, czy policjant też go słyszy. Próbował otworzyć usta, ale poczułby się jeszcze gorzej. Powietrze stuknęło mu o górną część ust i wysysało wszelkie słowa z gardła.

– Panie Creasy?

– Bardzo wątpię, proszę pana. – John usłyszał swój głos, nie miał pojęcia, jak udało mu się go z siebie wydobyć. – Dlaczego pan pyta?

– Bo to jedyny sąsiad, z którym nie udało mi się jeszcze porozmawiać. – Policjant ściągnął brwi, aż zniknęły mu białka oczu. – Nie ma się czym martwić – powiedział. Wyglądał jednak na zmartwionego.

– Wyszła bez butów. Wiedział pan o tym, panie posterunkowy?

Policjant pokręcił głową. Nadal miał ściągnięte brwi.

– Chodzenie w kapciach jest bardzo niebezpieczne. – John znów zaczął skubać poręcz fotela. Słyszał, jak jego paznokieć wyciąga nitkę. – To niebezpieczne.

– Czy jest ktoś, kto mógłby z panem zostać, ktoś z rodziny, przyjaciel?

John Creasy pokręcił głową.

– Jest pan pewien?

– Jestem bardziej niż pewien, panie posterunkowy. Jak rzadko jestem pewien.

Policjant zamknął notatnik i wstał. Włożył ołówek z powrotem do kieszeni na piersi.

– Będziemy w kontakcie, gdybyśmy się czegoś dowiedzieli. Sam wyjdę, pozwoli pan?

Do drzwi było pięć metrów. Na pięciu metrach wiele może się zdarzyć.

John wstał razem z posterunkowym i oparł się o fotel.

– Pojdę z panem, jeśli pan pozwoli. Ostrożność nigdy nie zawadzi.

Dom niewiele się zmienił, odkąd znów się wprowadził. Margaret mówiła o zbudowaniu małej szklarni, ale powiedział jej, że to przywabi muchy, a nawet myszy, gdyby zaczęli tam pić

herbatę, a Margaret uśmiechnęła się, poklepała go po dłoni i powiedziała, że to nie ma znaczenia.

Brakowało mu jej wsparcia. Sposobu, w jaki odbierała i rozpraszała jego niepokój, i jej niefrasobliwości, która przepychała go przez ich dni. Nigdy nie bagatelizowała jego zmartwień, po prostu je rozplątywała, wygładzała kanty i rozwałkowywała, aż robiły się cienkie i nieznaczące. Brakowało mu jej rozmów, lekkości jej słów, kiedy jedli, dźwięku sztucców kładzionych na talerzu. Próbował wdrzeć się w ciszę telewizyjną, radiem i dźwiękiem własnego głosu, ale hałas w jego wykonaniu tylko pogłębiał i wzmacniał ciszę, która chodziła za nim z pokoju do pokoju, jak woda wylewająca się ze szklanki.

Odkąd zniknęła, zauważył, że cisza jest wszędzie. Ludzie zerkali na niego od czasu do czasu, kiedy myśleli, że nie widzi, a czasem całe grupy odwracały się jednocześnie, ale nikt nic nie mówił. W sklepach unikano go. Marudzili przy puszkowanych owocach albo rozmaitych artykułach gospodarstwa domowego, ale nie stawiali za nim w kolejce do kasy. Szukali wyimaginowanych przedmiotów w swoich torbach, czytali ulotki o wózkach na sprzedaż i o szkołach wieczorowych, żeby nie przejść obok niego na ulicy. Słyszał, jak szepczą. Słyszał oświadczenia wstępne i wypowiedzi biegłych, mowy i wyroki, rozpowszechniane opinie. Potem omijano go, jakby znikanie ludzi było zaraźliwe i gdyby nieostrożnie podeszli za blisko, sami też mogliby zaginąć. Margaret zawsze mówiła, że za bardzo liczy się ze zdaniem innych, ale trudno było tego uniknąć, kiedy ludzie tak się starali, żeby ich nie zauważał.

Mimo że był samotny, w salonie panował lekki bałagan. John widział wgłębienie na skraju kanapy, tam gdzie usiadł policjant, i nietkniętą szklanę z wodą na stoliku, a w ciszy ciągle słyszał pytania wiszące w powietrzu jak kawałki lin.

„Czy pańska żona rozmawiała kiedyś z Walterem Bishopem?”

John obgryzał paznokcie. Musiał wynieść się z tego pokoju.

Stopni było dwanaście. Trzynaście, jeśli doliczyć ten jeden na samej górze, ale to raczej miniaturowe półpiętro. Kilka tygodni temu Margaret postawiła tam zielistkę, ale istniała obawa, że można się będzie o nią potknąć, więc przeniosła roślinę do wolnej sypialni. Co za ironia, bo teraz na każdym stopniu leżały różne przedmioty. Książki i listy, kartonowe pudła z papierami i zdjęciami. Musiał stawiać kroki wokół rachunków za gaz i polis ubezpieczeniowych, prac biurowych Margaret i jej certyfikatów księgowej. Podręczniki z instrukcjami, książki do ćwiczeń i wycinki z gazet – to wszystko trzeba było sprawdzić. Wszystko należało przeszukać. Jeśli Margaret odeszła z własnej nieprzymuszonej woli, musiała znaleźć coś, co sprawiło, że zniknęła. Jeśli nikt jej niczego nie powiedział, musiała sama to odkryć. Coś było w domu. Coś, co opowiedziało jej o jego tajemnicach. Musiał to znaleźć.

Wchodząc po schodach, omijał śmieci. Przez ostatnie dwa tygodnie sprawdził wszystko na dole i w garażu. Najwięcej czasu zajęła kuchnia, podnosił każde wieczko, szukał między wszystkimi talerzami. Dokładności nigdy za mało. Tyle w tym domu było z jego matki. Pod koniec zbierała wszystko. Rachunki, kupony i stare bilety autobusowe. Znajdował je w

najdziwniejszych miejscach, wepchnięte za pojemnik na chleb, w zapomnianej książce z biblioteki. Może był jakiś wycinek z gazety? Wspomnienie o tym w liście? Może Margaret natknęła się na dowód przypadkiem? Może przeszłość wpadła w jej ręce przez pomyłkę.

Otworzył drzwi do sypialni. Pokój czuć było spiekotą, jakby warstwy upału osadziły się na wspomnieniach i ugmiotły je. Przez pierwsze parę dni próbował spać w tym pokoju, ale to było niemożliwe. Łóżko było za lekkie, prawie nic nie ważyło. Miał wrażenie, że odpłynie bez niej u boku, a kiedy udało mu się zasnąć, budził się po paru minutach i znów ją tracił.

Nie spał, chodził. Kiedy reszta osiedla spała, chodził po ulicach i zakolach, po przesmykach ludzi odpływających od świadomości, a spokój był dla niego jak środek nasenny, porządkował jego umysł i rozwikływał myśli. Szedł do parku, gdzie Margaret lubiła przesiadywać przy podium dla orkiestry i patrzeć na bawiące się dzieci. Potem do ławki stojącej nad stawem i patrzył na sitowie przy brzegach, na kaczki zatopione w pierzastym śnie. Wybierał drogę, którą poszłaby na zakupy, szedł tak jak ona High Street. Przechodził obok manekinów, obok wystaw owiniętych pomarańczowym celofanem, obok chłodnych srebrnych tac w rybnym, na których nic nie leżało, oprócz naci sztucznej pietruszki. Śledził odgłos własnych kroków na pustych ulicach po drodze do biblioteki, a potem z powrotem przez rynek i dalej do kanału. Wiedział, że lubiła siadywać przy ścieżce nad kanałem i jeść tam lunch. Za dnia było tam wielu ludzi, z którymi można było spędzać czas, psy

wyprowadzane na spacer, rowerzyści i klienci idący na skrót na zakupy i co wieczór, kiedy siadali do stołu, śmiała się i opowiadała mu ich historie. Ale w ciemności jesiony nachylały korony ku wodzie, szukając swoich odbić, a kanał robił się czarny i bezgraniczny, rozciągając się w dal jak wstęga atramentu. Noc zmieniała krajobraz, aż robił się nieznajomy jak w obcym kraju.

Kiedy podążał ulicami jej śladami, rozmawiał z nią, jakby szła obok niego. Przed jej zniknięciem nigdy nie powiedział: „Kocham cię”. Słowa, niepewne siebie, zgrzytały niezdarnie, niechętnie, żeby się uformować. Zamiast mówić: „Kocham cię”, mówił: „Uważaj na siebie” i „Kiedy wrócisz?” Zamiast mówić: „Kocham cię”, stawiał jej parasolkę u dołu schodów, żeby jej nie zapomniała, a zimą kładł jej rękawiczki na krześle przy drzwiach, żeby na pewno włożyła je przed wyjściem. Zanim zniknęła, to był jedyny znany mu sposób, ale odkąd jej nie było, te słowa zerwały się z łańcucha. Wydobywały się z jego ust w ciszy, oczywiste i pozbawione wstydu. Grzechotały pod mostem na kanale, potykały się na ścieżce nad brzegiem. Tańczyły walce wokół podium dla orkiestry i gnały chodnikami, którymi kroczył. Pomyślał, że jeśli będzie często wypowiadał te słowa, ona na pewno je usłyszy, a jeśli będzie szedł dalej, to spotkają się w końcu. Statystycznie rzecz biorąc, jest jakaś liczba kroków, które trzeba wykonać, zanim kogoś się odnajdzie.

Otworzył drzwi szafy i dreszcz rozpoznania przeszył mu ciało. Jej ubrania były tak znajome, tak intymnie bliskie, że czuł się przez nie uwięziony, nie mógł odwrócić wzroku. Poradził Margaret, żeby wieszala je według pewnego porządku. Może według kolorów albo typu odzieży. Wtedy wszystko łatwiej będzie znaleźć, powiedział. Ale ona tylko się roześmiała, pocałowała go w czubek głowy i powiedziała, że za dużo myśli. Jej ubrania zostały w nieładzie i bez planu, spoglądały na niego z wieszaków, całe audytorium Margaret, widzowie jego nieszczęścia. Zrobił wdech, myśląc, że jej zapach czekał na niego za drzwiami, ale skradło go lato. Był tylko mdły zapach materiałów, ciepła wciśniętego między ich warstwy i szczypta chemikaliów z opakowań z pralni chemicznej. Mimo chaosu widać tu było dbałość. Ściegi były naprawione, obcasy podzielowane, a rozdarcia zniknęły. Margaret lubiła cerować. Była szczęśliwa, kiedy widziała, jak rzeczy są naprawiane, a naprawianie sprawiało, że John czuł się bezpieczny. Teraz, kiedy jej nie było, wyobrażał sobie, że ściegi zaczną się rozłazić, krawędzie zaginać, a w dziury, które powstaną, wpadnie całe jego życie.

Wstydział się, że tak przeszukuje jej rzeczy, ale jego ręce i tak przesuwały się po kurtkach i płaszczach, szukając drogi do jej życia. Czasem odkrywał, że kieszenie to wcale nie kieszenie, tylko kawałki materiału przyszyte do ubrania, takie oszustwo, a te kieszenie, które znajdował, były puste, nie licząc starej chusteczki albo mentolowych pastylek. Jej torebki były tak samo bez znaczenia. Zmięte listy „do zrobienia” i luźne

półpensówki, zapasowe okulary do optyka i dawno przeterminowane recepty. Kawałki zwyczajnego życia. Życia, które postanowiła opuścić.

Usiadł. Śmieci z tych poszukiwań rozsypały się na dywan wokół niego. Patrzył w stronę drzwi i z powrotem, uspokajał się obawą, że jednak może zostać nakryty. Zmienił pozycję, a węzły ujawnionego życia wpijały mu się w plecy. Wkrótce dom zostanie pokonany, chaos zaleje wszystkie pokoje i nie będzie już dla niego miejsca. Zanim Margaret odeszła, zawsze było coś do zrobienia, coś trzeba było złożyć, posegregować albo wyprostować. Były przygotowania, plany. Teraz, spuszczone z łańcucha, dryfował między warstwami własnych myśli, otoczony szufladami, kredensami i szafami, które wyrzygały swoją zawartość na podłogę, kiedy szukał odpowiedzi na pytanie, którego nawet mogło nie być. Palcami jeździł po tyle głowy, próbując zakotwiczyć mózg, zakrywał uszy, żeby zablokować odgłos własnego pulsu. Odmierzał oddech, tak jak go nauczyła Margaret. Liczył, czekał. To przejdzie, musi po prostu się oderwać, odzyskać kontrolę. Sięgnął po jedną z list i rozłożył ją.

Była datowana na 20 czerwca, na dzień przed jej zniknięciem. Na podstawie jej słów wyobrażał sobie, jak spędziłaby tydzień: „rzeźnik (zamówić mięso), książki z biblioteki, optyk, bilety na loterię do Legionu, (środa), umówić się u fryzjera”. Wyobrażał sobie, którądy by szła, przy kim by się zatrzymywała, żeby porozmawiać. Wszyscy lubili rozmowy z Margaret. Przeszłaby z

jednego końca High Street na drugi, przesuając się od rozmowy do rozmowy. W każdym coś by znajdowała.

Pomyślał, czy nie powinien przemaglować tej listy. Popatrzył na dywan, szukając okularów, były wetknięte między paczkę z miętówkami a szczotkę do włosów. Przy jednym z zawiasów brakowało maleńkiej śrubki i ramię okularów opadało w stronę podłogi. Wstrzymał oddech, bał się poruszyć. Może śrubka nadal była w torebce, ale jeśli jej tam nie było, a on zacznie szukać, może zepsuć coś ważnego i śrubka już nigdy się nie znajdzie. Potrzebny mu był przykład czegoś, czego szuka, więc obrócił okulary dookoła, niczego nie poruszając, nie licząc własnego nadgarstka. Dopiero wtedy zobaczył soczewki. Były grube i ciężkie, wystawały z czarnych ramek jak na rysunku satyrycznym. Przyłożył je do oczu, pokój zrobił się pijany i zniekształcony. To na pewno nie były okulary Margaret i bez wątplenia nie były to jego okulary, chociaż wyglądały dziwnie znajomo.

Ta myśl znalazła go w kilka sekund. Wstał, to było jak odruch. Okulary. Miętówki. Szczotka do włosów. Wszystko rozrzucone na dywanie.

„Numer jedenasty, proszę pana. Czy pańska żona rozmawiała kiedyś z Walterem Bishopem?”

Rzucił się do okna, żeby je otworzyć, oddech jego strachu uderzał staccato w szybę. Nad dachami rzeka szpaków kołowała i zawracała, wirując w harmonii po wyblakłym niebie, a on próbował znaleźć coś znajomego, coś bezpiecznego. Ale w upale dźwięki przerywały się przez powierzchnię,

zniekształcając obraz. Włosie szczotki Dorothy Forbes wbijające się w beton, skrzywienie leżaka Sheili Dakin, uśmiechy Grace i Tilly idących po ścieżce do May Roper. Grace nosiła za duże okulary słoneczne, patrzył, jak poprawia je na twarzy. May Roper coś mówiła, ruszała ramionami w przestrzeni wokół głowy, wargi się jej skręcały i rozciągały, wyrzucając słowa. Patrzył, jak Grace sięga do kieszeni i coś podnosi. Słyszał, jak Sheila ciągnie leżak po trawie, jak drewniana rama głucho stuka w skraj szyby. Patrzył, jak Harold Forbes krzyczy coś do Dorothy, robi miny, wydając polecenia z salonu. Słyszał dźwięki, na które przedtem nie zwracał uwagi. Ulica zmieniła się w animację, w wesołe miasteczko. Temperatura wyostrzała wszystkich, podkreślała dźwięk, kontrast, jasność i wbijała mu ich w czaszkę.

Para oddechu przyćmiła widok, wytarł szybę rękawem koszuli. Kiedy szyba była czysta, spojrział na drugą stronę, na numer jedenaście.

Wydawało mu się, że widzi odbicie słonecznego blasku w otwartym oknie. Pomyślał, że słyszy stuknięcie haczyka i że widzi cień Waltera Bishopa patrzącego zza skraju okna.

Po herbacie poczuł się trochę lepiej. Nie tyle sama herbata to sprawiła, co jej parzenie. Rytuał napełniania czajnika i podgrzewania imbryczka, mieszania listków, aż nabrała właściwej mocy. „Oderwij się”, Margaret zawsze mu to mówiła. Stał się specjalistą od odrywania się. Tak bardzo się odrywał, że

tonął w odrywaniu się, a wszystkie szczególiki świata połączyły mu się w głowie i stały się nowym problemem, którym należało się martwić.

Margaret mówiła, że powinien znaleźć sobie hobby. Próbował, ale wszystko przychodziło z własnym zestawem problemów. Wędkarstwo dawało za dużo czasu na myślenie, krykiet był obciążony ryzykiem i Bóg wie ile bakterii można by znaleźć w ogródku. Więc uznał za hobby to, co zawsze było jego hobby. Chodził do Brytyjskiego Legionu. Jedynym i podstawowym problemem było to, że tam wszystko się zaczęło. Ironia w tym, że wtedy, wieczorem, już miał wracać do domu. Był początek grudnia, mróz już wymalował się na chodnikach. Myślał o zakończeniu wieczoru, zanim temperatura spadnie i droga do domu stanie się jeszcze bardziej niebezpieczna. Może gdyby tak zrobił, żadna z tych rzeczy potem by się nie zdarzyła. Chociaż wiedział z doświadczenia, że jeśli ma się zdarzyć coś złego, to i tak się zdarzy, bez względu na to, jak bardzo chciałoby się tego uniknąć. To, co złe, znajdzie cię. Odszuka. Choćbyś nie wiem jak to ignorował albo ukrywał się, albo szedł w przeciwnym kierunku. Zło w końcu cię dopadnie.

To tylko kwestia czasu.

11 grudnia 1967

Harold znowu się odzywa. John słyszy go nad gwarem.

– Chcecie wiedzieć, co o tym myślę? – mówi.

Nikt nie odpowiada, ale to nie powstrzymuje Harolda od podzielenia się opinią i rozgłoszenia jej wobec całego stołu.

– Myślę, że jeśli policja nie weźmie się do niego, to wtedy my powinniśmy wziąć sprawy w swoje ręce. Tak właśnie myślę.

Kiwanie głowami, wymruczane: tak, tak. John widzi, jak May Roper kopie pod stołem nogę Briana.

Harold bębni obrączką ślubną o szklanę, a Dorothy mruga za każdym uderzeniem. Derek Bennett obraca swoje piwo za każdym razem o dziewięćdziesiąt stopni i zebrani znów milkną.

John chce wyjść. Z miejsca, w którym stoi, widzi drzwi. Kilka kroków i będzie na zewnątrz, odejdzie, im to wszystko zostawi, ale tu jest cała ulica. Wszyscy poza jego matką, która opiekuje się Grace i patrzy, jak Fred Astaire stepuje po drodze do szczęśliwego zakończenia. Byłoby to zbyt oczywiste, gdyby wyszedł. Zauważyliby i zrozumieli, że jest słaby, bezużyteczny i tchórzliwy. Musi zostać. Chociaż raz musi o coś zawalczyć. Musi znaleźć w sobie głos, choćby po to, żeby nadrobić wszystkie te lata, kiedy egzystował w milczeniu.

– Próbowaliśmy obserwować ten dom – mówi Derek. – To do niczego. Jeśli coś to dało, to tylko, że jest gorzej. On teraz się nie pokazuje. Wcześniej chociaż wiedzieliśmy, co zamierza.

– Taki człowiek nie powinien mieć prawa mieszkać na ulicy takiej jak nasza – mówi May Roper.

John widzi, że May znowu kopie Briana w nogę pod stołem.

– Moja mama ma rację – rzuca Brian, jakby to był odruch ścięgna.

– Powiedzieli, że ma prawo mieszkać, gdzie chce. – Dorothy nadal mruga, chociaż obrączka ślubna Harolda ucichła.

– Ten świat zmierza prosto w objęcia szaleństwa – mówi Sheila. – Za dużo ludzi ma prawa w dzisiejszych czasach.

Wszyscy kiwają głowami. Nawet Dorothy Forbes, której udaje się wpasować kiwnięcia między mrugnięcia.

– Co to za człowiek, co krzywdzi dzieci? Cóż to za podłość? – pyta Derek.

Sheila Dakin sięga po gruszczyk, ale źle oblicza ruch i wino rozlewa się po stole.

– Przepraszam – mówi. – Bardzo przepraszam.

Sprowadzają Clive'a ze ścierką i wszyscy unoszą szklanki, kiedy bałagan jest uprzątnięty.

– On zawsze twierdził, że to pomyłka. – Sylvia obejmuje mocno ramionami sweter. – Nieporozumienie.

– Było za dużo tych nieporozumień. – Eric Lamb pije guinnessa, mówiąc, ociera usta. – Zdjęcia, to, co zdarzyło się Lisie. Myślałem, że zabranie dziecka to jednorazowa sprawa, ale najwyraźniej tak nie jest.

– Takiemu człowiekowi nie powinno się pozwalać na posiadanie aparatu – mówi May Roper.

– Moja mama ma rację. – Brianowi udaje się to powiedzieć, zanim zacznie się kopanie.

Sylvia nadal obejmuje się ramionami. Ma gazowany napój pomarańczowy, ale napój czeka w szklance, nietknięty.

– Policja powiedziała, że fotografowanie to jego hobby, że nie mogą mu zabronić.

– Takiemu człowiekowi nie powinno się pozwalać na hobby – mówi May. – Bóg jeden wie, jakie jeszcze robił zdjęcia.

Wszyscy opuszczają wzrok i piją. Zapada cisza. Rozwija się nad stołem jak obrus i nie ma chętnych, żeby ją zakłócić. Clive wchodzi między nich, zbiera puste szklanki. Spoglądają na siebie z Haroldem, ale nic nie mówią. John obserwuje, jak Clive idzie do baru. Szklanek jest za dużo, palców za mało.

To Sylvia pierwsza zabiera głos, chociaż mówi tak cicho, że John prawie jej nie słyszy.

– Jedyne sposob, żeby pozbyć się go z ulicy – mówi Sylvia – to żeby tu nie miał domu, w którym mógłby mieszkać.

– Szkoda, że kiedy wrócił po Bożym Narodzeniu, zastał tutaj swój dom – mówi Sheila.

John marszczy czoło.

– John, on zawsze wyjeżdża na Boże Narodzenie. Lameta i indyk z mamą. Gdzieś, gdzie nikt go nie zna i nikt nie wie, na co go stać.

Sheila miała rację. Walter Bishop tylko wtedy opuszczał ulicę. Nie opuszczał jej nawet latem. Zostawał wtedy pod numerem jedenastym i przez cały czas smażył się w jego ścianach, aż do września.

– Szkoda, że nie wraca na Nowy Rok, żeby znaleźć dom zburzony buldożerem do fundamentów – mówi Derek. – Cholerny zboczeniec.

Harold rozpiera się w krześle i zakłada ręce na piersi.

– To jasne – mówi – że nie zawsze potrzebny jest buldożer, żeby pozbyć się domu.

Eric patrzy znad szklanki guinnessa. W oczach Dereka widać jakby uśmiech, a May Roper znów zaczyna kopanie pod stołem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pyta Brian.

– Chcę przez to powiedzieć, chłopcze, że czasem w takich sprawach rozstrzyga los. Łuk elektryczny, iskra z kominka. Przecież to nie znaczy, żeby komukolwiek stała się krzywda.

Eric stawia szklankę. W tym ruchu widać jakąś ostrożność.

– Haroldzie, mam nadzieję, że wiesz, co sugerujesz.

– Ja niczego nie sugeruję. Po prostu mówię... to się zdarza.

– Albo się robi, żeby się zdarzyło – mówi Sheila.

– Jezu Chryste. – Eric przeciąga dłońmi po twarzy.

– Daj spokój Jezusowi Chrystusowi. Jezus Chrystus nie musi mieszkać obok niego. Ty też nie, jeśli o tym mowa.

Eric nic nie mówi. Bardzo krótko kręci głową, ale to wystarczy, żeby Harold znów wybuchł.

– Ericu, mam już dość. Mam już dość mieszkania obok tego cholernego dziwadła. Jeśli nic nie zrobimy, to Boże dopomóż, nie odpowiadam za siebie. Musisz pomyśleć o dzieciach. Na tej ulicy są dzieciaki.

John już widział rozzłoszczonego Harolda. Harold całe życie był na coś zły, jest jak chodząca kłótnia. Ale tym razem było inaczej. Ten gniew jest mroczniejszy i bardziej brutalny, wychodzi z miejsca, które John chyba rozpoznaje. Być może wszyscy są źli, każdy na swój sposób, bo twarze wokół stołu zmieniły się. Nastąpiło w nich przesunięcie, wybrali inną ścieżkę myślenia. Widzi to po ich twarzach i po sposobie, w jaki

przedstawiają swoje zdanie. Tylko Dorothy patrzy przed siebie. W jej oczach zafiksowana jest jasność.

– Haroldzie, wszyscy myślimy tak samo. Spróbuj się uspokoić. John słyszy to kruche uspokojenie, leciutkie drżenie doświadczenia w jej głosie.

Błysk zaskakuje ich. Jest nagły, wstrząsający i wszyscy podnoszą wzrok, żeby spojrzeć w obiektyw.

Mężczyzn jest dwóch. Jeden z aparatem, jeden z notatnikiem i widocznym zaciekawieniem.

– Andy Kilner z miejscowej gazety – mówi notatnik. – Dla dodatku świątecznego. Fragment kolorytu lokalnego. Duch Bożego Narodzenia, pokój ludziom dobrej woli i tak dalej.

– Rozumiem – mówi Harold.

– Jakież wypowiedzi? – pyta notatnik.

– Chyba nie. – Harold sięga po piwo. – Powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia.

Ulica
numer 2

5 lipca 1976

To była piękna msza.

Pani Roper wyjęła z torebki puderniczkę, a ja patrzyłam, jak pudruje pot nad górną wargą.

– Jeśli dzisiaj czegoś się nauczyłam – stwierdziła – to, że życie jest za krótkie.

„Dziewięćdziesiąt osiem”, powiedziała do mnie Tilly z drugiego końca pokoju, poruszając tylko wargami. Poruszyłam ramionami tak, żeby nikt inny tego nie zobaczył.

– Brian, to było śliczne pożegnanie. – Puderniczka trzasnęła przy zamykaniu i pani Roper włożyła ją z powrotem głęboko do torebki z makramy. – Szkoda, że cię tam nie było.

Brian siedział w kącie obok lampy stojącej. Miała wielki kremowy abażur, który rozchodził się jak sukienka i Brian musiał lekko przekrzywić głowę, żeby nie zasłoniły jej frędzelki.

Patrzyłam na puszkę z cukierkami. Stała na podnóżku obok kanapy.

– Pani ma piękny śpiewny głos, proszę pani – powiedziałam.

– Dziękuję, kochana. – Wyciągnęła rękę. – Paluszka toffi?

Moja ręka wplątała się w skręcone kolory, zobaczyłam, jak Tilly kręci lekko głową i uśmiecha się.

– Porządek nabożeństwa jest na parapecie. Musisz to przeczytać, Brian. Potem odłożę go do innych.

Brian spojrział spod oka.

– Teraz nie mam czasu. Później przeczytam.

W salonie pani Roper brakowało powietrza. Pachniało karmelem i miętówkami, w atmosferze wisiała słodycz, która owinęła się wokół nas jak bandaż. Ściany były we wzory z cukierni, kłęby kawy i śmietanki, a nad kominkiem stały zdjęcia w srebrnych ramkach. W ramkach widniał rząd ludzi, którzy wyglądali tak samo – okrągli i lśniący, z uśmiechami z wesołego miasteczka. Stali na półce nad kominkiem jak wańki-wstańki.

– Moi rodzice – powiedziała pani Roper, kiedy zobaczyła, że patrzę. – I mój brat, i moja siostra.

Odwinęła toffi.

Uśmiechnęłam się.

– Oczywiście, wszyscy nie żyją.

Przestałam się uśmiechać.

– Zawały – powiedział Brian zza frędzli.

Pani Roper zwolniła na chwilę tempo przeżuwania i popatrzyła na Briana.

– To prawda – powiedziała, odwróciła wzrok i znów nabrała tempa. – Moja matka padła martwa w 1961 roku, w środku konkursu Miss World. Potem nie mogłam nawet spojrzeć prosto w oczy Michaelowi Aspelowi.

Wzięłam jeszcze jeden trójkącik.

– To samo było z panem Roperem?

– Nie – odparła. – Dwanaście lat temu wsiadł na prom do Yarmouth i więcej go nie widziano.

– Utonął? – zapytała Tilly.

– Nie, uciekł z jedną z dziewczyn z hali maszyn – odparł Brian.

Pani Roper rzuciła mu spojrzenie. Potem wzruszyła ramionami, a uśmiech pofałdował jej twarz i zmarszczył nos.

– A jednak. Nic nie jest wieczne, prawda? – Sięgnęła po kolejnego cukierka. – Wszystko wedle bożej woli.

– Więc pani wierzy w Boga, proszę pani? – zapytałam.

– O Boże, hm, tak, Boże. – Mówiła, jakbym zapytała o starego, ukochanego przyjaciela. – Bóg dał, Bóg wziął.

– Myśli pani, że Bóg wziął panią Creasy?

Zobaczyłam, że Tilly przesunęła się na skraj krzesła.

– No tak, ktoś ją zabrał. – Pani Roper nachyliła się i powachlowała egzemplarzem „The People’s Friend”. – Ale nie sądzę, żeby Bóg miał z tym coś wspólnego.

– Mamo, nie zaczynaj. – Brian zmienił pozycję, usłyszałam, jak sprężyny w fotelu budzą się i ziewają.

– Hm, to nie byłby pierwszy raz, prawda? – powiedziała pani Roper.

Brian znowu zmienił pozycję.

– Może napilibyśmy się herbatki? Odkurzałem całe popołudnie.

– Doskonały pomysł, Brianie. – Pani Roper położyła nogi na podnóżku. – Nastaw czajnik. Grzeczny z ciebie chłopiec. Po

pogrzebach zawsze tak mi się chce pić.

Zaproponowałam, że pomogę Brianowi robić herbatę, czekaliśmy w wąskiej kuchni rozciągającej się wzdłuż tyłu domu. Drzwi kredensu były smutno orzechowe, a w kuchni było tak ciemno i cicho, że czułam się, jakbym siedziała w pudełku.

– Nie zwracaj uwagi na moją mamę – powiedział Brian. Nasypał łyżeczką listków herbaty do jasnopomarańczowego imbryka. – Czasem ją ponosi. Za dużo czasu spędza na tej kanapie, bije się z własnymi myślami.

– Nie wychodzi za często?

– Nie, odkąd odszedł mój tato. – Otworzył jedną z kuchennych szafek, zobaczyłam masę talerzy i misek, która tylko czekała, żeby spaść. – Usadowiła się w pokoju od frontu, kiedy odszedł, czekała, aż wróci i przeprosi, i od tego czasu niewiele się ruszała.

W czajniku woda zaczęła się gotować. Najpierw skromnie, pstrykając o dzióbek, z lekka stukając w metal. Potem głośniej, grzechocząc z niecierpliwości, rozsyłając po kafelkach gniewny świst pary.

– Musiał się pan martwić, kiedy odszedł. To dopiero szok.

– Właściwie to nie – odparł. – Czułem, że to się zbliża. Jak deszcz.

Wziął tacę z wierzchu lodówki. Wyglądała na zużytą i wymęczoną, kręgi po kubkach herbaty odmierzały przeszłość.

– Myśli pan, że to samo było z panią Creasy? – zapytałam. – Myśli pan, że zaplanowała, że odejdzie?

Brian nie odpowiadał przez chwilę. Postawił na tacy dzbanuszek z mlekiem, imbryk i cukiernicę. Potem zaczął wyjmować kubki z kredensu. Każdy kubek miał inny wzorek, naparstnice, stokrotki, hortensje klóciły się, która głośniejsza.

– Bo ja wiem – powiedział po chwili. – Chyba nie.

Czekałam. Odkryłam, że czasem, kiedy zachowuje się ciszę, ludzie nie mogą się powstrzymać przed jej zapełnieniem.

– Umówiła się na następny dzień. – Sięgnął do pojemnika z herbatnikami stojącego obok czajnika. Miał kształt psa myśliwskiego i Brian musiał zdjąć wierzch jego głowy, żeby wydobyć paczkę z imbirowymi orzeszkami. – Nie zawiodłaby ludzi. Nie była z niej taka damulka.

– Z kim była umówiona?

Brian naciągnął różowy i zielony kapturek na imbryk, ciągnąc za szydełkowanie, żeby równo pasował na dzióbek. Odwrócił się i popatrzył na mnie. Już miał powiedzieć, kiedy głos pani Roper dotarł do nas przez korytarz z salonu.

– Brian, wybrałeś się do Chin po tę herbatę?

Kiedy poniósł tacę, paczka herbatników potoczyła się na jej brzeg. Przez chwilę patrzył mi w oczy, potem odwrócił wzrok.

– Ze mną – powiedział.

– W środku niedzielnego obiadu – oznajmiła pani Roper, kiedy weszliśmy. – Rozkładała pieczone ziemniaki, a chwilę

potem leżała twarzą w talerzu z nadzieniem do indyka.

– Pani Roper właśnie opowiada mi wszystko o atakach serca – powiedziała Tilly. Wyglądała trochę blado. – I chyba opowiedziała wszystko, co można opowiedzieć.

– Wyjaśniałam Tilly, jak ważne jest, żeby żyć chwilą – stwierdziła pani Roper. – Nigdy nie wiadomo, co zaraz się zdarzy. Popatrzcie na Ernesta Mortona. Popatrzcie na Margaret Creasy.

Brian postawił tacę na stoliku. Blat był w szachownicę, ale nigdzie nie było figur szachowych. Paczkę z orzeszkami imbirowymi oparł o dzbanuszek z mlekiem.

– Talerz, Brianie. Przynieś talerz. Mamy towarzystwo. – Pani Roper zamachała rękami i cmoknęła językiem o przednie zęby.

– To miły chłopak – powiedziała, kiedy Brian wyszedł z pokoju – dość nieszkodliwy, ale cokolwiek prosty. Jak jego ojciec.

– Więc spędzała pani dużo czasu z panią Creasy? – zapytałam.

Wrócił Brian, wysypał orzeszki imbirowe na talerz. Ożyły dzięki obecności pani Roper na kanapie.

– Całymi godzinami grywałyśmy w karty – odparła pani Roper. – Znałam ją lepiej niż ktokolwiek.

– Ale nie wie pani, dlaczego zniknęła? – Wykalkulowałam, że dam radę sięgnąć po orzeszek imbirowy, jeśli przesunę się na sam skraj krzesła. – Nic pani nie mówiła?

– Nie, nie mówiła. – Pani Roper wyglądała na bardzo sobą rozczarowaną. – Nie powiedziała nawet słowa.

Brian nalał herbatę. Zobaczyłam, że między jednym a drugim kubkiem spogląda na matkę.

– Chociaż mogła nie mieć specjalnego wyboru w tej sprawie. – Mówiła bardzo szybko, tymczasem Brian był zajęty cukiernicą.

– Mamo, nie zapychaj im głów tymi bzdurami.

– Brianie, mówię tylko to, co myślę. Po to twój dziad walczył na wojnie, żebym mogła mówić, co myślę. – Zanurzyła herbatnik w herbacie i maleńkie okruszki imbiru zaczęły się unosić na mlecznych falach. – Na tej ulicy jest mnóstwo ludzi, którzy wiedzą więcej, niż mówią.

– Co to znaczy, proszę pani? – zapytałam.

Possała herbatnik, zanim zniknął w jej ustach, potem dodała więcej cukru do herbaty. Słyszałam, jak łyżeczka, krążąc po kubku, stuka o hortensje. Brian stanął przed nią. Próbował położyć rękę na półce nad kominkiem, ale była trochę za nisko.

– To znaczy – powiedziała, patrząc na Briana, zanim dokończyła – że na świecie żyją bardzo różni ludzie.

Brian nadal się nie ruszał.

– Są przyzwoici ludzie – powiedziała pani Roper – a są też dziwacy, tacy, którzy nie powinni być. Tacy, którzy są dla reszty z nas problemem.

– Kozły i owieczki – wtrąciła Tilly z drugiego końca pokoju.

Pani Roper zmarszczyła brwi.

– Hm, chyba tak, skoro tak chcesz to widzieć.

– To Bóg tak to widzi – powiedziała Tilly i złożyła ręce pod poncho.

– Rzecz w tym, że tacy ludzie nie myślą jak reszta z nas. Są niedopasowani do otoczenia, są szajbusami. To są tacy, z którymi powinna rozmawiać policja, a nie ludzie tacy jak my. Normalni.

– Proszę pani, czy policja panią też odwiedziła?

Zanurzyła kolejny herbatnik.

– O tak, byli tutaj. Posterunkowy jakiś tam. Jak się nazywał, Brianie?

– Green. – Brian wrócił, żeby usiąść pod oknem, pod frędzlami.

– Właśnie. Posterunkowy Green. Nie wie więcej niż reszta z nas, dokąd poszła Margaret. Chociaż nie widziałam, żeby stukał pod jedenastkę, a ty widziałeś, Brianie?

Brian pokręcił głową. Odniosłam wrażenie, że już mu zadawano to pytanie.

– Skąd pani wie, którzy ludzie są tacy – zapytała Tilly – niedopasowani?

Pani Roper wyssała resztę herbaty z herbatnika.

– To proste jak drut. Mają dziwne obyczaje, dziwnie się zachowują. Nie zadają się z innymi. Nawet wyglądają inaczej.

– Naprawdę? – zapytałam.

– Zrozumiesz, jak podrośniesz. Można ich rozpoznać na kilometr. Nauczysz się przechodzić na drugą stronę ulicy. – Wskazała podnózek. – Brianie, postaw tutaj popielniczkę, nogi mnie dobijają, ledwie mogę się ruszać.

– Może dlatego się nie zadają – powiedziała Tilly – bo wszyscy inni są po drugiej stronie ulicy.

Ale pani Roper skupiła się na zapalaniu papierosa i w kilka sekund chmura dymu zaczęła płynąć przez pokój.

Na ulicy zająknął się silnik parkującego samochodu, rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Brian wsadził głowę w abażur, próbując popatrzeć za lampę stojącą.

– To ciekawe.

– Co? – Pani Roper podniosła wzrok znad puszek z cukierkami z instynktem dzikiego zwierzęcia.

– Znowu policja.

Skoczyła z kanapy jak diabeł z pudełka. Wszyscy ruszyliśmy w stronę okna, Tilly udało się przecisnąć pod pachą pani Roper. Patrzyliśmy, jak posterunkowy Green wkłada czapkę, obciąga kurtkę i zaczyna iść w górę ulicy.

– Idzie pod jedenastkę? – zapytała pani Roper.

– Nie wygląda na to. – Policjant przeszedł przez ulicę, a Brian lekko odsunął zasłonę, żeby poprawić widok.

Patrzyliśmy, jak posterunkowy Green idzie obok domów i staje pod numerem czwartym.

– Wygląda na to, że przyszedł do twojego domu, Grace. – Brian opuścił zasłonę na okno.

Pani Roper mocno się zaciągnęła.

– Hm, patrzcie tylko – powiedziała.

Ulica
numer 4

5 lipca 1976

Tilly i ja siedziałyśmy dokładnie w połowie schodów.

Po serii doświadczeń wywnioskowałam, że to najbardziej użyteczny stopień. Trochę wyżej i nic się nie słyszy, trochę niżej i jest ryzyko, że zostanie się wykrytym i odesłanym do swojego pokoju, i będą powtarzać przysłowia o ludziach, którzy podsłuchują za drzwiami.

– Czegoś nie usłyszałyśmy? – zapytała Tilly.

Moja matka przymknęła drzwi do salonu, ale została szpara, przez którą widać było kurtkę posterunkowego Greena i lewe ramię mojego ojca.

– Chyba właśnie proponują mu herbatę – wyszeptałam. – Pewnie nie robiliby tego, gdyby ich aresztował.

Słyszałam moją matkę. Mówiła kruchym głosem. Jak jajko.

– Wolałabym zostać, jeśli wam to nie przeszkadza.

Lewe ramię ojca poruszyło się, prawdopodobnie razem z prawym.

– Wszystko, co powiem panu, powiedziałbym mojej żonie – stwierdził.

Ojciec nigdy nie mówił o matce: moja żona.

Po plecach posterunkowego Greena domyśliłam się, że wyjmuję z kieszeni notatnik. Słyszałam zza drzwi przewracanie kartek i palce ojca stukające o oparcie krzesła.

– Proszę pana, czy jest pan właścicielem Bennett Nieruchomości i Zarządzanie mieszczących się na StJohn Street pod numerem 54? – zapytał posterunkowy Green.

Ojciec powiedział, że tak. Mówił cichym i nieistotnym głosem. Nawet jakby to nie on mówił, ale ktoś, kto próbuje przypomnieć sobie, że może być kimś wartościowym.

– Pojawił się świadek – powiedział posterunkowy Green – który widział, jak pani Creasy wchodziła do pańskiego budynku o... – znów dźwięk odwracanej kartki ...około drugiej po południu dwudziestego czerwca.

Stukanie ustało, jego miejsce zajęło milczenie. Jakby nie wiedzieli, kto ma się odezwać następny.

W końcu odezwała się moja matka.

– To było na dzień przed jej zniknięciem.

– Tak – stwierdził posterunkowy Green. – To była też niedziela.

Usłyszałem, jak matka wypuszcza oddech. Jakby trzymała go od jakiegoś czasu.

– Hm, nie wiem, co tam robiła, ale to nie mogło mieć nic wspólnego z Derekiem. W niedzielne popołudnia chadza na spotkania przy Okrągłym Stole, prawda Derek?

– Panie Bennett? Może pan powiedzieć, gdzie pan był w niedzielne popołudnie dwudziestego czerwca?

Mój ojciec niczego nie powiedział. Zaszurał stopami po dywanie, a my wsłuchiwałyśmy się oddech mojej matki.

– Panie Bennett?

– Możliwe, że tamtego dnia krótko z nią porozmawiałem – powiedział w końcu ojciec. – W przelocie.

Kartka w notatniku policjanta znów się odwróciła.

– Ale kiedy rozmawiałem z panem w ubiegłym tygodniu i zapytałem, kiedy ostatni raz widział pan panią Creasy, wyraźnie pan powiedział, że może to był czwartek, możliwe, że piątek – stwierdził posterunkowy Green.

Tilly odwróciła się do mnie na schodach z bardzo szeroko otwartymi oczami. Ja za to zmrużyłam swoje.

– To musiało umknąć mojej pamięci – powiedział mój ojciec. – Ale teraz, kiedy pan o tym mówi, tak. Tak. Istotnie widziałem się z nią w niedzielę.

– Proszę pana, pan ma biuro otwarte w niedziele? – zapytał posterunkowy Green.

– Nie. – Na pytanie odpowiedział głos mojej matki. – Jego biuro nie jest otwarte w niedziele.

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego pani Creasy miałyby odwiedzać pańską posesję?

– Derek? – Nie widziałam twarzy matki, ale wyobrażałam sobie, że napięła się nad tym pytaniem jak skóra na bębnie.

Jeszcze nie widziałam ojca w takiej sytuacji. To on zawsze zadawał pytania. Poczułam się dziwnie, jakby światło się przesunęło, i zdałam sobie sprawę, że przeczytałam tylko jeden

rozdział całej opowieści. Kiedy mój ojciec wreszcie się odezwał, musiałyśmy z Tilly przechylić się nad poręczą, żeby go usłyszeć.

– Potrzebna jej była porada – powiedział. – To był jedyny dzień, kiedy mogła wpaść.

– Porada? – zapytał posterunkowy Green.

– Zgadza się.

– Na temat... – usłyszałam, jak kartki znowu się odwracają. Nie lubiłam tych kartek – ...nieruchomości i zarządzania?

Widziałam lewe ramię ojca. Przemieszczało się, żeby złączyć się z prawym. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko kuchenny zegar pożerający sekundy.

– Myślała o inwestowaniu – powiedział w końcu.

– Rozumiem pana, tyle że jej mąż nie wspominał nam o tym.

– Nie sądzę, żeby rozmawiała o tym z mężem, panie posterunkowy. Żyjemy w latach siedemdziesiątych. W dzisiejszych czasach kobiety podejmują decyzje na własną rękę.

Jego głos znowu zrobił się wylewny. Niemal znowu stał się moim ojcem.

Widziałam, jak policjant poprawia kurtkę i odkłada notatnik, usłyszałam, jak radzi ojcu, żeby pomyślał, czy może coś jeszcze umknęło jego pamięci. Powiedział „umknęło jego pamięci”, jakby uczył się mówić w obcym języku. Mój ojciec powiedział tym nowiuteńkim, wylewnym głosem, że pomyśli. Otwarto drzwi salonu i wszyscy ruszyli w stronę korytarza. Tilly i ja musiałyśmy pobiec na półpiętro, nie wydając ani pisku.

– No i co myślisz, o co tam chodziło? – zapytała Tilly, kiedy dotarłyśmy do mojej sypialni. Schody i podniecenie odebrały jej

oddech.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie bardzo wiem – powiedziałam.

– Nie myślisz, że to dziwne, że twój tato nie mówił o tym wcześniej?

– Może.

– Hm, a ja sądzę, że to jest naprawdę dziwne. – Przeciągnęła słowo naprawdę, kiedy zdejmowała poncho przez głowę. – To w ogóle nie ma sensu.

Usiadłyśmy na łóżku. Puchowa narzuta była śliska i chłodna w zetknięciu z tylną częścią moich nóg. Pod stopami słyszałam nabrzmiewający głos mojej matki, który podnosił się i odbijał od sufitu.

Tilly wzięła jednego z lemurów i przyłożyła go do twarzy.

– Twoja mama chyba nie jest bardzo szczęśliwa – powiedziała.

Przeciągnęłam dłońmi po naelektryzowanym materiale i otrząsnęłam je.

– Nie.

– Pewnie się zdenerwowała, że policjant musiał przychodzić drugi raz. Oni są bardzo zajęci, prawda? To pewnie taka sprawa.

– Pewnie tak.

– Chyba nie ma się czym martwić – stwierdziła, ale miała zaniepokojoną minę.

Głos mojej matki nadal przebijał się między deskami podłogi. Słowa były pofragmentowane i niekompletne, co jakoś

pogarszało sprawę. Gdybym słyszała, co mówili, pewnie znalazłabym kieszonkę otuchy, bo wiem, że moja matka doskonale potrafi czasem ubarwić cały wieczór kłótnią o absolutne nic. Chciałabym, żeby tak było także tym razem, więc wstrzymywałam oddech i próbowałam wyłowić jakiś sens z kawałków, ale uderzały w sufit jak żwir.

Za głosem matki słychać było ciche, zrzędlive przeprosiny ojca, a w przerwach garści słów matki słyszałam, jak mówi: „niby co miałem powiedzieć” i „dlaczego miałbym kłamać?”, a potem znów nikt w fali krzyku.

Tilly odłożyła figurkę na półkę.

– To dziwne, prawda? Dlaczego wcześniej nie mówił, że widział panią Creasy?

Przesunęłam lemura troszeczkę na lewo.

– To musiało umknąć jego pamięci – powiedziałam.

Słowa zabrzmiały, jakby były w obcym języku.

6 lipca 1976

Szłyśmy High Street za panią Morton. Płynęła po chodniku jak statek, omijając wózki z dziećmi i pieski, i ludzi, którzy zatrzymali się, żeby wytrzeć lody z podbródków.

To był najgorętszy jak dotąd dzień lipca. Niebo wyprasowane było na kwaśny błękit, nawet chmury odpadły z obrzeży, zostawiając nad naszymi głowami nienaganną stronicę lata. Mimo to byli tacy, którzy nadal nosili w sobie nieufność. Szłyśmy obok swetrów owiniętych wokół łokci i płaszców

przeciwdeszczowych wciśniętych w torby na zakupy i jakiejś kobiety niosącej parasol wciśnięty pod pachę jak armatę. Jakby ludzie nie potrafili całkiem uwolnić się od pogody i musieli przez cały czas obnaszać się z wszelkimi jej formami, dla bezpieczeństwa.

Pani Morton udawało się porozmawiać ze wszystkimi napotkanymi. Nie musiała się nawet zatrzymywać. Moja matka zatrzymywałaby się w drzwiach sklepów, na skraju chodnika, aż torby na zakupy wpiłyby się jej w palce, a moje stopy zaczęłyby skrobać niecierpliwie po chodniku, ale pani Morton potrafiła rozmawiać, idąc. Rozdawała małe próbki siebie każdemu, nie dając się zakotwiczyć pytaniami. Ale jednak zatrzymała się przed Woolworthem, żeby przyjrzeć się stosowi leżaków ustawionemu na chodniku przy drzwiach. Tilly i ja pokazywałyśmy rzeczy w koszykach, które chciałybyśmy mieć – strzałki do rzucania na świeżym powietrzu, stylofony, rakiety do badmintona opakowane w celofan. Były tam nawet wieże wiaderek i szpadelków i komin form do robienia zamków z piasku, sięgający Tilly aż do podbródka. Najbliższa plaża była oddalona o sto kilometrów.

Patrzyłam przez drzwi na rzekę słodyczy na wagę.

– Moglibyśmy stanąć na chwilę w środku, żeby schować się przed słońcem? – Popatrzyłam na panią Morton.

– Miałyśmy iść do biblioteki – odparła.

– To ważne, żeby uniknąć udaru słonecznego. – Obejrzałam się na słodycze. – Tak powiedziała Angela Rippon.

Pani Morton poszła za moim wzrokiem.

– Myślę, że przeżyjemy najbliższe trzy i pół minuty – odparła.

Biblioteka była na samym końcu High Street, gdzie sklepy ustępowały księgowym, adwokatom i architektom z ich georgiańskimi frontonami i grubymi plakietkami z brązu. Wychodziła na park i bramę pamięci, gdzie ubiegłoroczne maki leżały przy ogrodzeniu rozjaśnione do krwawego rózu. Do biblioteki zabierała mnie zazwyczaj matka, ale odkąd do domu przyszedł posterunkowy Green, jej życie jakby straciło kontakt z czasem i datami. Moi rodzice co kilka godzin zataczali ten sam krąg rozmowy, podczas której matka oskarżała ojca o kłamstwo, a ojciec matkę, że jest śmieszna, a oboje oskarżali się, że są niedorzeczni. Słowa wirują po pokoju przez parę minut, aż wyczerpuje się ich energia, więc znikają, żeby podładować się na następny raz, kiedy rodzice spotkają się na schodach albo w korytarzu, albo po obu stronach kuchennego stołu.

Pani Morton pchnęła drzwi do biblioteki i razem z Tilly weszłyśmy pod jej ramieniem. Po sypialni tu było moje najulubieńsze miejsce na świecie. Wyścielone dywanami, z ciężkimi regałami z książkami, tykającymi zegarami i welwetowymi fotelami, jak u kogoś w salonie. Pachniało nieprzekartkowanymi książkami i niewidzianymi przygodami, a na każdej półce byli ludzie, których miałam jeszcze spotkać, i miejsca, które miałam jeszcze odwiedzić. Za każdym razem gubiłam się w korytarzach książek i wypolerowanych

drewnianych pokojach, podejmując decyzję, którą podróż za chwilę rozpocząć.

Pani Morton wyjęła z torby moje książki z ostatniego razu i położyła je na kontuarze.

– Książki Grace Bennett zwrócone na czas – powiedziała bibliotekarka. Zatrząskiwiała po kolei okładki, wywołując lekki wietrzyk nad kontuarem. – To chyba pierwszy raz.

Uśmiechnęłam się do niej jak najszerzej, a ona wręczyła mi bilety i zmarszczyła brwi. Dłonie miała pokryte atramentem, który przeniknął do rowków przy paznokciach.

Miałam pięć biletów. Pięć przygód do wyboru.

Najpierw odwiedzałam Aslana i Mowglię oraz Jo i Meg. Tyle razy ich czytałam, że widziałam w nich przyjaciół. Musiałam przejechać palcem po grzbiecie każdej książki, żeby sprawdzić, czy jest na swoim miejscu, i upewnić się, że jest bezpieczna. Dopiero potem mogłam w ogóle pomyśleć o zrobieniu czegoś innego. Tilly pokazała książki, które chciała wypożyczyć, i zostawiłam ją nad *Alicją w Krainie Czarów* na bardzo małym krzeselku przy bardzo małym stoliku.

Przeszłam obok pani Morton, która stała przed westernami.

– Nie zostajesz w czytelni dla dzieci? – zapytała.

– Wyrosłam z niej, proszę pani. Mam już dziesięć lat.

– Ale tam jest trochę książek bardzo odpowiednich dla młodych, dziesięcioletnich dam. – Trzymała w ręku powieść. Na okładce był narysowany stetson z dymiącą dziurą po kuli w samym środku.

– Tak, wiem, wszystkie przeczytałam – odparłam.

– Wszystkie?

– Aha.

Książka nosiła tytuł *Kula dla Beau Barrowclough*.

– Muszę rozszerzyć swoje lektury – dodałam.

Odłożyła *Beau Barrowclough* na półkę.

– Hm, tylko nie rozszerz ich za bardzo.

Szłam między romansami, za kucharstwem i podróżami, obok pokoju z boku, pełnego starych gazet i plakatów o porankach kawowych. Dotarłam do pokoju non-fiction z tyłu budynku. Tutaj półki były szersze, korytarze dłuższe, a zapach książek jeszcze mocniejszy. Nieznany mi. Dojrzały, ciężki zapach nauki. Właśnie doszłam do C, kiedy sponad półek doleciała mnie rozmowa.

„Właśnie to słyszałam. Tyle że słyszałam, że się z nim pokłóciła”.

„Och, nie, nie pokłóciła się. To było niespodziewane”.

Jeden z głosów należał do zrzędlivej bibliotekarki z dłońmi uwalanymi atramentem.

Poszli gdzieś wzdłuż korytarza i na chwilę straciłam zasięg.

„Hm, to logiczne, prawda? Któż inny to mógł być?” – powiedział drugi głos, kiedy znowu ich znalazłam.

„Ja zawsze odchodzę i staję z tyłu, kiedy on tu przychodzi. Na jego widok mam gęsią skórkę”.

„On ma nie po kolei w głowie, prawda? Od razu to po nim widać”.

Zdjęłam z półki słownik cytatów, żeby lepiej słyszeć.

„Ona tu była, wiesz, parę dni przed tym, jak zniknęła”.

Drugi głos wydał okrzyk zdziwienia.

„Co wzięła?”

„Nic. Nie miała karty bibliotecznej. Spędziła jakieś pół godziny w bocznej czytelni i wyszła”.

„Nie zdziwiłoby mnie, gdyby była pod jego patio”.

„Mnie też nie. On wygląda na zabójcę, ten wiesz. Widać to w jego oczach”.

„Oj, Carole, wygląda. Masz rację”.

Głosy odpłynęły od słowników i encyklopedii i zniknęły gdzieś za systemem słonecznym i lokalnym folklorem.

– Wybrałaś? – Pani Morton stała z Tilly przy kontuarze.

– Wybrałam – odpowiedziałam, chociaż wykorzystywałam podbródek, żeby ustabilizować wieżę książek, które niosłam, i nie było mi łatwo mówić.

– Grace, ile tego jest? – zapytała pani Morton. – Masz tylko pięć kwitów.

– Tilly powiedziała, że wypożyczy cztery dla mnie.

– Powiedziała? – powtórzyła Tilly.

Pani Morton odwróciła głowę, żeby popatrzeć na książkę Tilly.

– Co wybrałaś?

– *Lwa, czarownicę i starą szafę* – powiedziała Tilly.

– Ona zawsze to bierze. Ma słabość do pana Tumnusa.

– Wcale nie mam! – Przycisnęła książkę do piersi. – Po prostu lubię śnieg.

Pani Morton dokładnie przyjrzała się mojej wieży książek.

– Mogę popatrzeć? – zapytała.

Wzięła ze stosu tę z wierzchu.

– *Umysł seryjnego zabójcy*, interesujący wybór. A co my tutaj mamy? – Wzięła kolejną książkę. *Tajemnice Czarnego Muzeum*. I kolejną. *Morderstwa dwudziestego wieku. Antologia*. Uniosła brwi i popatrzyła na mnie.

– Do badań – wyjaśniłam.

Zerknęła na książkę, która teraz była na wierzchu stosu.

– *Kula dla Beau Barrowclough?*

– To okładka – stwierdziłam. – Spodobała mi się.

– Chyba nadszedł czas, żebyśmy to ponownie przemyślały, nie uważasz?

Wróciłyśmy do półek, a bibliotekarka stemplowała, stukając i przejeżdżała palcami w atramencie po moich przemyśleniach. Potem opuściłyśmy dywany, chłodne, wypolerowane korytarze i weszłyśmy w upał, który drżał w koronach drzew i sprawiał, że brzegi świata falowały i pływały.

– Kurczę – powiedziała Tilly, przytrzymała *Narnię*, zdejmując sweterek.

– Wrócimy przez park – oznajmiła pani Morton, pokazując bramy z odwagą subsaharyjskiego odkrywcy. – Znajdziemy trochę cienia.

W parku cienia raczej nie było. Znalazły się zakątki chłodne i cieniste, gdzie drzewa rzucały ciemność na dróżki, ale większą część terenu trzymał oślizgły upał, a my chodziłyśmy zygzakiem, żeby się schować. Byli tam ludzie, którym upał chyba nie przeszkadzał. Leżeli na poduszkach z T-shirtów, anteny ich odbiorników wysuwały się teleskopowo ku słońcu, zaniedbane powieści leżały odwrócone na trawie. Były dzieci, wiosłowały i piszczały, słońce nie popuszczało ani jednego pociągnięcia, a rodzice zsuwali w dół kapelusze przeciwsłoneczne i wcierali krem w zakurzone kolana.

Dotarło do mnie, że klapanie sandałów Tilly ustało. Obejrzałam się. Stała przy podium dla orkiestry, opierała się o barierkę, sweterek nadal miała zawiązany w pasie. Pani Morton, dalej na ścieżce, też się zatrzymała i kantem dłoni osłoniła oczy od słońca.

– Ze mną wszystko w porządku, proszę pani – powiedziała Tilly. – To tylko upał. Nogi robią się mokre.

Kiedy pani Morton przechodziła obok mnie, spojrzałam jej w twarz. Zaschło mi od tego w ustach i zrobiło się niedobrze.

Pani Morton zajrzała Tilly w oczy, dotknęła jej czoła i nachmurzyła się. Powiedziała, że wszystkie powinnyśmy usiąść na chwilę w cieniu podium dla orkiestry. Nikogo tutaj nie było poza nami, tylko smugi ptasich odchodów na złuszczonych drewnianych barierach i stara gazeta, która odwracała się i odwracała na betonie, kiedy wietrzyk wertował jej kartki.

Tilly powiedziała, że czuje się „świetnie, naprawdę świetnie”, ale skórę miała białą jak porcelana, a ja zobaczyłam

zatroskanie pani Morton.

– Jestem tylko trochę roztrzęsiona, to wszystko – powiedziała Tilly.

– Nie należy z tym przesadzać. – Pani Morton położyła rękę na rękę Tilly. – Musisz bardzo na siebie uważać.

– Grace powiedziała, że nie stanie mi się nic złego. Powiedziała, że na to nie pozwoli.

Pani Morton przez chwilę patrzyła mi w oczy i odwróciła się.

– Oczywiście, że nie stanie ci się nic złego. Ale twoja matka chce, żebyś była ostrożna, prawda?

Tilly pokiwała głową, a ja zobaczyłam, że kropelki potu spływają jej po czole.

– Więc posiedzimy tutaj przez chwilę. Aż odzyskasz oddech.

Przypomniałam sobie mały kiosk obok pomnika poległych na wojnie.

– Może lody by pomogły? – zapytałam. – Albo napój?

Tilly pokręciła głową i oznajmiła, że może łyk wody byłby w sam raz.

Pani Morton rozejrzała się, nadal trzymała rękę na rękę Tilly.

– Pójdę – powiedziałam. – Znajdę dla ciebie trochę wody.

Uciekłam od podium dla orkiestry, przyjęłam z radością piekący skwar na ramiona i głosy beztroskich ludzi. Kiosk był za kolorowymi frisbee i tranzystorami. Cały był w różowe i żółte paski, a płótno na nim trzaskało i strzelało na wietrze, kiedy czekałam, aż sprzedawca znajdzie plastikowy kubek.

Popatrzyłam w stronę podium dla orkiestry i nie chciałam wracać do troski w kącikach oczu pani Morton i do Tilly, bladej,

cichej i małej.

Ulica
numer 12

9 lipca 1976

Oszalałam, śpiewała Patsy Cline.

– Oszalałam – śpiewała Sheila Dakin pół sekundy później.

Śpiewała, przebijając się nad odkurzaczy, nad woń gorących latem dywanów, nad worek z kurzem, który błagał, żeby go opróżnić. Patsy wiedziała, co to znaczy cierpieć. Była ofiarą życia. Słyszałam to w vibrato. Popychała odkurzaczy wzdłuż korytarza, obok chóru płaszczy i sterty samochodzików Keithiego, ostro skręciła w prawo, do salonu.

– Daj sobie spokój, mamó. – Lisa podniosła nogi na kanapę.

Sheila, robiąc entré, zmieniła tonację.

– Mamó! Próbuję czytać!

Odkurzaczy stukał o meble, przewód wił się wokół pokoju, otaczał nogi stołu, zapomniane buty, skraj popielniczki.

– Będziesz tęsknić za moim śpiewem, jak mnie już nie będzie.

– Sheila pociągnęła sznur. – Będziesz jęczała, żeby znów usłyszeć te nuty.

Lisa podniosła wzrok znad czasopisma.

– Dlaczego? Dokąd się wybierasz?

– Donikąd. Ale kiedy się wybiorę, będziesz jęczała, Liso Dakin. Zważ na moje słowa.

Przechodząc, zerknęła w lustro, potarła makijaż pod okiem, ale wsiąknął tylko głębiej w zmarszczki i został w fałdach skóry, które nie chciały się rozprostować i wrócić tam, gdzie być powinny.

Płyta była podrapana i zniszczona, ale muskanie strun zawsze wpychało ją trochę głębiej w cierpienie, więc wyłączyła odkurzacz, żeby na pewno nie przegapić wpychania.

– Dlaczego to jest zawsze ta cholerna piosenka? Muszą być jakieś lepsze – powiedziała Lisa, odwracając kartki.

– Wiesz, że ona zginęła w katastrofie lotniczej.

– Mówiłaś.

– Miała tylko trzydzieści lat. Całe życie było przed nią.

– Wiem. Mówiłaś. – Lisa popatrzyła przez oparcie kanapy. – Mówiłaś też o Marilyn, o Carole i o Jayne.

– Liso, warto o tym pamiętać. Zawsze jest ktoś, kto ma gorzej niż ty.

– One nie żyją, mammo.

– Właśnie.

Sheila pstryknęła innym przełącznikiem i kurz, upał i jazgot silnika ustąpiły.

– Skończyłam. Wychodzę na zewnątrz.

Lisa odwróciła stronę.

– Naprawdę wolałabym, żebyś nie opalała się przed domem. To niegodne.

Jej twarz się zmienia, pomyślała Sheila. Formuje się, idzie w stronę ojca. Z każdym rokiem Lisa posuwała się trochę dalej. To musiało dziać się powoli, posiłek za posiłkiem, rozmowa za

rozmową, ale Sheila dostrzegła to tylko podczas sprzeczek. Potem docierało do niej, że to był kolejny krok i że zostaje daleko w tyle. Dawała sobie radę z tym, że córka robi się starsza. Dawała sobie radę z chłopakami i wagarami, i lekkim zapachem papierosów, i gumą do żucia. Inaczej było z tą różnicą między nimi, różnicą, której nie można było zdjąć i odłożyć.

– To mój ogródek – powiedziała Sheila. – Robię w nim, co chcę.

– Ludzie patrzą.

– Niech się, cholera, patrzą.

– To, jakbyś szła do sklepu na rogu w kapciach i lokówkach.

Po prostu przestań.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy. – Lisa odwróciła kolejną kartkę. – A jeśli wszyscy coś mówią, to może warto posłuchać.

– Rozumiem. – Sheila owinęła kabel wokół odkurzacza. – To dlaczego nie wyjdiesz poszukać sobie pracy na wakacje? Jak wszyscy?

Odpowiedzi nie było.

– W przyszłym roku, o tej porze, ukończysz szkołę. Nie myśl, że będziesz mogła siedzieć tutaj na dupie cały dzień i nic nie robić.

Pojawił się Keithie i rąbnął swoim małym ciałem na krzesło.

– Ale ja mogę siedzieć cały dzień na dupie, prawda? – zapytał.

Sheila popatrzyła na niego.

– Na razie. Na razie. I nie mów dupa.

Dupa, dupa, dupa.

Lisa odwróciła kolejną kartkę.

– Chciałabym, żeby Margaret Creasy pośpieszyła się i wróciła. Byłaś innym człowiekiem, kiedy była w pobliżu.

– Byłam? Jak to?

– Mniej wariowania, mniej przeklinania. – Popatrzyła na Sheilę znad czasopisma. – Mniej bólów głowy.

Ostra była, jak jej matka. Za ostra.

– Ona wróci – powiedziała Sheila. – To ten upał. Ludzie od niego głupieją.

– Chyba że dopadł ją Walter. Lubi robić, żeby ludzie znikali.

Sheila spojrzała na Keithiego. Dłubał końcówką pióra w ramieniu fotela, cały skupiony.

Dupa, dupa, dupa.

– Ostrożnie – powiedziała. – On nie rozumie.

Lisa odłożyła czasopismo.

– Wie, co jest grane. Prawda, Keithie?

– Dziwny Walter – powiedział Keithie. – To magik. Robi tak, że ludzie znikają.

Roześmiał się. Syczącym, bulgoczącym śmiechem, tak jak potrafią tylko dzieci.

– Nie rozumie, dupa blada – powiedziała Lisa.

Dupa, dupa, dupa.

– Nie mów dupa! – Sheila podniosła poduszkę i odłożyła ją na kanapę.

– Nie rozumiem, dlaczego się nie wyprowadził. – Lisa nie odwracała oczu od strony. – Ktoś powinien coś zrobić. Gapi się

przez cały czas.

– Gapi się?

– Na jego widok mam gęsią skórę. – Dżins przesunął się po dżinsie. – Kiedy jestem z koleżankami, staje przy tamtym oknie i patrzy na wszystkich. Jakby zastanawiał się, co zrobić.

Sheila próbowała założyć wtyczkę za kabel, ale nie udawało się jej, kiedy patrzyła na Lisę.

– Coś ci powiedział?

– Mamo, w tym rzecz. – Oto one, te dodatkowe sylaby nastolatków. – On nigdy się nie odzywa. Po prostu patrzy.

– Dasz mi znać... kiedy będzie to robił?

Krótkie kiwnięcie głową. Lisa pociągnęła się za włosy, zdejmując opaskę, bezbłędne, nienadzorowane rozsypały się jej po ramionach.

– Ktoś powinien coś zrobić – powiedziała. – Wszyscy uważamy, że ktoś powinien coś zrobić.

Sheila już miała odpowiedzieć, kiedy usłyszała kroki na dróżce.

– Dzwonek do drzwi! – stwierdził Keithie i wypadł z pokoju, zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać.

Dupa, dupa, dupa, przez cały korytarz.

– Boże, mam nadzieję, że to nie znowu policjant – mruknęła Lisa. – Dopiero co, cholera, był.

– Nie musi się fatygować. – Sheila podniosła ze stołu kubek zimnej kawy. Zostawił kółko na drewnie, tam gdzie na nią czekał. – Powiedziałyśmy wszystko, co było do powiedzenia.

– Wiesz, że wczoraj był pod czwórką? Przesiedział tam kupe czasu. Dziś rano widziałam Dereka Bennetta, wyglądał jak z krzyża zdjęty.

– Nie mówiłaś.

– Nie widziałam się z tobą. Kiedy wychodziłam, byłaś jeszcze w łóżku. Zrobiłam Keithowi śniadanie i ubrałam go. I musiałam dać sobie radę z tymi jego cholernymi pytaniami.

Sheila ścisnęła kubek. Był na nim kożuch mleka, żółty i zmęczony, przywierał do brzegów.

– Byłam zmęczona.

– Tak. – Lisa wróciła do czasopisma. – Też bym była.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, to dlaczego, cholera, nie powiesz?

– Nie mam nic, cholera, do powiedzenia.

To kolejny krok, pomyślała Sheila. Kolejne kilka centymetrów dalej.

– Nie w porę?

Sheila odwróciła się do drzwi. Dorothy Forbes ubrana w naprzemienne warstwy szarości i troski. Typowe jak cholera.

– Dorothy. Jak miło. Oczywiście, że w porę.

Keithie stał obok Dorothy ze złamanym piórem w dłoni. Popatrzył w górę i uśmiechnął się.

– Dupa, dupa, dupa – powiedział.

– Nie chciałabym przeszkadzać.

Siedziały w kuchni. Tu było lepiej. Bez Keithiego i jego „dup”, bez ostrego wzroku Lisy. Próbowwała zainteresować Dorothy rozmową, żeby nie patrzyła na garnki z ubiegłego wieczoru i popielniczkę na ociekaczu, ale słońce wpadało przez okno i pokazywało to wszystko, o czym wolałaby zapomnieć.

– Dot, ty nigdy nie przeszkadzasz.

Patrzyła, jak Dorothy kaszle i śmieje się jednocześnie, ale ani jedno, ani drugie się jej niezbyt udaje, i wtedy przypomniała sobie, że Dorothy nie lubi, jak się na nią mówi Dot. Czuje się wtedy jak zakończenie, mówiła, jak znak interpunkcyjny.

– Chcesz coś do picia, Dorothy?

– Och nie. Ja nie, dziękuję.

Uśmiechnęły się do siebie przez ciszę.

– Chodzi o Keithiego? Jego gra w piłkę znów zdenerwowała Harolda?

– Och nie. Nic z tych rzeczy.

– Lisa?

– Nie. Nie chodzi o Lisę.

To była Dorothy. Taka zawsze była. Chodziła po domach, zmierzała do bliskiego celu bardzo określną drogą. Ale nie wolno było jej poganiać. Jak się ją poganiało, czerwieniła się i wszystkiego się wypierała, i nikt nawet się nie domyślał, co chciała powiedzieć. Sheila czasem myślała, że Dot zostanie pogrzebana z tysiącem niewypowiedzianych słów na ustach. Z całymi encyklopediami wiadomości, których nikt już nie usłyszy.

Czekała.

– Chodzi o Margaret Creasy – powiedziała w końcu Dorothy. – A właściwie o Johna Creasy’ego. Hm, o wszystkich. Próbowałam porozmawiać z Haroldem, ale znasz Harolda, nie chce słuchać, co inni mają do powiedzenia. A Eric Lamb nie jest lepszy. Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić. Ty tam byłaś, wiesz. Ty zrozumiesz.

Kiedy słowa wreszcie nadeszły, były ich całe autobusy.

Sheila sięgnęła po popielniczkę.

– Wszyscy tam byliśmy, Dorothy. Cała ulica tam była.

Dorothy próbowała oprzeć ręce na stole, ale na drodze stanęły jej kubki, gazety i zabawka Keithiego, magiczna ramka do rysowania. Więc podniosła ręce i położyła je na swojej torebce.

– Wiem – odparła. – Ma się wrażenie, jakby to było wczoraj.

– Dot, to było dziewięć lat temu. Dlaczego, do diabła, myślisz, że to ma coś wspólnego z Margaret?

– Bo tak to z tym jest, prawda? – odparła.

Sheila wyjęła papierosa z paczki i postukała nim o stół.

– Z czym tak jest?

W Dorothy zawsze był jakiś niepokój, nawet kiedy była młodsza. Przeczesała krajobraz, szukając kolejnej katastrofy, ociosywała swoje myśli, aż udawało się jej wyrzeźbić z nich problem, a potem cieszyła się, że ma się czym martwić.

Dorothy ścisnęła torebkę jak konika na karuzeli.

– Los. Nie ma znaczenia, co wybierzemy. To zawsze do nas wróci.

Coś błysnęło. Leciutko błysnęło.

– Zgłupiałaś. – Sheila zapaliła papierosa. Papierosy ją uspokajały. – Znowu nie potrafisz się opanować.

– Policja wróciła. Widziałaś?

– Słyszałam o tym.

– Muszą coś wiedzieć. Pytają, szukają Margaret i dowiedzą się. – Słowa Dorothy ześlizgiwały się z jej głowy do ust. – Może już ją znaleźli. Może wszystko im powiedziała i oni wrócą, żeby nas aresztować.

– Uspokój się wreszcie! Margaret nic nie wiedziała, nawet jej tutaj nie było.

– Sheilo, ale ona rozmawiała ze wszystkimi na tej ulicy. Ona jest taka, że wszystko się jej mówi.

Sheila skubnęła maleńki kawałek lakieru, który został na jej paznokciu.

– Była dobrym słuchaczem.

– Właśnie. – Palce Dorothy przemieszczały się po uchwytych torebki. – A tacy ludzie czasem usłyszą coś, czego nie powinni usłyszeć.

Sheila podniosła oczy.

– O Boże, Dot, coś ty jej powiedziała?

– Nic. Ani słowa. – Dorothy ściągnęła brwi. – W każdym razie nie wydaje mi się, żebym jej coś mówiła. – I zamrugnęła, za wolno, znacznie za wolno.

Sheila przeciągnęła palcami po włosach. Czują, jak spray z ostatniego wieczoru lepi się jej do dłoni.

– Jezu, Dot.

Zapaliła papierosa, potem zobaczyła, że poprzedni jeszcze mruga do niej z popielniczki.

– Rozmawiała ze wszystkimi, nie tylko ze mną.

Dorothy nabrała powietrza tak mocno i tak niespodziewanie, że Sheila drgnęła.

– Co? – zapytała.

– A jeśli wszystkiego się domyśliła? Może się z kimś ścięła i dlatego zniknęła?

– Uspokój się, do diabła! – Sheila wiedziała, że krzyczy, ale nie mogła się powstrzymać. – Nawet nie wiemy, dlaczego odeszła.

– Musimy porozmawiać z Johnem. Musimy się dowiedzieć, co powiedziała, zanim odeszła.

Sheila zaciągnęła się papierosem krótkimi, przerywanymi oddechami, które niosły dym do płuc w małych kawałkach.

Lisa wystawiła głowę zza drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Wszystko w najlepszym porządku. Po prostu świetnie. – Sheila nadal patrzyła na Dorothy. Dym przepływał między nimi. Skręcał się w słońcu w leniwe wzory i kłębił w stronę sufitu.

– Tylko jeśli ktoś byłby zainteresowany, to trzeba iść do sklepu na rogu – rzuciła Lisa. – Skończyło się nam mleko.

Sheila sięgnęła po portmonetkę.

– Weź z sobą Keithiego, grzeczna z ciebie dziewczyna.

Lisa zaczęła protestować, w jej gardle formował się krzyk dzikiego zwierzęcia.

– Nie zaczynaj, Liso, weź go i już. – Wręczyła jej monety. – Muszę wyskoczyć na dziesięć minut. On ma tylko sześć lat, nie może zostać sam.

– Prawie siedem – odezwał się głos z korytarza.

Sheila odwróciła się do Dorothy.

– Poczekaj na mnie przed domem, włożę buty.

W spiżarni było chłodno i ciemno. Słyszała, jak Dot szarpie za frontowe drzwi, a Lisa przekupuje Keithiego, żeby wstał.

To było za mąką. Przycupnięte w puszcze z rozsypanym ryżem i makaronem w muszelkach.

Miała to wylać. Powiedziała Margaret, że to wylała. Sięgnęła do puszek i poczuła, że to odpowiada jej dotykiem. Jeden więcej i wtedy pójdzie. Tylko jeden więcej, w tej chwili naprawdę tego potrzebowała.

Z początku nie odpowiadał. Dot przeszła przez rabatkę z kwiatami i przycisnęła twarz do szyby. Sheila słyszała, jak użala się nad bałaganem.

Wyjęła z ust gumę do żucia i krzyknęła przez skrzynkę na listy. Nic, ale usłyszała, że gdzieś, w głębi domu, otwierają się drzwi.

– John, wiem, że tam jesteś! – krzyknęła znowu.

Dorothy wróciła.

– Może wyszedł. Może jej szuka.

– Jest w środku.

Sheila zajrzała przez skrzynkę na listy. Zobaczyła kartony i papier poustawiane w stosy i róg stołu zarzuconego reklamówkami. Wyglądało to tak, jakby pakował się przed przeprowadzką, tyle że nic nie było zapakowane. Wszystko było rozłożone.

Krzyknęła ponownie.

– Wiem, że tam jesteś, nie odejdę i będę tutaj stała, póki nie otworzysz drzwi.

Drzwi otworzyły się.

Minęła chwila, zanim jej wzrok się dostosował, migająca pomarańczowa czerń zbladła i zobaczyła Johna stojącego u dołu schodów. Wyglądał tak, jakby od tygodnia sypiał w ubraniu, które miał na sobie, oczy miał opuchnięte i pełne zwątpienia.

– John, na litość boską. W co ty pogrywasz?

Sheila pchnięciem szerzej otworzyła drzwi, zatrzymały się na pośliskłych gazetach i rozsypanej nieotwieranej poczcie. Cofnął się jak dziecko i pozwolił im wejść. Dot przyłożyła dłoń do ust, karmiąc się chaosem.

– O co tu chodzi? – Sheila podniosła skraj reklamówki, ale wyglądało to tak, że zacznie się reakcja łańcuchowa i cały dom zawali się wokół nich, więc puściła torbę. – Co ty wyprawiasz?

Obgryzał paznokcie jak gryzoń.

– Próbuję to znaleźć.

– Co znaleźć?

– To coś, przez co Margaret odeszła. Musiała coś odkryć. Dom musiał jej powiedzieć, co się stało.

Wzięła głęboki oddech. W powietrzu czuć było pot i rozpacz, a Dorothy powoli dodawała do tego swoje, za jej lewym ramieniem. Sheila podeszła do krzesła przy drzwiach, żeby podnieść parasolkę.

– Nie dotykaj tego! – John wyciągnął rękę i odłożył parasolkę na miejsce. – Zostawiłem ją tutaj. Dla Margaret. Inaczej mogłaby jej zapomnieć.

Spojrzała na niego. Widziała strach tykający mu pod skórą, jego myśli, tak ciasno upakowane, że zaczynały wypaczać się i łamać. Był taki wcześniej. Wszyscy się wtedy wahali. To, co się stało, zmusiło ich do milczenia, uciszyło ich życie na całe miesiące po, ale to John oddalił się bardziej niż inni. Dotarł do skraju i został tam, żeby się zabezpieczyć.

– Chodź, usiądziemy w kuchni – powiedziała Sheila. – Zrobimy coś do picia i porozmawiamy o tym.

Pili herbatę z kubków, które Sheila umyła i wytarła papierowym ręcznikiem. Dorothy usiadła jak najdalej od niej, jakby myślała, że Sheila ma jakieś toksyczne właściwości, a John opuszczał wzrok za każdym razem, kiedy Sheila zadawała mu pytanie.

– Przecież musiała coś wyjaśnić?

– Nic. Nic nie wyjaśniła. Dlaczego ludzie ciągle zadają mi te same pytania?

– Obudziłeś się i po prostu jej nie było? Bez uprzedzenia?

– Do łóżka poszedłem pierwszy. Kiedy się obudziłem, myślałem, że wyskoczyła do sklepu albo poszła spotkać się z którąś z was. Ona ciągle biegała po ludziach.

– Owszem – potwierdziła Dorothy. – Biegała po wszystkich. Sheila przechwyciła spojrzenie Dot i odwróciła się.

– I nie mówiła nic o kimś z ulicy? Nic, co ktoś jej mówił?

– Nic.

– Nic o Walterze Bishopie?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, zaległa cisza.

John znów opuścił wzrok na herbatę. Sheila usłyszała, jak Dorothy zaczyna intensywnie oddychać.

– John?

– Musiała się z nim widzieć. Jego okulary są w jej torebce. Zabrała je do naprawy.

– Wiem. – Dorothy wstała, kubek zagrzechotał o stos talerzy. – Wiem, widziałam, jak wychodzi spod jedenastki.

Skomlenie wypadło na pokój z głębi gardła Johna. Brzmiało, jakby w nim była akceptacja, potwierdzenie śmierci. Sheila poczuła panikę. Nie wiedziała, czy zaraziła się nią od innych, czy też miała ją zawsze w głębi siebie.

– No już, uspokójmy się. Przemyślmy sprawę – powiedziała, ale słowa tonęły w strumieniu paniki zalewającej pokój.

Dorothy nadal stała. Widać było, że chce pochodzić, ale pokój był za mały i zawalony poszukiwaniami Johna. Więc wykręcała dłonie, chcąc uwolnić adrenalinę.

– Margaret domyśliła się – oznajmiła. – Poszła na policję.

Sheila popatrzyła na Johna.

– Poszłaby? Nie rozmawiając z tobą?

– Bo ja wiem. – Pokręcił głową. – Chyba nie.

Sheila zamknęła oczy, starała się uspokoić oddech. Czuła, że ręce jej drżą, zacisnęła je w pięści, żeby się tego pozbyć.

– A jeśli nie poszła na policję – mówiła dalej Dorothy – to dokąd?

John podniósł wzrok.

– Może poznała prawdę. Może kogoś obwiniała.

– Sheilo, ona rozmawiała ze wszystkimi. Zna wszystkie nasze tajemnice. – Dorothy ogarnęła teraz fala paniki bez końca. Przerazone oczy zbieleły.

– Na litość boską! – zawołała Sheila. – Nie zrobiliśmy niczego złego!

– Jak możesz tak mówić? – John ścisnął krawędź stołu. – Jak możesz mówić, że nie zrobiliśmy niczego złego. Popelniliśmy morderstwo.

To znowu tu było. Ciemność.

Mimo przygniatającego upału, mimo słońca, które kłuło go w skórę, ulica nadal wyglądała, jakby otulił ją cień. John stał przy oknie w pokoju od frontu i patrzył, jak Sheila i Dorothy odchodzą. Doszły do środka ulicy, kiedy Dot zaczęła machać rękami, nadając zaniepokojenie chusteczką jak semaforem.

Nie powinien tego mówić. Nie powinien mówić, że kogoś zabili.

Ale to była prawda. Zabili.

Przecież to nie miało znaczenia, że nikt tego nie chciał, prawda? Pewne sprawy są tak złe, tak nikczemne, że nie ma różnicy, czy się ich chciało, czy nie. Gdyby tak było, to każdemu wszystko uchodziłoby na sucho, wystarczyłoby, gdyby powiedział, że nie o to mu chodziło.

Spojrzał na numer jedenasty, a numer jedenasty odpowiedział mu spojrzeniem.

Kiedy znów skupił uwagę na ulicy, Sheila Dakin przyciskała palce do skroni, a Cienki Brian podszedł od swojego kosza na śmieci, żeby dowiedzieć się, o co chodzi z tym machaniem chusteczką.

John był pewien, że go nie widzą.

Schował się za wazonem z kwiatami, który Margaret postawiła na parapecie. Margaret nie uznawała sztucznych kwiatów. Twierdziła, że na świecie jest za dużo fałszerstw i nie ma co wkładać fałszu do dzbanka, żeby zaprosić go do salonu. Kwiaty były oczywiście świeże, ale teraz czuł nieuniknioną dziwną słodycz rozkładu, która zawsze się przebija, choćby nie wiem jak próbowało się przykryć ją wszelkimi rodzajami innych zapachów.

Patrzył, jak chusteczka Dorothy trzepoce w popołudniowym słońcu, a Sheila uznaje porażkę i opiera się o mur swojego ogródka.

W murze ogródka Sheili Dakin było czterdzieści siedem cegieł. Oczywiście wiedział o tym, ale nie zaszkodziło ponownie to sprawdzić. Kiedy Margaret tu była, nie czuł potrzeby ponownego sprawdzania czegokolwiek. Odebrała mu

zmartwienia, spakowała je i uciszyła. Ale odkąd zniknęła, nie trzeba było długo czekać, żeby same się rozpakowały i wróciły do jego życia jak stary przyjaciel.

Cegiel było sześćdziesiąt, jeśli policzyć połówki.

Dorothy wskazywała chusteczką w stronę jego domu, a Brian patrzył na dom i chmurzył się.

„Zrób coś”, mówiła Margaret. „Nie licz przedmiotów, tylko zrób coś sensownego”.

Trzydzieści połówek cegieł. Trzydzieści. To go speszyło.

„Nie stój tutaj John, nie odliczaj swoich dni”.

Może gdyby na samym początku zebrał się na odwagę, jego życie wyglądałoby inaczej.

„Weź sprawy w swoje ręce, John”.

Kiedy się obrócił, otarł się rękawem koszuli o kwiaty i zapach dotarł mu do ust. Nowe podejście do życia, tego potrzebował. Jeśli zmieni swój styl, jeśli przestanie ciągnąć wszystko za sobą, może Margaret jakoś to wyczuje i wróci do domu, do niego.

Zatrzasnął drzwi do salonu, echo potoczyło się po domu. Odbijało się od ścian i sufitów. Wstrząsało stołami i krzesłami, a wazonik stojący na parapecie zatrzęsł się. Garść płatków zatrzęsała się, zadrżała i oderwała od łodyżek, a smuga rozkładu wsiąknęła w farbę.

– Nie śpieszyłeś się. – Brian stał na krawędzi chodnika z rękami wciśniętymi w kieszenie. – Myślałem, że będziesz się chował za tymi zeschniętymi kwiatami całe popołudnie.

John odwrócił się i popatrzył na dom. Czasem Brian wiedział różne rzeczy, a John nie potrafił dociec, jak mu się to udawało.

– Wywołałeś w niej coś dobrego i właściwego. – Brian skinął głową w stronę Dorothy, która stojąc przed Sheilą, machała rękami na wszystkie strony. John nie słyszał wszystkich słów, ale usłyszał „skończone” i „zrujnowane”, i „więzienie dla kobiet”. – Coś ty jej powiedział?

– Po prostu prawdę. Czasem trzeba być stanowczym. Czasem to ważne, żeby coś powiedzieć.

John wyprostował się i skorzystał z nowego podejścia do życia, żeby zacisnąć szczękę.

– Teraz? – Brian postukał się z uśmiechem po nosie. – A czasem, przyjacielu, ważne jest, żeby w ogóle nic nie powiedzieć.

John rozluźnił szczękę.

– I nie myśl sobie, że wam dwojgu ujdzie to bezkarnie. – Dorothy przestała się kręcić i wskazała na nich. – Policja będzie ścigać nas wszystkich, jak tylko zrozumieją, co się stało, więc możesz sobie darować ten głupi uśmieszek, Brianie Roper.

Brian zakaszłał i spojrzał na własne buty.

– Na litość boską, Dorothy, skończ już z tym cholernym przedstawieniem. – Sheila odsunęła się od muru. – Nikomu to nie pomoże. Jeśli policja będzie chciała po nas przyjść, to przyjdzie. Niczego nie udowodnią.

Brian przygryzł wargę. Sheila wbiła palce głębiej w skronie, a Dorothy zaczęła zawodzić i znów wymachiwać chusteczką. Od

hałasu Johnowi dzwoniło w głowie, zakrył uszy, zamknął oczy i próbował niczego nie dostrzegać.

– Wszystko w porządku?

Żadne nie usłyszało listonosza. Opierał się o rower i drapał w ciemną brzośkę koperty.

Sheila podniosła wzrok.

– Doskonale – powiedziała.

– Świetnie – dodał Brian.

– Świetnie i doskonale – przytaknęła Dorothy. Wepchnęła chusteczkę w rękaw swetra i uśmiechnęła się.

Listonosz nachmurzył się.

– To się dobrze składa – mruknął i zaczął pchać rower po ulicy. Koła skrzypiały w upale, a John zastanawiał się, czy poczta daje swoim oliwiarki, żeby je z sobą nosili, czy uważa, że powinni zaopatrzyć się we własną.

Wszyscy patrzyli, jak opiera rower o mur domu Waltera Bishopa i znika.

– Nowy – zauważyła Dorothy, nie odwracając wzroku od jedenastki.

Sheila poszła za wzrokiem Dorothy.

– Naprawdę?

– Nie z tych okolic. – Dorothy poruszyła bezgłośnie wargami.

– No co ty.

Dorothy cmoknęła z dezaprobatą.

– Wystarczy posłuchać jego samogłosek.

Po chwili listonosz znów się pojawił i wrócił na ulicę. Kopertę nadal trzymał w ręku.

– Drugie doręczenie? – zapytała Dorothy, kiedy znalazł się przy nich.

Listonosz skinął głową.

– Nikogo nie ma pod jedenastym. Będę musiał to zabrać.

Wszyscy patrzyli na kopertę. Była gruba i biała, a Dorothy tak bardzo starała się zobaczyć znaczki, że John przestraszył się o całość jej szyi.

– Kodak? – zapytała.

– Wygląda na fotografię. – Listonosz zerknął na przesyłkę.

Dorothy wyciągnęła rękę.

– Wezmę je, jeśli pan pozwoli. – Uśmiechnęła się, machając palcami.

Listonosz wahał się, potem pokazał odznakę.

– To więcej, niż moja praca jest warta – powiedział. – Poczta Królewska, rozumie pani. Jesteśmy służbą państwową. Tak jak policja.

– Policja? – zapytała Dorothy.

– I straż pożarna – dodał listonosz.

– Straż pożarna? – szepnęła Sheila.

Uśmiechnął się i odwrócił rower. Skrzypienie słychać było jeszcze przy końcu ulicy.

– Ciekawe, co tam mogło być? – Brian kiwnął głową w stronę miejsca, gdzie wcześniej stał listonosz.

– Zdjęcia – powiedziała Sheila.

– Dowody! – Dorothy znów wyjęła chusteczkę. – I tyle, jeśli chodzi o to, że niczego nie da się udowodnić. Założę się, że ma Bóg wie jakie zdjęcia nadal schowane w tym domu!

– O Boże. – Sheila znów opadła na mur.

– Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam – pożałowała się Dorothy. – Czuję, że znowu dopadnie mnie ból głowy.

– Co myślisz, Brian? – John poczuł łaskotanie w gardle. – Nie uważasz, że mamy problem?

Brian patrzył na niego. Patrzył tak intensywnie, że John nie wytrzymał jego wzroku i musiał spojrzeć na podjazd przed domem Dorothy Forbes.

– Myślę, że gdybyśmy zrobili coś, kiedy była okazja, to teraz nie bylibyśmy w tym dołku. – Brian nadal na niego patrzył. – Myślę, że gdybyś mnie posłuchał, gdybyś coś powiedział, to wszystko poszłoby inaczej.

John odwrócił się do niego.

– Ale ty powiedziałaś tylko, że czasem ważne jest, żeby w ogóle nic nie powiedzieć.

Brian ruszył, ręce nadal trzymał w kieszeniach.

– I że to najważniejsza sprawa – uzupełnił.

– Co za sprawa?! – krzyknął John.

– Znać tę cholerną różnicę! – odkrzyknął Brian.

John patrzył, jak Brian idzie przez ulicę pod dwójkę. Zatrzymał się przy podjeździe Dorothy Forbes i kopnął żwirek na asfalt.

Było sto trzydzieści siedem żwirków, ale teraz zostało sto trzydzieści sześć.

John wiedział, bo je po prostu policzył.

Sheila zamknęła drzwi. Nadal słyszała zawodzenie wymachującej chusteczką Dorothy tak jak w nocy, kiedy robiono zdjęcia.

Nawet teraz Sheila potrafiła odtworzyć to w pamięci. To było jak taśma filmowa, którą wyświetlała przy szczególnych okazjach, kiedy musiała się upewnić, że byli bez winy i mieli dobre intencje. Trzeba było myśleć o dzieciach. Nie miała wtedy Keithiego, ale była Lisa i należało dać dzieciom przykład. Dzięki Bogu minęły czasy, kiedy wychowywano je pasem. Trzeba było nauczyć je, jak przetrwać, jak unikać nerwów i sińców, i mężczyzn, którzy gotowi byli człowieka wykorzystać.

Mężczyzn jak tato Lisy.

Mężczyzn jak Walter Bishop.

Jeśli nie ona miała to pokazać dzieciom, to kto? Nie chodziło tylko o porwanie małego dziecka. Chodziło o wszystko. Chodziło o sposób, w jaki patrzył, oglądając kawałek po kawałku, kiedy przechodziło się obok niego. O to, jak kosmyki siwych włosów opadały mu na kark, i o to, że jego marynarka była wyświechtana i lśniła od poczerniałego tłuszczu. Chodziło o sam jego wygląd. No i te zdjęcia. To była ostatnia słomka. Ci chłopcy nie poszliby tam, gdyby Walter nie ukradł dziecka, on sam to na siebie ściągnął. To była reakcja łańcuchowa. To były po prostu dzieciaki pod koniec dnia i nie chcieli zrobić niczego złego. Wiedziała, jak tylko ich zobaczyła.

2 grudnia 1967

Grzechoczą torby na zakupy, które Sheila niesie do domu. Choć prosto trzyma ramiona, starannie unika kontaktu toreb z ciałem, dzwoniły jak kościelne dzwony, oznajmiając jej słabości.

Chociaż nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć. Tylko Lisa. Niedzielny obiad, ulice opustoszały, fasolka na grzankach i puszki zupy, parujące jedzenie, żeby przełamać ostry mróz grudniowego słońca.

– Co będziemy miały na lunch? – pyta Lisa. Jest opatulona w skafander. Ciągnie się jej na plecach i Sheila myśli, czy wystarczy choćby na tę zimę.

– O co chodzi z tym lunchem? – pyta. – Co się stało z obiadem i herbatą?

– Wytworni ludzie mówią lunch.

– No proszę, tak mówią. A co sześciolatka może wiedzieć o wytworności?

Lisa nie odpowiada. Pociąga stopami po chodniku.

– Nie zdzieraj butów, są nowe.

– Chcę być wytworna. – Luźny żwirek podskakuje na betonie.

– Hm, ale nie jesteśmy tacy – mówi Sheila. – Zostaniemy więc przy obiedzie i bardzo o to proszę. Bo ludzie z sąsiedztwa przestaną się do nas odzywać.

Przechodzą obok przystanku autobusu i właśnie tam Sheila ich widzi. Dwóch młodych chłopaków stoi przed numerem jedenastym. Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Odkąd rozeszły się słuchy o Walterze, dzieciaki z osiedla przechodzą tędy od czasu do czasu. Czasem krzykną, rzucają garść żwiru i

uciekną. Raz Sheili wydawało się, że widzi, jak któryś z nich sika w ogródku Waltera, ale wołała udawać, że tego nie widzi.

Nie chcieli nikomu zrobić krzywdy.

Tych dwóch gapi się w okna. Jeden jest wysoki i chudy, drugi niższy i ma sweter wetknięty w spodnie. Obaj nie mogą mieć więcej niż dwanaście lat.

Krzyczy przez ulicę i pyta, co tu robią.

– Tak sobie stoimy! – odkrzykuje Wysoki.

Niski odwraca się i uśmiecha do niej. Ma piłkę do nogi, ale jej nie kopie.

– Hm, tylko uważajcie na siebie. – Bierze Lisę za rękę i kieruje ją do drzwi wejściowych. – Bądźcie ostrożni.

– Nie trzeba się o nas martwić! – krzyczy Wysoki. – Potrafimy o siebie zadbać.

Nie wątpiła o to ani przez sekundę.

Nadal tam są, nawet kiedy już wypakowała zakupy i znalazła puszkę zupy ogonowej dla Lisy. Teraz jest już trzech chłopców, a kiedy przygląda im się przez okno, pojawia się jeszcze jeden i dołącza do tamtych. Wysoki wchodzi do ogródka Waltera, a kiedy zeskakuje z muru, trzyma w rękach gałąź. Wymachuje nią jak łupem wojennym, a inni pchają się, krzyczą i próbują ją złapać. Niski zostawił piłkę na poboczu. Piłka wytacza się z trawy i zatrzymuje na liściach w rynsztoku.

Eric Lamb też ich obserwuje. Sheila widzi go, przyglądają się sobie w milczeniu zza szyb.

Kiedy znów odwraca wzrok, chłopców jest więcej. Musi być ich teraz z tuzin, hałas wsącza się do pokoju. Niektórzy są w ogródku Waltera, wołają do okien, nawzajem dodają sobie odwagi. Są też starsi chłopcy, piętnastoletni, może szesnastoletni.

– Drań! – krzyczy któryś z nich.

Na ustach Sheili pojawia się uśmiech, chociaż jeszcze nie przemyślała sprawy.

Lisa wkłada płaszcz, wbija stopy w rolki.

– A dokąd to się wybierasz? – Sheila odwraca wzrok od ulicy.

– Na dwór – mówi Lisa. – Pobawić się.

Sheila znów patrzy na chłopców.

– Nie wyjdiesz – mówi.

Walter pojawił się w jednym z okien na piętrze. Krzyczy o wtargnięciu i o telefonie na policję. Dzieciaki tylko się z niego śmieją, małpują jego głos i używają słów, które powinni znać wyłącznie ich rodzice. Walter wygląda niepokaźnie, jakby nic nie znaczył, kiedy tak się wychyla z okiennej ramy. Twarz ma czerwoną i obrzmiałą ze złości, macha rękami, ale osiąga tylko tyle, że robi się jeszcze bardziej czerwony i jeszcze bardziej zły. Sheili króciutko przemyka przez głowę myśl, czy ktoś tak słaby i nijaki może naprawdę stanowić takie zagrożenie, ale potem przypomina sobie ojca Lisy i swojego ojca, i wszystkich innych mężczyzn, którzy pojawiali się owinięci w opakowanie nieszkodliwości.

Zaciska zęby i patrzy. Zbielałe kostki opierają się o parapet.

Chłopcy uspokajają się. Paru kopie żwir na podjeździe Waltera, ale większość siedzi w rządku na murze jego ogródka. Co jakiś czas podnoszą wzrok i krzyczą, ale jest w tym jakaś naiwność – dzieci, które nie wiedzą, dlaczego krzyczą, bo to ich rodzice powinni pierwsi podnieść krzyk.

Walter zamyka okno i znika, ale kiedy po chwili wraca, przykłada coś do szyby.

Aparat fotograficzny. Robi im zdjęcia.

Chłopcy z początku nie spostrzegają tego, są zbyt pochłonięci własną energią. Ręce i nogi mocują się z rękami i nogami. Fizyczna konwersacja dojrzewania.

Walter śledzi ich obiektywem. Przemieszcza się wzdłuż rządka. Zatrzymuje się. Wraca. Pstryka przy okiennicy.

Zdejmuje wszystkich, osadza każdego chłopca w zakrzywieniu soczewki, kopiuje ich obraz na kliszę. Kradnie ich dzieciństwo, kiedy patrzą w inną stronę.

– Drań – mówi Sheila. – Cholerny drań.

Już ma walić w szybę, żeby ich ostrzec, kiedy jeden z nich podnosi wzrok i dostrzega Waltera. Chłopiec pokazuje go i w ciągu kilku sekund inni rozbiegają się. Rozjeżdżają się w zamieszaniu rowerów i jumperów, biegną uliczkami i chodnikami, aż zostaje jedyny znak, że tu byli: długa, uschnięta gałąź, oparta o mur ogródka Waltera.

– Drań – powtarza Sheila.

– Kto jest draniem? – Lisa podnosi wzrok znad rolek.

– Nie twoja sprawa. – Walter ciągle stoi w oknie, patrzy w dół, tam, gdzie siedzieli chłopcy. – I nie mów drań. To nie jest słowo

dla dzieci.

Sheila jest zła całe popołudnie. Skupia gniew na drzwiczkach kredensów i pokrywach imbryków, ale gniew wgryza się w jej myśli i nie chce odejść. Chce zająć do Erica i dowiedzieć się, co on o tym wszystkim myśli, ale Lisa krąży wraz z nią po domu i Sheila wie, że jeśli wyjdzie, to popołudnie będzie pełne pytań.

– Liso, nie na ciebie jestem zła – mówi po raz dziesiąty.

– No to na kogo?

– Na dziwnego człowieka z długimi włosami. Na człowieka w wielkim domu na końcu ulicy.

– Na tego, który zabrał małe dziecko.

– Tak – mówi Sheila – na tego, który zabrał małe dziecko. To zły człowiek, Liso. Nie wolno ci do niego podchodzić. Nigdy. Słyszysz, co mówię?

Lisa kiwa głową.

– To zły człowiek.

Powtarza słowa Sheili i wraca do rysowania, ale co chwila patrzy na matkę, wygląda przez okno i chmurzy twarz myślami.

Godzinę później Sheila słyszy głosy. Jest ich mnóstwo, mrocznych, złych, zbliżających się jak burza. Grudniowe niebo jest ciemnoszare i poważne, ale daje tyle światła, że widać ludzi idących ulicą. To głównie mężczyźni, ale na skraju grupy jest kilka kobiet, a za nimi, w pewnej odległości, tłum dzieci. To te same dzieci, które były tu wcześniej. Widzi Wysokiego i

Niskiego, tylko że teraz nie ma przepychanek i krzyków, tylko mali chłopcy, ciche kroki i pełne niepokoju ręce skulone z zimna.

– Zostań tutaj – mówi do Lisy, staje na progu i zamyka za sobą drzwi.

Jeszcze nigdy nie widziała tylu ludzi naraz. Wyglądają jak tłum kibiców. Ci tutaj to ludzie pracy, robotnicy. Mężczyźni, którzy wgryzają się w wyrobisko przez cały tydzień albo całymi dniami kopią ziemię i kamień. Idą w stronę numeru jedenaście, ich buciory ciężko stąpają po asfalcie, ich pięści garbią się z wściekłości.

Pierwszy mężczyzna, który dociera do drzwi Waltera Bishopa, wali w nie kostkami palców.

Pod jedenastką nie widać żadnego ruchu. Tylko cicha, przykucnięta inność. Mogłoby się wydawać, że Waltera nie ma w domu, ale Sheila wie, że jest. Wszyscy wiedzą, że jest. Chociaż drzwi domu nadal są zamknięte, wszystkie inne drzwi na ulicy otwierają się jedno po drugim. Eric, Sylvia i Dorothy Forbes, wszyscy stają na progach. Nawet May Roper odsuwa zasłony w salonie i wygląda na dwór.

Mężczyzna znowu wali. Jego pięści biją jak kule. Odsuwa się i ryczy w stronę piętra, krzyczy, żeby Walter Bishop pokazał się.

– Robiłeś zdjęcia moim dzieciom, wyjdź i kurwa odpowiedz mi.

Sheila patrzy na swoje drzwi i domyka je jeszcze bardziej.

Tłum otacza dom Waltera. Mężczyźni zgłodniali są kłótni. Kobiety są mniej wylewne, bardziej się kontrolują, ale w ich

oczach widać groźbę. To oczywiste, że dzieciom kazano trzymać się z daleka, bo idą po bokach grupy, próbują niezauważone wślizgnąć się do środka. Niski odwraca się i patrzy na Sheilę. Wygląda, jakby płakał.

Mężczyzna kopie drzwi Waltera. Inni krzyczą, zachęcają buciory, żeby trochę szybciej, trochę mocniej. Kątem oka Sheila widzi, jak Dorothy Forbes biegnie chodnikiem, owijając się płaszczem.

– Biegnę do budki telefonicznej, żeby zadzwonić na policję! – woła, mijając płot Sheili.

– Po co?

– Sheila, to jest motłoch. Motłoch. Bóg wie, na kogo rzuca się później.

– Mają coś tylko do Waltera – mówi Sheila. – Nie ruszą na żadne z nas. Wszyscy jesteśmy porządnyimi ludźmi.

Ale Dorothy zniknęła za rogiem żywopłotu, a Sheila znów patrzy na tłum. Zmarszczyła brwi.

Przyjechała policja. Dorothy stoi na progu obok Sheili, okręca pasek od płaszcza wokół palców. Splata materiał w jedną stronę, potem w drugą, wiąże go mocno wokół ciała.

– Dot, przestań się bawić.

– Nie mogę się powstrzymać. To przez nerwy.

Dorothy wypuszcza z rąk pasek i natychmiast go łapie.

Policjanci wysiedli z samochodu, tylko chwila i mundurowych pochłania masa pleców i krzyków.

– Dlaczego są tacy źli? – pyta Dorothy. – Oglądałam *Emmerdale Farm*.

– Robił zdjęcia. Dzieciom.

Słyszysz, jak Dot połyka powietrze.

– Już widziałam, jak to robił. W parku. Siedzi na podium dla orkiestry z tym paskudnym aparatem na szyi i pstryka.

– Pstryka?

– Fotografuje nie tylko dzieci, wszystko – mówi Dorothy. – Kwiaty, chmury, cholerne gołębie.

– Co to za człowiek, że robi zdjęcia dzieciom innych ludzi?

– Co to za człowiek, że mieszka z matką do czterdziestego piątego roku życia?

– I nawet nie odsłania okien od frontu.

– I przydałoby mu się porządne strzyżenie.

Obie nachylają się na progu, żeby coś usłyszeć.

– Dot, może pójdziesz i zobaczysz, co się dzieje?

– Raczej nie – odmawia Dorothy. – Jeszcze się na mnie rzucą. Takim ludziom brakuje wyczucia.

W milczeniu pochylają się trochę bardziej.

– To ja pójdę. – Sheila ogląda się na drzwi. – Tylko przypilnuj za mnie Lisę.

Sheila przeciska się przez tłum. Omija łokcie i kłótnie, przepycha się do frontonu domu, aż natyka się na dwóch policjantów i Waltera Bishopa, którego na próg wywabiała syrena mundurowych.

– To w ogóle śmieszne – mówi Walter. – Co takiego zrobiłem?

Nie szuka niczyjego wzroku. Widzi tylko wilgotną pokrywę mchu na schodkach werandy i otaczający je tuzin stóp.

– Ci dżentelmeni odnieśli wrażenie, że robił pan zdjęcia ich dzieciom. Czy zaprzecza pan temu? – pyta pierwszy policjant.

Walter Bishop nic nie mówi. Wargi poruszają mu się powoli wokół pożółkłych zębów, ale nie wychodzi zza nich ani jedno słowo. Sheila rozgląda się. Mały znalazł swojego ojca. Chłopiec wciska się w cień mężczyzny. Wygląda za młodo. Za młodo na to, żeby słuchać takiej rozmowy.

– Panie Bishop? – mówi drugi policjant.

– Tak, robię zdjęcia. Lubię fotografować.

– Dzieci?

Buciorzy wbijają się w beton, tłum napiera. Sheila nie patrzy w twarze mężczyzn. Nie musi.

– Między innymi. – Walter zdejmuje okulary i wyjmuje z kieszeni chusteczkę. – To hobby, panie sierżancie. Mam ciemnię.

– Naprawdę?

Chusteczka jest szara i wymięta.

– Już rozmawialiśmy o dzieciach, prawda, panie Bishop? – Twarz sierżanta to maska samokontroli, ale Sheila widzi tik zdenerwowania w kąciaku jego ust. – Parę tygodni temu omawialiśmy stosowność pańskiego zachowania, kiedy zaginęło małe dziecko.

Walter po raz pierwszy patrzy policjantowi w oczy.

– Jak pan doskonale wie, to były fałszywe oskarżenia. A o ile mi wiadomo, żaden przepis nie zabrania robić ludziom zdjęć. – W oczach Waltera pojawia się chyba iskierka nadziei. – Szczególnie jeśli ma się dobre powody.

Policjant trzyma ręce za plecami, a Sheila widzi, że zaciska pięści.

– Więc przyznaje pan, że robił zdjęcia tym dzieciom bez zgody ich rodziców?

Walter ponownie wkłada okulary. Przez chwilę milczy, a kiedy się odzywa, jego słowa otoczone są drżącymi ramkami.

– To był dowód, panie sierzancie. Dowód złośliwego zachowania.

– Dowód?

– O, tak. – Walter Bishop mówi teraz mocniejszym głosem. – Nie ma pan pojęcia, jakie zniewagi muszę znosić. Parę razy dzwoniłem do was, ale wy zawsze mówicie mi, że nie mam dowodów. Cóż, teraz mam.

Walter dobrnął do końca zdań, po drodze zbierając garściami pewność siebie. Sheila widywała to u ojca Lisy. Powoli tłąca się arogancja, kiedy głowa zaczyna nadażać za ustami.

– A co dokładnie – pyta policjant – robiły te dzieci, że musiał pan zbierać dowody?

– To był wandalizm, panie sierzancie. – Walter pokazuje zgniłe rabatki i gałęzie. Wszystko ocieka zaniedbaniem.

– Nieuprawnione wejście. Znęcanie się.

Policjant zwraca się do Małego, który nadal trzyma się pasa ojca.

– Pan Bishop twierdzi, że ty i twoi koledzy weszliście bezprawnie na jego działkę. Czy to prawda?

Mały próbuje zniknąć w bezpiecznym cieniu swojego ojca, ale nie ma dokąd pójść. Jego tato cofnął się i skrzyżował ramiona na piersi. Chłopiec patrzy na Waltera Bishopa, który odpowiada mu spokojnym wzrokiem. Taki rodzaj opanowania Sheila widziała już wiele razy, sprawia on, że zółć napływa jej do gardła.

– Graliśmy w piłkę. – Głos Małego jest tak blady i odległy, że wszyscy muszą się nachylić, żeby usłyszeć. – Piłka poleciała nad murem. My weszliśmy do ogródka tylko po to, żeby ją zabrać. To wszystko. Tylko to zrobiliśmy.

Oczy Małego są wilgotne, szeroko otwarte i wystraszone. Sheila patrzy na ojca Małego. To wielki mężczyzna o twardych, szybkich dłoniach i ciele nabitym latami wydawania poleceń. Myśli o zuchwałości w głosie Waltera Bishopa.

– Oni tylko grali w piłkę. Tylko bawili się, jak to dzieci. Wszystko widziałam ze swojego okna.

Sheila słyszy własny głos, dopiero potem zdaje sobie sprawę, że to ona mówi. Głos jest kruchy. Jakby w każdej chwili mógł się złamać.

Na skraju tłumu widzi Erica Lamba. Patrzy w sam środek jej słów.

– A więc pani jest świadkiem zdarzenia? – Policjant patrzy na Sheilę, a potem na Waltera Bishopa. – Czy ci chłopcy robili coś złego?

– W ogóle niczego złego nie robili. – Sheila patrzy na Małego. Chłopak trzęsie się, chociaż w środku tłumu wcale nie jest tak zimno.

– Mam prawo – mówi Walter. – Mogę fotografować, kogo zechcę. To nie przestępstwo. Zobaczycie, jak wywoła się te zdjęcia, co chłopcy robili.

– No to obejrzymy aparat.

Policjant czeka, a Walter znika za drzwiami.

Wraca i podaje sierżantowi aparat.

– Tu wszystko jest. Przekona się pan, jacy ci chłopcy są złośliwi. Należy im się kara. Należy im się porządne lanie, panie sierżancie. – Słowa zemsty wylewają się z ust Waltera Bishopa, a policjant ogląda aparat. Pierwszy z policjantów patrzy przed siebie, pasek od hełmu wpija mu się w podbródek, usta ma zaciśnięte, pełne zastanowienia.

– Panie Bishop, czy byłaby to taka sama kara, o której mi pan mówił? Że wymierzyłby ją pan matkom, które zostawiają dzieci bez opieki? – pyta sierżant.

Walter cichnie. Sheila widzi, że pot spływa mu spod linii włosów.

– Nie powinni pozwalać, żeby tacy ludzie zostawali rodzicami – mówi Walter. – Dzieciom potrzebna jest pewna ręka. Trzeba im pokazać, kto tu rządzi.

Z tyłu tłumu dobiega gwar. Ludzie pchają się, buciory tupią.

Drugi policjant wyciąga rękę. To ich powstrzymuje na razie.

– Więc tu są wszystkie dowody, prawda? – Sierżant obraca aparat w dłoniach.

– Wszystko, co potrzeba, żeby pan aresztował tych ludzi, panie sierżancie.

Policjant naciska zatrzask z tyłu aparatu.

– Niech pan tego nie dotyka! – Walter wyciąga rękę. – Jak pan to otworzy, to zniszczy pan...

Policjant otwiera z pstryknięciem zatrzask.

– Ojej – mówi. – Patrz pan tylko, co narobiłem.

– To można jeszcze uratować. Niech mi pan to odda.

Walter próbuje zabrać aparat, ale policjant odwraca go do góry nogami i zawartość wypada na beton.

– Te moje niezgrabne paluchy. – Kantem buta miażdży rolkę.
– Wychodzi na to, że nie zobaczymy już tych dowodów, prawda, panie Bishop?

Walter gapi się na beton.

– Co mam zrobić, według pana? – pyta.

Policjant zbliża usta tak bardzo, że chmurki jego oddechu ulatują Walterowi Bishopowi w twarz.

– Według mnie powinien pan zwracać mniej uwagi na cudze dzieci. – Obrzuca Bishopa wzrokiem. Zniszczone buty, poplamiona jedzeniem marynarka, pasemka żółtawych włosów. – I bardziej zająć się sobą.

Tłum odchodzi. Jakby z niechęcią. Zostawia za sobą ciężkie spojrzenia i ciche, ciężkie obietnice. Mały odchodząc, patrzy za siebie. Ojciec prowadzi go za rękę.

Eric Lamb przechodzi przez jezdnię, ręce trzyma głęboko w kieszeniach.

– To trzeba było zrobić, zanim zaczęliście – mówi Sheila.

Eric nie odpowiada.

– Jeśli policja i rada nic nie zrobią, ludzie będą musieli wziąć sprawy we własne ręce. – Sheila patrzy za siebie, na numer jedenasty. – Ktoś musi się go pozbyć.

Eric nadal nie odpowiada.

– Ericu, komuś stanie się krzywda.

– Nie wątpię. Nie wątpiłbym nawet przez sekundę.

– Czy to cię nie martwi? – Sheila ciasniej owija sweter wokół ramion. – Że jakiś odmieniec na ulicy robi dzieciom zdjęcia?

– Oczywiście, że martwi, Sheilo, i wiem, że nadal boisz się o Lisę. Po prostu nie wiem, czy to najlepszy sposób, żeby sobie z tym dać radę.

Sweter drapie ją w kark, Sheila czuje, że skóra zaczyna ją palić pod wełną.

– A jest inny? – pyta. – Wszyscy powinniśmy coś zrobić.

– Polowanie na czarownice?

– Tak, Ericu, jeśli to będzie konieczne. Polowanie na czarownice, do cholery.

Słyszy, jak Eric wciąga swoje myśli wraz z nieruchomym, grudniowym powietrzem.

– Z polowaniem na czarownice jest tylko jeden problem – mówi.

– A jakiż to?

Rusza w stronę swojego domu i wtedy jej odpowiada.

– Nie zawsze łapie się czarownicę.

Sheila patrzy na numer dwunasty. Lisa macha do niej przez szybę, z Lisą stoi Dorothy Forbes, twarz ma zmienioną zdenerwowaniem.

Sheila okręca wokół palców pasek swetra. Splata materiał w jedną stronę, potem w drugą, wiąże go mocno wokół ciała.

Ulica
numer 4

9 lipca 1976

Mama Tilly trzymała ją w łóżku przez trzy dni.

Pomyślałam, że za długo, ale pani Morton powiedziała, że nie można być zbyt ostrożnym. Właściwie uważałam, że można, ale postanowiłam zatrzymać to dla siebie, bo za każdym razem, kiedy wspominało się o Tilly, pani Morton wyglądała na zmartwioną.

– To nie twoja wina – powiedziałam do niej. – Chociaż może byłoby zupełnie inaczej, gdybyśmy posłuchały Angeli Rippon.

Grałyśmy w monopoli, oglądałyśmy czarno-białe filmy na BBC 2 i jadłyśmy mus na mleku, chociaż nie był taki smaczny, gdy było na nim wypisane tylko moje imię. Po południu wsiadłyśmy do autobusu jadącego stromą ulicą od Market Place i chodziłyśmy po wzgórzach nad miastem. Pani Morton pokazywała charakterystyczne obiekty, a mnie żwir dostał się do butów i czułam się żałośnie, i musiałam włożyć mnóstwo wysiłku, żeby wyglądać na zainteresowaną. Bez Tilly nic nie było takie samo. Dokądkolwiek poszłyśmy, było jak we własnym domu, kiedy się wraca z wakacji. Pusto i obco.

Kiedy Tilly wróciła, miała kolor surowego ciasta.

– Potrzeba ci świeżego powietrza – stwierdziła pani Morton i posadziła ją w cieniu z dodatkową poduszką i herbatnikiem.

– Co robiłaś beze mnie? – Tilly wydłubywała kawałki słodkiego nadzienia.

– Masę rzeczy – odparłam.

– Znalazłaś Pana Boga?

– Byłam naprawdę zajęta – stwierdziłam. – Nie miałam czasu.

– Więc możemy szukać dalej?

– Chyba – odparłam.

Uśmiechnęła się i podała mi herbatnika.

To Tilly wybierała, co obejrzymy w telewizji, nie musiała chodzić po coś do picia, a pani Morton odpuszczała jej zmywanie.

– Czuję się trochę słabo – powiedziałam, kładąc kolejny talerz na ociekaczu, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

Po trzech dniach pozwolono nam bawić się na dworze, pod warunkiem że nie było to samo południe i Tilly włożyła zydwestkę. Tilly zawsze nosiła zydwestkę, więc uznałam, że wszystko wróciło do normalnego stanu. Tamtego ranka przypadkiem było zbyt gorąco, żeby wyjść na dwór, siedziałyśmy więc przy moim stole kuchennym i próbowałyśmy wyginać łyżki jak Uri Geller. Zajmowałyśmy się tym całymi godzinami.

– Patrz, wygina się. – Tilly podniosła swoją łyżkę.

Nie wyglądała inaczej.

– Nie wygląda inaczej – stwierdziłam.

– Tutaj. – Pokazała zupełnie prosty kawałek. – Tutaj.

Przypadkiem przechodziła moja matka, przykucnęła, zmrużyła oczy i powiedziała, że tak, wygląda na lekko zgiętą. Ale moja matka była bardzo dobra w zgadzaniu się z ludźmi tylko po to, żeby lepiej się poczuli.

– Nie jest zgięta – zaprotestowałam. – Jest prosta.

– Nie wiem, jak Uri Geller to robi. – Tilly potarła łyżkę jeszcze parę razy i dała sobie spokój.

– To dlatego, że jest Hiszpanem – powiedziałam. – Hiszpanie potrafią robić takie rzeczy. Potrafią być całkiem zmyślni.

Zostawiłyśmy łyżki i patrzyłyśmy na Johna Creasy'ego, który czekał, aż u końca ulicy zatrzyma się autobus. Wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie niż ostatnim razem, kiedy go widziałyśmy. Włosy nastroszyły mu się w rozczochranych kępkach, jakby próbowały uciec z głowy, ubranie zwisało, jakby nie należało do niego. Nawet sznurowadła miał rozwiązane, tańczyły mu wokół stóp, kiedy włókł się z powrotem ulicą. Moja matka stała przy stole, przyglądała się razem z nami.

– Nie za dobrze wygląda, prawda? – zapytałam.

– Nie za dobrze. – Matka nie odwracała wzroku od okna. – Naprawdę nie za dobrze.

Lato wślizgiwało się przez zasłony i rysowało ostre linie słońca na podłodze kuchni. Były tak wyraźne, że mogłam przesuwając po nich stopę i patrzeć, jak żółć wpełza mi na palce i ucieka na następny kafelek. Remington rozciągnął się na serii linii, jak mały tygrys w skórze labradora.

– Myślę, że w środku jest tak samo gorąco, jak na zewnątrz – zauważyłam. – Równie dobrze mogłybyśmy usiąść na murku.

– Tak będzie dobrze – powiedziała moja matka, nawlekając nitkę.

Drzwi od kuchni zamknęły się, zanim bawełna zdążyła znaleźć drogę przez ucho.

Siedziałyśmy zaledwie kilka minut, kiedy w podmuchu beżu przemknęła pani Forbes. Obie wychyliłyśmy się do przodu, żeby zobaczyć, jak skręca do ogródka Sheili Dakin i staje na progu, żeby przeprowadzić teatralną rozmowę z Keithiem.

– Jak myślisz, co ona chce zrobić? – zapytałam.

Tilly kopała w cegły.

– Nie wiem – powiedziała – ale nie wierzę jej. Gracie, a ty wierzysz?

Przemyślałam to.

– Nie. Ale wszyscy na tej ulicy zachowują się naprawdę dziwnie, odkąd pani Creasy zniknęła.

Myślałam także o moim ojcu, ale nie powiedziałam tego, bo wtedy zaczęłoby to żyć własnym życiem poza moją głową.

Po jakimś czasie pani Forbes znów się pojawiła z Sheilą Dakin i przeszły przez jezdnię do domu pana Creasy’ego.

Pani Dakin jakby trochę się zachwiała pośrodku ulicy.

– Ciekawe, czy też jest chora – powiedziała Tilly.

Po długich krzykach i dobijaniu się zniknęły u pana Creasy’ego, a ledwie to się stało, otworzyły się drzwi u Sheili

Dakin i wyszła Lisa, ciągnąc Keithiego za łokieć. Ubrana była w dzinsową kurtkę i dokładnie takie same klapki, jakie widziałam w katalogu Kaysa.

Nie, nie możesz, powiedział mój ojciec i zaraz potem zaczął się śmiać.

– Chodź! – Ściągnęłam Tilly z murka.

Tilly szła zawsze chętnie. Była to jedna z jej najlepszych cech. Zdążyłyśmy dojść, kiedy Lisa zamykała furtkę do ogrodu.

– Cześć – przywitałam się.

– Cz...eść. – Rozłożyła słowo na dwa i uniosła oczy.

Szurałam sandałkami o beton, ręce założyłam na piersi.

– Dokąd idziesz?

Zacząła iść. Nadal trzymała Keithiego za łokieć, a on próbował się wyrwać.

– Do Cyrila. Potrzebne nam mleko. Keith, przestań jęczeć!

– O, to naprawdę fajnie, bo my też idziemy do Cyrila – powiedziałam.

– Idziemy? – zapytała Tilly, ale mówiła tak cicho, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

Lisa odwróciła się. Keith nadal szarpał ją za ramię i wydawał mnóstwo gwałtownych dźwięków, nawet nie otwierając ust.

– To mogłybyście kupić nam mleka? – zapytała.

– Chyba. – Zaszurałam głośniejszymi sandałkami. – Myślałam, że pójdziemy razem.

– Wyświadczycie mi naprawdę wielką przysługę – powiedziała Lisa, rozciągając słowa „naprawdę wielką przysługę”, żebym wiedziała, jaka jestem dla niej ważna.

Uśmiechnęłam się.

Dała mi pieniądze.

– Jego też mogłybyście wziąć. Złości mnie.

Wróciła ścieżką w ogrodzie, skopała klapki i rozciągnęła się na leżaku.

Keithie podniósł na nas wzrok.

– Zawsze dostaję słodczyce – oznajmił.

We trójkę poszliśmy Maple Road, Keithie co kilka kroków odbijał piłkę, potem przelatywała mu przez mur albo toczyła się w dół jezdnią, więc wszyscy musieliśmy czekać, aż ją odzyska.

– Mój tato lubi piłkę nożną. – Pomyślałam, że mogę się zdobyć na te słowa.

– Twój tato kibicuje Manchester United. – Keithie nie podniósł wzroku, dalej odbijał piłkę.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytałam.

– Jasne, że ma. – Przestał odbijać i wskazał naszywkę na swoich dzinsach. – Tylko Chelsea.

– Gdzie jest Chelsea? – Tilly spojrzała na znaczek.

– Bo ja wiem. – Znow zaczął odbijać piłkę.

– Dlaczego nosisz naszywkę z miejscem, którego nawet nie znasz? – zapytałam.

– Bo w ten sposób należy się do nich. – Za ostatnim odbiciem nie trafił i piłka potoczyła się ulicą. – To znaczy pasuje się do nich.

– Tylko w twojej głowie. – Musiałam krzyknąć, bo do połowy zanurzył się w czyimś żywopłocie.

Znów się wynurzył, przyciskał piłkę do piersi.

– Ale tylko to miejsce się liczy – powiedział.

Sklep Cyrila był na rogu Maple Road i Pine Croft. Człowiek, który teraz był właścicielem, nie nazywał się Cyril, miał na imię Jim. Właściwie to nie był prawdziwy sklep, tylko czyjś pokój od frontu, który wyglądał na sklep. Za każdym razem, kiedy dzwonił dzwonek, Jim pojawiał się w samej koszuli, z zaspanym wzrokiem i za każdym razem, gdy szłam po słodycze, krzyżował ręce na piersi i chmurzył się przez cały czas, kiedy coś sobie wybierałam.

– Cześć, Cyril – rzuciłam, bo wiedziałam, że to go zdenerwuje.

Zrobił najbardziej chmurną ze swoich min.

Poprosiłam go o litr mleka, wyglądał na wstrząśniętego, bo zawsze chciałam tylko słodycze. Wcześniej nie kupowałam litra mleka.

Oparłam dłonie na biodrach.

– I co z Margaret Creasy? – zapytałam.

Ale to nie podziałało na Jima. Skrzyżował tylko ręce i zapytał, czy jeszcze czegoś chcę. Keithie pociągnął mnie za koszulkę i razem z Tilly musiałyśmy wskrobać wszystkie pensy, żeby kupić mu sorbet.

Kiedy wróciłyśmy na ulicę, Lisa przeniosła się z leżaka i zwinęła na kanapie. Czytała „Jackie”.

– Mam dla ciebie mleko – powiedziałam.

– Aha.

– Mam je wstawić do lodówki?

– Aha.

Kuchnia Sheili Dakin była dość skomplikowana, trzeba było odszukać lodówkę za deską do prasowania i stosem prześcieradeł. Było tam mnóstwo brudnych garnków, czasopism i pustych paczek papierosów, a na zegarze nad drzwiami było zdjęcie Elvise.

„Teraz albo nigdy”, mówił.

Chociaż jak na kogoś z tak skomplikowaną kuchnią, lodówka Sheili była dziwnie cicha.

Kiedy wróciłam do salonu, Keithie był wozem strażackim.

– Nie mogę uwierzyć, że kupiłyście mu słodycze – mówiła Lisa.

– Kazał nam – wyjaśniłam.

– A wy robicie wszystko, co każe sześciolatek, co?

– Zazwyczaj – odparła Tilly.

Lisa powiedziała, że musimy poczekać na pieniądze za sorbet, aż mama wróci, a że wszystkie krzesła były zajęte, usiadłyśmy na dywaniku z owczej skóry przed elektrycznym kominkiem. Udawał prawdziwy kominek, ale nie był włączony i węgiel był tylko arkuszem zimnoszarego plastiku, jak górski grzbiet. W jednej z brył była dziurka i kiedy zajrzałam, zobaczyłam maleńką żarówkę i trzy martwe chrząszcze.

– Co robisz? – zapytała Lisa.

Odsunęłam głowę od plastiku.

– Interesują mnie różne przedmioty – mruknęłam.

Wróciła do swojego czasopisma. Słyszałam, jak przewraca kartki, a w kuchni Elvis tyka sekundami.

– Podobają mi się twoje buty – zauważyłam.

Kolejna kartka odwrócona. Popatrzyłam na Tilly, chyba wzruszyła ramionami, chociaż trudno to było zobaczyć pod zydwestką.

– W ubiegłym tygodniu Tilly o mało nie umarła – oznajmiłam.

– Aha.

– Musiałam ją reanimować.

– To dobrze.

– Wiedziałam, co robić, bo jestem od niej o niebo starsza. O niebo.

Tilly chciała coś powiedzieć, ale patrzyłam na nią, aż zmieniła zdanie.

Kolejna przewrócona kartka.

– Podobają mi się twoje buty – powtórzyłam.

Lisa podniosła wzrok znad czasopisma.

– Chcecie iść do domu? Potem przyślę Keithiego z pieniędzmi.

Powiedziałyśmy: „Nie, dziękuję, z nami w porządku”, a Lisa odparła: „Jak sobie chcecie” i zatopiła się w „Jackie”. Keithie wyczerpał swoje możliwości jako wóz strażacki i leżał zgięty pod kątem prostym na dywanie, przyozdobiony sorbetem i okruskami lukrecji, a ja ciągnęłam za mocno poskręcane wełnę dywanika i przyglądałam się zaczytanej Lisie. Podciągnęłam pod siebie nogi, zarzuciłam włosy na ramiona i usiłowałam upodobnić się do niej. Kiedy Sheila Dakin wróciła

do domu, zdążyłam już wyciągnąć tyle wełny, że miałam dłoń pełną runa i bardzo szybko musiałam szukać miejsca, w które można by to włożyć z powrotem.

Powiedziałam pani Dakin, że mleko jest w lodówce i że nie wiedziałam, że Keithiemu nie wolno jeść słodczy, a pani Dakin popatrzyła na Lisę i bez słowa uniosła brwi.

– Mówiła, że wyświadczamy jej „naprawdę wielką przysługę” – stwierdziłam i szybkim ruchem zarzuciłam włosy.

Pani Dakin odparła, że przeprasza, że musiałyśmy czekać na pieniądze, a ja, że nie szkodzi, bo oglądałam klapki Lisy i myślałam, że może poczytam jej czasopismo, jak ona skończy. Lisa stwierdziła, że nie skończy jeszcze bardzo długo. Pewnie w ogóle.

Pani Dakin poszła do kuchni poszukać portmonetki, a Lisa poszła za nią. Słyszałam, jak rozmawiają.

– Liso, to słodka dziewczynka, nie zaszkodzi ci, jak będziesz dla niej po prostu miła. Widzisz, jak ona cię podziwia.

– Nie wstydz się – zwróciłam się do Tilly. – Nie wiedzą, że je słyszysz.

Kiedy wróciły, pani Dakin przypomniała sobie o czymś w spiżarni i zniknęła na kilka minut.

– Co się stało, mamó? – zapytała Lisa, kiedy pani Dakin wróciła.

Pani Dakin nie była blada, bo zawsze była opalona, ale nie wyglądała zbyt brązowo, kiedy weszła, tylko z lekka żółtawo i nieswojo.

– To przez Dorothy Forbes – powiedziała – zawraca mi głowę.

– Panią też okłamała? – zapytała Tilly.

Pani Dakin już miała zapalić papierosa, ale pozwoliła, żeby płomień zgasł i wyjęła papierosa z ust.

– Okłamała? – zapytała.

Wiedziałam, że Lisa patrzy, więc zanim się odezwałam, zarzuciłam włosy.

– Kłamała, że nie zna pani Creasy. Że nigdy z nią nie rozmawiała.

Pani Dakin wróciła do zapalania papierosa.

– Jasne, że z nią rozmawiała – zaśmiała się. – Na pewno, do cholery, z nią rozmawiała.

– Chyba nie pójdzie do nieba – oznajmiła Tilly. – Bóg nie za bardzo lubi kozły.

– Kozły? – Papieros pani Dakin lekko opadł jej w ustach.

– To znaczy – odezwałam się – że ludzie, którzy kłamią, zawsze zostają przyłapani. Bóg wie, że robi się coś złego i goni człowieka z nożami.

– I mieczami – dodała Tilly.

– Czasem i z tym, i z tamtym – potwierdziłam. – Ale rzecz w tym, że każdy w końcu zostanie wykryty i nikomu nic nie ujdzie na sucho, ponieważ Bóg jest wszędzie.

Razem z Tilly zamachałyśmy wokół siebie ramionami.

– Proszę pani, czy pani wierzy w Boga? – zapytałam.

Sheila Dakin usiadła. Papieros wypalił się jej w ogonek z popiołu i spadł na sweter, kiedy czekałyśmy na odpowiedź.

– Muszę coś przynieść ze spiżarni – powiedziała.

– Mamo, naprawdę zbladłaś, chcesz wody?

– Po prostu martwię się o panią Creasy – odparła. – Martwię się, że już nie wróci.

– Oczywiście, że wróci. – Lisa usiadła na ramieniu kanapy. – Po prostu uznała, że musi się na jakiś czas wyrwać z tego wszystkiego.

Pani Dakin pokiwała głową jak małe dziecko.

– Myślę, że nie – wtrąciłam się.

Pani Dakin popatrzyła na mnie.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego tak myślisz?

– Bo miała umówione spotkanie na następny dzień, a nie była z tych pań, które zawodzą ludzi.

Pani Dakin patrzyła dalej. Przyglądała się tak bardzo, że zobaczyłam masę czerwonych żyłek otaczających białka jej oczu.

– Z kim?

Wiedziałam, że Tilly patrzy na mnie, ale i tak postanowiłam odpowiedzieć.

– Z Cienkim Brianem – rzuciłam.

– Tak? – zapytała pani Dakin. – Czy na pewno? – Podciągnęła rękawy swetra i próbowała wstać.

Potem Tilly twierdziła, że nie powinniśmy mówić o kłamaniu, mieczach i Cienkim Brianie, ale ja jej powiedziałam, że dzięki temu pani Dakin pomyśli o Bogu, a myślenie o Bogu na pewno nie może być czymś złym.

Ulica
numer 10

10 lipca 1976

Eric Lamb trzymał zdjęcie za brzegi ramki.

To był chłodny dzień. Elsie zawsze chciała ślubu w grudniu. Chciała białego, puszystego szalika, ostrokrzewu na końcach ławek w kościele i śniegu jak lukrowa polewa na drózkach. Nawet zanim wiedziała, kogo poślubi, tamtego była pewna. Kiedy to zaproponowali, proboszcz zajrzał do dziennika, wessał powietrze między zębami i powiedział, że to taki okres w roku, kiedy jest najbardziej zajęty. Kosztowało to Erica trzy wizyty i buteleczkę brandy, żeby proboszcz zrozumiał, jakie to ważne. Przypadkiem Bóg chyba tego nie zrozumiał, bo w dniu ich ślubu niebo było powleczone gołębią szarością. Bez śniegu, bez ostrokrzewu i z takiego rodzaju zimnem, które wsącza się w kości. Eric musiał wstać z łóża boleści, żeby się ożenić. Stał w kościele z temperaturą 38,8 i tak się trząsł i sztywniał, że proboszcz wziął to przez omyłkę za zdenerwowanie i przez większą część nabożeństwa trzymał Ericowi rękę na ramieniu, żeby mu dodać otuchy. Ale to nie miało znaczenia. To nie miało znaczenia, bo dla Elsie zrobiłby wszystko. Póki miał Elsie, miał wszystko.

Odstawił zdjęcie na półkę nad kominkiem. Kiedy mówił „póki śmierć nas nie rozłączy”, nawet nie myślał, że to się zdarzy. To było tak nieprawdopodobne i tak odległe. Ale oto jest. Odsunięty od świata pełnego planów innych ludzi, chodzi po sklepie z połówką chleba w drucianym koszyku. Co rano schodzi na dół, żeby zastać dom w takim samym stanie, w jakim zostawił go wieczorem.

Wyjął z kredensu puszkę zupy. Było za gorąco na zupę, ale nie mógł wypatrzyć niczego innego. Wstydział się, że teraz myśli o Margaret Creasy i że tak bardzo za nią tęskni, ale nie tyle chodziło mu o talerz z jedzeniem, który przynosiła, co o rozmowę, która wraz z nią przybywała. Nigdy nie powiedziała, że Elsie miała udane życie ani że to już pięć lat i powinien wziąć się w karby, nigdy nie robiła uwag na temat szczoteczki do zębów Elsie, która nadal leżała na umywalce w łazience, ani jej płaszcz, który wisiał pod schodami. Tylko słuchała. Jeszcze nikt go nie wysłuchał, ludzie tylko czekali, kiedy skończy mówić, żeby móc zarzucić go własnymi historiami. Może dlatego jej powiedział.

Rozległo się pstryknięcie i syk gazu, a po bokach rondla pojawiły się jasne punkciki.

Poza Elsie z nikim nie rozmawiał. Nie tak, jak trzeba. Rozmowy były pozbawione istotnych treści. Mamrotał słowa, które należy wymamrotać, kiedy ludzie okazują zainteresowanie, ale z reguły nikt nie słuchał wymamrotanych słów. Są jak interpunkcja cudzej wypowiedzi, małe trampoliny dla kogoś, żeby mógł wyskakiwać z nich ze swoimi opiniami.

Margaret Creasy była inna. Margaret Creasy zadawała pytania. Tego rodzaju pytania, które się zadaje, kiedy się kogoś słucha.

Zamieszał zupę. Kuchnia wypełniła się gęstym zapachem pomidorów, który naruszył obszary ponadtrzydziestostopniowego upału.

Nie rozpoczął rozmowy, żeby jej to powiedzieć, ale gdy odtworzył tę rozmowę w pamięci, stało się oczywiste, że musiało do tego dojść. Powiedział jej o dniu, kiedy przedstawiono im rozpoznanie i jak Elsie twierdziła, że wszystko będzie w porządku, i o jej ramionach, cienkich i zmęczonych. Mówił, jak Elsie przerywała po każdym zdaniu, żeby dać szansę lekarzowi na wstawienie nadziei, a lekarz zachowywał milczenie. Nadziei nie było. Rak gnał przez jej ciało, jakby spieszył się na bardzo ważne spotkanie. Opowiedział Margaret Creasy o szpitalnych wizytach i o długich korytarzach, które przemierzał samotnie, o pielęgniarkach, ich łagodnych głosach i zmęczonych oczach, o lekarzach, którzy krążyli po salach bez spoczynku. Opowiedział, jak Elsie mizerniała na poduszce, jak był w stanie rozpoznać tylko jej rękę, jak jej ciało odchodziło, zanim ona odeszła. Opowiedział o dniu, w którym Elsie uznała, że już dosyć, o hospicjum, którego odmówili, i torebce z tabletkami, z którą odesłano ich do domu. Łóżko szpitalne w pokoju od frontu, ludzie, którzy przychodzili, żeby czyścić, myć i odwracać. Wstyd, upokorzenie. Opowiedział jej o bólu, kiedy rak odnalazł kości Elsie, o tym, jak słuchał szlochu Elsie, kiedy myślała, że nikt nie słyszy. Mówił, jak Elsie powiedziała, że gdyby miała pistolet, zastrzeliłaby się. Mówił,

jak oboje na siebie patrzyli. Jak był gotów zrobić dla niej wszystko. I wszystko opowiedział Margaret Creasy. Pokazał jej nawet garść tabletek, które zostały w szpitalnej torbie. Margaret radziła, żeby zwrócił je do apteki, ale jak miał to zrobić, będą się pytali, co się stało z resztą?

Wziął zupeę, postawił ją na tacy z łyżką i wczorajszą bułką i popatrzył na to.

Od pięciu lat nikomu nie mówił o Elsie. Umiał dotrzymywać tajemnic, udowodnił to nie raz, ale z jakichś powodów opowiedział o tym Margaret Creasy. Natychmiast potem poczuł ulgę, jakby wypowiedzenie tych słów na głos odebrało im część ich mocy. Tajemnica zatrzaśnięta w jego głowie przesuwała się do obrzeży, rozpychała czaszkę i przykrywała inne myśli, aż ucichły. Mówiąc, przyglądał się dokładnie twarzy Margaret Creasy, szukał potępienia, żeby porównać je ze swoimi uczuciami, szukał powodu, żeby przestać mówić, ale niczego nie znajdował.

Kiedy skończył, położyła dłoń na jego dłoni i powiedziała: „Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne”. To było jak reakcja chemiczna.

Ale kiedy odeszła, jego tajemnica też odeszła. Wracała z nią przez ulicę, wchodziła przez inne drzwi, pojawiała się w innym życiu. Wydał tajemnicę swojej wolności i w głowie pojawiły mu się zupełnie inne myśli – myśli, które towarzyszyły mu w nocy. Takie myśli, że pożałował, że nie zachował tajemnicy dla siebie.

Patrzył, jak na zupie tworzy się kożuch.

Teraz Margaret zniknęła, jego tajemnica też.

Wziął talerz i wylał zawartość do zlewu. I tak było za gorąco na zupę.

Ulica
numer 4

11 lipca 1976

Powinienem jej powiedzieć, że nie mogę czekać – stwierdziło radio.

– To jest obrączka ślubna. Na. Moim. Pal...cu – odpowiedziała śpiewem Tilly.

– Skąd znasz słowa? – zapytałam.

Przetoczyła się na brzuch i oparła brodę na dłoniach.

– Bo twoja mama zawsze to śpiewa przy zmywaniu. To, albo *Knock Three Times*.

– Tak?

– Dwa razy w rurę znaczy, że odpowiedź brzmi: nie – wyjaśniła Tilly.

Siedziałyśmy na trawniku przed domem, radio mojej matki grało przez okno, a pyłki łaskotały nas w nosy. Rysowałam mapę ulicy i próbowałam wykreślić nasze postępy. Tilly pomagała, robiąc uwagi.

Na przykład.

„Kwiaty pani Forbes są wyższe niż narysowałaś” albo „płot u pani Creasy nie jest prosty”.

Sięgnęła i narysowała ptaka na dachu Sheili Dakin, a drugiego na naszym trawniku od frontu.

– Umiem rysować tylko ptaki – powiedziała.

Patrzyliśmy na mapę.

– Niewiele tu śladów Boga, prawda? – Przeciągnęła palcem po linii domów. – Chyba jeszcze nie widziałyśmy ani kawałka.

Pomyślałam o kłamstwach pani Forbes i upodobaniu do pogrzebów May Roper, i o tym, jak Sheila Dakin potykała się i przewracała na ulicy.

– Nie – powiedziałam – ale zostało nam jeszcze mnóstwo miejsc do przeszukania.

Ukradkiem zerknęłam na Tilly.

– Mogłybyśmy znowu pójść do pani Dakin.

– Już tam byliśmy. Dlaczego chcesz wrócić? – zapytała Tilly.

– Bez powodu.

– To dla Lisy? – zapytała.

– Nie. – Zarzuciłam włosami.

– Bo ty i ja jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, prawda, Gracie? To znaczy, że nic nigdy tego nie zmieni, co?

– Nie – odparłam. – Tylko że Lisa i ja mamy ze sobą tak dużo wspólnego.

– Naprawdę?

– O tak. – Ja i Lisa po prostu pasujemy do siebie. Niektórzy do siebie pasują, prawda? Po prostu są dopasowani.

Tilly kiwnęła głową i znów popatrzyła na mapę.

– Chyba tak – stwierdziła.

Czasem Tilly nie rozumiała bardziej skomplikowanych spraw w życiu. Dlatego potrzebna mi była przyjaciółka taka jak Lisa. Ktoś bardziej doświadczony i nadający na moich falach.

Tilly wskazała na mapę.

– Kto tutaj mieszka?

Spojrzałam na to miejsce.

– Jeszcze nikt.

Numer czternasty był pusty, odkąd pamiętałam. Pughowie wprowadzili się na jakiś czas, ale zniknęli, kiedy pan Pugh przeżył kryzys wieku średniego i ukradł pięć tysięcy funtów ze swojej firmy rachunkowej. Nosił filcowy kapelusz i miał przyczepę kempingową w Llandudno. Wszyscy byli wstrząśnięci. Kiedy Pughowie się wyprowadzili, człowiek z agencji nieruchomości postawił w ogródku znak: „Na sprzedaż”, ale Keithie pierwszego dnia przewrócił go piłką i nikt już się nie wprowadził.

– A ten? – Tilly wskazała inny dom na mapie.

– Eric Lamb. Zajmuje się głównie ogrodnictwem.

– A tam?

Tilly wskazywała numer jedenasty.

Przez chwilę nie odpowiadałam. Tilly pokazała jeszcze raz, nachmurzyła się.

– Gracie?

– Walter Bishop. – Popatrzyłam na dom. – Tam mieszka Walter Bishop.

– Kto to jest Walter Bishop?

– Ktoś, kogo nie chciałabyś poznać.

Znow się nachmurzyła, więc wyjaśniłam.

Wyjaśniłam, że tylko raz spotkałam Waltera Bishopa. Przed przyjazdem Tilly co piątek chodziłam z panią Morton do

rybnego Brighta, gdzie zamawialiśmy smażone kiełbaski i kotlety rybne, czy miałyśmy na nie ochotę, czy nie. Przyszedł tam pewnego dnia, przesuwając się w kolejce, która wiła się wokół sklepu. Był blady i lśniący jak świeży dorsz za ladą, a pani Morton przycisnęła mnie bliżej do swojego płaszcza. Nie pozwoliła mi, żebym zanurkowałam pod barierką i patrzyła, jak ryby unoszą się i opadają w oleju i poczuła smażeninę na twarzy.

– Kto to był? – zapytałam ją później, kiedy wzięliśmy gazetę do herbaty.

– Walter Bishop.

Nawet nie raczyła wyjaśnić kto to.

– Kto to jest Walter Bishop?

Pani Morton podała ocet i powiedziała:

– Ktoś, kogo nie chciałabyś poznać.

Kiedy skończyłam opowiadać, Tilly też popatrzyła na dom.

– Dlaczego ludzie go nie lubią? – zapytała.

– Nie wiem. Nikt o tym nie mówi. Może to ma coś wspólnego z Bogiem?

Tilly starła pyłek z końca nosa.

– Nie rozumiem, Gracie, o co tu chodzi.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Nawet radio jakby się nad tym zamyśliło. Policzyłam oczami wszystkie domy i pomyślałam, czy proboszcz miał rację, że pani Creasy zniknęła, bo na ulicy jest za mało Boga, że Bóg jakoś o niektórych z nas zapomniał i zostawił dziury w wierze, żeby ludzie w nie wpadali i znikali.

– Może powinniśmy odwiedzić Waltera Bishopa – stwierdziłam. – Powinniśmy osobiście sprawdzić, czy Bóg tam jest.

Obie popatrzyłyśmy na drugą stronę, na numer jedenasty. Odpowiedział nam cichym spojrzeniem brudnych okien i łuszczącej się farby. Chwasty wiły się po ceglach i wpijały w rogi, a zasłony w oknach były szczelnie zaciągnięte chroniąc dom przed resztą świata.

– To chyba nie jest dobry pomysł – powiedziała Tilly. – Lepiej, żebyśmy posłuchały ludzi i trzymały się z daleka.

– Zawsze robisz to, co ludzie mówią?

– Zazwyczaj – odparła Tilly.

Wstała i wspomniała, że lepiej, żebyśmy odwiedziły Erica Lamba, a ja na to, że w porządku, złożyłam mapę i włożyłam ją do kieszeni.

Ale kiedy szłyśmy ulicą do numeru dziesiątego, popatrzyłam na dom Waltera Bishopa i zastanowiłam się nad paroma sprawami.

Bo już wiedziałam, że to tajemnica, którą należy poznać.

Nietrudno było znaleźć Erica Lamba.

Zawsze był na dworze, bez względu na pogodę, kopał, przycinał, wciskał nasiona w miękką glebę. Podczas deszczu można było go zobaczyć, jak stoi pod ogromnym parasolem, przygląda się swojemu dziełu, albo można go było znaleźć w szopie, na tyłach ogródka z termosem i w wełnianej czapce z

pomponem. Czekałam w tej szopie, kiedy mój ojciec pytał, jak najlepiej robi się kompost, albo kiedy powinien przyciąć róże. Eric Lamb zawsze długo zastanawiał się nad odpowiedziami, jakby słowa były kiełkami, które muszą wyrosnąć.

– Więc staracie się o odznakę ogrodniczek? – zapytał.

Stałam z Tilly w tej samej szopie. Czuć ją było ziemią i drewnem, była ciemna, bezpieczna, podlana kreozotem.

Tak, powiedziałyśmy po namyśle, bo niespieszne mówienie okazało się zaraźliwe.

Nie patrzył na nas, wyglądał przez okienko wysmarowane wysiłkami minionych letnich prac.

Po dłuższej chwili zapytał:

– Dlaczego?

– Bo to robią zuchy – odparła Tilly. – Zbierają odznaki.

Popatrzyła na mnie, żebym ją poparła, a ja kiwnęłam głową.

– Dlaczego? – powtórzył.

Tilly wzruszyła ramionami i za plecami Erica Lamba zrobiła śmieszna minę.

– Bo to pokazuje, że umie się coś robić – odpowiedziałam, próbując nie patrzeć na śmieszna minę Tilly.

– Naprawdę? – Odstawił na blat kubek od termosu. – Myślicie, że potrzebna wam odznaka, żeby udowodnić, że jesteście do czegoś zdolne?

– Nie. – Miałam wrażenie, jakbym przez pomyłkę trafiła na szkolne zebranie.

– Więc po co to robić? – zapytał i znów zajął się termosem.

– Bo do czegoś się przynależy? – zapytała Tilly.

– To nam da emblemat – powiedziałam.

– Emblemat – powtórzyła Tilly, ale wypadło to, jakby powiedziała ble, ble.

Eric Lamb uśmiechnął się i zakręcił termos.

– Cóż, no to wyjdziemy i może zdobędziemy dla was obu emblemat – powiedział.

Ogródek Erica Lamba wyglądał na znacznie większy od naszego, chociaż wiedziałam, że mają dokładnie te same rozmiary.

Może dlatego, że miał wytyczone porządne grządki, a w naszym porozrzucane były stare pudła, w rogu stała zardzewiała kosiarka i brakowało kawałków darni tam, gdzie Remington hasał po trawniku, gdy był jeszcze w formie.

Staliśmy na skraju wyznaczonej sznurkami i kołkami granicy tajemniczo ułożonych kwadratów.

Eric Lamb założył ręce i skinął w dal.

– Jaka jest najważniejsza rzecz, jakiej potrzebuje ogród? – zapytał.

Też założyłyśmy ręce, żeby lepiej pomyśleć.

– Wody? – zapytałam.

– Słońca? – zapytała Tilly.

Eric Lamb uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Sznurka? – zapytałam w akcie czystej rozpaczy.

Kiedy skończył się śmiać, wyprostował ręce i powiedział:

– Najważniejsze, czego potrzebuje ogród, to cień ogrodnika.

Pomyślałam, że Eric Lamb jest bardzo mądry, chociaż jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Był w nim jakiś spokój, nienarzucająca się mądrość, która ciągnęła się, jak jego cień, po ziemi. Patrzyłam na ogród i obserwowałam białe motyle tańczące nad daliami, frezjami i geranium.

To był chór kolorów, śpiewający tylko dla mnie, a ja miałam wrażenie, że słyszę go po raz pierwszy. Potem pomyślałam o grządce marchewek zasadzonych przeze mnie w ubiegłym roku (marchewki nie przeżyły, bo ciągle je wykopywałam, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyją) i poczułam się trochę onieśmielona.

– Skąd pan wie, kiedy co sadzić? – zapytałam. – Skąd pan wie, kiedy co rośnie?

Eric Lamb oparł ręce na biodrach, popatrzył z nami na ogród, potem kiwnął głową. Widziałam, jak ziemia wgryzła mu się w palce i zadomowiła w zmarszczkach na skórze.

– Sadzi się podobne z podobnymi – powiedział. – Nie ma sensu sadzić zawilca na polu słoneczników, prawda?

– Prawda – odparłyśmy jednocześnie.

– Co to jest zawilec? – wyszeptała Tilly.

– Nie mam pojęcia – odszepnęłam.

Eric Lamb chyba to usłyszał.

– Bo zawilec zwiędnie – powiedział. – Potrzebuje innych rzeczy. Dla wszystkiego jest logiczne miejsce, a jeśli coś jest tam, gdzie powinno, będzie rozkwitać.

– Ale skąd pan wie – zapytała znowu Tilly – skąd pan wie, czy coś jest na właściwym miejscu?

– Doświadczenie. – Wskazał nasze cienie rozlane na betonie. Jego, szeroki, mądry, jak dębu, i nasze z Tilly, patykowate, wąskie i niepewne. – Zawsze rzucajcie cień. Jeśli będzie dość cienia, przyjdzie czas, kiedy poznacie wszystkie odpowiedzi.

Potem dał nam grace i cynowy kubeł i wysłał nas w odległy zakątek ogrodu, żebyśmy wyrywały chwasty. Rękawice też miałyśmy (ja prawą, a Tilly lewą), ale były duże i niezgrabne i zdjęłyśmy je po paru minutach. Gleba pod naszymi palcami była miękka i spokojna.

Po paru minutach po drugiej stronie płotu oddzielającego ogródek Erica Lamba od ogródka Sheili Dakin pojawił się Keithie.

– Co robicie? – zapytał.

– Wyrywamy chwasty. – Przesunęłam się na kawałku gazety, który dał nam Eric Lamb, żebyśmy miały na czym klęczeć.

– I rzucaamy cienie – dodała Tilly.

Keithie zmarszczył nos.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo to jest ciekawe. – Zobaczyłam, że Keithie patrzy na wiadro, które zaczęło się napełniać mieszanką ziemi i liści. – I uczy życia.

– A o co chodzi? – zapytał.

– A o co chodzi w odbijaniu piłki przez cały dzień? – odparłam.

– Może mnie odkryją. Może zauważy mnie Brian Clough i zapisze.

Keithie odbił piłkę, żeby podkreślić te słowa.

– Hm, jak zobaczę, że Maple Road idzie Brian Clough, to na pewno pokażę mu, gdzie jesteś.

Nie miałam pojęcia, kto to jest Brian Clough, ale byłam pewna, że Keithie też o tym nie wie. Jego głowa znów zniknęła. Popatrzyłam przez ogród na Erica Lamba. Mimo że stał plecami do nas, widziałam po jego ramionach, że się śmieje.

Dalej wrywałyśmy chwasty, Tilly w zydwestce, a ja w filcowym kapeluszu, który Eric Lamb znalazł z tyłu szopy. Dziwne, jak wrywanie chwastów uspokaja umysł. Przestałam się martwić o Boga i o panią Creasy, i o to, że moja matka wychodzi z każdego pokoju, do którego wchodzi ojciec. Mogłam myśleć tylko o ziemi, która łaskotała mnie między palcami.

– Podoba mi się to – powiedziałam.

Tilly kiwnęła głową, pracowałyśmy w milczeniu. Po jakimś czasie pokazała roślinę, która nadal była wrośnięta w ziemię.

– Czy to też jest chwast? – zapytała.

Pochyliłam się do przodu i przyjrzałam się. Liście miała wielkie, postrzępione, ale nie wyglądała tak jak inne rośliny w wiadrze. Pośrodku nie miała dmuchawca i w ogóle mało przypominała chwast.

– Bo ja wiem. – Popatrzyłam jeszcze trochę. – Może.

– A jak ją wyrwę, a to nie jest chwast? A jak umrze przeze mnie, a jest kwiatem? – zapytała Tilly. – A jeśli się pomylę...

Eric Lamb nadszedł z drugiego końca ogródka.

– O co chodzi? – Ukucnął obok nas i razem zapatrzyliśmy się na roślinę.

– Nie możemy się zdecydować, czy to jest chwast, czy nie – powiedziała Tilly – a ja nie chcę tego wyrywać, jeśli to nie chwast.

– Rozumiem. – Kiwnął głową, ale nic więcej nie dodał.

Czekałyśmy, nogi zaczynały mi cierpnąć, podniosłam się z gazety. Kiedy spojrzałam w dół, tytuły z ubiegłego tygodnia miałam odbite na kolanach.

– To co powinniśmy zrobić? – zapytała Tilly

– Hm, po pierwsze – odparł Eric Lamb – kto decyduje, czy to jest chwast, czy nie?

– Ludzie? – zapytałam.

Roześmiał się.

– Którzy ludzie?

– Ludzie, którzy mają władzę. Oni decydują, co jest chwastem, a co nie – powiedziałam.

– A kto teraz jest u władzy? – Popatrzył na Tilly, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem, mrużąc w słońcu oczy. – Kto trzyma grację? – zapytał.

Tilly zdrapała ziemię z nosa i jeszcze bardziej zmrużyła oczy.

– Ja? – zapytała bardzo cicho.

– Ty – odparł Eric Lamb. – Ty decydujesz, czy to jest chwast, czy nie.

Odwróciliśmy się i popatrzyliśmy na roślinę, która czekała na swój los.

– Sprawa z chwastami – podjął Eric – jest bardzo względna.

Wyglądałyśmy na speszone.

Znów spróbował.

– To zależy od tego, czyj to punkt widzenia. To, co dla jednego jest chwastem, dla drugiego może być pięknym kwiatem. Głównie zależy to od tego, gdzie rośnie i przez czyje oczy się na to patrzy.

Rozejrzałyśmy się po daliach, frezjach i geraniach.

– Więc dla kogoś innego cały ten ogródek mógłby być pełen chwastów? – zapytałam.

– Właśnie. Jeśli kochacie dmuchawce, możecie to uznać za stratę czasu.

– A pan zachowałby zamiast tego dmuchawce – powiedziała Tilly.

Pokiwał głową.

– Więc to jest chwast, czy nie? – zapytał i oboje popatrzyliśmy na Tilly.

Jej gracka zawisła nad rośliną. Popatrzyła na każde z nas z osobna i znów na roślinę. Przez sekundę myślałam, że zaraz ją wykopie, ale ona odłożyła grackę i wytarła rękę o sukienkę.

– Nie – powiedziała. – To nie jest chwast.

– Więc pozwólmy jej żyć – stwierdził Eric Lamb – a my wejdziemy do środka na szklanę lemoniady.

Podniosłyśmy się z gazet, otrzepałyśmy ubrania i poszłyśmy za nim przez ogród.

– Ciekawe, czy zgadłaś – zastanawiałam się, gdy wytarłyśmy nogi na macie na ganku. – Ciekawe, czy to naprawdę był chwast.

– Chyba nie o to chodzi, Gracie. Chyba chodzi o to, że każdy może myśleć, co chce.

Do Tilly czasem trzeba po prostu podejść ze zrozumieniem.
– A ty nadal nie rozumiesz, prawda?

Eric Lamb sięgnął po szklanki z górnej szafki, a my z Tilly wykorzystaliśmy tę chwilę, żeby z ciekawością rozejrzeć się po kuchni.

To dziwne, jak różne bywają kuchnie u ludzi. Niektóre były krzykliwe i nieporządne, jak u pani Dakin, niektóre, jak u Erica Lamba, prawie nie wydawały dźwięków. Zegar tykał nad framugą, a lodówka brzęczała i buczała do siebie w rogu. Poza tym panowała cisza, kiedy odkręciłyśmy krany, patrzyłyśmy przez okno i myłyśmy ręce mydłem w płynie. Obok pieca stały dwa fotele, jeden pomięty i zapadnięty, drugi gładki i niezniszczony. Na oparciach obu wisiały szydełkowane koce, sterty wielokolorowej przędzy zszytej w krzyczącą całość, na komodzie stało zdjęcie kobiety o łagodnych oczach. Patrzyła, jak wycieramy ręce i bierzemy lemoniadę od Erica Lamba, a ja zastanawiałam się, czy to jej cierpliwość zszyła pasma wełny na fotel, na którym już nie usiądzie.

Postanowiłam przejść od razu do rzeczy.

– Czy pan wierzy w Boga? – zapytałam.

Zobaczyłam, że zerka na zdjęcie, ale nie odpowiedział od razu. Był tak cichy, że słyszałam, jak oddech wchodzi i wychodzi z jego piersi, wreszcie znów spojrział na zdjęcie i powiedział:

– Oczywiście.

– Myśli pan, że dzięki Niemu jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być?

– Jak zawilce? – zapytała Tilly.

Eric Lamb popatrzył przez szklanę na ogródek.

– Myślę, że pozwala nam rosnać – powiedział. – Musimy tylko znaleźć najlepszą glebę. Każda roślina może rozkwitać, musi tylko znaleźć sobie właściwe miejsce, a to nie zawsze jest tam, gdzie myślimy.

– Zastanawiam się, czy kozły i owce mogą rosnać na tej samej ziemi – powiedziała Tilly.

Eric Lamb popatrzył na nią i zmarszczył brwi, więc opowiedzieliśmy mu o kozłach i owcach, i o tym, że Bóg jest wszędzie, i machaliśmy ramionami, i piłyśmy lemoniadę.

– Kim jest pani na zdjęciu? – zapytała Tilly.

Odwróciliśmy się, żeby popatrzeć na panią, a ona odpowiedziała nam spojrzeniem.

– To moja żona – powiedział Eric Lamb. – Opiekowałem się nią do śmierci.

– A teraz, kiedy jej już nie ma, opiekuje się pan ogródkiem zamiast nią – stwierdziła Tilly.

Eric Lamb wziął od niej pustą szklanę.

– Odnoszę wrażenie, że rzuciłyście więcej cieni, niż z początku myślałem.

I uśmiechnął się.

Ledwie zamknęliśmy za sobą furtkę, gdy Tilly chwyciła mnie za ramię.

– Nie mówiliśmy o pani Creasy.

Otworzyłam torebkę, którą dał nam Eric Lamb. Była pełna małych pomidorów i z załamania brązowego papieru uleciał zapach lata.

– Oczywiście, że mówiliśmy. – Włożyłam pomidora do ust i poczułam, jak pęka mi między zębami. – Prawie o niczym innym nie rozmawialiśmy.

Tilly sięgnęła do torebki.

– Naprawdę?

– Tilly Albert, co ty byś zrobiła beze mnie?

Zmiażdżyła pomidora w ustach i odpowiedziała mi uśmiechem.

Do późnego popołudnia torebka była pusta. Pomidory były słodkie jak cukier.

Jarzębinowa farma
numer 3

15 lipca 1976

Remingtonie, mama przygotowuje dzisiaj herbatkę na szóstą, więc miejmy nadzieję, że ludzie będą dobrze wychowani i przyjdą do domu w porę, żeby coś zjeść.

– Jednak, gdyby ludzie byli dobrze wychowani, Remingtonie, zrozumieliby, że jedynym powodem, dla którego podajemy herbatę na stół, jest to, że niektórzy z nas idą do pracy.

Moi rodzice zaczęli się kłócić za pośrednictwem psa.

Został przerobiony na narzędzie do komunikowania się, chociaż nadal leżał pod stołem w kuchni, jak zwykle to robił, i nie wyglądało na to, że wie o swojej nowej roli. Pewnie po prostu myślał, że stał się bardzo lubiany i interesujący.

Rodzice rozmawiali ze sobą bezpośrednio, tylko kiedy ktoś przy tym był albo kiedy chcieli jeszcze bardziej się pokłócić, z krzykami, trzaskaniem drzwiczkami szafek kuchennych, wchodzeniem i schodzeniem ze schodów. Moja matka przestała pytać ojca o panią Creasy i przeszła do innych tematów, takich jak, dlaczego w tym roku nie wyjeżdżamy na wakacje i czy mój ojciec nie chciałby zabrać nadmuchiwanego materaca do biura i, do cholery, zamieszkać tam na stałe.

Razem z Tilly uciekłyśmy do pani Morton, gdzie było spokojniej i ciszej i nikt nie maszerował tam i z powrotem.

Pani Morton zgłębiała spiżarnię, a Tilly i ja siedziałyśmy przy kuchennym stole.

Tilly stawiała pasjansa, ale za każdym razem, kiedy odkrywała króla, po prostu odkładała go na spód talii.

– Tak się nie robi – powiedziałam. – Oszukujesz.

– Gram sama.

– Ale są zasady.

– To nie moje zasady – powiedziała Tilly. Patrzyłam, jak chowa kolejnego króla. – Uważam, że ludziom powinno się pozwalać na własne zasady.

– Na tym w ogóle polegają zasady – zauważyłam – żeby wszyscy na pewno robili to samo.

– Ale to trochę nudne, prawda? – zapytała.

Tilly była z tych, co wysyłają w lipcu kartkę świąteczną, bo myślą, że może ci się spodobać obrazek. Czasem należało ją traktować pobłaźliwie

Przeszła pani Morton, niosąc trzy pudełka herbatników z pianką.

– Czy uznaje pani zasady, proszę pani? – zapytałam.

Pani Morton i herbatniki z pianką zatrzymały się tuż przede mną.

– Niektóre zasady są ważne – powiedziała. – Inne, jak sądzę, są po to, żeby ludzie wiedzieli, że są po tej samej stronie.

Skinęłam głową do Tilly i wyciągnęłam króla spod talii.

– Ale to nie działa, prawda? – zapytała Tilly. – Państwo Forbesowie chyba nigdy nie są po tej samej stronie. Pan Creasy nie ma teraz nikogo po swojej stronie i nie wiem, po czyjej stronie jest pani Dakin.

– Prawda. Popatrzyłam na króla. – Wydaje mi się, że to nie zawsze działa.

– Twoja mama i twój tata z całą pewnością są po tej samej stronie.

Pani Morton zakaszłała i zabrała pianki z powrotem do spiżarni.

– To ze względu na Boga – dodałam. – Gdybyśmy po prostu znalazły Boga, pani Creasy wróciłyby do domu i wszystko inne by się ułożyło.

– Gracie, może ona już nie wróci do domu. Może miałyśmy rację. Może państwo Forbesowie zamordowali ją i zakopali pod patio.

– Państwo Forbesowie nie mają patio – wtrąciła pani Morton z głębi spiżarni.

– Nie. Jestem pewna, że jak Go znajdziemy, to pani Creasy wróci – stwierdziłam. – Musimy tylko szukać dalej.

– Powiedziałaś, że nie było go w domu Erica Lamba, bo nie może być Boga w miejscu, w którym ktoś jest taki smutny, a w innych miejscach już szukałyśmy.

Przycisnęłam paznokciem krawędź karty.

– Gracie?

– Nie wszędzie szukałyśmy.

Tilly patrzyła na mnie, a ja widziałam, że zaczyna rozumieć, o co chodzi.

– Nie! – zawołała. – Nie wolno nam!

Wzięłam Tilly za rękę i zaprowadziłam ją do ogródka. Zdumiewające, jak wiele można usłyszeć z głębi spiżarni.

– Uzgodniłyśmy, że nie odwiedzimy numeru jedenaście – powiedziała Tilly. – Wiemy, że to nie jest bezpieczne.

– Nie, to ty tak twierdzisz.

Siedziałyśmy na dwóch ogromnych donicach na tyłach szopy pani Morton. Właściwie nie należy tego nazywać szopą pani Morton, bo nawet jeśli ktoś zniknie, to zawsze zostają na świecie jakieś miejsca, które będą do niego należały.

– Pani Morton kazała nam się nie zbliżać do Waltera Bishopa.

– Tilly poruszyła się na donicy.

– Zawsze robisz to, co pani Morton ci mówi?

– Zazwyczaj – odparła.

– Powiedziałaś, że nie uznajesz zasad. Powiedziałaś, że przez nie życie jest nudne.

Tilly objęła kolana rękami i zrobiła się bardzo mała.

– Ale to jest co innego. Tej zasady powinniśmy się chyba trzymać.

– Tilly, Bóg musi tam być. Po prostu musi. Nie ma go w żadnym innym domu i numer jedenaście to nasza ostatnia nadzieja.

– Nie możemy po prostu wyobrazić sobie, że On tam jest, i nie szukać Go naprawdę?

– Nie, musimy sprawdzić. Jeśli nie sprawdzimy, to pani Creasy już nie wróci, a potem każde z nas będzie mogło zniknąć. Musimy się upewnić, że mamy pasterza.

Dzień był ciężki i wciskał mi się na głowę. Za szopą pani Morton nie było cienia, a skwar był wściekły i ognisty. Jego okrucieństwo ogarniało wszystko, swoją złością czerwienił mi skórę, wpełzał we włosy, ciągnął mnie z cichym, gniewnym uporem.

– Gracie, ja naprawdę nie chcę.

Tilly spojrzała mi w oczy. Jeszcze nigdy nie patrzyła mi w oczy.

– Hm, cóż – powiedziałam. – Mogę to zrobić sama. – Próbowałam przesłonić strach krzykiem. – Jak ze mną nie pójdziesz, to pójdę sama!

– Nie możesz! Nie wolno ci!

– To poproszę kogoś innego, żeby ze mną poszedł. – Wstałam. Upał robił się coraz gorszy. Czuło się, jak wylewa się ze ścian szopy i z zakurzonych cegieł muru wokół ogródka pani Morton. – Zapytam Lisę Dakin.

Nadal nie rozumiałam, jaką potęgą są słowa. Kiedy raz wyjdą z ust, zaczynają oddychać i żyć własnym życiem. Jeszcze musiałam się nauczyć, że już nie ma się ich na własność. Nie wiedziałam o tym, że jak się je wypuści, słowa stają się właścicielem tego, kto je wypowiedział.

Popatrzyłam na Tilly. Była mniejsza i bledsza niż kiedykolwiek, ale słońce zaczęło chwytać jej twarz, a czerwień jego skwaru wpełzła na czubek nosa Tilly.

– Dlaczego to zrobisz? – zapytała. – Myślałam, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Myślałam, że to my szukamy Boga.

– Można mieć więcej niż jedną najlepszą przyjaciółkę. – Włosy zrobiły mi się gorące i wściekłe, odsuwałam je z twarzy. – I jeśli ze mną nie pójdziesz, to będę musiała przemyśleć całą sprawę.

Tilly nie odpowiedziała.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Więc jak będzie? – zapytałam. – Idziesz ze mną, czy mam poprosić Lisę Dakin?

Pociągnęła za nitkę u jednego ze swoich guzików.

– W takim razie chyba będę musiała – rzekła.

Czekałyśmy w milczeniu, Tilly, ja i kłótnia. To nie wyglądało jak jedna ze sprzeczek moich rodziców, kiedy wszyscy tupali i trzaskali, i robili mnóstwo hałasu. Ta kłótnia była ostrożna i dobrze wychowana, a ja nie wiedziałam, co z nią dalej zrobić.

Zacząłam iść wąską ścieżynką z tyłu szopy.

– Ale zanim pójdziemy, nałóż sobie krem! – krzyknęłam za siebie. – Nos zaczyna ci obłazić.

– Dobrze, Gracie. – Usłyszałam, jak wstaje z donicy. – Skoro tak mówisz.

Rzadko się kłóciłam. Prawdę mówiąc, Tilly i ja jeszcze nigdy się nie pokłóciłyśmy. Czasem próbowałam, ale ona się nie

przyłączała. Zawsze mówiła: „nic nie szkodzi” albo „no to w porządku”, albo „skoro tak mówisz”.

To był nasz pierwszy prawdziwy spór.

Zawsze, kiedy naprawdę się z kimś kłóciłam, byłam zadowolona, jeśli to ja wygrywałam, ale teraz, kiedy wracałam do kuchni pani Morton i słuchałam, jak Tilly bardzo powoli idzie za mną, to chociaż namówiłam ją, żeby zrobiła to, co ja chcę, wcale nie czułam się zwyciężczynią.

Ulica
numer 11

15 lipca 1976

W przeciwieństwie do innych domów, numer jedenasty był odsunięty od ulicy. Ukrywał się za cedrami, które stały zbite w grupkę na trawniku od frontu, jak nieproszeni goście. Inne domy pozdrawiały się nawzajem w uprzejmym kręgu, ale numer jedenasty stał, wahał się, przeproszał, obserwował resztę ulicy i czekał, żeby go zaproszono.

Stałyśmy przy murze ogródka.

Przejechałam palcami po ceglach, wzbila się smużka pomarańczowego kurzu.

– Myślisz, że jest w środku? – zapytała Tilly.

Zajrzałam za jeden z cedrów.

– Bo ja wiem – odparłam.

Dom niczego nie zdradzał. Zbudowano go wiele dziesięcioleci przed resztą osiedla i to oddzielało go od nowo przybyłych, którzy pojawili się wokół niego. Cegły były pociemniałe i mechate od starości, a zamiast ugrzeczniczonych kwadratowych okien przez trawnik wyzierały na nas wielkie oszklone jamy.

– On chyba zawsze jest w środku – powiedziałam.

Poszłyśmy po zwirowanej dróżce, jak po linie, aż do małego krytego ganku. Co krok rozglądałyśmy się, żeby sprawdzić, czy

coś się nie zmieniło, czy drzewa się nie poprzesuwały albo czy okna nie mrugają na nas, kiedy pod nimi przechodzimy.

Drwi frontowe domu Waltera Bishopa były pomalowane na czarno, wokół brzegów zwisały pajęczyny, a w rogu cierpliwie siedział martwy pająk, czekając na posiłek, który nigdy się nie pojawił. Stanęłyśmy na szachownicy płytek, obok stosu gazet niemal tak wysokiego jak Tilly. Zajrzałam przez okna korytarza i zobaczyłam więcej gazet. Lata tytułów przyciskały się do poźółkłej szyby i próbowały uciec.

Patrzyłyśmy na pająka.

– Chyba rzadko kto korzysta z tych drzwi – stwierdziła Tilly.

Oparłam się o drewnianą balustradę biegnącą wokół ganku. Cofnęła się przed moją ręką i z trzaskiem zaprotestowała.

– Może spróbujemy od tyłu? – zaproponowałam.

Tilly popatrzyła na stertę gazet.

– Bo ja wiem, Gracie. To chyba nie w porządku.

Nie było w porządku.

Chociaż byłyśmy tylko o kilka kroków od ulicy, o kilka kroków od moich drzwi, od ogródka Erica Lamba i jego szopy, od leżaka Sheili Dakin, czułyśmy się tak, jakbyśmy zawędrowały daleko od miejsca, w którym powinnyśmy być.

– Nie wygłupiaj się, chodź. – Bo nigdy nie powiedziałabym tego Tilly.

Przeszłyśmy za dom. Przy każdym kroku trzymałam się ściany, dłonie pokryły mi się czerwonym, ceglanym pyłem. Za sobą słyszałam sandałki Tilly chrupiące na żwirze. To był jedyny dźwięk. Nawet ptaki jakby wstrzymały oddech.

Zatrzymałam się przy pierwszym oknie i przycisnęłam twarz do szyby.

Tilly zajrzała za róg domu.

– Widzisz panią Creasy? – wyszeptała. – Jest tam związana? Nie żyje?

Pokój wyglądał na zmęczony i nieszczęśliwy. Zawzięte popołudniowe słońce biło o szybę, ale wewnątrz domu Waltera Bishopa wypełnione było tylko ciemnością. Ciemne drewno komody, rdzawy dywan przetykany burgundem i wiekiem, zielona jak mech kanapa, która wyglądała na tak drapiącą, że usiedzieć nie można. Zapomniana jaskinia tapet i aksamitnych wykładzin.

Twarz Tilly pojawiła się obok mojej twarzy.

– Pusto – powiedziałam. – Nawet powietrza może tam brakować.

Już miałam się odwrócić, kiedy to zobaczyłam.

– Patrz, Tilly – powiedziałam i postukałam w szybę.

To był krzyż. Wielki krucyfiks z brązu. Stał na półce nad kominkiem. Stał tylko on. Nie było ani zdjęć, ani ozdób, niczego, co mogłoby coś powiedzieć o osobie, która tutaj mieszka. Półka wyglądała jak ołtarz.

– Miałam rację. – Spojrzałam na krzyż. – Po prostu szukałyśmy w niewłaściwych domach.

– Nie wydaje mi się, żeby to oznaczało, że tutaj jest Bóg – szepnęła Tilly. – Moja mama ma mnóstwo książek kucharskich, ale sama nigdy nie gotuje.

Kiedy tak patrzyłyśmy, słońce otarło się o krawędzie krzyża i odłamek światła poleciał przez pokój. Wspiął się na drapiącą kanapę, przeleciał po zmęczonym dywanie i dotarł do parapetu. Tam odbił się od szyby, w miejscu, w którym stałyśmy.

– Jejku – powiedziała Tilly. – To wygląda, jakby Bóg coś chciał pokazać.

– Czym mogę służyć?

Byłyśmy tak zdumione, że zabrało nam sekundę, zanim zdałyśmy sobie sprawę, że jeszcze ktoś stoi obok.

Walter Bishop był niższy, niż pamiętałam, a może po prostu to ja byłam wyższa niż wtedy, w sklepie z rybami. Był też chudszy. Skórę miał gładką, lato pomalowało ją na kolor terrakoty.

– Szukacie kogoś? – zapytał.

– Boga – odparła Tilly.

– I pani Creasy – dodałam. Na wypadek gdyby pomyślał, że jesteśmy psychiczne.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się bardzo powoli, a oczy pomarszczyły mu się w kącikach.

– To jest ostatnie miejsce poszukiwań – powiedziała Tilly. – Wszędzie już byłyśmy.

– Rozumiem – powtórzył. – Więc gdzie już szukałyście?

– Wszędzie – stwierdziłam. – Biblia mówi, że Bóg jest wszędzie, ale nie możemy Go znaleźć. Zaczynam myśleć, że proboszcz wymyślił to wszystko.

Walter Bishop usiadł na starej ławce opartej o mur i pokazał drewniane siedzenia naprzeciwko.

– Bóg to interesujący temat rozmowy – powiedział. – A jak myślicie, co się stało z panią Creasy?

Usiadłyśmy.

– Myślimy, że może być w Szkocji – wyjaśniła Tilly. – Albo może ją zamordowano.

– Nie wydaje się wam, że byłoby tu więcej policjantów, gdyby ją zamordowano?

Zastanowiłam się nad tym.

– Policjanci czasem się mylą – powiedziałam.

– To prawda. – Opuścił wzrok i zaczął obskubywać farbę z ławki. Szczerze mówiąc, niewiele jej zostało do obskubania.

Tilly zdjęła sweter i złożyła go na kolanie.

– Lubiliśmy panią Creasy, prawda, Grace?

– Bardzo – odparłam. – Znał ją pan, proszę pana?

– O tak, często wpadała z wizytą. – Walter podniósł wzrok i uśmiechnął się, potem wrócił do farby. – Znałem ją bardzo dobrze.

– Jak pan sądzi, dlaczego odeszła? – zapytała Tilly.

Walter Bishop milczał przez chwilę. Minęło tyle czasu, zanim odpowiedział, że zaczynałam się zastanawiać, czy w ogóle usłyszał pytanie.

– Jestem pewien, że powie nam wszystko, kiedy wróci – oznajmił w końcu.

– Pan myśli, że ona wróci? – zapytałam.

– Hm – odparł – jeśli wróci, na pewno będzie miała mnóstwo do powiedzenia.

Minęło trochę czasu, zanim podniósł wzrok i nasunął okulary na garbek nosa.

Poczułam, że ciepło drewna dotarło do moich nóg.

– Tu się bardzo wygodnie siedzi – stwierdziłam.

– To się nazywa cassapanca.

Oparłam się i poczułam, że wpija mi się w łopatki.

– Śmieszna nazwa dla ławki.

Uśmiechnął się.

– To prawda.

Siedzieliśmy w milczeniu. Od razu rozpoznałam, że Walter Bishop jest z tych osób, z którymi można siedzieć w milczeniu. Przekonałam się, że jest bardzo mało takich ludzi. Większość dorosłych lubi wypełniać milczenie rozmową. Nie ważną, potrzebną rozmową, ale prysznicem słów, który służy tylko do pokrywania ciszy. Ale Walter Bishop czuł się dobrze, kiedy nic się nie mówiło, i wszystkim, co słyszałam, kiedy tak siedzieliśmy razem w tamten gorący lipcowy dzień, to nerwowy krzyk gołębia wysoko na drzewie, kiedy przywoływał partnerkę. Popatrzyłam, ale chociaż przeszukałam wzrokiem wszystkie gałęzie, nie znalazłam go.

Zauważył to.

– Jest tutaj – powiedział, pokazując na sam wierzchołek drzewa. Zobaczyłam maźnięcie szarości między liśćmi.

– Myśli pan, że Bóg jest w tym gołębiu? – zapytałam.

Walter podniósł wzrok.

– Na pewno.

– A w cedrach?

Walter uśmiechnął się.

– Jestem pewien, że jest. Zgadzam się z twoim proboszczem.

Bóg jest wszędzie, w każdym razie ktoś jest.

Ściągnęłam brwi.

– Nigdy nie widziałam pana w kościele.

– Nie lubię się mieszać z ludźmi. – Popatrzył w dół i przesunął stopą po żwirze.

– My też – powiedziała Tilly.

– Czy to sprawia wam przykrość, że nie potraficie mieszać się z ludźmi? – zapytałam.

– Myślę, że można przyzwyczać się do wielu rzeczy, jeśli wystarczająco długo ma się z nimi do czynienia.

Walter Bishop mówił powoli, trzymał słowa w ustach jak kawałki jedzenia. W jego głosie była też jakaś łagodność, co sprawiało, że to, co mówił, wydawało się naprawdę przemyślane.

Popatrzył na mnie z ukosa.

– Nie za dobrze rozpoznaję ludzi. Można się łatwo pomylić.

– Szczególnie dotyczy to ludzi przy tej ulicy – powiedziała Tilly.

– Ale z nami się pan miesza i jest dobrze, prawda? – zapytałam. – Nas pan rozpoznał.

– Zawsze bardzo dobrze radziłem sobie z dziećmi. – Znów zaczął skubać farbę.

Zrozumiałam, dlaczego zostało jej tak mało.

Znów ześliznęliśmy się w ciszę. Gdzieś zza drzew usłyszałam głosy. Jakby to była Sheila Dakin albo pani Forbes. Nie byłam pewna, bo gorący dzień okrył dźwięki jak kocem i wreszcie wszystko odpłynęło ode mnie w skwarze.

– Chodzi o to – powiedziałam po chwili – że nikt tutaj specjalnie nie troszczy się o Pana Boga.

Skubanie ustało. Walter pozbył się farby spod paznokci.

– I nie będą się troszczyć – powiedział – póki czegoś nie będą potrzebowali.

– Czy pan myśli, że Pan Bóg nas słucha, chociaż wcześniej niewiele z Nim rozmawialiśmy? – zapytała Tilly.

– Ja bym słuchała. – Przycisnęłam nogę do ławki. – Inaczej byłabym niegrzeczna.

– A czego chcecie od Boga? – zapytał Walter. Zdjął okulary i zaczął je czyścić chusteczką, która sama wcale nie wyglądała na czystą.

Długo myślałam nad tym pytaniem. Myślałam, kiedy usłyszałam wołanie gołębia na cedrze, kiedy wypełniałam płuca zapachem lata, kiedy czułam ciepło drewna na nogach.

– Chcemy, żeby zapewnił bezpieczeństwo wszystkim na ulicy – powiedziałam wreszcie. – Jak pasterz.

– Ale tylko owcom – dodała Tilly. – Bóg nie lubi kozłów. Odsyła je na pustkowia i więcej z nimi nie rozmawia.

Walter podniósł wzrok.

– Kozły?

– O tak – odparłam. – Świat jest pełen kozłów i owiec. Trzeba tylko spróbować odróżnić jedno od drugich.

– Rozumiem. – Walter znowu założył okulary. Wokół jednego zausznika owinięta była taśma klejąca, ale mimo to przechylały się za bardzo na jedną stronę. – Jak myślisz, czy ludzie przy tej ulicy to kozły czy owce?

Już miałam odpowiedzieć, ale powstrzymałam się i zastanowiłam.

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

Walter wstał.

– Może wejdziemy i napijemy się lemoniady. Możemy o tym porozmawiać w środku. Schowamy się przed upałem.

Tilly popatrzyła na mnie, a ja podniosłam wzrok na Waltera Bishopa.

Nie wiem, czy to dlatego, że brakowało mu guzika przy koszuli, czy dlatego, że miał zarost na twarzy. A może to te włosy, które zwisały mu w strąkach nad kołnierzykiem. A może żadna z tych rzeczy. Pewnie chodziło tylko o słowa pani Morton, które nadal maszerowały mi wokół uszu.

– Możemy napić się na zewnątrz, tutaj, proszę pana, prawda?
– powiedziałam.

Podszedł do tylnych drzwi.

– Nie. Nie ma mowy. Spójrz na swoje ręce. Musisz je umyć.

Opuściłam wzrok. Były ubrudzone ceglaną czerwienią od przesuwania ich po murze. Nawet kiedy wytarłam je w sukienkę, kolor pozostał, wgrzyzł się w linie na palcach.

Otworzył drzwi do kuchni.

– Czy twoi rodzice wiedzą, że tutaj jesteś? – zapytał.

Najpierw nie odpowiedziałam. Wstałam, popatrzyłam na Tilly, odpowiedziała niepewnym spojrzeniem.

– Nie – stwierdziłam. – Nikt nie wie, że tutaj jesteśmy.

I kiedy już przechodziłyśmy z Tilly przez drzwi, nadal nie byłam pewna, czy udzieliłam mu właściwej odpowiedzi.

Ulica
numer 12

15 lipca 1976

W żadnej. – Wzrok Briana przemieszczał się między wczorajszą gazetą a czubkiem lewej tenisówki.

– Jak mogłeś umówić się z Margaret Creasy w żadnej sprawie?
– zapytała Sheila Dakin.

Przywołała go do leżaka.

Zajmował się swoimi sprawami, szukał w garażu starej płyty długogrającej, kiedy go zauważyła, i jak drapieżny ptak wyskrzeczwała jego imię przez ulicę. Teraz stał przed ogródkiem numeru dwunastego, z Hankiem Marvinem i Shadowsami, próbując nie patrzeć jej w oczy.

– No? – zapytała.

Przytulił winyl do piersi.

– To osobiste.

– Brianie Roper, nie pogrywaj ze mną tak arogancko.

Popatrzył na drugą tenisówkę. Nie mógł jej powiedzieć. Nikomu nie mógł.

Gdyby próbował wytłumaczyć, co się stało z Margaret Creasy, nikt by nie zrozumiał. Prowadziłoby to tylko do kolejnych pytań, a on zasupiałby się w węzełki, próbując na nie odpowiedzieć. Obwinialiby go. Ludzie zawsze tak robią.

– Słyszałeś, co mówiłam? – Sheila Dakin przeniosła swój ciężar na bok, a płótno wydało jęk protestu.

Odwrócił wzrok od tenisówki i zerknął na nią. Bikini, leżak, cała ona.

– Brian, co dokładnie powiedziałeś Margaret Creasy o tej ulicy?

– Nic.

– O pożarze?

– Nic. – Ośmielił się rzucić kolejne spojrzenie. – Wiedziała o nim już wszystko.

– A więc ktoś już puścił parę.

– Niekoniecznie. – Brian machinalnie sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów. – Bardzo często chodziła do biblioteki. Mają tam numery „Gazette” za całe lata.

Zaczął nosić kartę biblioteczną ze sobą. Był pewien, że matka przeszukiwała mu kieszenie. Za każdym razem, kiedy własne życie ją nudziło, szperała w cudzym, dla zabicia czasu. Myślał, jak by tu jakoś cichcem oddać kartę. Może zejść do Johna i włożyć ją między kartki jakiejś książki albo położyć pod serwetą na stole, ale na pewno zostałby przyłapany. Zawsze go przyłapywali.

– Co tak szperasz w tylnej kieszeni? – zapytała Sheila.

Nigdy nic mu się nie udawało.

– Bez powodu – powiedział.

– Pieprzyć stare numery „Gazette”. Ktoś jej powiedział, co się stało. Dlatego zaginęła. Ktoś chciał ją uciszyć.

– Rozmawiała ze wszystkimi. Nie tylko ze mną. – Brian znów chciał sprawdzić tylną kieszeń, ale w porę się opanował.

– Brianie, to jest problem jak cholera. Ona rzeczywiście rozmawiała ze wszystkimi. Wie wszystko, co można wiedzieć o nas wszystkich.

Mocniej przycisnął płytę do piersi.

– A co tu można wiedzieć? – zapytał. – Ulica jak inne, prawda? Sheila zmrużyła oczy, ściągnęła usta i wszystko, co można było ściągnąć na twarzy. Wszystko jednocześnie.

– Ale jeśli ktoś za dużo powiedział, to stawiałabym na ciebie.

Zapatrzył się na nią.

Sheila sięgnęła ręką i zaczęła grzebać w trawie, zrzuciła okulary, szurnęła paczką chrupek na dróżkę, aż znalazła gazetę.

– Czytaj. No, dalej.

Zachciało mu się pić. Poczul to znajome pragnienie. Powolne, suche gdakanie w głębi gardła, dzwonienie w uszach.

– Nie chcę – odparł.

– No, dalej. – Sheila machała mu gazetą przed nosem. – Czytaj.

– Nie muszę.

– No to ja przeczytam. – Szybkim ruchem włożyła okulary. – Popatrzmy. „Nadal nie odnaleziono tutejszej mieszkanki. Policja intensywnie zbiera informacje na temat tutejszej mieszkanki, pani Margaret Creasy, która 21 czerwca wyszła z domu przy Ulicy i nie wróciła”.

Czytając, Sheila wodziła palcem po słowach. „Niedostosowana, brak kontaktu, brak powodów odejścia” itd., itd. Przysunęła gazetę nieco bliżej twarzy.

– No i mamy – stwierdziła – to jest to. „Pan Brian Roper (43)”.
– Popatrzyła na Briana znad okularów i znów opuściła wzrok. – „(43), także mieszkaniec Ulicy, powiedział: »Wszyscy się martwimy, że ktoś ją wykończył, tu w okolicy mieszka trochę naprawdę dziwnych ludzi«”.

Zdjęła okulary i popatrzyła na Briana.

– Co ty do diabła robisz, rozmawiasz z reporterami z gazety?

– Wydawało mi się, że są przyjaźnie nastawieni.

– Reporterzy z gazety? Przyjaźni? – Rączką okularów dźgnęła w artykuł. – Brianie, masz czterdzieści trzy lata.

Podrapał się w czubek nosa. Jego matka mówiła to samo.

– Musisz przestać otwierać tę swoją wielką gębę. Reporterzy z gazety, Margaret Creasy, Grace i Tilly.

– Grace i Tilly nic nie mówiłem.

– I przestań wściubiać nos.

– Możesz je zapytać, jeśli chcesz, są tu, niedaleko.

Odwrócił się, żeby popatrzeć, ale ulica była pusta. Nie było nawet pani Forbes, machającej szczotką, ani kosiarki Erica Lamba, tylko spieczona, gorąca cisza lipowego popołudnia.

– Już zniknęły – powiedział.

Sheila pochyliła się do przodu.

– Kto zniknął?

– Grace i Tilly. Przed minutą tu byli.

Sheila odłożyła gazetę i okulary.

– Gdzie?

– Na końcu ulicy. – Odwrócił się i pokazał.

– Brian, na litość boską, gdzie na końcu ulicy?

– Tuż przed numerem jedenastym.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Sheilę, ale ona już wstała.

Ulica
numer 11

15 lipca 1976

Mydło Waltera Bishopa było zielone i popękane i tak przywarło, że musiałam odrywać je paznokciami od zlewu.

Stałyśmy z Tilly obok siebie, myłyśmy ręce. Wiedziałam, że Tilly patrzy na mnie, ale ja przyglądałam się długiej pomarańczowej plamie na zlewie, bo moje oczy jeszcze nie podjęły decyzji, co chcą jej powiedzieć.

– Tak jest dobrze. – Walter stał za nami. – Moje panie, postarajcie się, żeby były ładne i czyste.

Nie uśmiechnęłyśmy się. Coś sprawiało, że słowa brzmiały inaczej, niż kiedy wypowiadała je Sheila Dakin.

Wręczył nam ścierkę do naczyń i wytarłyśmy ręce. Potem złożyłam ścierkę i położyłam ją na ociekaczu.

– O nie, nie, nie. – Zacmokał. – Nigdy, w żadnym wypadku nie składamy ścierek do naczyń.

– Nie składamy? – zapytałam.

– Widzisz, ściereka potrzebuje powietrza. Albo wszystkie zarazki na niej zostaną. Zawsze wiesz ją na kołeczku, o tutaj.

Poszłam za jego wzrokiem i zawiesiłam ścierkę do naczyń na haczyku z boku kredensu.

– Znacznie lepiej – powiedział. – W tym domu nie składa się ścierek do naczyń. To była jedna z zasad mojej matki.

– Czy ona miała dużo zasad, proszę pana? – Usiadłam na jednym z kuchennych krzeseł, Tilly położyła sweter na kolanach i usiadła obok mnie, chociaż widziałam, że co parę sekund zerka na drzwi.

– O tak. Mnóstwo zasad – odparł Walter. – Nie gwizdże się po zmroku. Nie stawia się nowych butów na stole. Ustawia się je w kółko, żeby odpędzić diabła.

Postawił na stole dwie szklanki. Były pokryte kurzem.

– Jedna sroka, sroki dwie – uśmiechnął się. – Chcecie lemoniady?

– My naprawdę powinniśmy już iść. – Tilly, przykryta sweterkiem, przesunęła się na skraj krzesła. – Już prawie czas na herbatę.

– Na pewno jeszcze nie. Dopiero co przyszyście. – Walter nalał lemoniady. – Zrozumcie, odkąd odeszła Margaret Creasy, mam tak mało gości.

Odwrócił się do kredensu, a ja popatrzyłam na Tilly i wzruszyłam ramionami.

– Parę minut nie zaszkodzi – wyszeptałam.

Rozejrzałam się po kuchni. Była ciemna i nieszczęśliwa i nawet w popołudniowym skwarze było w niej dziwnie chłodno. Wszystkie kredensy pomalowano na zielono, a w kątach kuchni spod zwiniętego, zmęczonego linoleum zerknęły deski podłogi.

– Nadal przestrzega pan wszystkich zasad swojej matki? – zapytałam.

Walter usiadł naprzeciwko. Splótł palce, jakby miał się modlić.

– Niektórych – powiedział. – Ale nie wszystkich.

– Mimo że to były zasady pańskiej matki? – zapytała Tilly.

Walter nachylił się do przodu, jakby chciał się modlić.

– Mimo że to były zasady mojej matki – powtórzył. – Mądry jest człowiek, który podejmuje decyzje na własną rękę. To bardzo ważne i należy o tym pamiętać, szczególnie jeśli szuka się Boga.

– Co pan chciał powiedzieć? – zapytałam.

– Ludzie mają skłonność wierzyć w różne rzeczy, bo wierzą w nie wszyscy. – Walter popatrzył na swoje dłonie i zaczął obgryzać skórę przy paznokciach. – Nie szukają dowodu, po prostu szukają uznania.

Musiałam oprzeć się na krześle, żeby to przemyśleć. Czasem dorośli mówią z sensem, choćby samemu nie bardzo się wiedziało, co to za sens.

– Więc skoro postanowiliście szukać Boga – powiedział Walter – przede wszystkim powinnyście dokładnie określić, czego szukacie.

Nawet co do tego nie miałam pewności. Myślałam, że rozpoznam Boga, ledwie Go zobaczę, ale jedyne, czego teraz mogłam być pewna, to że chociaż każdy mówił, że On istnieje, na tej ulicy nie znajdzie się go wszędzie.

– Ludzie wierzą w różne rzeczy, chociaż nawet nie wiedzą, czy to prawda – powiedziałam.

– Bo kiedy wszyscy wierzą w to samo, mają wrażenie, że należą do wspólnoty – dodał Walter.

– Jak stado owiec. – Tilly podniosła szklanę lemoniady i znów ją odstawiła. – Może to jest to, czego ludzie naprawdę potrzebują. Czegoś, w co wszyscy mogą wierzyć.

Walter przestał obgryzać paznokcie i popatrzył na nas.

– A to coś nie zawsze musi być Bogiem. I dlatego to ważne, żeby być mądrym.

– I podejmować własne decyzje – dorzuciłam.

Walter Bishop uśmiechnął się.

– Właśnie.

Miałam do niego mnóstwo pytań i już miałam zadać pierwsze, kiedy do mojego myślenia wdarły się kroki i zakłóciły je. Trzaskały o żwir na dworze i wszyscy podeszliśmy do okna, żeby zobaczyć, kto jest ich sprawcą.

Sheila Dakin. Jej różowe kapcie wyrzucały strumienie kamyczków nurkujących w poszukiwaniu schronienia.

Kilka sekund i była w drzwiach, góra jej bikini dyszała z wysiłku. Staliśmy przy parapecie jak figurynki.

– Co wy do diabła robicie? – zapytała, krzyżując ręce na piersi. Powietrze uchodziło z niej małymi, gniewnymi kęsami.

Z ust Waltera Bishopa wydobyły się słowa, ale były pogmatwane, pokręcone i wypowiedziane w złej kolejności. Patrzyłam, jak na jego brązowe czoło występuje pot. Zapadła się cisza, ale to był inny rodzaj ciszy.

– Tylko rozmawialiśmy – powiedziałam.

– O nie, na pewno nie tylko. – Sheila Dakin weszła, żeby złapać nas za kołnierze, ale my nie miałyśmy kołnierzy, więc pognała nas mahoniowymi skrzydłami.

– Nie robiłyśmy niczego złego – powiedziałam.

– Tak, nie robiłyście – odpowiedziała mi, ale patrzyła na Waltera Bishopa.

– Szukałyśmy Boga – dodałam.

– Cóż, tutaj na pewno Go nie znajdziecie.

Chciałam, żeby Walter wyjaśnił. Wyjaśnił, że Bóg jest wszędzie, w gołębiu na cedrze, w krucyfiksie z brązu, który stoi na półce nad kominkiem, ale Sheila Dakin trzymała Waltera w swoim spojrzeniu z taką łatwością, jakby był przykuty do niej kajdankami.

– Idziemy. – Pani Dakin wyciągnęła nas z kuchni na zwirowany podjazd.

Odwróciłam się i spojrzałam na Waltera.

Stał w drzwiach, patrzył, jak odchodzimy, brązowe ramiona trzymał u boków, ale krzyknął, kiedy zobaczył, że się odwracam.

– Grace, nie zapomnij o tym.

Chodziło o sweter Tilly. Wyrwałam się Sheili Dakin i wróciłam.

– Pamiętaj – powiedział, podając mi sweter. – Zawsze bądź mądra.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową, a on odwzajemnił się uśmiechem i skinieniem głowy.

I wtedy pomyślałam, że wystarczy dwoje ludzi, którzy wierzą w to samo, żeby poczuć wspólnotę.

Sheila Dakin prowadziła nas triumfalnie ulicą, po drodze pokazując wszystkim, których zaniepokoiły jej kapcie, że chodzi o nasze bezpieczeństwo.

– Skąd pani wiedziała, że tam jesteśmy? – zapytałam.

– Cienki Brian zobaczył, że objacie się pod jedenastką, i poinformował mnie. – Sheila Dakin powiedziała to tak, jakby nagle wstąpiła do policji. – On nie zda się na wiele, ale czasem do czegoś się przyda.

Eric Lamb kiwnął głową, kiedy przechodziłyśmy. Stał w ogródku przed domem z grabiami w jednym ręku i gracką w drugim, jak wielki krasnal ogrodowy. Dorothy Forbes zatrzymała się z ręką przy ustach, a Cienki Brian stanął w drzwiach swojego garażu, szukając czegoś w tylnej kieszeni dżinsów.

– Gdzie jest twoja matka? – zapytała Sheila Dakin, kiedy dotarliśmy do końca ulicy.

Podniosłam wzrok na zasłony w sypialni.

– Chyba sobie trochę poleguje.

– Więc myślę, że lepiej będzie, jak pójdziemy do mnie.

Tilly spojrzała na mnie i westchnęła.

Sheila Dakin nawet nie zapytała o matkę Tilly.

Posadzono nas na krzesłach, z Elvisem, deską do prasowania i całą kuchnią pani Dakin, która nabrała charakteru sali rozpraw.

„Czy matka niczego ci nie wyjaśniła?

Wydaje ci się, że co robisz?

Czy powiedział coś, co was zaniepokoiło?”

– No, powiedział?

– Rozmawialiśmy o Bogu i gołębiach – wyjaśniłam.

– I wierze w różne rzeczy – dodała Tilly.

Pani Dakin patrzyła na nas, czekała na więcej. W milczeniu odpowiadałyśmy jej spojrzeniami.

– Nic więcej? – zapytała w końcu.

– Nic więcej – odparłam. Chociaż nie wiedziałam, co miało znaczyć to nic więcej, i czekałam, aż da mi wskazówkę.

Opuściła ramiona.

– Dlaczego wszyscy go nienawidzą? – zapytałam. – Co złego zrobił?

– Nic. Podobno.

– To dlaczego nie pozwala się nam z nim rozmawiać?

Usiadła. Zobaczyłam poczucie klęski w jej oczach. Sheila Dakin, która normalnie plułaby słowami bez ograniczeń, nagle stanęła twarzą w twarz z jednoznaczną logiką dziecka.

– Ludzie mówią, że zrobił coś bardzo złego. – Przesuwała paczkę papierosów.

– A co? – zapytałam.

– Policja mówi, że nie, ale nie ma dymu bez ognia.

– Czasem jest – stwierdziła Tilly.

Pokiwałam głową i obie wpatrywałyśmy się w panią Dakin.

– Kiedyś oskarżono mnie o ściągnięcie pracy domowej – powiedziałam – ale to było kłamstwo i moja matka zmusiła panią Nesbitt, żeby mnie przeprosiła.

Zauważyłam, że Tilly patrzy na mnie spod oka.

– To nie jest najlepszy przykład – szepnęła.

– Jest mnóstwo innych – stwierdziłam. – Pani zawsze oskarża Lisę o różne rzeczy, a to niemożliwe, żeby je zrobiła wszystkie.

Pani Dakin ściągnęła brwi i zapaliła papierosa.

– Co zrobił Walter Bishop? – zapytałam. – To znaczy, czego nie zrobił?

– Nie ma znaczenia. Nic ważnego.

To była chyba najważniejsza sprawa, na którą natrafiłam w całym moim życiu.

– Ważne jest – mówiła pani Dakin – żebyście trzymały się od niego z daleka. On jest inny niż my, czy coś zrobił, czy czegoś nie zrobił. – Zaciągnęła się i trzymała dym w płucach, kiedy mówiła. – To zły człowiek.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniłam zdanie. Pani Dakin nie wyglądała na kogoś, kto szczególnie pragnęłaby wysłuchać czyichś interesujących poglądów.

– Czy to ma coś wspólnego z jego matką? – zapytała Tilly.

Pani Dakin zamarła.

Wyglądała, jakby grała w pif, paf, bulwa, niemowa, chociaż w to nie grałyśmy. Nie mrugała, nie oddychała, tylko papieros się poruszał, chwiał i drżał między jej wargami.

– O co ci chodzi? – Mówiła bardzo cicho, nie wyjmując papierosa z ust.

– Pan Bishop opowiedział nam o swojej matce. – Patrzyłam, jak papieros jeszcze bardziej się chwieje. – Prawdę mówiąc, rozmawialiśmy o niej bardzo długo.

Papieros chwiał się tak gwałtownie, aż pomyślałam, że jej wypadnie z ust, ale pani Dakin była wytrawną profesjonalistką i udało się jej utrzymać papierosa.

– Nie zwracaj uwagi na nic, co mówi Walter Bishop – powiedziała. – To taki sam świr, jak była jego matka.

– Ma mnóstwo zasad – przypomniała Tilly.

– Na przykład jakich?

– Nie stawiać butów na stole, nie składać ściereki do naczyń – powiedziałam.

Pani Dakin wyjęła z ust papierosa i popiół zleciał na kuchenny stół.

– Ścierek do naczyń?

– Walter nie składa ścierek do naczyń. – Patrzyłam, jak popiół osiada na podkładce pod nakrycie. – W złożonych ścierekach gnieźdzą się bakterie.

Pani Dakin zapatrzyła się w dal i ściągnęła brwi. Potem przestała ściągać brwi, popatrzyła na nas i powiedziała:

– Naprawdę?

Skinęłyśmy głowami.

– Tak.

Sheila Dakin zgasila resztki papierosa w popielniczce i natychmiast zapaliła następnego.

– Czy mówił coś o Margaret Creasy?

– Właściwie, to nie.

Popatrzyłam na Tilly.

– Właściwie, to mnóstwo – sprzeciwiłam się.

Wzrok pani Dakin przerzucił się błyskawicznie z jednej z nas na drugą.

– Wie, gdzie ona jest? Wie, czy wróci?

– Twierdził, że jak ona wróci, to każdemu wszystko powie. – Tilly próbowała machać nogami pod stołem, ale zaplątały się jej między kosz z praniem a masę zabawek Keithiego. – Że będzie miała mnóstwo do opowiedzenia.

Sheili Dakin opadła szczęką, papieros wypadł na podłogę.

– Proszę uważać, proszę pani. – Podałam jej papierosa. – Tak zaczynają się pożary.

Dobrze się złożyło, że w tym momencie zasłony w sypialni mojej matki były rozsunięte, bo pani Dakin nagle źle się poczuła i pomyślała, że powinna trochę posiedzieć w samotności.

Poszłyśmy pstrokatą ścieżką pani Dakin obok rozłożonego leżaka i stosu czasopism Lisy.

– Podobał mi się pan Bishop – powiedziałam.

– Mnie też – stwierdziła Tilly.

– Wkurzyłyście moją mamę? – Keithie stał przy furtce i poruszał piłkę czubkiem buta.

– Nie – odpowiedziałyśmy obie naraz.

– Byłyście w domu tego cholernego dziwaka, prawda?

– On nie jest dziwakiem. Jemu tylko słabo idzie mieszanie się.

– Hm, wy dwie lepiej wiecie – odparł Keithie.

Patrzyłyśmy, jak odbija piłkę po ulicy, wreszcie piłka uderzyła w krawężnik i zniknęła za murem ogródka pani Forbes.

– To co teraz robimy? – zapytała Tilly. – Nie możemy wrócić do Waltera Bishopa, nie wypuszczaliby nas z domu do końca życia.

– Nie, nie wydaje mi się, żebyśmy mogły wrócić.

– To jak się dowiemy, czy Bóg tam jest naprawdę?

Poszłyśmy ścieżką z boku mojego domu, zobaczyłam, jak moja matka racjonuje sobie popołudnie przy kuchennym zlewie.

– Możemy zrobić to, co powiedział nam Walter Bishop – stwierdziłam. – Możemy sprawdzić dowody. Możemy być mądre.

Kiedy wchodziłyśmy tylnymi drzwiami, Tilly zdjęła zydwestkę i ostukała kurz z sandałów.

– Czy będziemy takie jak mędracy, którzy odwiedzili Dzieciątka Jezus? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam. – Dokładnie takie jak oni.

Ulica
numer 12

15 lipca 1976

Sheila Dakin obserwowała z kuchennego okna całą drogę Grace i Tilly do tylnych drzwi pod czwórką.

To był obyczaj, obserwowanie dzieci. Nawet po pożarze. Nawet po tym, kiedy wszyscy uznali, że Walter Bishop odcierpiał wystarczającą karę i powinno się go zostawić w spokoju, Sheila nadal obserwowała dzieci.

Ledwie Grace i Tilly zniknęły, poszła do spizarni. Lisy i Keithiego nie było w pobliżu, ale światła nie włączyła. Jakoś poprawiało to jej nastrój, kiedy nie mogła zobaczyć nawet siebie, swoich drżących rąk i zimnego płynu spływającego na dno szklanki.

Nie zawsze tak było.

Pamiętała, trochę pamiętała czasy, kiedy miała wybór. Powiedziała Margaret Creasy, że chciałaby wrócić do tamtych dni. Nie, żeby przestać, po prostu tak albo nie, bez gadania. Ale może Margaret miała rację, może dni dokonywania prostych wyborów minęły bezpowrotnie. Posunęła się nawet do tego, że stanęła z butelką nad zlewem, ale zabrakło jej woli, żeby dokończyć. Trochę śmieszne, nie sądziła, żeby miała wiele zalet, ale zawsze uważała, że woli jej nie brakuje.

Wypiła jeszcze jeden łyk. Spłynął w nią jak pocałunek.

To były takie zwyczajne drzwi. Powiedziała Margaret, że z zewnątrz nikt by nie poznał, co się dzieje w środku. Adres dała jej dziewczyna z pracy. Po niej też nie można by się tego spodziewać. Błada i chuda, bardzo cicha, zawsze wycierała nos w rękaw kombinezonu. Zapisała adres na serwetce w stołówce i włożyła to bez słowa do kieszeni Sheili. Ani wcześniej, ani potem Sheila nie rozmawiała z tą dziewczyną.

Nalała sobie jeszcze jednego drinka. Posadzka spiżarni była zimna i nieprzyjemna, ale usiadła po turecku i oparła się o półki. Po pewnym czasie nie było już tak źle.

Przez trzy tygodnie trzymała serwetkę w szufladzie z bielizną.

Jednak ktoś mógł coś po niej poznać. Jej tato żył we własnym świecie, a mamy dawno już nie było. Bracia traktowali ją jak zawsze, jak jeszcze jednego chłopca, tyle że to ona gotowała, sprzątała i co rano wykladała dla nich świeże koszule. Martwiła się o pracę. Jeśli blada chuda dziewczyna zauważyła, to może niedługo zauważy reszta fabryki.

Zajęło jej trzy godziny, zanim zapukała do tych zwyczajnych drzwi. Chodziła po ulicy, czekała, aż kobiety przestaną bielić schodki przed drzwiami, a dzieci skończą grę w klasy. Był ostry, przenikliwy koniec listopada. Sobotnie popołudnie meczów piłkarskich i wypraw na zakupy. Wiatr wywoływał szkarłat na

policzkach, ale nie na policzkach Sheili. Były blade, mokre i zagubione.

Pukając do drzwi, wyobrażała sobie kobietę, która może być za nimi. Chciała, żeby była pulchna, miła i wyrozumiała. Żeby włosy miała ułożone w fale i żeby nosiła solidny fartuch w kwiaty, taki jak jej matka. Ale kobieta, która otworzyła drzwi, była chuda i surowa. Obrzuciła Sheilę wzrokiem od stóp do głów i bez słowa odsunęła się na bok.

Zadała tylko trzy pytania: nazwisko, adres, wiek. Sheila skłamała trzy razy.

Rozmawiała z tą kobietą głosem, którego sama nie rozpoznawała.

– Dwadzieścia jeden – powiedziała, bo bała się, że to może mieć znaczenie.

Wzrok zaczął się jej dostosowywać do mroku w spiżarni. Widziała krzywiznę brzegu szklanki trzymanej w dłoni i szyjkę nachylanej butelki. Mogła przecież nalać sobie jeszcze jednego, skoro i tak tutaj była.

Położyła się na łóżku. Chuda, surowa kobieta stała nad nią. Słabe, przesłonięte światło dnia wpychało się do pokoju, słyszała, jak głosy z zewnątrz wpełzają przez szyby. Odgłos kroków dzieci biegnących po chodnikach, fragmenty rozmów ludzi idących ulicą pod oknem. Wtedy nie paliła, więc mówiła, żeby jakoś ukoić nerwy. Mówiła o byle czym – o pogodzie, Bożym Narodzeniu, kolorze tapety.

Chuda kobieta nie odpowiadała. Sheila nie wiedziała, czy w ogóle słucha.

– Widzi pani, nie jestem z tych dziewczyn – powiedziała, kiedy to się zaczęło.

Te same słowa skierowała do mężczyzny kilka tygodni wcześniej.

„Więc przestań się ubierać jak taka”, odparł.

Sheila podniosła wzrok na chudą.

– Czasem jest łatwiej, jak się nie stawia oporu, prawda? Czasem ludzie nie mają wyboru, prawda?

To była jej ostatnia szansa na odpuśczenie grzechów. Ostatnia szansa, żeby uratować resztę swojego życia.

Chuda pozwoliła jej zasnąć.

Nie odpowiedziała.

Sheila musiała okłamać ojca, że zgubiła kopertę z wypłatą. Kiedy skończył warczeć i łajać, poszła do pokoju od frontu i wypila parę łyków jego brandy. Była mocna i gorzka. Kilka minut później zwróciła ją do umywalki. Ale powtórzyła. Tamtym razem brandy została, gdzie powinna. Otulała jej myśli, aż przestały jej krążyć po głowie, i usypiała cierpienie, chociaż tylko na parę godzin.

Margaret Creasy nazwała to strategią radzenia sobie. Jedyne problem w tym, że kiedy całe życie jest tym, z czym trzeba sobie poradzić, pewnego dnia człowiek patrzy wstecz i stwierdza, że strategia stała się stylem życia.

– Mamo?

To była Lisa. Sheila słyszała, jak chodzi po kuchni, zagląda do salonu. Podniosła się ciężko z posadzki spiżarni, ale chyba wstała za szybko, bo wszystko się wymykało, i musiała przytrzymać się półki, żeby zachować równowagę.

– Tutaj jestem! – krzyknęła. – Tylko szukam czegoś do herbaty.

Jej dłonie chwyciły pierwszą puszkę, która się nawinęła. Zaczęła macać po ścianach, szukając klamki.

Kuchnia była jasna i nieprzyjazna po ciemności spiżarni.

– Brzoskwinia w plastrach? – Lisa stała tuż przed nią.

Sheila popatrzyła na puszkę.

– Na później.

Lisa zmarszczyła brwi i odwróciła się. I tak potoczyła się rozmowa. Sheila widziała tylko plecy Lisy i zasłonę z włosów opadających na twarz, gdy córka schyliła się, żeby zdjąć buty.

– Słyszałam o tych dziewczynkach. – Lisa pociągnęła za sprzączki. – Uratowałeś je, mamó. Jesteś prawdziwą bohaterką. Wszyscy o tym mówią.

– Głupie małe, że tam poszły – powiedziała Sheila.

Nadal wyczuwała brandy. Gdzieś jest guma do żucia, ale nie mogła jej znaleźć. Nic nie było na swoim miejscu.

– Trzeba mu dać popalić. Chłopaki w szkole też tak myślą. Podły sukinsyn.

– Lisa, nie mów sukinsyn. A przynajmniej nie ciągle.

– Ale to sukinsyn – odparła Lisa. – To zboczeniec i tyle. Cholerny zboczeniec.

Sheila odwróciła się do pokoju, ale nadal trzymała się skraju zlewu. Ściany chwiały się i przesuwały wokół niej, a światło wydobyło ból głowy, który umiejscowił się pod czaszką.

– No przecież – Lisa skopała buty w kąt pokoju – co za potwór mógłby skrzywdzić dziecko.

– Bo ja wiem, Liso.

Przyglądała się córce. Była już starsza, pojętna. Już nie jest małą dziewczynką, której można powiedzieć, żeby nie przeklinała.

– Bo czasem – dodała – czasem sprawy nie są takie oczywiste, prawda? Czasem przecież ludzie nie mają wyboru.

– Oczywiście, że mają. – Lisa wreszcie odwróciła się i spojrzała na nią. – Ludzie zawsze mają jakiś cholerny wybór.

Sheila popatrzyła na swoje ręce. Były białe, roztrzęsione, pokryte brązowymi plamami jesieni życia.

Ulica
numer 4

18 lipca 1976

Na ulicy stała furgonetka do przeprowadzek z włączonym dieslowskim silnikiem, który kaszlał czarnym dymem w czujną ciszę. Słyszałam rozmazaną muzykę, dochodzącą z kabiny kierowcy, z otwartego okna ulatywała iglica dymu z papierosa.

Kiedy spaliśmy, pozbawiona powietrza lipcowa noc przekształciła się w doskonały poranek, gładki i spokojny. Na krawędziach nieba tańczyły maleńkie chmurki, a kos śpiewał nad naszymi głowami tak pięknie, wkładając w to całe serce, że nie mogłam zrozumieć, dlaczego świat nie zamarł, żeby się w to wsłuchać.

Razem z Tilly siedziałyśmy na murku przed moim domem, jak publiczność w kinie, z oranżadą w proszku i niecierpliwym oczekiwaniem. Słońce wspinało się po naszych nogach, gołych, wyciągniętych w przestrzeń dnia.

– Widzisz coś? – zapytała.

– Nie. – Umoczyłam w torebce patyk lukrecji i oranżadowy proszek zasyczał mi na języku. – Ale to nie może długo potrwać.

Furgonetka do przeprowadzek od czterdziestu pięciu minut stała przed numerem czternastym, a moja matka przez cały ten czas wystawała w kuchennym oknie, udając, że zmywa.

Zapytałam, czy chce usiąść z nami na murku, na dworze.

– Mam za dużo zajęć – stwierdziła i wróciła do udawania.

– Myślisz, że tam będą dzieci? – zapytała Tilly.

Już cztery razy mówiłam jej, że nie wiem, więc tylko posłałam patyk lukrecji i kopnęłam piętami w cegły. Pani Dakin opalała się z otwartymi oczami, a pan Forbes wychodził do śmietnika sześć razy w ciągu ostatniej półgodziny. Ulica szalała z oczekiwania.

Samochód przyjechał albo o 11.08, albo o 11.09 (w moim zegarku brakowało podziałki minutowej, więc nie wiedziałam na pewno). Był to wielki, metaliczny sedan, tak duży, że musiał zakręcać na dwa razy, żeby dostać się na podjazd czternastki. Otworzyły się drzwi od strony pasażera, potem od strony kierowcy, a potem drzwi z tyłu. Byłam tak bardzo skupiona, że zapomniałam o lukrecji w ustach.

Z początku myślałam, że coś wynoszą, coś złotego, zielonego i szafirowoniebieskiego. Potem zrozumiałam, że to materiał, ale nie tylko materiał, to czyjeś ubranie. I że jest owinięte i udrapowane wokół najpiękniejszej damy, jaką w życiu widziałam. Uśmiechnęła się do nas, pomachała nam, a mężczyzna, który wysiadł drzwiami od strony kierowcy (ubrany w białą koszulę i zwyczajne spodnie) też się uśmiechnął i pomachał. Z tylnego siedzenia jak kula wystrzelił chłopczyk i zaczął biegać po trawniku od frontu.

– O mój Boże – zawołała Tilly – to Hindusi!

Wyjęłam patyk lukrecji z ust.

– Czy to nie wspaniałe?

Po drugiej stronie płotu kosz na śmieci pana Forbesa przewrócił się na podjazd, a zza pleców dobiegł mnie odgłos upadających naczyń stołowych.

– To nie tak – oznajmiła moja matka (powiedziałabym, ile razy to powtórzyła, ale straciłam rachubę).

– Hm, no to jak? – zapytałam.

– Może nie chcą, żebyśmy przyszli z wizytą. Może mają własny styl życia.

– Bo są Hindusami?

– To nie tak.

– Ale upiekłaś ciasto.

– Ach, to. To dla każdego.

– Na wierzchu ma napisane niebieskim lukrem „Witamy”.

Matka zaczęła się bardzo interesować „TV Timesem”.

– Hm, no to pójdę sama – stwierdziłam.

– Nie waż się! – Moja matka odłożyła „TV Timesa” na oparcie fotela. – Derek, powiedz jej.

Mój ojciec jak do tej pory unikał rozmowy. Czytał książkę, siedząc z dala na kanapie, i nikt nie zwracał na niego uwagi.

Powiedział: „hm”, „może” i „jeżeli”, a potem jego głos zamarł.

Matka popatrzyła na niego i zagapiła się na głos.

Na szczęście, dźwięk jej głośnego gapiostwa został przerwany dzwonkiem u drzwi. Nie używaliśmy drzwi od frontu, były dla ozdoby. Nie wiedzieliśmy, czy jeszcze nadają się do użytku. Przez chwilę tylko patrzyliśmy na siebie.

Ojciec podskoczył i obie podskoczyłyśmy wraz z nim. Ciągnął za drzwi od frontu, walczył z nimi i powiedział, żebyśmy się odsunęły. Czekaliśmy, aż wreszcie drzwi zadrżały i ustąpiły. Piękna pani i jej mąż w zwyczajnym ubraniu oraz chłopiec, który biegł jak pocisk, stali na naszym progu.

– Cześć – powiedziałam.

Moja matka przygładziła włosy, wygładziła spodnie. Mój ojciec tylko się uśmiechnął.

– Cześć i wam – powiedziała piękna pani.

– Naprawdę cieszę się, że jesteście Hindusami – oznajmiłam (chciałam powiedzieć, może zechcecie wejść, ale słowa po drodze zmieniły zamiar). Piękna pani i jej mąż tylko się roześmieli i nie minęło pięć minut, jak siedzieli w rzędzie na naszej kanapie.

Piękna pani nazywała się Aneesha Kapoor, jej mąż to był Amit Kapoor, a chłopczyk miał na imię Shahid. Ich nazwiska były egzotyczne i kosztowne jak biżuteria i powtarzałam je bez końca w myśli.

– Cóż, to bardzo uprzejme z państwa strony – powiedziała moja matka. Dostała puszkę ze słodyczami. Aneesha Kapoor nazwała je słodyczami, ale wyglądały raczej na herbatniki, ciekawe herbatniki.

– Upiekłam dla was ciasto – dodała moja matka.

– Ale jest dla każdego – wtrąciłam.

Moja matka popatrzyła na mnie kątem oka.

– Jak miło, że wpadliście, i tak mieliśmy zamiar skoczyć do was z wizytą.

Teraz ja popatrzyłam na nią kątem oka.

– Chcemy wszystkich poznać – powiedział Amit. – To ważne, żeby odnaleźć poczucie wspólnoty, prawda?

– Tak, tak – odpowiedzieli moi rodzice.

– I poczuć się sąsiadami, dać się poznać? – Zdecydowanie tak, zdecydowanie. Zastanawiałam się, gdzie jest to poczucie wspólnoty. Czy wyczekuje na tyłach spiżarni Sheili Dakin albo ukrywa się w samotni szopy Erica Lamba. A może siedzi z May Roper na jej kanapie pokrytej robótkami albo wcisnęło się w farbę spróchniałych ram okiennych Waltera Bishopa. Być może było we wszystkich tych miejscach, ale musiałam jeszcze je znaleźć.

– Cóż, to cudownie, że będziecie teraz jednymi z sąsiadów – oświadczyła moja matka. – To wniesie tutaj trochę koloru.

Mój ojciec zakrztusił się herbatnikiem.

– Nie to chciałam powiedzieć – poprawiła się moja matka. – Chciałam powiedzieć, że skoro tu jesteście, będzie barwniej. Chciałam powiedzieć...

Aneesha roześmiała się.

– Wiemy, co chciała pani powiedzieć – stwierdziła.

Słyszałam, jak ojciec, który nastawiał herbatę w kuchni, nadal wykasłuje okruszki herbatnika.

Przyniósł herbatę na tacy. Mleko było w dzbanku na mleko. Nawet nie wiedziałam, że mamy dzbanek na mleko. Ludzie przesuwali filiżanki, talerzyki, szturchali się łokciami, a moja matka wcięła się w W od „Witamy”.

– Więc skąd jesteście? – zapytała.

Amit siedział nieruchomo na końcu kanapy, ręce miał przyciśnięte do boków jak żołnierz.

– Z Birmingham. – Wbił widelec w ciasto i zastukał nim o talerzyk.

Moja matka pochyliła się konspiracyjnie do przodu.

– Tak, ale naprawdę skąd jesteście? – zapytała.

Amit też pochylił się do przodu.

– Z Edgbaston – odparł i wszyscy się roześmieli.

Moja matka roześmiała się kilka sekund później.

– Może spróbujecie tego? – zapytała Aneesha. Podała nam słodycze. – Nazywają się mithai.

– Słucham? – zapytała moja matka.

– Mitaje, Sylvio – rzekł mój ojciec. Szturchnął Amita łokciem i puścił oko. – Nigdy o nich nie słyszałaś?

Matka ściągnęła brwi, zaglądając do pudełka.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Kiedyś o mały włos pojechałbym do Indii – powiedział mój ojciec.

Wszyscy na niego popatrzyliśmy. Szczególnie matka. Mój ojciec nie lubił nawet jeździć autobusem 107 do Nottingham. Mówił, że ma mdłości.

– Naprawdę? – zapytał Amit.

– O, tak – odparł ojciec. – Ale w końcu musiałem zrezygnować z tego pomysłu. Nie mogłem ze względu na system kanalizacyjny. – Poklepał się po brzuchu. – I będę, oczywiście.

– A, tak – potwierdził Amit. – Będę.

– Ale i tak lubimy dobre curry i zawsze słuchamy waszej muzyki. – Mój ojciec otworzył kolejne jasne. – Uwielbiamy kawałki Demisa Roussosa, prawda, Sylve?

Wszyscy popatrzyliśmy na niego.

– Derek, myślę, że to chyba Grek – szepnęła moja matka.

– Grek, Hindus, co za różnica? W dzisiejszych czasach świat jest wielki.

Aneesha Kapoor popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Potem nieznacznie mrugnęła, tak że tylko ona i ja to zauważyliśmy. Chyba wiedziała, że chce mi się umrzeć.

Mój ojciec sięgnął po kolejnego herbatnika.

– Poczęstuj się piwem, Amit – zachęcał. – Nie krępuj się, chłopcze, jest go mnóstwo, wystarczy.

Kiedy wyszli, siedziałam w kuchni i patrzyłam, jak moi rodzice z grzechotem biegają wokół siebie i uprzątają talerze.

– Hm, dobrze poszło – stwierdził mój ojciec.

– Czyżby? – Matka spojrzała na herbatniki. – Nadal nie wiem, czy się tu przyjmą.

– Musisz nauczyć się iść z duchem czasów – powiedział mój ojciec. – Inna hinduska rodzina wprowadziła się na Pine Crescent. Może wkrótce zaczniesz pytać siebie, czy ty się tu przyjmiesz.

Moja matka przyjrzała się jednemu z herbatników, ale zmieniła zdanie i odłożyła go.

Po drodze ojciec wziął gazetę. Jego głos dochodził do kuchni.

– Sylvio, jak powiedział kiedyś Elvis Presley, świat to scena, na której każdy musi grać swoją rolę.

Zamknął drzwi salonu i włączył wieczorne wiadomości.

– Chyba zapomniałam swojej roli – stwierdziła moja matka.

Odłożyła herbatnik na sam dół puszki z herbatnikami – pod paczkę ciastek z figami i połówkę jamajskiego ciasta imbirowego.

Ulica
numer 6

18 lipca 1976

Co zamierzają teraz robić?! – Harold wykrzykiwał polecenia z kanapy. – Jak porządnie rozciągniesz zasłony, to będziesz lepiej widziała.

– Właśnie poszli do sąsiadów z jakąś puszką. Wpuściła ich Grace. Haroldzie, to nie ma znaczenia, jak szeroko rozciągnę zasłony. Teraz są już w środku.

– Coś podobnego. Myślałby człowiek, że ostrzegą nas jakoś.

– Kto? – Dorothy puściła zasłonę.

– Rada. Żebyśmy wiedzieli, że ci ludzie są przygotowani.

– Niby jak mieliby się przygotować?

– Przywyknąć do naszych obyczajów. – Harold pociągnął za sznurowadło. – Nauczyć się trochę naszego języka, wiesz.

– Jestem całkowicie pewna, że mówią po angielsku, Haroldzie.

– Hm, jeśli tak, to tylko dzięki brytyjskiemu panowaniu w Indiach. Nie jest tak, że ktoś wepchnie się do cudzego kraju i zaraz będzie przestrzegać miejscowych zasad, wiesz.

– Do Indii? – zapytała Dorothy.

– Nie, na Wyspy. – Harold zacmokał i zaczął sznurować drugi but. – Nie chodzi o krykieta.

Harold wstał. Dorothy nie byłaby w stanie tego dowieść, ale mogła przysiąc, że się skurczył.

– Po drodze dokładniej się przyjrzę. Idę na łyka do Legionu.

– Znowu? – zapytała Dorothy. – Wczoraj wieczór tam byłeś.

– Obiecałem Clive’owi, że zajrzę. Zobaczę, czy nie potrzebuje pomocy.

Popatrzyła na niego, a on wrócił do sznurowadeł, które już były zasznurowane.

Dorothy wyglądała z okna w salonie. Harold, mrużąc oczy, spoglądał na numer czwarty i zerkał na numer jedenasty, potem zniknął za rogiem z rękami w kieszeniach szortów.

Dom był zawsze spokojniejszy, gdy nie było w nim Harolda. Prawie jakby ściany odetchnęły, a podłogi i sufity przeciągnęły się, ziewnęły i wszyscy usadowili się wygodniej. Wtedy najbardziej tęskniła za Whiskeyem – siedzieliby razem, karmiliby się ciszą.

Usiadła w fotelu Harolda. Dzisiejszą listę zakończyła już dawno, leżała złożona w kieszeni fartucha, podkreślona, poznaczona ptaszkami i zadowolona. Gdyby Harold o tym wiedział, coś by dołożył. Powiedziałby, że dla kobiety praca nigdy się nie kończy. Szczególnie dla kobiety, która się guzdra, buja w obłokach i wszystko się jej miesza. Ale ona potrzebowała popołudnia dla siebie. Musiała pomyśleć.

Pudełko stało tam, gdzie zawsze, ukryte na tyłach szafki Harolda, za teczkami papierów, arkuszami oświadczeń

bankowych i wszystkimi innymi bardzo ważnymi dokumentami, którymi Dorothy nie mogła się zajmować, bo została uznana za zbyt nieodpowiedzialną.

Odkryła je przypadkiem.

To było po pożarze. Dorothy zaczęła się zamartwiać o ubezpieczenie domu i o to, co by się stało, gdyby numer szósty tajemniczo spłonął do fundamentów. Przez to nie mogła zasnąć. Nie mogła porozmawiać o tym z Haroldem, bo uważał, że jej zmartwienia to coś nieprzyjemnego. Tracił cierpliwość, a białka oczu jeszcze bardziej mu bieląły, więc postanowiła, że sama przejrzy polisę. Wykaże inicjatywę, chociaż Harold mawiał, że nie jest do niej zdolna.

I w ten sposób to znalazła.

W ciągu minionych lat, od czasu do czasu czekała, aż Harold wyjdzie z domu, wyciągała pudełko i wyjmowała całą jego zawartość. Siedziała bardzo cicho i zamartwiała się.

Dziś też była zmartwiona. Winiła Margaret Creasy i niekończący się upał, poprzedniego dnia widziała, jak Sheila Dakin idzie środkiem ulicy i ciągnie za sobą te dwie dziewczynki.

Usiadła w kuchni i rozłożyła zawartość pudełka na stole. Okna i drzwi były otwarte, ale nie było nawet śladu przeciągu. Miało się wrażenie, jakby wszystko się zatrzymało, nawet pogoda, a cały świat niknął w zadyszanej, ostatecznej pauzie.

Przejechała palcami po kartonie, szukając spalenizny, śladów po dymie, odpowiedzi na zmartwienie, które rozciągało się na wszystkie te lata. Była tak zagłębiała we własnych myślach, że

nie usłyszała kroków i nie zauważyła cienia w drzwiach. W ogóle niczego nie zauważyła, póki nie usłyszała jego głosu.

– Dorothy, na Boga, co ty robisz?

Eric Lamb.

Podszedł do stołu i przyjrzał się.

– Co ty do diabła robisz z aparatem Waltera Bishopa? – zapytał.

Dorothy napełniła czajnik i zapaliła gaz.

– Harold musiał to zabrać – powiedziała. – Po pożarze. Kiedy poszliście rozejrzeć się.

Eric przeciągnął palcami przez włosy. Zostawił je tak nastroszone.

– Niczego nie zabraliśmy.

– Musiał to zrobić, kiedy nie patrzyłeś. Kiedy byłeś odwrócony plecami.

Podniósł wzrok na Dorothy.

– Niczego nie zabraliśmy – powtórzył.

– Może wypadło ci z pamięci? Ludziom czasem coś się mąci w głowie, prawda? Harold mówi, że przez cały czas mąci mi się głowie.

– Pamiętam wszystko. – Eric rozsiadł się, założył ramiona i zrobił długi, głęboki oddech. – Zapach dymu, czarne ściany. To, że kuchnia została nietknięta, nawet tykający zegar i ścierkę do naczyń złożoną na ociekaczu. Nie zapomniałem niczego.

Wziął aparat i obrócił go w rękach.

– Dlaczego Harold miałby to zabrać?

– Na przechowanie – powiedziała Dorothy – gdyby pojawili się szabrownicy?

– To dlaczego go nie oddał?

Siedzieli w milczeniu. Słysząc było tylko, jak w rogu czajnik sapie i pluje.

– Gotuje się. – Eric ruchem głowy pokazał kuchenkę.

Dorothy sięgnęła ręką do gardła.

– Nastawiłeś go?

– Nie, Dot, ty to zrobiłaś.

Eric sięgnął i wyłączył gaz. Podniósł jedną z kopert.

– Tu nie ma niczego interesującego – stwierdziła Dorothy. – Już to przeglądałam. Gołębie, chmury. Kos siedzący na butelce mleka.

– Robił mnóstwo zdjęć. – Eric podniósł inną kopertę. – A co jest w tej?

Dorothy zerknęła na kopertę.

– Nie pamiętam. Chyba Brian, jak opróżnia popielniczkę do kosza na śmieci. Beatrice Morton zawiązuje sznurowadła. Nic interesującego.

– Widywałem go, kiedy wracałem z Legionu – powiedział Eric. – Łaził w ciemności z aparatem.

Dorothy siedziała nieruchomo.

– Wiem – powiedziała.

Eric tasował zdjęcia.

– Diabli wiedzą, co wtedy widział.

– Wiem – powtórzyła Dorothy.

Przestał tasować i podniósł wzrok. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Dot, odłóż to tam, skąd wzięłaś.

– Ja tylko chcę odpowiedzi. – Dorothy wyjęła chusteczkę z rękawa swetra. – Ja tylko chcę wiedzieć, skąd to się tutaj wzięło. Niczego nie rozumiem.

– Czasem odpowiedzi dają tylko jedno: kolejne pytania. To było tak dawno. Nie ruszaj sprawy.

– Ale Margaret Creasy ją wyciągnęła, prawda? Eric, przysięgam, że ona coś wie. Przysięgam, że zna wszystkie nasze tajemnice.

Dorothy zaczęła składać chusteczkę w kwadrat. Raz za razem, aż chusteczka zrobiła się taka mała, że już dalej nie można jej było złożyć.

Eric Lamb położył dłonie na jej rękach.

– Dorothy, przestań. Przestań się zadreczać czymś, czego nie możesz zmienić. Odłóż wszystko tam, gdzie było. Schowaj to.

– Będę musiała tak zrobić, prawda? – Zaczęła składać zdjęcia i wsuwać je do kopert. – Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego Harold to ukradł.

– Co za różnica, Dot? Jakie to ma znaczenie?

– Ma znaczenie – powiedziała.

Eric wstał i przysunął krzesło z powrotem do stołu.

– Radzę ci, żebyś zapomniała, że w ogóle to widziałaś.

– Nie mogę. – Trzymała pudełko. To było takie ciężkie i trudne. – Nie możesz zapomnieć tego, co widziałaś, prawda?

Nawet nie potrzebujesz zdjęć. Możesz po prostu wyjąć to z pamięci, kiedy tylko będziesz tego potrzebował.

Ulica
numer 10

18 lipca 1976

Eric Lamb szedł opustoszałą ulicą. Był tak głęboko zatopiony we własnych myślach, że nie zauważyłby, że ktoś stoi na chodniku tuż przed nim.

Wiedział, że jest tuż przy numerze jedenastym. Chodzili wokół domu, przyglądali się zniszczeniom. Nie chciał tego, ale Harold zobaczył go i przywołał.

– Sprawdźmy, czy tu jest bezpiecznie – powiedział. – Nie chcę, żeby się na któregoś z nas zaważyło.

Tuzin strażaków i połowa policji już to zrobili, ale nie było sensu sprzeczać się z Haroldem. Bo znacznie łatwiej było się z nim od razu zgodzić niż spędzić najbliższe kilka dni na opędzaniu się od niego.

Obeszli numer jedenasty z rękami w kieszeniach, przyglądali się ścianom, sufitom, powtarzali: jakie to straszne.

Niczego nie wzięli. Nawet nie dotknęli niczego.

A potem zostawili wszystko tak, jak było, i powiedzieli reszcie ulicy, co tam zobaczyli.

Ale co do jednego Dot miała rację. Zazwyczaj była zagubiona, neurotyczna, irracjonalna, a jej pomysły prowadziły do tego, że chciało się rwać włosy z głowy. Ale tym razem trafiła w sedno.

Zawsze można wyjąć coś z pamięci, jak się tego potrzebuje. Jedyny problem, że czasem to coś samo z siebie się uwalnia. Sprawy, o których wolałoby się zapomnieć, sprawy, które zmieniły człowiekowi poglądy i pozwoliły, żeby do głowy zakradła się niepewność, choćby ze wszystkich sił chciał się ich pozbyć.

23 listopada 1967

Elsie leży w łóżku, na gorze. Ostatnio coraz więcej śpi, chociaż Eric stara się nie myśleć o tym, jak długo to trwa, bo jeśli zacznie, wie, że będzie musiał określić przyczynę jej zmęczenia. Coś, żeby to wyjaśnić, coś innego niż stan zdrowia. Teraz jest zimniej. Chłód męczy, prawda? A może to dlatego, że dni są krótsze albo że ostatnio tak często jeździli do szpitala. Spędza dni na szukaniu wyjaśnień, dowodów i pocieszenia. Buszuje po życiu Elsie, żeby znaleźć źdźbło, którego będzie mógł się chwycić.

Elsie śpi, on po cichutku robi lunch, a teraz siedzi przy bardzo cichym stole w bardzo cichym salonie, patrzy na ulicę i próbuje oderwać się od tego wszystkiego.

Uzgodnili, że będą obserwować Waltera Bishopa, każde po kolei. Odkąd zaginęło małe dziecko, ulice ogarnęła bezgłośna panika. Widział ją w oczach ludzi. W tym, jak szybko szli do domów. Już nikt nie chce pogadać, przywitać się. Nikt nie stoi na rogu ulicy oparty o murek ogrodu. Ile razy kogoś widzi, ten

ktoś zawsze dokądś idzie i chociaż wszyscy obserwują Waltera, wychodzi na to, że to oni stali się więźniami.

Dziewczynka Sheili rozwiązuje pośrodku ulicy sznurowadła wrotek. Eric jest pewien, że Sheila, tak jak on, obserwuje to z własnego okna. Dziewczynka jeździła po chodniku, wykorzystując płoty i ściany, żeby utrzymać równowagę, a kiedy jej pewność siebie wzrosła, okrążyła płaszcz leżący na środku ulicy. Słuchał, jak wzrasta pewność siebie kółek, przemierzających beton powolnymi, długimi pchnięciami. Teraz dziewczynka siedzi na krawężniku, wyjmuje stopy z wrotek, których kółka jeszcze się kręcą, sięga po płaszcz i zarzuca go na ramiona.

Z piętra dobiega hałas. Zastanawia się, czy to budzi się Elsie, chce wejść na górę i pomóc jej. Podnieść ją z łóżka, znaleźć pantofle, zapiąć sweter. Ale wie, gdzieś w głębi umysłu, że czeka go jeszcze wiele dni, kiedy będzie tak robił. Nie będzie wtedy chęci ani zastanowienia, tylko nieuchronność i jeśli zacznie to teraz robić, odbierze ostatni plasterek, który został z Elsie.

Wtedy go zobaczył – kiedy znów spojrzał na ulicę.

Nie mógł tam stać dłużej niż minutę.

Walter Bishop.

Trzyma dziecko za ramię. Ciągnie, zmusza, żeby się cofnęła.

Lisa płacze, krzyczy. Próbuje się mu wyrwać.

Eric szarpnięciem otwiera drzwi wejściowe, słyszy, jak kubek roztrzaskuje się o podłogę salonu.

– Co ty do cholery robisz? – Harold jest na miejscu kilka sekund wcześniej. Odciąga dziewczynkę, wyszarpuje ją z rąk

Waltera Bishopa.

Teraz dziecko wrzeszczy.

– Jesteś zły. Zły. Moja mama mówi, że kradniesz dzieci.

Walter odskakuje. Traci równowagę, potyka się o krawężnik. Eric musi się powstrzymać, żeby nie przyjść z pomocą.

– To zwyczajne nieporozumienie. Tylko tyle. – Głos Waltera ledwie słychać przez płacz dziecka. – Chciałem pomóc.

– Pomóc? – Eric słyszy swój krzyk. – Jak na Boga chciałeś pomóc?

– Jej płaszczyk – mówi Walter. – Mocowała się, żeby go włożyć. Zrozumcie, jest za ciasny. Zatrzymałem się, żeby jej pomóc.

Pokazuje różowy skafanderek, który leży przy krawężniku. Harold chwytą go, jakby płaszczyka też trzeba było bronić przed Walterem. Jednocześnie drzwi numeru dwunastego nagle się otwierają i Sheila Dakin wypada na ulicę, macha rękami, żeby szybciej pokonać odległość.

Kiedy dociera na miejsce, Lisa przywiera do matki, ukrywa łzy w fałdach jej swetra.

– Jak śmiesz – mówi Sheila – jak śmiesz, do jasnej cholery.

Dziecko odgrywa rolę tarczy, myśli Eric, bo bez małej Sheila na pewno zamachnęłaby się na Waltera Bishopa.

– Chciałem pomóc, to wszystko. Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Kocham dzieci.

– Idź stąd. Wynoś się. – Harold wypluwa te słowa. – Zostaw nas w spokoju.

Walter Bishop odchodzi. Podnosi torbę z ulicy i ucieka. Głowę ma pochyloną, włosy muskają kołnierz płaszcza. Szura nogami, mimo że idzie szybko. Garbi się, ramiona trzyma przy sobie, jakby chciał zająć jak najmniejszą przestrzeń na tym świecie.

Eric pyta Sheili, czy z nią w porządku, a kiedy Sheila odpowiada, zdanie musi walczyć, żeby wydobyć się jej z ust.

– W porządku. Tylko nie najlepiej się czuję. To był zły dzień. – Chwieje się, przytrzymuje się Lisy.

– Zły dzień?

– Rocznicą... swego rodzaju.

Czuje to – brandy – wokół każdego słowa.

– Powinnaś wrócić do domu – mówi Harold. – Odpocznij trochę.

– Jak mogę odpoczywać? – Sheila trochę mocniej przywiera do Lisy. – Jak mogę odpoczywać, kiedy ten potwór mieszka parę metrów od mojego dziecka?

Patrzą na numer jedenasty. Walter zniknął, schował się ze swoim życiem za ściany domu.

– Haroldzie, musimy się go pozbyć – mówi Sheila. – Nie możemy tak żyć. Niech mnie cholera, jeśli ten drań miałby wypędzić mnie z własnego domu.

Odwraca się i Eric patrzy, jak idzie z córką do domu. Podpierają się nawzajem.

Zastanawia się, która bardziej potrzebuje, żeby się podeprzeć.

Od tego dnia nie zostawiano Waltera w spokoju. Wiadomość, że próbował porwać kolejne dziecko, rozeszła się szybko. Z każdym powtórzeniem nabiera mocy i furii, obrasta w nienawiść, krążąc po osiedlu.

Eric patrzy na to, ale nic nie mówi. Ludzie pytają go, co się stało. Próbuje wcisnąć do rozmowy swoje przekonanie, ale on nie daje się w to wciągnąć. Jeśli chcą wykonać egzekucję na Walterze Bishopie, niech tak będzie, ale on nie dostarczy im amunicji. Jednak Harold Forbes jest szczęśliwy, że może wyfasować im tyle kul, ile będą potrzebowali.

„W biały dzień”, Eric słyszy jego słowa. „O tak, ciągnął ją ulicą do swojego domu. Żadne dziecko nie jest bezpieczne, gdy ten człowiek jest w pobliżu”.

Kule zostały wystrzelone. Eric widzi dowody. Zawartość kosza na śmieci Waltera Bishopa rozrzucana co rano po jego ogródku. Ubrania zrywane ze sznura i rzucone w błoto. Wszyscy obserwują, chodzą za nim, czekają na najdrobniejsze potknięcie, najmniejsze przyzwolenie, żeby otworzyć zapadnię.

Eric jest w sklepie na rogu, od incydentu z Lisą minęło kilka dni. Próbuje znaleźć coś, żeby namówić Elsie do jedzenia, może kremówki albo jakieś owoce z puszki. Ona chyba w ogóle straciła zainteresowanie jedzeniem, co można przecież zrozumieć, pogoda się odwróciła, a noce są długie i posępne. Taka pogoda nie wpływa dobrze na apetyt. Wszyscy tak mówią. Ogląda półki. Cyril niewiele na nich poustawiał, ale można coś

znaleźć między puszkami z kremem w proszku i pudełkami płatków zbożowych. Zza piramidy zup warzywnych Eric słyszy ludzi przy ladzie. Rozpoznaje Sheilę Dakin i Harolda Forbesa, innych głosów nie.

Rozmawiają o Walterze Bishopie. Eric zastanawia się, o czym ludzie rozmawiali, zanim wypłynął Walter Bishop.

– Jasne, gdyby to zależało ode mnie, nie byłoby go tutaj, jak tylko to się zaczęło. Nie miałby okazji, żeby zrobić jeszcze coś.

To głos Harolda, potwierdzający sam siebie nad herbatą w liściach.

– Policja jest do niczego. Jak znowu dotknie mojej Lisy, to mnie będą musieli aresztować.

Sheila Dakin.

Eric idzie do kasy. Jest tam jeszcze dwoje, mężczyzna, którego zna z Brytyjskiego Legionu, i Lisa zapakowana w skafanderek. Wygląda na to, że osądzają Waltera od dłuższego czasu, bo Lisa osunęła się na podłogę, żeby w spokoju obgryzać paznokcie.

– Właśnie rozmawiamy o Bishopie – mówi Harold.

– Słyszę. – Eric kładzie herbatniki i kiwa głową do Cyrila za ladą.

– Koszmarna sprawa, prawda? – pyta Sheila.

Eric wie, że to zaproszenie do tańca.

– Tak – odpowiada.

– Rozmawialiśmy o napisaniu petycji – mówi Harold – i przesłaniu jej do rady. – Słowa wypowiedziane są w formie pytania.

Eric liczy drobne.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy petycją dali radę temu człowiekowi – stwierdza Sheila. – Jedyne, co go przegoni, to brutalna siła.

Dziecko patrzy na Erica zasłuchanymi oczami, Eric spogląda w dół i uśmiecha się do niego.

Sheila mówi o brutalnej sile i rozpatruje rozmaite smaczki petycji, kiedy przerywa jej dzwoneczek nad drzwiami, wyszeptując kuranty przeprosin. Kiedy odwracają się, widać, że oczekiwali kogoś, kto swoim zdaniem podeprze ich przekonania, zwolennika brutalnej siły i sąsiedzkich petycji, ale w drzwiach sklepu na rogu staje Walter Bishop. Jego płaszcz jest wilgotny od deszczu, okulary już zaczynają zachodzić mgłą. Ich słowa zamierają w ciszy.

Sheila podnosi Lisę z podłogi, ściska dziecko tak mocno, że odbiera mu oddech.

Walter Bishop idzie przez sklep. Buty poskrzypują na linoleum, torba uderza w puszki na dolnych półkach. Kiedy dociera do lady, zdejmuje okulary i wyciera je poplamioną, szarą chusteczką. Eric widzi, jak Bishopowi drżą ręce, jak pot zbiera się na wysuszonej skórze.

– Tak myślę – mówi Walter Bishop – tak myślę, czy mógłbym pana fatygować i poprosić o litr mleka?

Nikt się nie odzywa.

Cyril, za ladą, krzyżuje ręce na piersi, wojowniczo zaciska zęby.

Walter Bishop czeka. Uśmiecha się. To wyblakły uśmiech. Sformowany raczej z optymizmu niż ze szczęścia, ale jednak

uśmiech. Eric nie może się zdecydować, czy Walter Bishop jest nierozsądny, czy po prostu głupi.

– Nie mamy mleka – mówi Cyril.

Inni patrzą w milczeniu, rozmowa pulsuje im w oczach.

– Tylko jeden litr. – Walter pokazuje rząd butelek z mlekiem w lodówce za ladą.

– Nie mamy mleka – powtarza Cyril. – Szczerze mówiąc, wątpię, żebyśmy teraz mieli cokolwiek na sprzedaż w tym sklepie.

Walter wytrzymuje spojrzenie sklepikarza, uśmiech nadal błąka mu się na ustach, ale bardzo powoli zaczyna znikać, aż na jego miejscu pozostaje pustka. Twarz szukająca wyjścia, mina dla zachowania twarzy.

Walter waha się. Eric słyszy, jak Harold krzyżuje ręce, jak Sheila stuka palcami o ladę.

– Czy to wszystko? – pyta Cyril.

Walter odwraca się. Wymruczane przeprosiny, podziękowania i uczucia tak cicho wyszeptane, że Eric nawet nie wie, czy to naprawdę słowa, czy tylko odgłos porażki. Kiedy drzwi się zamknęły i dzwoneczek ucichł, wszyscy stoją razem w milczeniu.

Sheila wali pięścią w ladę.

– Tego nam trzeba – mówi – kogoś, kto pokaże Walterowi Bishopowi, jak wygląda cholerna uprzejmość.

Razem wracają przez osiedle. Harold mówi, Sheila chłonie jego słowa wraz z powietrzem Park Drive.

Eric stara się nie słuchać.

Knują plany i petycje, mówią o spotkaniach w Legionie, telefonach do rady. Eric ma ważniejsze sprawy do przemyślenia, większe zmartwienia, którymi może wyłożyć sobie wnętrze głowy.

Patrzy przed siebie. Lisa wspina się na murek biegnący wzdłuż chodnika. Sięga ręką do góry, próbuje dotknąć niższych gałęzi drzew, wyciąga się, żeby znaleźć końcami palców gałązki. Nie bardzo jej to wychodzi, zawsze brakuje jej paru centymetrów. Eric patrzy na nią. Naprawdę, to dziwne. Jest wysoką dziewczynką, nie powinna mieć problemów.

Wtedy zdaje sobie sprawę, dlaczego Lisa tak się wysiła. Dlaczego nie może sięgnąć. Różowy materiał naciąga się jej na plecach, przytrzymuje ją, nie pozwala unieść rąk do gałęzi.

To jest powód, że tak się wysiła. To skafander. Jest na nią za mały.

Ulica
numer 14

20 lipca 1976

To chyba panu nie przeszkadza? – zapytał pan Forbes.

Wszyscy przyglądaliśmy się, jak pan Kapoor czyści swój bardzo wielki samochód. Ja siedziałam na trawie obok stóp pana Forbesa.

Pan Kapoor podnosi wzrok znad maski.

– Nie przeszkadza mi?

– Upał. – Pan Forbes pokazał niebo, a ja popatrzyłam, jak pięty unoszą mu się nad sandałami. – To was chyba nie dobija? Jak nas?

Pan Kapoor ściągnął brwi i wytarł ścierką kółko po ptasiej kupce. Nie używał wody, inaczej pani Morton dobrałaby się do niego w kilka sekund.

– Haroldowi chodzi o to, że tam, skąd jesteście, musi być tak przez cały czas. – May Roper opierała się o płot za mną. Słyszałam, jak drewno protestuje pod jej piersiami za każdym razem, kiedy pani Roper mówi.

– W Birmingham? – pyta pan Kapoor.

– Czy w Pakistanie też jest Birmingham? – pyta pani Forbes.

Pan Forbes patrzy na żonę i ściąga brwi, znów zwraca się do pana Kapoora.

– To chyba geny, prawda? Hindusi potrafią wytrzymać upał. Twarda rasa. Wiele znosi cierpliwie.

– Cóż, co do tego można by się zgodzić – powiedział pan Kapoor. Nadal bardzo mocno ścierał ptasią kupkę, chociaż nie widziałam, żeby coś po niej zostało.

– Nie, żebym był rasistą. – Stopy pana Forbesa kiwały się do tyłu i do przodu w sandałach. – Wcale nie jestem.

– Ani troszeczkę – dodała pani Forbes.

– Ani tycio – dorzuciła May Roper.

– Jestem po prostu patriotą. – Wypowiedział to słowo bardzo powoli. – Chcę, żeby Brytania nadal była wielka. Jest jak ekskluzywny klub, prawda? Nie można do niego wpuścić żadnego starego Toma, Dicka czy Harry’ego.

– Święta prawda, Haroldzie – przytaknęła pani Forbes.

Pan Kapoor kucnął i zaczął czyścić tablicę rejestracyjną. Upał powlókł ją warstwą kurzu. Kurz był wszędzie. Osadzał się na samochodach, na chodnikach, na domach. Znajdował nawet dojskie do skóry i włosów. Nie można było się go pozbyć, choćby nie wiem jak myć, czyścić, skrobać. Przez kurz wszystko robiło się brudne i zamaskowane.

– W istocie jestem bardzo multikulturowy – powiedział pan Forbes.

Pan Kapoor podniósł wzrok znad tablicy rejestracyjnej.

– Multikulturowy?

– O tak. – Stopy pana Forbesa jeszcze trochę się pokolebały. – Zdecydowanie multikulturowy. Na przykład jestem wielkim fanem Sidneya Poitiera.

– Jest jego fanem – potwierdziła pani Forbes.

– I Louisa Armstronga. Kolorowi mają takie dobre wyczucie rytmu, prawda?

Wydawało mi się, że pan Kapoor coś powiedział, ale nie bardzo dosłyszałam.

– Ale bycie patriotą nie znaczy, że nie jest się otwartym na nowe idee. Musimy tylko pamiętać, że Brytania ma panować nad falami. – Pan Forbes uśmiechnął się i zgodził się z sobą.

– Więc w przyszłym roku będziecie świętować jubileusz? – zapytał pan Kapoor.

– Świętować? – Palce u nóg pana Forbesa wykonały podniecone stepowanie. – Będziemy mieli najlepsze święto uliczne w całym osiedlu. Utworzyłem komitet, prawda, Dorothy?

– Utworzyłeś, mój drogi – powiedziała pani Forbes. Uśmiechnęła się do pana Kapoora. – Ja jestem sekretarzem.

– Cóż, nadal musimy sfinalizować parę spraw. – Pan Forbes postukał się w ciemność i mrugnął do pana Kapoora. – Ale mamy zamiar zawstydzić wszystkie inne ulice.

– Słyszałam, że Pine Crescent wynajmuje dmuchany zamek – powiedziała May Roper. – Taki czerwony, biały i niebieski. – Płot zaczął trzeszczeć. – A Poplar Drive ma magika.

– Naprawdę? – Pan Forbes obrócił się na pięcie, żeby na nią popatrzeć. W kącikach ust miał kropelki śliny. – Skąd wzięli pieniądze? My mamy tylko ustalony budżet, rozumiecie.

Pani Roper i płot wzruszyli ramionami.

Pan Kapoor wstał i strzepał kurz ze ścierki.

– Może ja mógłbym pomóc? – zapytał.

– Nie sądzę. – Pan Forbes znów się odwrócił. – Nie wydaje mi się, żeby to było dla was.

– Ale mam kolegę – oznajmił pan Kapoor – w cateringu. Jak z nim porozmawiam, zorganizuje dla was bankiet za bardzo małą opłatą.

– Naprawdę? – zapytał pan Forbes.

– O, tak. Pokażecie wszystkim innym ulicom, jak to się robi.

– Cóż – pan Forbes uśmiechnął się, a kropelki śliny pojawiły się na jego dziąsłach – to byłoby bardzo przyzwoite z pańskiej strony, jeśli pan pozwoli.

– Bardzo przyzwoite – potwierdziła pani Forbes.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że to dla naszej królowej – zauważyła pani Roper.

– Zaraz z nim porozmawiam. – Pan Kapoor otworzył drzwi do swojego domu. – Robi najlepsze curry po tej stronie Bradford. Bardzo multikulturowo. Haroldzie, będziesz to uwielbiał.

Drzwi zamknęły się.

Pani Kapoor musiała powiedzieć coś śmiesznego, bo ledwie pan Kapoor zniknął, usłyszałam, jak zaczął się śmiać.

Popatrzyłam na stopy pana Forbesa.

Palce u jego stóp odprawiały taniec w sandałach. Jak klawisze fortepianu.

Ulica
numer 4

26 lipca 1976

Uznałam, że detektyw inspektor Hislop musi być znacznie ważniejszym policjantem niż posterunkowy Green czy posterunkowy Hay, bo zawsze jeździł z tyłu samochodu i pozwalano mu nosić własne ubranie.

– Musi być z Wydziału Poważnych Przestępstw – powiedziała pani Morton.

– Czy nie wszystkie przestępstwa są poważne? – zapytała Tilly, ale żadna z nas jej nie odpowiedziała.

Nie mówił o Tiswas ani o zapachu materiału, ani o trzaskaniu kolan. Odbywał natomiast długie, ciche rozmowy za szczelnie zamkniętymi drzwiami, a kiedy ludzie wychodzili z tych rozmów, zawsze byli spoceni i z lekka oszołomieni. Kiedy nadeszła pora na mojego ojca, moja matka chodziła po domu z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Zrobiła trzy filiżanki herbaty, które dwie godziny później nadal stały na ociekaczu. Tilly i ja stałyśmy na półpiętrze, przechylałyśmy się przez balustradę, patrzyłyśmy na czubek głowy mojej matki, jak przemieszcza się tam i z powrotem po korytarzu.

Kiedy mój ojciec wyszedł po rozmowie, matka otworzyła usta, żeby wypuścić wszystkie pytania, ale zanim zdołały się pojawić,

ojciec podniósł dłoń, pokręcił głową i zniknął w pokoju od frontu. Nadal tam był, kiedy poszłam do łóżka. Moja matka długo siedziała na dolnym stopniu, rękami obejmowała kolana, a głowę miała opuszczoną. Zaczęłam się zastanawiać, czy jeszcze będzie się mogła poruszać, ale wtedy jeszcze bardziej zacisnęła ramiona, podniosła głowę i krzyknęła:

– Nie wiem nic o tobie, Derek, ale nie mogę już wytrzymać tego cholernego upału.

Słowa kołysały się potem w powietrzu, jakby nie miały zamiaru odejść. Odwróciłam się do Tilly, bo poczułam, że potrzebny mi jest uśmiech, ale Tilly nie odpowiedziała mi uśmiechem. Zwiesiła głowę, przygryzła wargę i nie spojrzała mi w oczy.

W poniedziałek rano detektyw inspektor Hislop postanowił poprosić telewizję, żeby sprowadziła z powrotem panią Creasy.

Miało to przyjąć formę transmisji telewizyjnej albo TT według pani Morton (która niespodziewanie okazała się wielką znawczynią tych spraw). Razem z Tilly postanowiłyśmy ubrać się w najlepsze ubrania na TT, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą cię wezwać, żebyś pojawił się w ostatniej minucie lokalnych wiadomości. Sheila Dakin przeciągnęła leżak na początek trawnika, żeby lepiej widzieć, a pani Forbes zdjęła fartuch i nałożyła dodatkową warstwę szminki. Wszyscy wylegli na ulicę, włączając w to moich rodziców (choć stanęli po obu końcach murka). Brakowało tylko pana Creasy'ego.

Właśnie odbył kolejną rozmowę z detektywem inspektorem Hislopem i tak go to rozczerło, że leżał na kanapie Sheili Dakin, przy zaciągniętych zasłonach, z zimną flanelą na głowie.

Ulica pełna była furgonetek i kabli, i ludzi chodzących z podkładkami pod dokumenty i z ręką na biodrze. Było dwóch reporterów z miejscowej gazety, przyglądali się detektywowi inspektorowi Hislopowi, który chodził przed domem pana Creasy'ego z kawałkiem papieru i uczył się swojej kwestii.

– Chyba chciałabym znaleźć się w lokalnej gazecie – powiedziała Tilly.

Siedziałyśmy na murku pani Forbes. Zwykle pani Forbes miałyby coś do powiedzenia na ten temat, ale była zbyt zajęta, bo próbowała wycisnąć informację od jednego z podkładką na dokumenty.

– Dlaczego chcesz być w lokalnej gazecie? – zapytałam.

Tilly siedziała na rękach. Wyciągnęła nogi i machała nimi w słońcu.

– Ludzie by mnie zobaczyli – powiedziała.

Czekałam.

Pomachała nogami jeszcze trochę.

– Chodzi o kogoś konkretnego? – zapytałam.

– Hm – machała dalej – gdybym znalazła się w lokalnej gazecie, mój tato mógłby mnie zobaczyć. I byłby taki dumny, że skontaktowałby się, bo chciałby o tym ze mną porozmawiać.

– Twój tato mieszka w Bournemouth – powiedziałam. – W Bournemouth chyba nie mają naszej lokalnej gazety.

Przestała machać i popatrzyła na mnie.

– Przecież tego nigdy nie wiadomo, prawda? – zapytała.

A ja zrozumiałam, że ona daje mi słowa. Więc je wzięłam, pottrzymałam przez chwilę, a potem oddałam.

– Tak, tego nigdy nie wiadomo.

Uśmiechnęła się i znów zaczęła machać.

Kiedy detektyw inspektor Hislop był gotów, posterunkowi Green i Hay postarali się, żeby wszyscy byli cicho i dobrze się zachowywali, i żeby wiedzieli, że nie wolno wbiegać przed kamerę ani wpadać na człowieka z wielkim włochatym mikrofonem. Nie wrócili do detektywa Hislopa, ale stanęli i obserwowali nas, jak policjanci podczas meczu w piłkę nożną.

Człowiek za kamerą pokazywał cyfry na palcach, a potem wskazał na detektywa inspektora Hislopa. Detektyw zaczął mówić.

Wszyscy słuchaliśmy.

– Wzrasta zaniepokojenie o los lokalnej mieszkanki, powiedział. – Panią Margaret Creasy po raz ostatni widziano wieczorem, 20 czerwca, we własnym domu.

Wskazał za siebie, na dom pana Creasy’ego i wszyscy na niego popatrzyliśmy, jakbyśmy go nigdy dotąd nie zauważyli.

– Rodzina i przyjaciele pani Creasy twierdzą, że zniknięcie stoi w całkowitej sprzeczności z jej dotychczasowym zachowaniem.

Spojrzał na notatki. Kiedy znów podniósł wzrok, zaczął bardzo mocno marszczyć czoło i zrobił jeszcze bardziej

nieszczęśliwą minę.

– Na dodatek, najnowsze ustalenia sprawiają, że bardzo nam zależy na odnalezieniu pani Creasy i zebraniu wiadomości od każdej osoby, która może wiedzieć o jej miejscu pobytu.

Wszyscy na ulicy jakby urosli o kilka centymetrów.

Pani Forbes odłożyła robótkę i wyciągnęła szyję, żeby słuchać. Sheila Dakin przesunęła się do przodu razem z leżakiem. Mój ojciec trochę bardziej się wyprostował, a matka splotła palce za głową. Nawet Tilly przestała machać nogami.

Detektyw Hislop mówił dalej.

– Wczoraj, około jedenastej rano, czujny obywatel znalazł parę butów, które teraz zidentyfikowano jako własność pani Margaret Creasy.

Rozległ się jeden oddech. Wciągnęliśmy go w piersi z gęstej maski skwaru, zastygając w tej przełomowej chwili. Pomyślałam, że czasem życie niesie ze sobą takie chwile. I zdarzają się zawsze wtedy, kiedy człowiek najmniej się ich spodziewa.

– Buty – mówił detektyw – zostały znalezione nad brzegiem kanału.

Przez sekundę trwała cisza, potem ulica zaczęła się pruć.

Pierwsza odezwała się pani Forbes.

– Wiedziałałam. Ktoś ją załatwił. Wiedziałałam. Wiedziałałam. – Zaczęła chodzić po chodniku tam i z powrotem, jak metronom. Nawet pan Forbes, który schwycił ją za ramiona, nie potrafił zatrzymać rytmu jej niepokoju na betonie. Syczał do niej

słowami, próbował wciągnąć ją w ciszę, ale każdy widział, że marnuje czas.

Sheila Dakin wystrzeliła z leżaka.

– To Bishop – powiedziała. – To musi być on. Kto inny zrobiłby coś takiego?

– Na litość boską, Sheilo, nawet nie wiemy, czy nie żyje. – To był mój ojciec.

Odkąd detektyw Hislop skończył mówić, mój ojciec opierał się o murek z dłońmi przyciśniętymi do twarzy. Potem krzyknął przez ulicę, i to tak głośno, że moja matka mocniej splotła palce na karku i zaczęła bardzo szybko oddychać.

– Oczywiście, że nie żyje. – Sheila dotarła do chodnika. Próbowwała przejść przez jezdnię, ale nogi nie chciały jej posłuchać i potknęła się o krawężnik. – Co innego mogło się z nią stać?

– Mogła skoczyć. – May Roper brnęła przez swój trawnik. Brian próbował ją powstrzymać, ale zaplątał się w sznur do bielizny i jego próbę owinęły trzy ścierki do naczyń i bardzo długa kamizelka. – Mogła skoczyć. Będą musieli przeszukać kanał, jeśli chcemy urządzać jej pogrzeb.

– Na litość boską, May, nie bądź taka cholernie ponura – powiedział mój ojciec.

– Ale ona ma rację. – Pan Forbes zostawił panią Forbes z jej zabawą w metronom i zapatrzył się w chodnik. – Będą musieli wysłać tam nurków.

– Tak się to kończy – powiedziała pani Forbes, przeciskając się obok męża – tak się to kończy, kiedy za dużo się wie o sprawach

innych ludzi.

Wszyscy zaczęli krzyczeć naraz. Głosy zbiły się w wielki hałas, nie można było usłyszeć, co kto mówi. Patrzyłam na detektywa Hislopa. Nadal stał przed kamerą, złożył notatki i wcisnął do kieszeni, a minę miał bardzo zadowoloną. Zobaczyłam, że powoli kiwa głową do posterunkowych Greena i Haya, a oni odpowiadają mu takimi samymi kiwnięciami.

Odwróciłam się do Tilly, żeby sprawdzić, czy też to zauważyła, ale ona patrzyła na trawnik Sheili Dakin. Też popatrzyłam, choć zajęło mi chwilę, zanim go zobaczyłam.

W trawie leżał pan Creasy. Wyglądał, jakby zwinął się do snu, ale oczy miał otwarte, a pierś otoczył ramionami. Wyglądał, jakby coś liczył.

– Już mi się tu nie podoba – powiedziała Tilly. – Wejdziemy do środka?

Powiedziałam, że mnie też się nie podoba (choć podobało się). Jakaś część mnie, całkiem spora, chciała zostać, żeby zobaczyć, co będzie dalej, ale ześliznęłam się z murku pani Forbes na chodnik.

Zanim weszłam, odwróciłam się, żeby popatrzeć na numer jedenasty. Zasłony w jednej z sypialń były troszeczkę rozciągnięte, a Walter Bishop przyciskał twarz do szyby.

Nie byłam całkowicie pewna, ale byłam prawie przekonana, że się uśmiechał.

Kiedy detektyw Hislop powiedział nam o jej butach, na ulicy zapanowała wielka cisza. Jakby wszyscy pozbyli się krzyku za jednym podejściem i już nic nie zostało na resztę tygodnia. Nawet moi rodzice ucichli i zamiast trzaskać, krzyczeć i maszerować, tylko przemykali się po domu usiłując nawzajem się unikać.

Zapytałam kilka różnych osób, czy pani Creasy już nie żyje, ale nikt nie był w stanie podać mi właściwej odpowiedzi. Moja matka włączyła telewizor, mój ojciec powiedział: „No proszę, proszę”, i nagle znalazł jakąś ważną pracę w pokoju od frontu, a pani Morton powiedziała: „Nikt naprawdę nie wie”, i zapatrzyła się w przestrzeń.

Jak na ludzi, którzy naprawdę nie wiedzą, wszyscy zachowywali się dziwnie.

Ulica
numer 4

30 lipca 1976

Był piątek rano. Tilly i ja siedziałyśmy w pokoju od frontu, z katalogiem Kaysa i napojem gazowanym. Zasłony były zaciągnięte, żeby powstrzymać upał, któremu i tak jakoś udawało się wejść do środka, i za każdym razem, kiedy przewracałam stronę, lśniący papier przylepiał mi się do palców i nie chciał się odlepić.

– Podoba mi się to. – Pokazałam dzinsową kurtkę.

Tilly tylko oparła brodę na dłoniach. Wiedziałam, że czeka, aż przejdę do figurek.

– Albo to – powiedziałam i pokazałam parę kłapek.

Zakreśliłam je zielonym mazakiem. Miałam zamiar zostawić katalog ze wszystkimi moimi kółkami w miejscu odpowiednim dla ludzi, którzy byliby tym zainteresowani.

– Są bardzo drogie. – Tilly zerkała na stronę w półmroku.

– Tylko dwadzieścia pięć centów tygodniowo w czterdziestu ośmiu łatwych ratach. – Zakreśliłam „łatwe”.

– Skąd weźmiesz dwadzieścia pięć centów tygodniowo?

– Mogę roznosić gazety po domach. Tak robi Lisa Dakin.

– Gracie, Lisa Dakin jest od nas znacznie starsza. Jesteśmy za małe na roznoszenie gazet.

Zakreśliłam szalik w szkocką kratę. Czasem słyszę, jak Tilly coś mówi, zanim wypowie słowa.

– Nie jest dużo starsza – powiedziałam.

– Chcesz zagrać w monopoli?

– Właściwie to nie.

– Chcesz zejść do pani Morton?

– Właściwie to nie.

Siedziałyśmy w milczeniu, a ja zakreślałam.

– Dlaczego zakreślasz wszystkie ciuchy Lisy Dakin?

Przestałam zakreślać ciuchy Lisy Dakin.

– Nie zakreślam – powiedziałam.

– Zakreślasz. Dlaczego tak bardzo chcesz, żeby cię lubiła?

Popatrzyłam na moje zakreślenia. Czasem Tilly zadaje pytania, które już ma się w głowie i nie bardzo się chce, żeby ktoś je zadał.

– Jeśli Lisa Dakin mnie lubi, to reszta szkoły też może mnie lubić – powiedziałam.

– Gracie, przecież oni się nie liczą. Mamy siebie, prawda?

– Oczywiście, że się liczą. Każdy chce być lubiany. Każdy chce, żeby go ludzie lubili, prawda? – Przewracałam kartki katalogu i patrzyłam na zdjęcia modelek z rękami na biodrach, śmiejących się do siebie. – To normalne, prawda?

– Ja chcę, żebyś tylko ty, pani Morton, moja mama i mój tata mnie lubili – powiedziała Tilly. – Wszyscy inni to dodatek.

– Więc nie jesteś naprawdę normalna. – Znow wzięłam mazak. – Nie tak jak Lisa Dakin.

Wiedziałam, że Tilly mi się przygląda, ale nie spojrzałam. Gdybym spojrzała, to znaczyłoby, że widzę jej twarz, a gdybym zobaczyła jej twarz, musiałabym ją przeprosić.

– Może poszłabym na trochę do domu – powiedziała Tilly.

Usłyszałam, jak wstaje i wychodzi z salonu, ale nie odrywałam wzroku od zakreśleń.

– No to cześć! – krzyknęłam.

Ale jej już nie było.

W domu było bardzo cicho. Słyszałam, jak mazak ślizga się po stronach katalogu, ale nie było już niczego, co chciałabym zakreślić.

Poszłam do salonu, ale tam też było bardzo cicho, a w kuchni słychać było tylko Remingtona, jak chrapie pod stołem. Dziwne, ale poczułam, że teraz powinnam zagrać w monopoli.

Chciałam, żeby Tilly wróciła.

Wiedziałam, że w końcu wróci. Może to była połowa problemu.

Włożyłam głowę do lodówki, żeby się ochłodzić.

Trwało to parę minut dłużej, niż myślałam, ale usłyszałam to mimo warkotu lodówki – sandałki Tilly klapiące o dróżkę okrążającą dom z boku.

Sandałki były bardzo szybkie i bardzo głośne i zanim zdążyłam wyciągnąć głowę z lodówki, tak mocno pociągnęła za tylne drzwi, że szyba zabrzęczała o drewno.

– Gracie! – krzyknęła.

Tilly nigdy nie krzyczała. Kiedyś ukąsiła ją osa i dowiedziałyśmy się o tym dopiero po dziesięciu minutach.

– Dlaczego krzyczysz?! – Głowę miałam z powrotem w kuchni, czułam, jak upał wpełza mi na twarz.

– Musisz natychmiast przyjść. – Twarz miała czerwoną jak pomidor, a słowa ledwie wychodziły jej z ust, taka była zadyszana. – Natychmiast – powtórzyła.

– Dlaczego?

Założyłam ręce na piersi i oparłam się o drzwi lodówki, żeby nie wyglądać na zainteresowaną.

– Nigdy się nie domyślisz, kto jest na końcu ulicy. Nigdy się nie domyślisz.

Kilka razy powtórzyła: nigdy się nie domyślisz. Odniosłam dziwne wrażenie, że tak na wszelki wypadek, gdybym się domyśliła.

Oparłam się trochę bardziej.

– Kto? – zapytałam i popatrzyłam na paznokcie.

Tilly zrobiła kolejny głęboki wdech, a kiedy odpowiedziała, zrobiła wszystko, żeby wypadło to tak głośno, jak tylko jej płuca dały radę.

– To Jezus!

Rynna

30 lipca 1976

Chyba nie zamknęłyśmy tylnych drzwi, ale nie byłam pewna.

Wypadłyśmy z kuchni zaplątane w pytania, a sweter Tilly zahaczył o klamkę. Remington obudził się, żeby sprawdzić, co to za hałas, i wychodząc, mało go nie przewróciłyśmy.

– Nie rozumiem – powiedziałam.

Wypadłyśmy na dróżkę. Dotarło do mnie, że nie mam nic na nogach, ale to nie miało znaczenia. Beton był ciepły jak dywan.

– Zobaczysz. – Jej podniecenie pociągnęło mnie obok domu, a potem po ulicy.

Przebiegłyśmy obok pana Forbesa, który patrzył na nas ze swojego trawnika.

– Jezus jest tutaj – wyjaśniłam. Patrzył nadal, ale brwi lekko mu drgnęły, jakby chciał je ściągnąć.

Sheila Dakin oderwała się od przysmażania własnego ciała i oparła się na łokciach. Osłoniła oczy przed słońcem i zamachała, a ja zwolniłam, żeby odmachnąć.

– Chodź – powiedziała Tilly. – On może odejść!

Dotarłyśmy do końca ulicy, gdzie mały zagon trawy przechodził w splacheć żwiru. Tilly nagle się zatrzymała i przytrzymała się mojego łokcia. Stały tam dwa garaże miejskie, ale oba były puste, a ich bramy dawno już zniknęły. Patrzyły na

nas kawały chłodnego, ciemnego betonu, ale Jezusa nie było – tylko tęczowe kałuże rozlanego oleju i cicha rozmowa liści w zakurzonych kątach.

– Dokąd poszedł? – zapytałam.

Tilly dziwnie pisnęła i kiwnęła głową w stronę najbliższego garażu. Zrobiłam kilka kroków do przodu, za mną poszła Tilly, która nadal trzymała się mojego łokcia.

Małe białe kamyczki wbijały mi się w stopy.

– Tam – powiedziała. – Patrz.

Popatrzyłam. Nic tam nie było.

– Tam nic nie ma.

Spodziewałam się, że Jezus będzie na mnie czekał w czystej, białej szacie z szerokimi rękawami, z ładną bródką i zapewne z łaskawym uśmiechem. Ale był tylko podarty worek na śmieci i sparciała opona, a tam, gdzie spodziewałam się Jezusa, rosły szeregi spragnionych chwastów, znaczących miejsce, gdzie leżała kiedyś kostka brukowa.

– Tutaj – powiedziała Tilly i kiwnęła głową w stronę czystego powietrza.

Nie ruszałam się. Lekko westchnęła i pociągnęła mnie w stronę zewnętrznej ściany garażu.

– Tutaj – powtórzyła.

Popatrzyłam jeszcze raz. Nic.

– Widzę tylko rynnę.

– Przyjrzyj się tej rynnie!

Popatrzyłam na rynnę. Była z jakiegoś materiału ceramicznego. Pomyślałam, że kiedyś musiała być biała, ale

teraz łuszczyła się, była popękana, a u dołu, gdzie coś się rozlało, miała wielką brązową plamę.

Znowu spojrzałam na plamę.

– Widzisz to? – zapytała Tilly.

Ukucnęłam, żeby lepiej zobaczyć. To były koła farby albo kreozotu. Brązowe plamki, gdzie pędzel maznął po rynnie. Ale było w tym coś dziwnego, coś prawie znajomego.

Usiadłam i zmrużyłam oczy.

I wtedy Go zobaczyłam – zupełnie wyraźnie. To było tak oczywiste, że nie rozumiałam, dlaczego nie zauważyłam Go od razu.

– Jezus! – krzyknęłam.

A Tilly zaczęła piszczeć.

Piski Tilly wyciągnęły pana Forbesa z ogródka, a ponieważ Sheila Dakin zobaczyła, że wychodzi, poczuła się zobowiązana, żeby też wyjść i nie przepuścić sytuacji, która wymagałaby jej obecności.

Ukucnęli obok nas przed rynną. Poczułam krem przeciwsłoneczny i tytoń.

Pan Forbes kręcił głową w obie strony. Zdjął okulary, przysuwał je i odsuwał między swoją twarzą a rynną.

– Widzi pan? – zapytałam.

Trochę bardziej przysunął okulary, a potem nagle przewrócił się na szorty.

– Jezus Chrystus! – szepnął.

– Właśnie! – powiedziała Tilly.

Teraz zobaczyła Go Sheila Dakin, rzuciła: „Do wszystkich diabłów”, i dmuchnęła dymem papierosa na Syna Bożego.

Pan Forbes powiedział jej, żeby uważała, i wszyscy zaczęliśmy machać rękami na wszystkie strony i kaszleć (poza panią Dakin, która chyba wykaszlała się po drodze).

– Idę po Dorothy – powiedział pan Forbes. – To ją podniesie na duchu za wszystkie czasy.

Sheila Dakin czubkiem pantofla zgasiła na żwirze papierosa. Zagapiła się na Jezusa.

– Wygląda żałośnie jak cholera, prawda? – zapytała.

– Zawsze sobie wyobrażałam, że jak spotkam Jezusa, będzie bardzo wesoły – stwierdziła Tilly. – Myślałam, że będzie nosił długą koszulę i patrzył ludziom w oczy.

– Ja też – dodałam.

Obie zapatrzyłyśmy się na rynnę.

Przechyliłam głowę na bok.

– Może ma zły dzień.

– Haroldzie, nie skończyłam jeszcze mojej listy.

Słyszałam, jak prowadzą panią Forbes chodnikiem. Kiedy się pojawiła, za pasek fartucha miała wetkniętą ścierkę do odkurzenia, a pan Forbes otaczał żonę ramieniem, jakby prowadził ślepa przez ulicę pełną samochodów.

– Haroldzie, wprawiasz mnie w zakłopotanie.

– Po prosu otwórz oczy i patrz – powiedział pan Forbes.

Stała nieruchomo i patrzyła na garaż, ręka podeszła jej prosto do ust.

Zastanawiałam się, jakie słowa chciały się jej wyrwać.

– Jezus – powiedziała. – Jezus jest na...

– Rynnie – dodał pan Forbes.

– Cóż, nigdy bym nie pomyślała.

Zobaczyła Go natychmiast.

Do lunchu Jezus na Rynnie narobił niezłego zamieszania.

Pan Forbes przyniósł leżaki, a pani Forbes nalegała, żeby usiąść jak najbliżej Jezusa, nie zasłaniając widoku nikomu. Wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła nią nos.

– To znak – powtarzała co chwilę.

– Znak czego? – wyszeptalam.

Ale nikt nie odpowiedział.

W pewnej chwili Sheila Dakin mruknęła pod nosem: „Bóg wie”, ale pobiegła do domu po koszulkę, żeby się okryć, na wszelki wypadek.

– W takich okolicznościach – powiedziała.

Po półgodzinie pojawił się Eric Lamb w ciężkich wellingtonach pokrytych ziemią. Zostawiał ślad prowadzący prosto do Jezusa, nachylił się i spojrzał Mu prosto w oczy.

– Niczego nie widzę – powiedział.

– Jak możesz niczego nie widzieć? – Pani Forbes przestała ocierać nos. – To tak jasne, jak... jak...

– Jak słońce! – krzyknął pan Forbes.

– Dot, to tylko plama kreozotu. – Eric odsunął się i założył ręce. – Zwyczajna, pospolita plama kreozotu. Upał musiał ją wyciągnąć na wierzch.

Pani Forbes zmrużyła oczy i ściągnęła brwi.

– Cóż, Ericu, myślę, że to kwestia wiary, prawda?

O dziwo, kiedy Eric Lamb odsunął się, przymrużył oczy i popatrzył na rynnę pod innym kątem, stwierdził, że to rzeczywiście Jezus.

– Niech mnie diabli – powiedział.

Pani Forbes tylko kiwnęła głową i powiedziała panu Forbesowi, żeby przyniósł ludziom po szklance lemoniady.

Sheila Dakin dodała, że szklaneczka sherry byłaby w porządku, ale wszyscy ją zignorowali.

Pan Forbes wrócił z lemoniadą i następnymi leżakami i wszyscy usiedliśmy w cieniu garaży, ze sparciałą oponą, zakurzonymi liśćmi i Jezusem.

– Jak myślicie, co to znaczy? – zapytała Sheila Dakin.

Cienki Brian siedział na trawie. Zaczął od leżaka, ale musiał z niego zejść, bo ile razy się ruszył, leżak próbował się na nim zamknąć.

– Myślę, że to ostrzeżenie. Tak jak się widzi srokę albo stłuczone lustro. Myślę, że nadchodzą kłopoty.

– Nie bądź śmieszny, chłopcze. – Harold Forbes wyjął z ust fajkę. – Tamto to tylko przesąd. A to jest religia.

– Hm, najwyraźniej jest tutaj, żeby nam coś powiedzieć. – Pani Forbes znów schowała chusteczkę i napiła się lemoniady. – Musi mieć jakieś przesłanie.

– Jakie przesłanie? – zapytała Tilly.

– Bo ja wiem. – Pani Forbes przygryzła górną wargę. – Ale to robi Jezus, prawda? Przynosi przesłania.

Ludzie poruszyli się na płóciennych leżakach, a Tilly podciągnęła kolana do piersi.

– Co Jezus ma nam do powiedzenia? – wyszeptała.

Harold Forbes zakaszłał i wszyscy zaszurali stopami po żwirze.

– Czy myślicie, że Jezus próbuje nam powiedzieć, że Margaret Creasy nadal żyje? – zapytała Sheila Dakin. – Że w końcu nie wpadła do kanału?

– Nie bądź śmieszna, Sheilo. Oczywiście, że nie żyje. – Harold Forbes poprawił szorty na leżaku. – Ludzie nie chodzą na brzeg kanału bez powodu.

Pani Forbes przeżegnała się i kątem oka spojrzała na rynnę.

– Potrzebujemy proboszcza – szepnęła bezgłośnie – żeby to wytłumaczył.

Było około wpół do czwartej, kiedy pojawiła się pani Morton. Zaalarmował ją telefon tuż po *The Archers*, specjalnie przyniosła z sobą okulary do czytania.

– Nie wiedziałam, jakiego On będzie wzrostu – wyjaśniła.

Popatrzyła i ściągnęła brwi, tak jak robili to wszyscy. Potem pani Forbes powiedziała jej, żeby się trochę odsunęła, a kiedy pani Morton to zrobiła, wstrząs, że zobaczyła Jezusa, usadził ją prosto na leżaku.

– Czyż to nie podniecające? – zapytałam.

– Kto Go znalazł? – zapytała pani Morton.

Tilly przesuwiała się po trawie, aż się zbliżyła.

– Ja znalazłam – powiedziała. – Włóczyłam się tutaj, zastanawiałam się, czy pójść do domu, czy wrócić do Grace i przeprosić ją.

Pani Morton popatrzyła na mnie bez słowa.

– Cóż, powinnaś być bardzo dumna – odezwała się do Tilly. – Niełatwo było Go zauważyć. Widać było ci to pisane.

Tilly zwróciła się do mnie.

– Może gazeta będzie chciała zrobić z nami wywiad – powiedziała. – Może zobaczą nas ludzie z różnych stron. Nawet z Bournemouth.

– Może – zgodziłam się.

– Zastanawiam się, czy powinnam włożyć sukienkę. – Podrapała się po plamie na rękawie swetra. – Chociaż ludzie mogą mnie nie poznać, jak nie będę w swetrze. Chcę, żeby na pewno mnie rozpoznali, prawda, Gracie?

– Z całą pewnością – odparłam.

– Tilly, ale to ty Go znalazłaś, a nie Grace – przypomniała pani Morton.

– Ale jesteśmy przyjaciółkami. – Tilly spojrzała na mnie. – Wszystkim się dzielimy. Nawet Jezusem.

Obie popatrzyłyśmy na rynnę i uśmiechnęłyśmy się.

Ulica
numer 2

30 lipca 1976

Jak to, Jezus? – May Roper podciągnęła szydełkowane morze trochę wyżej na nogi.

- Na rynnie. Widziałem Go na własne oczy.
- Brian, znowu byłeś na słońcu?
- Sheila Dakin myśli, że to znak.
- Znak, że jest po sherry.

Brian znów odwrócił się do okna. Zebrał się już spory tłum, widział, jak Harold Forbes chodzi w samym środku w tych swoich szortach.

– Mamo, wszyscy tam poszli. Myślą, że to ma coś wspólnego z zaginięciem Margaret Creasy.

– Nie trzeba być Jezusem, żeby domyśleć się, co tu się dzieje. Wystarczy, że popatrzyysz na jedenastkę.

Brian nachmurzył się, ale nic nie powiedział.

– Mówią, że później przyjdzie proboszcz od św. Antoniego – powiedział.

– Proboszcz?

– Może nawet biskup. Wiesz, żeby dać zielone światło. Że to cud.

– Niby dlaczego Pan Bóg Wszechmogący miałby wybrać tę ulicę, żeby uczynić cud? – zapytała jego matka. – Bardzo wątpię, by proboszcz zamienił z Jezusem chociaż parę słów.

– Chyba zamieni. – Brian spojrział jeszcze raz i zaciągnął zasłonę. – Wszystkim kieruje Dorothy Forbes.

– Dorothy Forbes? Kieruje?

Jego matka odrzuciła robótki i wstała.

– Oczywiście, że tam idę – stwierdziła. – Jeśli ktoś ma kierować Jezusem, to tylko ja.

Rynna

30 lipca 1976

Popołudnie mijało, a my wraz z nim.

Pani Forbes odmówiła pozostawienia Syna Bożego ze strachu, że zniknie, a pani Roper odmówiła pozostawienia pani Forbes. Eric Lamb powiedział, że to niezły relaks tak posiedzieć w słońcu, a Sheila Dakin drzemała, więc siedzieliśmy wszyscy razem, wachlując się dłońmi i rozmawiając o nieistotnych sprawach. Inni ludzie przychodzili i odchodzili – ludzie, którzy nie mieszkali na ulicy, ale usłyszeli o Jezusie w sklepie na rogu albo przy sznurze do bielizny. Podziwiali Jezusa z bezpiecznej odległości, którą wyznaczyła pani Forbes tuż za lewą stopą Sheili Dakin. Powiedziała, że nie będzie ryzykować. W naszym małym zakątku świata byli intruzi, których tolerowano. My byliśmy bractwem, złączonym przez Jezusa, siedzieliśmy wokół Niego jak kawałki układanki, które czekają, aż się dopasują.

Wracając z herbaty, przyprowadziłam moją matkę i mojego ojca.

Matkę łatwo było przekonać, bo miała wybór między Jezusem a zmywaniem, ale ojca trzeba było namawiać.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

Odparłam, że tak, a on podłubał w zębach i uznał, że upał musiał podzielać na nas wszystkich.

– Derek, chociaż rzuć na to okiem. – Matka odstawiła nieotwarty płyn do zmywania na okno. – Nic złego się nie stanie.

Więc czekałyśmy na niego, aż skończy ze wszystkimi zębami, opuści rękawy koszuli, zapnie mankiety, założy smycz Remingtonowi (któremu naprawdę smycz nie była potrzebna, ale wszyscy udawali, że jest inaczej) i poszliśmy na koniec ulicy w mocnym wieczornym słońcu przez chmury zaniepokojonych muszek, przy akompaniamencie westchnień i uśmiezków mojego ojca i komentarzy, że cały świat zwariował.

Państwa Forbesów przekonano, żeby wrócili do domu na kolację, a pani Forbes powierzyła pani Morton kierownictwo nad Jezusem. Pani Morton zajęła stanowisko na pustym leżaku pani Forbes i podchodziła bardzo poważnie do wszystkiego, chociaż jednocześnie trochę szydełkowała. Eric Lamb usiadł na leżaku obok i odwijał dla niej wełnę z grubego niebieskiego motka.

Mój ojciec uniósł brwi.

– Zajęty? – zapytał.

Eric Lamb uśmiechnął się.

– Zawsze jakaś odmiana – powiedział. – Niesie z sobą parę miłych wspomnień.

Mój ojciec próbował zobaczyć, co jest za nimi.

– Cóż, więc gdzie On jest? – Obejrzał ścianę garażu od góry do dołu. – Grace mówi, że macie Jezusa na rynnie.

Moja matka klasnęła w dłonie i pochyliła się do przodu ile się dało, byle nie upaść.

– Tutaj jest. – Pani Morton wskazała drutem nr 7. – Ale ostrożnie, nie chuchajcie na Niego, jeszcze nie wiemy, na ile jest odporny.

Moi rodzice poszurali do przodu, żeby stanąć przed Synem Bożym i ściegami pani Morton.

Rozpoznałam chwilę, w której moja matka Go zobaczyła, bo cicho pisnęła i odskoczyła do tyłu.

– Ale nie wygląda na zbyt szczęśliwego, prawda? – zapytała, znów się pochylając.

Mój ojciec zbliżył się o krok, zmrużył oczy i zrobił minę, aż pokazały się wszystkie zęby. Odwrócił głowę w lewo, potem odsunął się i ściągnął brwi.

– Dla mnie wygląda raczej na Briana Clougha – powiedział.

Pani Morton wstrząśnięta zaczerpnęła powietrza.

Mój ojciec znów zaczął odwracać głowę.

– Przecież tak wygląda, prawda? Nie widzicie tutaj? (Zaczął pokazywać, ale drut pani Morton mu przeszkodził.) – To brwi.

– Nie, z całą pewnością to Jezus – odparła pani Morton. – To ten nos, widzicie. To nie może być nos kogoś innego.

– Jednak szkoda. – Sheila Dakin rozparła się na leżaku. – Nasz Keithie przybiegłby jak strzała, gdyby myślał, że mamy tutaj Cloughiego.

Ulica
numer 8

30 lipca 1976

Było ich teraz jedenaścioro.

John widział wszystko z okna pokoju od frontu, chociaż stosy listów i zdjęć były już tak wysokie, że musiał się między nimi przeciskać, żeby wyrzeć przez szybę. Ciągłe przychodzili i odchodzili: Sheila biegła z koszulką, Harold niósł stos leżaków. Parę godzin wcześniej widział, jak May Roper podwinęła rękawy i szła jak do bitwy.

Chciał pójść i samemu zobaczyć, co się dzieje, ale nie był w stanie stawić czoła pytaniom. Udawało mu się unikać ludzi, odkąd znaleziono buty Margaret. Sheila kilka razy pukała do drzwi, widział też, jak Brian czaił się w pobliżu, zaglądał w okna, ale tak w ogóle John dał radę się ukryć.

Posterunkowy Green był trochę bardziej wytrwały, ale przecież policjanci tacy są. Stukał w drzwi od frontu, od tyłu, dopiero kiedy zaczął krzyczeć przez skrzynkę na listy, John pomyślał, że lepiej otworzy, zanim posterunkowy Green wypełni zgiełkiem całą ulicę.

Posterunkowy chciał wiedzieć, czy Johnowi potrzebny jest funkcjonariusz łącznikowy.

John wyjaśnił, wydawało mu się, że bardzo uprzejmie, że nie łączy się z nikim, a szczególnie z żadnym z policjantów.

Posterunkowy Green powiedział mu, żeby się uspokoił, a John zapytał, jak ma to zrobić, skoro detektyw inspektor Hislop biega po okolicy i sugeruje, że różne dziwne rzeczy mogły się przytrafić Margaret. To oczywiste, że ona wróci, jak będzie na to przygotowana. Wkrótce będzie rocznica ich ślubu, na pewno na nią wróci, a jemu jest wszystko jedno, co posterunkowy Green, posterunkowy Hay, a nawet detektyw inspektor Hislop mają na ten temat do powiedzenia.

Posterunkowy Green tylko na niego patrzył z otwartymi ustami, co – John całkiem jasno mu wytłumaczył – jest podstawową przyczyną cuchnącego oddechu, i udowodniono, że może znacząco zwiększyć ryzyko chorób jamy ustnej.

Od tamtego czasu posterunkowy Green zostawił go w spokoju. John wiedział, że powinien zadzwonić do detektywa inspektora Hislopa i powiedzieć mu prawdę, ale nikt by tego nie zrozumiał. John narobiłby sobie tylko mnóstwo kłopotów.

Właściwie równie dobrze mógł nie zadzwonić. John nie ufał sobie, jeśli chodziło o stosunki z policjantami. Właściwie to nie ufał sobie, jeśli chodzi o stosunki z kimkolwiek, bo zawsze najpierw mówił, potem myślał. I kończyło się tak, że mówił coś, a potem tego żałował, a gdyby nie nagadał Brianowi, kiedy miał dwanaście lat, nie znalazłby się w takim bagnie, w jakim był teraz.

16 listopada 1967

Na ulicy jest ciemno.

Długie cienie pełzną po milczących, oszronionych trawnikach, a ciężkie niebo przyciska szare dachy. John Creasy patrzy przez szybę. Bardzo ostrożnie miesza herbatę, trzyma łyżeczkę z daleka od porcelany, martwi się, że hałas mógłby jakoś obudzić ciemności i pozwolić, żeby włóczyły się bez kontroli.

Herbata jest za gorąca i za słodka. Od śmierci ojca matka wypełniła jego życie nabiałem i cukrem. Zastanawia się, czy to sposób na zatrzymanie go tutaj, na spowolnienie go taką ilością masła i śmietanki, żeby za pełny i zbyt ospały nawet nie pomyślał o odejściu od niej.

„Musimy podtrzymywać siły”, mówi matka.

Chociaż on nie do końca wie po co.

Słyszy ją teraz, jak miesi stoicyzm z gęstym ciastem i odmierza łyżki wytrzymałości do miski.

John wyciera brzeg filiżanki czystą chusteczką i znowu patrzy przez okno.

W ostatnim tygodniu ulica zamknęła się w sobie. Widział, jak to się dzieje. Widział, jak Eric Lamb podnosi kołnierz płaszcza, a Sheila Dakin otula się swetrem i ukrywa myśli w wełnie. Widział, jak butelki z mlekiem są błyskawicznie chwytane z progu, jak zasłony z szelestem zaciągają się, ledwie się zacznie listopadowy wieczór. Widział, jak narasta cisza. Widział, jak wpełza w każdy zakamarek ulicy i jak ulica odpłynęła w długą

ciszę, pozszywaną tylko kiwnięciami głowy, zerknięciami i niemymi spojrzeniami.

Widział, jak Brian przechodzi przez ulicę i staje przed numerem jedenastym. Prawie codziennie widzi, jak Brian to robi.

Czasem Harold Forbes przechodzi przez ulicę i dołącza do Briana, z założonymi na piersi ramionami, ze wzrokiem utkwionym w zakurzoną ciszę frontowych drzwi Waltera Bishopa. John widział, że Sheila robiła to samo. Widział, jak stawiała torby na zakupy pośrodku ulicy, patrzyła na numer jedenaście i zaciskała usta w cienki pasek niechęci.

John myśli, że pewnie robią to na zmianę. Brian, Harold, Sheila, Derek. Ludzki zegar, rozkład gapienia się, obserwowania, prób wyciągnięcia Waltera Bishopa na dobrze oświetloną arenę, gdzie można go poszturczyć, wy badać i ocenić.

Mimo ich starań Walter pozostawał w cieniu. Nikt go nie widział.

John zastanawia się, czy Walter wychodzi tylko w nocy, czy znajduje pocieszenie w ciemności, rytm ukojenia w krokach odbijających się echem od poczerniałego chodnika, i chociaż nigdy nie powiedziałaby tego Brianowi, Haroldowi czy Sheili, rozumiał, jak Walter się czuje.

Znów wyciera filiżankę i stawia ją pośrodku stołu, z daleka od skraju, na którym byłaby zagrożona nieuważnym łokciem albo szurnięciem gazety. Ruch przyciąga uwagę Briana i John łapie się na tym, że odpowiada mu machaniem zza szyby, chociaż

stara się jak może schować za sztuczną palemką, którą matka postawiła pośrodku parapetu.

„Niewiarygodnie realistyczna – wszyscy się nabiorą!” Metka nadal zwisa z jednej z łodyżek.

John odrywa się od palmy i wychodzi na dwór.

Brian odsunął się kilka kroków i opiera się o płot biegnący między domami Harolda Forbesa i Bennettów. John też opiera się o płot. Nawet nie chce myśleć, ile na tym jest zarazków, bo z upływem lat odkrył, że czasem ma się mniej kłopotów, jeśli się robi to, czego inni oczekują.

Kiedy pyta Briana, co się dzieje, odpowiedzią jest skiniecie głową w stronę domu Waltera Bishopa.

John patrzy na dom Waltera, bo Brian to robi i chyba tego od niego się wymaga. John robił tak od szkolnych czasów, obserwował i naśladował Briana. Brian był jego rozpoznaniem, jego jedynym szablonem tego, czego świat mógłby ostatecznie chcieć od Johna.

Patrzą bez przerwy na numer jedenaście, chociaż John nie wie, czy to może czemuś służyć.

– Dostanie to, na co zasłużył – mówi w końcu Brian.

Płot jest niewygodny. John czuje, jak drewno drapie i ociera mu nogi przez materiał spodni.

– Naprawdę myślisz, że Walter zabrał niemowlę? – pyta.

Brian zakłada ręce na piersi.

– A kto inny?

John rozgląda się po ulicy, ale nic nie mówi.

W murze ogródka Sheili Dakin jest czterdzieści siedem cegieł – więcej, jeśli doda się połówki cegieł, ale to może zafałszować wynik, więc John postanawia nie brać ich pod uwagę.

Sylvia Bennett idzie ulicą z ciężkimi torbami zakupów. Odsuwają nogi, żeby ją przepuścić. Zauważa to, ale nie odrywa oczu od chodnika. Kiedy przechodzi, John wyczuwa zapach jej perfum. Jest ciężki i mroczny i utrzymuje się w powietrzu długo po tym, jak Sylvia odeszła. Brian dalej patrzy w przestrzeń, którą przechodziła Sylvia.

– Nadal masz na nią ochotę, prawda? – pyta John.

Na twarzy Briana pojawia się rumieniec.

– Nie bądź takim cholernym durniem – mówi. – Jest mężatką.

– Zawsze miałeś na nią ochotę. Od szkolnych czasów.

John wie, że Brian wyczekiwał w korytarzach, tak planował swój dzień, żeby móc rzucić ukradkowe spojrzenie. Przeciążone dzieciństwo, wypchane cichą rozpaczą, że nie wie się, gdzie stanąć. Żaden z nich nie miał wzorca na postępowanie z dziewczynami. Nadal go nie mają.

John kiwa głową w stronę numeru czwartego.

– Przypomina trochę Julie Christie.

– Julie Christie, o w dupę! – mówi Brian.

Znów patrzą na dom Waltera Bishopa. Popołudnie się kończy, zabiera z sobą sylwetki drzew i wilgotne, szare pasmo odległych dachów. Latarnie strzykają, brzęczą i zaczynają żarzyć się na różowo.

– Jak długo macie zamiar to robić? – pyta John.

– Aż się go wypłoszy. O czwartej przejmują go Harold.

– A potem co? Co macie zamiar zrobić, jak go dopadniecie?

Brian tylko patrzy.

– Nie mówisz poważnie?

– John, to zboczeniec, cholerny zboczeniec. Nie pasuje do tej ulicy. Wszyscy chcą, żeby się wyniósł.

Brian zmienia pozycję pod murkiem.

– Myślałem, że ty pierwszy chciałbyś zobaczyć jego plecy.

John czuje, że zwój niepokoju unosi się mu do gardła.

– Nie rozumiem – mówi.

– Wiesz. Chodzi o twojego tatę.

Chociaż raz John jest zadowolony, że o coś się opiera, bo czuje, że nogi stopniowo odmawiają mu posłuszeństwa.

– Nie wiem, o co ci chodzi – mówi.

Brian przygląda mu się, potem znów patrzy na numer jedenaście.

– Wiesz.

Tak, wie.

Pamięta tę rozmowę, pospieszną, szeptaną, w szatni, kiedy wszyscy już poszli. Szukał tylko kolejnego wzorca, podpory – kogoś, kto mu powie, że to zdarza się każdemu. Powinien postąpić tak, jak powiedział jego tato, i zachować to dla siebie.

Nie patrzy na Briana, kiedy mówi:

– Źle zrozumiałeś. Byłem zdezorientowany – mówi. – To było tylko nieporozumienie.

Brian nie odwraca wzroku od domu Waltera.

– Nie, John, to nie było nieporozumienie.

Jeśli policzyć połówki cegieł, będzie sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt sekund w minucie, sześćdziesiąt minut w godzinie. Sześćdziesiąt – dobra liczba, bezpieczna i godna zaufania. Z sześćdziesiątką nie może pójść źle.

Dźwięk drzwi frontowych sprawia, że obaj patrzą na drugą stronę ulicy. Harold idzie chodnikiem w kałuży pomarańczowego światła latarni, ręce trzyma za sobą, plecy ma na tyle proste, na ile pozwala mu wiek. Wygląda jak stary żołnierz, chociaż John wie, że Harold nie odsłużył nawet minuty dla kraju.

Najwyraźniej kraj go nie chciał. Kiedy ktoś o tym wspominał, Dorothy zawsze mówiła, że to drażliwy temat.

– Zgłaszam się na służbę, szesnasta zero, zero – mówi Harold, kiedy podchodzi do nich. – Jakiś ruch?

Brian odpycha się od płotu.

– Nic. John i ja właśnie mówiliśmy, że bardzo chcemy wypędzić stąd tego zboczeńca, prawda, John?

Brian patrzy na Johna, ale John się nie odzywa.

Na szczycie murku Sheili Dakin jest trzynaście dachówek.

John zaczyna odchodzić. Z dala od spojrzeń i pytań, i od przeszłości wpełzającej w jego teraźniejszość.

Trzynastka to była dla niego zawsze nieszczęśliwa liczba. Było trzynaście stopni, ale jeśli nie liczyć ostatniego przed piętrem, właściwie minipółpiętra, to tylko dwanaście.

Zamyka za sobą furtkę i idzie ogrodową dróżką.

Był zdezorientowany. To tylko nieporozumienie. Tak powiedziała jego matka.

Rynna

31 lipca 1976

Jeszcze nie było dziesiątej, ale Jezus ściągnął już spory tłum.

Pan i pani Forbes siedzieli przy składanym stoliku do kart, który pan Forbes przyniósł z ich garażu. Uczyli Sheilę Dakin i Erica Lamba, jak grać w kanastę.

– Nie, jedenaście kart, Sheilo. Ten stos jest teraz niedozwolony, rozumiesz?

Na zrzuconą miskę płatków pani Forbes, leżącą u jej stóp na trawie, wylała się rzeka mrówek, a samotna osa leniwie latała wokół głowy Erica Lamba.

– Ale nie rozumiem, dlaczego nie mogę wziąć karty. Ty dopiero co wzięłaś kartę.

Pani Morton stała przed Jezusem ze szklanką soku pomarańczowego i „Daily Telegraph” wetkniętym pod pachę.

– Czego nie rozumiem – oświadczyła, nie zwracając się do nikogo – to, że od razu Go nie zauważyliśmy.

Eric Lamb odchylił się do tyłu na leżaku, który zajęczał z niewygody.

– Przecież nie zawsze widzi się różne rzeczy, prawda? – powiedział. – Codziennie przechodzimy obok tego samego i nawet dokładnie się nie przyglądamy.

– Chyba tak. – Przeszła kilka kroków w lewo, popatrzyła na Jezusa i napiła się trochę soku pomarańczowego. – Ale On tak rzuca się w oczy, prawda?

Leżak Erica Lamba znów zajęczał.

– Często nie zauważamy tego, co najbardziej rzuca się w oczy.

– Na dodatek – odezwał się pan Forbes – to może być ten upał.

Pani Morton odwróciła się i jej buty zaszurały na żwirze.

– Upał?

– Upał mógł Go wyciągnąć. Dziwne rzeczy wyprawia ten upał.

Sheila Dakin poprawiła swój T-shirt, a pani Morton obesła ścierkę do kurzu, która poprzedniego dnia wypadła zza paska pani Forbes i nikt jej nie podniósł.

– Tak, to prawda – powiedziała.

– Masz od niego wysypkę, prawda, mamo? – zapytał Cienki Brian.

– Naprawdę? – May Roper uniosła twarz do słońca i uśmiechnęła się. – Nigdy tego nie zauważyłam.

Było późne rano. Pani Morton postanowiła się zdrzemnąć, Eric Lamb trochę bardziej podwinął nogawki spodni, a pani Forbes poszła po herbatniki, żeby utrzymać wszystkich na chodzie. Mój ojciec siedział i gapił się w gazetę, moja matka siedziała i gapiła się na ojca, a pani Dakin trzymała Keithiego w bezpiecznej odległości. Słyszałam, jak kopał piłką o zewnętrzną ścianę garaży, a parę minut później szukał jej pod żywopłotem.

Tilly przyszła z zapakowanym lunchem i w czystym swetrze, na wypadek gdyby pojawili się reporterzy z gazet. Usiadłyśmy na trawie i czytałyśmy stary egzemplarz „Jackie”, który znalazłam pod kanapą. Tilly nie czytała tak szybko jak ja i co parę minut musiałam patrzeć na stronę i udawać, jedząc zapakowany lunch, żeby za mną nadążyła. Czasem na odwrót, to ja kazałam jej czekać, żeby się nie zorientowała.

Właśnie byłam w środku udawania, kiedy usłyszałam kroki.

– Hm, nigdy bym nie przypuszczał – powiedziały kroki. – To tutaj wszyscy jesteście.

To był pan Kapoor. Podeszedł do rynnny, nachylił się i popatrzył.

– Co my tu mamy?

Pan Forbes wstał z leżaka i dołączył do niego.

– To jest Jezus – powiedział i dźgnął palcem w stronę ściany. – Z Biblii.

Tilly podniosła wzrok.

– Czy pan Kapoor jest głuchy? – zapytała.

Ściągnęłam brwi.

– Nie sędzę.

Mój ojciec też wstał i we trzech zebrali się przy rynnny.

– On jest Synem Bożym. – Mój ojciec uśmiechnął się i skinął głową do pana Kapoora. – Wiem, że to trochę krępujące dla człowieka z zewnątrz. – Nadal się uśmiechał i kiwał głową, chociaż skończył już mówić.

Pan Kapoor pochylił się trochę niżej i zmrużył oczy, obszedł rynnny i jeszcze bardziej się nachylił, potem wyprostował się,

odwrócił do mojego ojca i powiedział:

– Szczerze mówiąc, chyba wygląda trochę jak Brian Clough.

Mój ojciec powiedział: „Ha!”, roześmiał się i poklepał pana Kapoora po ramieniu.

To było trochę niefortunne, ale szczerze mówiąc, mój ojciec nie zawsze pamięta, jaki jest silny.

Proboszcz przybył o czwartej, w sam raz na makaroniki, które pan Forbes rozdawał razem z herbatą z mlekiem i czekoladkami z paczki. Pani Forbes wstała z leżaka, żeby lepiej przyjrzeć się proboszczowi, a on obszedł Jezusa z rękami za plecami. Co chwila kołysał się na obcasach i kiwał głową. Był ubrany w zwyczajne spodnie i zwyczajną koszulę. Nadal czułam świece.

– Gdzie ma sutannę? – wyszeptala Tilly.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Może nosi ją tylko dla Boga.

Ktoś zakaszłał, usłyszałam, jak żwir chrzęści ludziom pod nogami. Pani Forbes zapytała:

– I cóż?

Proboszcz zmarszczył brwi i wciągnął powietrze przez zęby.

– Nie wydaje mi się, żeby Jezus kiedykolwiek zaszedł do East Midlands – powiedział w końcu.

May Roper promieniała, jakby była osobiście odpowiedzialna za zorganizowanie tej wizyty.

– Ale proboszcz Go widzi, prawda? – Sheila Dakin zrobiła krok do przodu. Proboszcz wciągnął więcej powietrza przez zęby i Sheila Dakin zrobiła krok do tyłu.

– Rzecz w tym... – zaczął proboszcz. Przerwał i przyjrzał się wszystkim.

Pan Forbes rozdawał makaroniki. Eric Lamb zdjął wellingtony i leżał na trawie z podwiniętymi nogawkami. Sheila Dakin nalewała dla niego kolejną szklanekę lemoniady. Pan Kapoor i mój ojciec grali w kanastę, a pani Forbes uśmiechała się. Wszyscy się uśmiechali.

Proboszcz ściągnął brwi, ale zrobił łagodniejszą minę.

– Myślę, że mamy tutaj coś bardzo szczególnego – oznajmił po namyśle.

Pani Forbes zaklaskała.

Po kilku sekundach gwałtownie przestała klaskać.

– Mam ogromną nadzieję, że nie zdeptają nas pielgrzymi – powiedziała. – Narobiliby wielkiego bałaganu.

Jezus ustalił nam porządek zajęć.

Pani Forbes zawsze była pierwsza, żeby zająć leżak obok rynny, chociaż pewnego dnia pani Roper mała jej nie wyprzedziła i ścigały się w kapciach po chodniku. Pani Kapoor nauczyła moją matkę, jak robić hinduskie herbatniki, a Sheila Dakin została mistrzem kanasty. Eric Lamb przynosił nam wszystkim pomidory i słodki groszek ze swojego ogródka, Clive z Brytyjskiego Legionu przyszedł z psem i rozdawał pieczoną

skórkę wieprzową. Keithie grał w piłkę z Shahidem. Wyszło mu to na dobre, naprawdę. Nie gubił piłki tak często, bo ile razy ją kopnął, zawsze był ktoś, kto odkopał ją do niego. Kiedy mój ojciec i pan Kapoor wracali do domu z pracy, siadali w kącie na leżakach i pan Kapoor opowiadał mojemu ojcu o Indiach. Nie o biedzie i nędzy, ale o świątyniach, ogrodach i o kraju pełnym kolorów, światła i muzyki. Wszyscy powiedzieliśmy, że musimy odwiedzić Indie. Oczywiście, każde z nas wiedziało, że nie odwiedzi, ale nie o to chodziło.

Tilly powiedziała, że wszyscy są szczęśliwi ze względu na pogodę, przez to ciepło słońca na twarzach i wietrzyk szemrzący w liściach olch. Ludzie uśmiechają się przez zapach lata, ten, który lato wydobywa z kwiatów, trawy i torebek z pomidorami od Erica Lamba. Ale ja myślałam, że to co innego. Podobało mi się to, co powiedział Walter Bishop, że każdy znalazł coś, w co może wierzyć. Od czasu do czasu patrzyłam na nich, kiedy myśleli, że nikt ich nie widzi. Wpatrywali się w rynnę i uśmiechali, jakby umówili się z Jezusem, jakby nagle znaleźli inny sposób na wszystko.

Kiedy wracam do tego myśla, nie pamiętam, kiedy to zaczęło się psuć. Trudno stwierdzić, ale czuło się to w powietrzu. Jak deszcz.

Rynna

2 sierpnia 1976

To już będzie sześć tygodni – stwierdziła Sheila Dakin.

Pani Forbes podniosła wzrok znad książeczki z łamigłówkami.

– Od czego? – zapytała.

– Odkąd zaginęła Margaret Creasy.

Leżałyśmy z Tilly na trawie pod olchą. Trąciłam ją wolnym łokciem.

Pani Forbes nie odpowiedziała. Wróciła do swojej książeczki. Jako ktoś, kto zawsze wygląda, jakby łamał sobie głowę, nie była tym zbyt przejęta.

– Chodzi mi o to, że to daje do myślenia, prawda? – odparła pani Dakin.

– Do myślenia o czym? – zapytała pani Forbes.

– Czy ona w ogóle wróci.

– Oczywiście, że nie. – Harold Forbes wstał z leżaka i zaczął patrolować mur z rynną. – Ta kobieta leży na dnie kanału. Jak amen w pacierzu.

Pani Dakin spojrzała na mnie i na Tilly.

Spodziewałyśmy się tego i udawałyśmy, że śpimy.

– To dlaczego go nie sondowali, Haroldzie? – Sheila Dakin zdjęła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na niego, mrużąc

oczy. – Myślę, że do tej pory wysłaliby już tam nurków.

– Tu chodzi tylko o to. – Pan Forbes zrobił palcami ruch liczenia pieniędzy. – Nie chcą wydawać kasy.

– Wiesz, on ma rację – przytaknęła May Roper. – W tych czasach wszystko zależy od pieniędzy.

Pani Roper i pan Forbes pokiwali do siebie głowami, że się zgadzają.

– I zapewniam cię, że ona tam leży. – Pan Forbes przestał patrolować. Kołysał się na piętach, trzymając ręce za plecami, i parzył na Jezusa. – Na dnie kanału. Jest już historią.

– Ona żyje.

Odwróciliśmy się wszyscy.

To był John Creasy. Stał na skraju chodnika. Zobaczyłam, że koszula wystaje mu ze spodni, a jego oczy są zmęczone i mętne.

– John! – Pan Forbes klasnął i trochę przygiął kolana. – Zastanawialiśmy się, kiedy przyjdiesz. Chodź, usiądź. Chodź na spotkanie z Chrystusem.

Pan Forbes poprowadził go obok rynny na leżak.

– Ona żyje. – John Creasy przyglądał się Jezusowi, przechodząc obok. – Naprawdę żyje.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział pan Forbes. – Usiądź, John, i napij się lemoniady Dorothy.

Pan Forbes ukucnął obok leżaka.

– Myślę, że powinniśmy być jak dzielni żeglarze. Mieć nadzieję na najlepsze, przygotować się na najgorsze. To te buty, rozumiesz. Nie można zaprzeczyć tym butom.

– Buty nie mają znaczenia. – Pan Creasy nadal trzymał szklanę lemoniady. – Naprawdę, żadnego.

Harold Forbes popatrzył na panią Dakin. Zobaczyłam, że podnosi brwi, prosząc o poparcie.

– Nie stałyby obok kanału, prawda, John – powiedziała pani Dakin – gdyby z Margaret wszystko było w porządku.

– Już wam mówiłem. – Pan Creasy tak mocno odstawił szklanę, że lemoniada przelała się i spadła kroplami na trawę.
– Buty nie mają żadnego znaczenia.

Pani Dakin ściągnęła brwi.

– Skąd ta pewność? – zapytała.

Założył ręce na piersi i popatrzył na nią.

– Bo ja je tam postawiłem.

– Co to do diabła ma znaczyć, że je tam postawiłeś? – Harold Forbes wstał i otarł żwir z rąk.

– Zapomniała je włożyć, rozumiecie. – Pan Creasy pochylił się do przodu na leżaku. – Odeszła bez butów.

Zaczął się bardzo powoli kołysać.

– O Boże. – Sheila Dakin wyprostowała się i uszczypnęła się w czubek nosa.

Rozejrzałam się po wszystkich. Gapili się z otwartymi ustami, a czekoladka zatrzymała się dokładnie w połowie drogi między puszką a ustami May Roper.

– Nadal nic nie rozumiem – martwił się pan Forbes. – Dlaczego, na litość boską, zostawiłeś parę butów na brzegu

kanalu?

– Margaret zawsze chodziła ścieżką nad kanałem. Siadała tam i jadła lunch, więc zostawiłem je, żeby mogła je znaleźć. Nie da się rady tak długo bez butów.

– Jak rękawiczki przy drzwiach i parasolka u dołu schodów – powiedziała pani Dakin, która nadal szczypała się w nos.

– Tak! – Pan Creasy uśmiechnął się. – Ty rozumiesz, prawda?

– Do wszystkich diabłów, John. – Pani Dakin zakryła twarz rękami. – Dlaczego, do diabła, nic nie powiedziałeś?

– Nie sądziłem, że kogokolwiek to zainteresuje. Nie wiedziałem, że kartka od szewca nadal jest przyklejona do podeszwy.

– Jezu Chryste, John – sapnął pan Forbes.

Pani Forbes popatrzyła na rynnę.

– Więc ona wróci, zobaczycie – oznajmił pan Creasy. – I to bardzo szybko, bo to rocznica naszego ślubu.

Wciąż gapili się w milczeniu. Wydawało mi się, że słyszę, jak ktoś przełyka. Pani Morton obudziła się i wyglądała na bardzo zdezorientowaną.

– John, kiedy masz rocznicę? – zapytała pani Roper. Mówiła bardzo cichym głosem.

– Dwudziestego pierwszego. – John Creasy uśmiechnął się. – A Margaret za nic w świecie tego nie pominie.

Pani Dakin pogrzebała w torebce i dała mu dwupensówkę.

– Na co to? – zapytał.

Złapała się rękami za głowę i westchnęła.

– Żeby zadzwonić na policję, do cholery.

Dwie godziny później wyrzucili pana Creasy'ego z samochodu panda. Pan Forbes powiedział, że John miał szczęście, bo nie został oskarżony o marnowanie czasu policji. Nie wiedziałam, że można być aresztowanym za marnowanie czyjegoś czasu, ale pani Morton wyjaśniła, że to stosuje się tylko do policjantów, i pewnie dobrze, że tylko do nich.

Wszyscy nadal siedzieli z Jezusem, a my patrzyliśmy, jak pan Creasy wlecze się ścieżką w ogrodzie i wchodzi przez drzwi numeru ósmego.

Tilly pociągnęła mnie za rękaw.

– Czy to znaczy, że pani Creasy jeszcze żyje? – wyszeptała.

– Chyba tak – odparłam.

– To dlaczego wszyscy mają takie zaniepokojone miny?

Ulica
numer 4

2 sierpnia 1976

Myszę, że jesteś zadowolony, prawda?

Prawie widziałam moją matkę przez balustradę. Stała w kuchni z rękami na biodrach.

Mój ojciec siedział przy stole. Wyglądał na zmiętego, jakby wypuszczono z niego całe powietrze.

– Jak to zadowolony? Z czego zadowolony? – zapytał.

– Że ona żyje.

– Cóż, oczywiście, jestem zadowolony, że ona żyje. Co to za pytanie?

– Zadowolony ze swojej kochanicy – dodała moja matka. Jej głos był co najmniej o oktawę wyższy niż zazwyczaj.

– Sylvio, na litość boską. Ile razy? Nie jest moją kochanicą.

Matka podniosła kubek tylko po to, żeby móc go znów postawić.

– Widziałam twoją twarz – powiedziała – kiedy John Creasy mówił, że sam postawił te cholerne buty. Derek, widać było, że ci ulżyło. Ulżyło.

Tym razem cieszyłam się, że Tilly nie było i że na schodach byłam tylko ja i Remington. Remington nie lubił kłótni moich

rodziców nie mniej niż ja. Owijał wtedy ogon wokół moich palców u stóp i patrzył na mnie stroskanymi oczami labradora.

– Nie mów mi, że ci nie ulżyło, bo widziałam to po twojej minie – ciągnęła moja matka.

– Cóż, oczywiście, że mi ulżyło. Czy porządnemu człowiekowi nie ulżyłoby, gdyby usłyszał, że jego sąsiadka nie leży martwa na dnie kanału?

– Szczególnie jeśli było się ostatnim, który widział ją żywą. Usłyszałam ciche kasznięcie.

– Hm, o to chodzi.

– Więc przyznajesz? Przyznajesz, że była z tobą w biurze, kiedy ty powinienesz być przy Okrągłym Stole w Brytyjskim Legionie?

Mój ojciec przez chwilę był cicho. Kiedy się odezwał mówił zmęczonym, przybitym głosem.

– Tak, Sylvio. Przyznaję.

– Nareszcie. – Ręce mojej matki opuściły biodra i poszybowały w powietrze. Mówiła jak ktoś, kto wygrał zawody, do których wcale nie miał zamiaru przystępować.

– To nie to, co myślisz – powiedział mój ojciec.

– No nie, Derek, oczywiście, że nie, prawda? – Matka zaczęła energicznie chodzić po kuchni, jej ręce nadal pływały w powietrzu. – Nigdy nie jest tak, jak ludzie myślą.

– Sylvio, mówię poważnie. To naprawdę nie to.

Mój ojciec sięgnął po rękę matki, kiedy przechodziła, a matka pozwoliła się zatrzymać.

– Proszę cię, usiądź. Jeśli mam ci o tym opowiedzieć, chcę, żebyś usiadła.

Moja matka usiadła.

– Pomagała mi – wyznał. – Wyświadczyła mi przysługę.

– Pomagała ci? W czym do diabła ci pomagała?

Mój ojciec rozparł się. Słyszałam, jak krzesło drapie o linoleum. Położył ręce na stole.

– Zanim wyszła za Johna, zajmowała się trochę księgowością – odparł.

Przerwał, ale moja matka milczała.

– Sylvio, pomagała mi przy księgach. Pomagała mi uporządkować finanse.

– Uporządkować jakie finanse? Nie rozumiem.

Usłyszałem, jak ojciec nabiera powietrza.

– Sylvio, jesteśmy bankrutami. Wszystko przepadło. Ledwie płacę pensje, a tym bardziej czynsz za biuro.

Znów odetchnął.

– Schodzimy w dół – powiedział.

Przez dłuższy czas nikt nic nie mówił. Musiałam wydać jakiś dźwięk, bo Remington uderzył ogonem o moje stopy.

– Dlaczego nic nie mówiłeś? – Głos mojej matki rozplynął się w nicość.

– Próbowałem cię chronić. Chciałem tylko chronić ciebie i Grace.

Wydawało mi się, że słyszę, jak mój ojciec szlocha, ale mój ojciec nigdy nie płakał i w ogóle, więc musiałam się pomylić.

– Co mam zrobić, Sylve? Jestem biznesmenem. Jestem człowiekiem sukcesu. Ludzie nie mogą dowiedzieć się prawdy.

– Damy sobie z tym radę, Derek. Zawsze dawaliśmy sobie radę.

– Ale to wstyd – przeraził się mój ojciec. – Nie wytrzymam tego. Nie wytrzymam wstydu, kiedy ludzie odkryją, że jestem kimś, kim nie jestem.

Poczułam, że Remington wpycha mi łeb na kolana. Chciał, żebym dalej głaskała go po uszach, chociaż nie zdawałam sobie sprawy, że to robię.

– W porządku, Remington, nie martw się – szepnęłam. – Nic się nie zmieni. Wszystko będzie tak samo, jak było.

Czasem psy takie są. Potrzebują pocieszenia.

Jarzębinowa farma
numer 3

3 sierpnia 1976

Ale dlaczego ona nie przyjdzie?

Pani Morton zamknęła tylne drzwi.

Perfumy, których używała matka Tilly, jeszcze wisiały w powietrzu. Pachniały jak mokra gleba.

– Jej matka uważa, że najlepiej będzie, jeśli Tilly dzisiaj odpocznie. Wygląda trochę blado.

– Blado?

– Tilly to delikatne dziecko, Grace. Przecież wiesz.

Myślałam o tym, jak Tilly otwierała słoiki z marmoladą, kiedy ja nie dawałam sobie z tym rady, i jak niosła torby na zakupy, kiedy mojej matce brakowało rąk.

– Nie jest taka delikatna – stwierdziłam.

Pani Morton ściągnęła brwi i wytarła dłonie o ścierkę do naczyń.

– Ładnie ze strony jej matki, że nas uprzedziła – powiedziała.

– Wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

Matka Tilly zawsze wyglądała na bardzo zaniepokojoną. Nauczyłam się, żeby nie zwracać na to uwagi, bo obnosiła się ze zmartwieniem przez cały czas jak z zapasowym swetrem.

– Matka Tilly zawsze wygląda na zaniepokojoną – dodałam. – Bardzo dobrze jej to wychodzi.

Pani Morton usiadła naprzeciwko mnie przy kuchennym stole.

– Tak to jest, kiedy się o kogoś troszczysz. – Wygladziła plastikowy obrus. – Wtedy jesteś zaniepokojona.

Zrobiłam łokciem zmarszczkę na obrusie.

– Tak jak ja niepokoiłam się o Remingtona, kiedy latem ubiegłego roku źle się czułam?

– Chyba tak. Chociaż nie wiem, czy to słuszne porównywać Tilly z żółtym labradorem.

– Och, proszę się nie martwić, to jest zupełnie słuszne – odparłam.

Patrzyłam pani Morton w oczy. Wyglądały na bardzo zatroskane.

– Ale będzie z nią dobrze, prawda?

– Oczywiście.

– Z nią zawsze jest w porządku, prawda?

– Zawsze.

Z dorosłymi czasem jest tak, że luka między twoim pytaniem a ich odpowiedzią jest za duża, a to jest najlepsze miejsce, w którym chowa się wszystkie zmartwienia.

Byłam rozczarowana, bo chciałam porozmawiać z Tilly o rozmowie, którą wczoraj wieczorem przypadkiem podsłuchałam. Pani Morton twierdziła, że z nią mogę

rozmawiać o wszystkim, ale życie pani Morton było ciche i wykładane dywanami, a jej zegary zawsze pokazywały właściwy czas. Nie sędzę, żeby dużo wiedziała o byciu biednym. Natomiast Tilly mieszkała kiedyś w hotelu, w którym była wspólna łazienka, a ozdoby były przyklejone do parapetów, więc pewnie lepiej by się orientowała.

Postanowiłyśmy więc zagrać z panią Morton w monopoli.

Tilly była zawsze butem, a ja zawsze wyścigówką, więc pani Morton postanowiła zostać cylindrem.

Rzuciłam kostkę i przesunęłam się po polach.

– Czy nie trzeba wyrzucić szóstki, żeby zacząć? – zapytała pani Morton.

– Tylko Tilly przejmuje się tą bzdurą – powiedziałam i wylądowałam w Whitechapel.

– Chcesz to kupić? – zapytała pani Morton.

Popatrzyłam na planszę. Tilly zawsze kupowała Whitechapel i Old Kent Road. Mówiła, że jej ich żal, bo są brązowe i nudne, a ludzie, którzy tam mieszkają, pewnie mają mało pieniędzy.

– Myśli pani, że ludzie, którzy mieszkają na Old Kent Road są szczęśliwi? – zapytałam.

– Mam nadzieję, że tak. – Pani Morton przestała tasować karty funduszu pomocy ubogim i ściągnęła brwi. – A przynajmniej nie mniej szczęśliwi niż wszyscy inni.

Poparzyłam na drugą stronę planszy.

– Tak szczęśliwi, jak ludzie, którzy mieszkają na Mayfair albo Park Lane?

– Oczywiście.

– Albo w Pall Mall?

– No jasne.

– Myśli pani, że dużo ludzi na Old Kent Road się rozwodzi?

Pani Morton odłożyła karty.

– Grace, o co chodzi w tej rozmowie?

– Po prostu interesuję się różnymi rzeczami – powiedziałam.

– To co, myśli pani?

– Nie myślę tak. Nie więcej niż gdzie indziej.

– Mimo że są biedni?

Pani Morton właśnie kupowała King's Cross Station i odpowiedź zajęła jej minutę.

– Myślę, że jak ludzie mają mało pieniędzy, to żyją w stresie, ale nie przestają się kochać.

– Albo dbać o siebie? Albo martwić się o siebie?

Uśmiechnęła się.

– Pani martwi się o mnie? – zapytałam.

– Przez cały czas. – Odłożyła kostkę i spojrzała mi prosto w oczy. – Każdego dnia, odkąd byłaś niemowlęciem.

Rynna

6 sierpnia 1976

Moi rodzice siedzieli razem obok Jezusa. Moja matka od czasu do czasu ścisnęła rękę mojego ojca i uśmiechała się do niego tak samo, jak uśmiechała się do mnie, kiedy szłam do dentysty. Mój ojciec tylko patrzył na swoje buty. Pan Forbes siedział na leżaku i miał skrzyżowane ręce, a w rogu Clive karmił swojego psa resztkami smażonych skórek wieprzowych i wycierał palce o spodnie.

Karty leżały cicho na składanym stoliku, poza królem kier, którego zatopiony w myślach Eric Lamb obracał w dłoni. May Roper pocierała sobie stopy i czekała, aż Brian przyniesie jej maść, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszałam, leżąc w trawie, były druty pani Morton stukające o siebie z niezadowoleniem.

Tilly wygładziła sukienkę.

– Czujesz się mniej blado? – zapytałam.

– Znacznie mniej, dziękuję. Moja mama chyba martwi się o mnie.

– Martwić się to dobra rzecz – powiedziałam. – Jak ktoś się martwi, to znaczy, że troszczy się o ciebie.

– Więc myślę, że moja mama musi się bardzo troszczyć.

Przyglądałam się swoim rodzicom. Moja matka nadal trzymała mojego ojca za rękę, ale nie wiem, czy i on ją trzymał

za rękę.

– Myślisz, że dzisiaj może przyjść prasa? – zapytała Tilly.

Rozejrzałam się po twarzach wokół.

– Chyba nie wyjdą im wywiady, jak tu przyjdą.

– Mam nadzieję, że się pojawią. Szkoda byłoby nie mieć zdjęcia Jezusa.

Pani Forbes popatrzyła na nas z leżaka.

– Sami moglibyśmy zrobić zdjęcie, gdybyśmy mieli aparat. Prawda, Ericu? – zapytała.

Eric Lamb popatrzył na nich wszystkich i starł wyschnięte błoto z wellingtonów.

– Dlaczego wszyscy tak ucichli? – Tilly znowu wygładziła sukienkę. – I gdzie jest pani Dakin?

– Poszła po coś do domu – wyjaśniłam. – Znowu.

Dryfowaliśmy po wielkim oceanie ciszy, kiedy pani Forbes ni z tego, ni z owego wstała i klasnęła. Król kier spadł w trawę, a May Roper podniosła wzrok od nacierania.

– Wiem, czego wszystkim potrzeba – oznajmiła pani Forbes. – Wszyscy potrzebujemy czegoś na poprawę samopoczucia. Idę przynieść grę planszową i trochę kremówek.

Znów zaczęli patrzeć w ziemię.

Pokazałam na rynnę.

– Spójrz na Jezusa – powiedziałam do Tilly – nawet on wygląda na bardziej nieszczęśliwego niż wcześniej.

– Może to przez upał – rzekła Tilly.

Lipiec już był gorący, ale sierpień stał się nawet jeszcze bardziej brutalny. Skwar lał się na kraj, połykał rzeki i

strumienie, osuszał zbiorniki i przepalał lasy.

– Ludzie umierają – stwierdziła moja matka, kiedy oglądaliśmy wiadomości. – Istoty ludzkie nie są stworzone do tolerowania takiego upału. Derek, to nie jest normalne. – Jakby mój ojciec mógł to jakoś kontrolować. Tamtego ranka patrzyłam na płaszcz wiszący na drzwiach w mojej sypialni i nie mogłam sobie wyobrazić, że jeszcze kiedykolwiek go włożę.

Parę minut później pani Forbes wróciła z trzema paczkami herbatników i pudełkiem scrabble. Kiedy jej nie było, pani Roper udało się jakoś niepostrzeżenie wśliznąć na leżak pani Forbes i siedziała obok Jezusa z pudełkiem czekoladek na kolanie i zamkniętymi oczami.

– Och – jęknęła pani Forbes.

To było bardzo małe „och”, ale dowiedziałam się od mojej matki, że słowa niekoniecznie muszą być duże, żeby wywrzeć wrażenie na ludziach.

– Pomyślałam, że czas na małą zmianę – wyjaśniła pani Roper.

– Rozumiem. – Pani Forbes położyła herbatniki i scrabble. Stanęła nad leżakiem i cień zakrył całą panią Roper i większą część nóg mojego ojca.

Zapadła cisza, wszyscy patrzyliśmy i czekaliśmy.

– Najwyraźniej nie jest pani świadoma – ciągnęła pani Forbes – że to ja siedzę na leżaku obok Jezusa.

Pani Roper nie otworzyła oczu.

– Nie uzgadniano ze mną tej zasady – odparła.

Pani Forbes wymusiła z siebie ciche kasznięcie.

– Ja jestem najbardziej logicznym wyborem. Nie tylko zajmuję się kwiatami na ołtarz, ale w każdy czwartek poleruję brązy. Z nas wszystkich jestem najbliżej Boga.

Pani Roper otworzyła jedno oko.

– Trzeba czegoś więcej niż ścierki do odkurzania i butelki płynu, żeby uczynić kogoś godnym szacunku – stwierdziła i znów zamknęła oko.

Pani Forbes nabrała wielką ilość powietrza między bardzo ściągnięte wargi i wszyscy nachyliliśmy się do przodu na leżakach.

– Ze wszystkich tutaj – oznajmiła – jestem najbardziej upoważniona, żeby siedzieć obok Jezusa.

Pani Roper otworzyła oboje oczu i usiadła wyżej na leżaku.

– Myli się pani. Jeśli ktoś jest upoważniony do siadania obok Jezusa, to tym kimś jestem ja.

– Myślę, że pani wie – powiedziała pani Forbes – że ja pierwsza siedziałam obok Jezusa.

– „Kto ma dwie suknie, niech jedną da temu, który nie ma”. – May Roper skrzyżowała ramiona.

– Łukasz, rozdział 3, wiersz 11 – dodała pani Forbes i znów skrzyżowała ramiona.

Pani Dakin przecięła ulicę i rzuciła się na leżak obok mnie.

– O co się kłóć?

– Która bardziej zasługuje na Jezusa – wyjaśniłam.

Tilly usiadła i podniosła brzeg zydwestki.

– Myślałam, że Bóg ma łączyć ludzi.

– Nie „ukradłam” pani miejsca, zacznijmy od tego, że nie było pani – kontynuowała pani Roper.

– „Jak złodziej pełen jest wstydu, gdy zostanie schwytany” – odparła pani Forbes.

– Jeremiasz, rozdział 2, wiersz 26. – I niech pani nie zaczyna ze swoimi kłamstwami, Dorothy Forbes. „Dlatego odrzuciwszy kłamstwo: niech każdy z was mówi prawdę do bliźniego”.

– List do Efezjan, rozdział 4, wiersz 25.

John Creasy zaczął kołysać się w kącie.

– Nie nadążam za tymi wszystkimi liczbami – mruknął.

– Przyszedłem tutaj, żeby znaleźć trochę spokoju i ciszy – powiedział Eric Lamb. – A nie wysłuchiwać cholernej kłótni o to, która z was jest bardziej godna szacunku. – I zaczął nakładać wellingtony.

– Nie, Dorothy. Jezus Chrystus nie został ukrzyżowany po to, żebyś mogła sobie wybrać leżak. – Głos May Roper uniósł się wyżej w przestrzeń. – Ukrzyżowano go, żebyśmy wszyscy mogli, do cholery, decydować, gdzie, do cholery, chcemy siedzieć.

Doskonale się bawiłam kłótnią pani Forbes z panią Roper, kiedy zdałam sobie sprawę, że wszyscy się odwracają i patrzą. Nawet kłótnia ustała, kiedy pani Forbes postukała panią Roper w łokieć i pokazała na chodnik.

To był Walter Bishop.

Stał i patrzył na nas z krawężnika, z bochenkiem chleba w jednej ręce i dwoma pudełkami paluszków rybnych w drugiej.

– Właśnie wracałem z zakupów – oznajmił. – Słyszałem o Jezusie i pomyślałem, że może zerknę.

– Chyba nie. – Pani Roper skoczyła z leżaka i stanęła ramie w ramie z panią Forbes przed rynną. – To teren prywatny.

Walter Bishop popatrzył na garaże rady.

– Naprawdę? – zapytał.

Pan Forbes pomaszerował do małej luki między olchami a żwirem, gdzie stał Walter.

– Tu nie ma niczego do oglądania – powiedział. – Niczego, co by cię interesowało. Na twoim miejscu zjeżdżałbym do domu.

Pokazał koniec ulicy, a ja zobaczyłam, że palec lekko mu drży.

Zastanawiałam się, czy pan Bishop będzie się kłócił, a przynajmniej, czy powie, że ma takie samo prawo do oglądania jak każdy inny, ale nie zrobił tego. Po prostu skinął głową do pana Forbesa, odwrócił się i zaczął iść.

Pani Roper rozpostarła ramiona i zasłoniła rynnę.

– Pamiętaj, Jezus nie jest tutaj dla każdego! – krzyknęła.

Kiedy pan Bishop odszedł, Eric Lamb zwrócił się do mnie i Tilly i uśmiechnął się.

– Nie zwracajcie na to uwagi. Dorośli czasem mówią dziwne rzeczy.

Tilly westchnęła. Wiedziałam, że zbliża się pytanie, bo ile razy Tilly chciała zadać pytanie, tyle razy musiała najpierw głęboko westchnąć, żeby je przygotować.

– Mogę zadać pytanie? – odezwała się.

Eric Lamb powiedział, że tak, i wszyscy czekaliśmy.

– Pan wie, co mówiła pani Roper, dlaczego Jezus został ukrzyżowany?

Patrzyliśmy, jak Walter Bishop idzie w słońcu chodnikiem.

– Tilly, nie ukrzyżowano go za leżaki – szepnęłam.

– Wiem. – Znów westchnęła. – Ale dlaczego naprawdę został ukrzyżowany, proszę pana? Dlaczego musieli Go zabić?

Walter Bishop zatrzymał się przy murku pani Forbes i popatrzył na drugą stronę ulicy.

– To skomplikowane – odparł Eric Lamb. – To dlatego, że miał inne przekonania, inny pogląd na życie. W tamtych czasach ludzie byli bardzo okrutni wobec każdego, kto nie myślał w ten sam sposób co oni.

Słyszałam, jak buty Waltera Bishopa wgrzyzają się w żwir na jego podjeździe.

– Był człowiekiem z zewnątrz, Tilly. – Eric Lamb popatrzył na nas obie. – Do niczego nie należał. To dlatego Go ukrzyżowali.

– Więc naprawdę, jeśli tak było, to Jezus też był kozłem, prawda?

– Myślę, że był – przyznał Eric Lamb.

– No tak – stwierdziła Tilly. – Był chyba największym z wszystkich kozłów.

Patrzyliśmy na ulicę, jak Walter Bishop znika pod numerem jedenastym.

– Może masz rację – powiedział Eric Lamb. – Pewnie rzeczywiście był.

Wszyscy uspokoiłiśmy się po podnieceniu wywołanym przez Walera Bishopa i kłótnię. Tilly znowu wygładziła sukienkę, a pani Morton poprawiła jej włosy. Namówiono Erica Lamba,

żeby zdjął wellingtony, a pani Forbes wynegocjowała chyba swój leżak, chociaż co pół godziny pani Roper przechadzała się przed Jezusem i wchodziła wszystkim w drogę.

Już myślałam, żeby trochę się zdrzemnąć, kiedy po żwirku przeszła Lisa Dakin w swoich klapkach.

– Wreszcie – mruknęła pani Dakin. – W końcu postanowiłaś przyjść i zobaczyć Jezusa. Czyżby ciekawość wzięła górę?

Lisa Dakin okrążyła matkę jak osa.

– Nie przyszłam oglądać Jezusa – stwierdziła, spoglądając na rynnę. – Przyszłam, bo chcę ci powiedzieć, że skończyło nam się mleko.

Pani Dakin próbowała znaleźć portmonetkę, która leżała na trawie, dokładnie między jej stopami, ale nie była w stanie jej zobaczyć i musiałam ją jej podać.

– Skoro tutaj jesteś, Liso, to przynajmniej podejdź i zobacz.

Przyglądałam się, jak Lisa Dakin idzie po trawie. Stała przed rynną z rękami na biodrach, cmokała, kopła żwirek klapkami.

– To po prostu do mnie nie trafia – uznała. – Dlaczego tak was interesuje plama na ścianie garażu?

Tilly spojrzała na mnie i czubkiem palca narysowała wzór na trawie.

Udawałam, że tego nie zauważyłam.

Lisa kopnęła jeszcze parę żwirków.

– No bo kogo miałyby to obchodzić?

Wstałam i podeszłam do rynny.

– Jak trochę się odsuniesz i zmrużysz oczy, to Go zobaczysz.

– Nie chcę Go zobaczyć. – Wymawiała te słowa, jakby należały do kogoś innego. – Grace, to tylko cholerna plama kreozotu. To żart.

– Cóż – powiedziałam – to chyba tylko plama kreozotu. – Słowa zamierały mi w ustach, bo nie były pewne, czy chcą być prawdziwe.

– Więc tutaj Jezus objaja się w dzisiejszych czasach?

Głos był donośny i nieznajomy, rozciągał samogłoski, jakby chciał być Amerykaninem, ale nie był pewien, jak to się robi. Wszyscy odwróciliśmy się i zobaczyliśmy małego człowieka w wielkim garniturze. Zwisał w fałdach wokół jego ciała, a na obrębkach, tam gdzie szwy się rozpruły, widniały zakurzone plamy. Na szyi wisiał mu wielki aparat na grubym rzemieniu. Ciężar aparatu ciągnął go za szyję w dół, przez co wyglądał na trochę skrepowanego.

– Andy Kilner, lokalna gazeta. – Powiedział wszystko naraz, jakby to było całe nazwisko. Ukłonił się każdemu i nikomu zarazem, a potem uśmiechnął się do mnie i do Lisy Dakin. – A wy musicie być tymi dwiema dziewczynkami, które Go znalazły. Genialne. Zostańcie tam, gdzie stoicie, zrobię teraz kilka zdjęć, jeśli nie macie nic przeciwko temu? Fantastyczne, wspaniałe, genialne.

Zobaczyłam Tilly. Przestała robić wzorki i patrzyła mi prosto w oczy. Pani Morton usiadła prosto i zaczęła coś mówić, ale jej

głos zmienił się w ściągnięcie brwi i tylko patrzyła gniewnym wzrokiem.

Kiedy znowu spojrzałam na Tilly, była blada i samotna i chociaż byliśmy od siebie tylko o kilka metrów, wydawało się, że jest bardzo daleko.

Próbowałam zbliżyć się do niej, mieć ją przy sobie, ale rozplynęła się w uśmiechu Lisy Dakin.

Razem z Lisą Dakin przyjmowałyśmy różne pozy wokół Jezusa, prowadzone przez Andy'ego Kilnera i smycz z „fantastyczne, wspaniałe, genialne”.

Tilly przez cały czas patrzyła z trawy.

– Wspaniałe znalezisko – powiedział Andy Kilner.

– Tak. – Lisa Dakin robiła szybkie ruchy, pozując na piosenkarkę, i przyciskała do ust zwilżacz do warg. – Wspaniałe znalezisko.

Uśmiech Lisy Dakin włączał się i wyłączał wraz z pstrykaniem aparatu. Położyła rękę na biodrze i złączyła kolana. Dostała mnóstwo „fantastycznego, wspaniałego, genialnego”.

A ja tylko patrzyłam przez trawę na Tilly.

Później tylko raz zobaczyłam zdjęcia. Moja matka zawsze wycinała ważne kawałki z lokalnej gazety – czubek mojej głowy na platformie podczas karnawału i pół mojej twarzy na przyjęciu z okazji jubileuszu w następnym roku. Wycięła nawet

mojego ojca, kiedy policja zatrzymała go za przekroczenie ograniczenia szybkości. Ale nie zachowała żadnego zdjęcia przy rynnice. Zobaczyłam je w oknie redakcji lokalnej gazety kilka tygodni później. Lisa Dakin z włączonym uśmiechem, Jezus, który z rozczarowaną miną siedział między nami, i ja patrząca w dal, szukająca Tilly. Straciłam ją.

Gazeta cytowała Erica Lamba i panią Forbes i źle zapisała nazwiska obojga. „»Wspaniale znalezisko« powiedziała Lisa Dakin (15), która znalazła Jezusa razem ze swoją przyjaciółką Grace Bennett (10)”. „Wybrakowana rura” – brzmiał tytuł.

Zanim Andy Kilner skończył robić zdjęcia, Tilly zniknęła. Przeszukiwałam twarze w tłumie, ale jej nie znalazłam, więc popatrzyłam na panią Morton.

Odpowiedziała mi spojrzeniem, ale czegoś brakowało w jej oczach.

Ulica
numer 10

6 sierpnia 1976

Harold i Clive stali na końcu ulicy.

Eric Lamb widział ich kątem oka, ale popełnił błąd, myślał, że jeśli nie spojrzą mu w oczy, nie będzie musiał się zatrzymać, żeby porozmawiać.

– Eric, o wilku mowa!

Przy Haroldzie życie nie było łatwe.

– Śliska sprawa, co? – Harold skinął głową w stronę drugiego końca ulicy.

Eric nie wiedział, czy Harold ma na myśli Jezusa, Waltera Bishopa, czy scenę Dorothy w sprawie leżaka, więc uśmiechnął się ogólnie, na znak zgody we wszystkich trzech sprawach.

– Nie wiadomo, co z tym zrobić, prawda, Clive? – powiedział Harold.

Clive nie odpowiedział, ale wydał dźwięk, który mógł oznaczać nie, ale równie dobrze być początkiem chrząknięcia.

– Ta nowa rodzina jest w porządku? – zapytał Harold.

Eric odparł, że tak.

– Nie wygląda na to, żeby pogoda miała się załamać.

Eric odparł, że nie.

– Niezgorza dla ogródków, jak na to popatrzeć.

Eric przyznał, że niegorsza i że jest już prawie pora na herbatę, więc jeśli Harold i Clive pozwolą, to on już...

– Rzecz w tym... – Harold zbliżył się o krok i ściszył głos o ton.
– Dorothy i te słowa o zdjęciu. O co jej właściwie chodziło?

Harold i Clive patrzyli Ericowi prosto w oczy. Nie sądził, żeby mógł sobie pozwolić na najmniejsze choćby kłamstewko wobec nich.

– Chyba lepiej będzie, jak zapytasz Dorothy, nie mnie – powiedział. – To naprawdę nie moja sprawa.

Próbował odejść, ale Harold trzymał go wzrokiem. Mimo pochylonych pleców, mimo przyprószonych siwizną włosów starca wyglądających przez otwór w koszuli był uparty i bystry jak nastolatek.

– Znalazła aparat, tak? – spytał.

Eric nie powiedział nic. To była odpowiedź sama w sobie.

– Jezu Chryste. – Clive oparł się o murek.

Harold podniósł rękę.

– Clive, nie ma powodu do paniki. Nie zrobiliśmy niczego złego.

Eric uniósł brwi.

– Ericu, nie zrobiliśmy. To było dla dobra ogólnego. Mieliśmy wszelkie prawo, żeby to zabrać. – Harold spojrział na Clive'a. – Bóg jeden wie, co on miał na kliszy.

– Kosa na butelce mleka? – Eric słyszał, że mówi głośniej, ale nie mógł się powstrzymać. – Beatrice Morton zawiązującą sznurowadła?

– Dorothy nie podejrzewa, że mieliśmy coś wspólnego z pożarem? – zapytał Clive. – Zabraliśmy aparat na wiele godzin, zanim się zaczął.

– Nie wiem, co myślisz, ale nie jest taka głupia, jak ci się wydaje, Haroldzie.

– Pewnie sądzi, że uratowaliśmy go przed szabrownikami – powiedział Harold.

– Przed szabrownikami? – Eric przejechał palcami przez włosy. – Chodzi ci o ludzi, którzy włamują się do pustych domów i kradną cudzą własność?

Clive ruszył ulicą zdecydowanym, różnym krokiem. Odchodził od winy i oskarżenia.

– Musisz zrozumieć – Harold odwrócił się, już nie patrzył na Clive'a – że nie wiedzieliśmy, co tam jest. Musieliśmy się upewnić, a Bishop był na wakacjach. To wyglądało na doskonałą okazję.

– Haroldzie, nie wolno zabierać cudzej własności, bo tak ci się podoba.

– I tak aparat spłonąłby w pożarze – powiedział Harold. – Gdybyśmy wiedzieli, oszczędzilibyśmy sobie fatygi i zostawili go tam, gdzie był.

Eric nie odpowiedział.

– Ericu, nie mogliśmy ryzykować. – Nagle Harold zrobił się bardzo stary i bardzo zmęczony. – Gdyby ludzie się dowiedzieli – głos zniżył mu się do szeptu – nie przeżyłbym wstydu.

Eric zamknął za sobą drzwi i opuścił haczyk. Podszedł do okna w kuchni i szybkim ruchem zasunął zasłony. Ściągnął je tak mocno, że nawet promyk słońca nie mógł się przedostać.

Gdyby był pijakiem, napiłby się. Teraz patrzył tylko na krzesło Elsie, gładkie, niewyściełane i próbował sobie wyobrazić, co by powiedziała, gdyby tu była.

Ale krzesło nie odpowiadało.

Dziwne, że przeszłość tak często włamuje się w terażniejszość, jak intruz, niebezpieczny i niepożądany. Ale kiedy się ją zaprasza, kiedy jej obecność jest pożądana, to przeszłość się rozplywa – człowiek się zastanawia, czy naprawdę istniała.

To wszystko zaczęło się od przeszłości. To wszystko zaczęło się od Waltera Bishopa porywającego niemowlę, a to, co zdarzyło się później, rozwijało się od tej pierwszej chwili. Nawet teraz pamięć tamtej chwili krążyła po ulicy. Choćby nawet bardzo chcieli jej uniknąć, choćby chcieli postawić jej na drodze inne wspomnienia, nadal tutaj była. Wciskała się w terażniejszość, cieniowała i kolorowała wszystko, co zdarzało się potem, aż terażniejszość była tak zakłócana przez przeszłość, że nikt już nie wiedział, gdzie jedna się kończyła, a druga zaczynała.

Eric usiadł na krześle i zaczął obgryzać paznokcie. Nie obgryzał paznokci, odkąd był chłopcem. Pomyślał, że przeszłość pewnie też była pokryta cieniem. Pewnie działało to w obie strony. Wszyscy byli tacy pewni tego, co się stało, ale może terażniejszość wciskała się w nasze wspomnienia i też je

zakłócała, i może przeszłość nie była taka oczywista, jak byśmy chcieli.

7 listopada 1967

Żeby dojechać do szpitala, trzeba było trzy razy przesiadać się z autobusu do autobusu. Żaden z odcinków nie był na tyle długi, żeby poczuć się wygodnie. Krótka, z zakrętami, pełno światła, rond i ostrych skrętów. Eric Lamb siedzi z walizką na kolanach, kołysze się w obie strony, stara się nie wpaść na osobę siedzącą obok, nie upaść w przejście między siedzeniami, nie podłożyć komuś nogi. Kiedy dociera do szpitala, jest już zmęczony samymi próbami nieprzeszkadzania innym.

Pasażerowie wsiadają i wysiadają, patrzy w okna życia przechodzących: pary owijają się wokół siebie, coś szepczą, matki walczą z wózkami i torbami na zakupy, młody człowiek z książką. Kiedy zbliżają się do szpitala, pojawiają się uniformy, szarość portierów, błękit pielęgniarek. Buty. Otarte kostki. Wyciągnięte szyje. Uniformy ukryte pod skafandrami i płaszczami, schowane pod swetrami, ale od czasu do czasu wychodzą na wierzch, jakby ci, którzy je noszą, nie mogli uwolnić się od tego, kim są, choćby nałożyli na siebie całe warstwy innego życia.

Jedzie odwiedzić Elsie. Odwiedza ją codziennie po południu i wieczorem, a między wizytami wraca do domu, żeby patrzeć na podłogę i ściany, i na puste krzesło, na którym zawsze siedziała.

Im bardziej na nie patrzy, tym bardziej jej nie ma, jakby znalazł sam środek jej braku i pozwolił mu przejść cały dom.

„Badania”, mówią. „Musimy tylko przeprowadzić kilka badań. Musimy sprawdzić, dlaczego pani jest zmęczona, blada i chuda”.

– Starzeję się – odpowiada i śmieje się, ale lekarz nie śmieje się razem z nią. Uśmiecha się tylko bardzo dyskretnie i coś zapisuje, a odgłos pióra drapiącego po kartkach papieru wypełnia całą salę. Tydzień później szpital ją wezwał, spakowała najlepszą koszulę nocną, kapcie i książkę, którą czytała, a także saszetkę lawendy, czego Eric nie rozumiał, bo zawsze przez to kichał.

– Bo to pomoże mi się odprężyć – stwierdziła.

Próbował wyciągnąć od niej, dlaczego musi się odprężyć, ale pokręciła głową, ucisnęła mu dłoń i powiedziała, że chodzi o dziwne łóżko, inne jedzenie i wysiadywanie całymi dniami w oczekiwaniu na pojawienie się lekarza.

– Uspokój się. Nie martw się tak bardzo, Ericu.

Więc bardzo próbował nie wyglądać na zmartwionego, a wysiłek, który w to wkładał, martwił go jeszcze bardziej.

Dzisiaj próbował nie wyglądać na zmartwionego, kiedy szedł długim, szarym korytarzem. Korytarz zawsze był zatłoczony krewnymi, którzy czekali, aż otworzą się drzwi, a on szedł powoli obok położnictwa, pediatrii, ortopedii, obok ciężkich drzwi wahadłowych prowadzących do sal operacyjnych i wyciszonej doniosłości oddziału kardiologicznego. To było, jakby rozciągała się przed nim ścieżka życia, a w oddali widział

sale onkologiczne i oddział opieki paliatywnej. Na końcu korytarza były najdłuższe ogonki – ludzkie supły czekające, aż wybije druga, liczące każdą sekundę.

Sala Elsie była w dwóch trzecich drogi. „Sala 11, chirurgia kobieca”, było napisane na niebieskich drzwiach.

– Nie każdy na oddziale chirurgicznym musi przechodzić operację. – Pielęgniarka, która przyjmowała Elsie, zobaczyła ich miny. – Nie trzeba się niepokoić.

Trzeba było się niepokoić, i to bardzo, ale Eric miał coraz więcej doświadczenia w usuwaniu niepokoju z twarzy.

Dzisiaj Elsie wyglądała na bardzo małą. Szpital, sala i łóżko jakby ją pochłaniały, trzymała się pościeli, jakby bała się, że sztywna, biała poduszka może ją całkiem pochłonąć. Rozmawiali o książce, którą czytała, i o tym, co się dzieje w ogródku i kiedy zmieni się pogoda – bardzo proste, zwyczajne rozmowy, rozmowy, które mogli prowadzić bez zastanowienia przy śniadaniu, ale przy szpitalnym łóżku brzmiały fałszywie. Lekarze mieli już obchód, powiedziała, było ich mnóstwo. Wyglądają jak piekarze. Może zaproponowaliby jej chleb z foremki i parę kawałków keksu, roześmiała się. Nie, nie zapytała o wyniki badań. Byli zajęci. Nie chciała im przeszkadzać. Jutro zapyta. Eric patrzył na swoje ręce. Czy właściwie się odżywia, zapytała. Nie tylko zupą pomidorową? I znów wpłynęli na płytkie wody sztucznych słów.

Po drodze do domu kołysze się, próbuje wydobyć otuchę ze swoich myśli. Za oknami przelatują akwafortowe ulice, brak czegoś wyrazistego, żeby się od tamtego oderwać. Miejsca wokół niego zwalniają się i zapełniają, ale on widzi tylko zarysy, kształty poruszające się na skrajach jego niepokoju, wszystkie szczegóły gdzieś zniknęły. Dopiero kiedy autobus skręca do osiedla, jego oczy znajdują wzór w dachach, a hamulce z sykiem wypluwają z siebie znajomą melodię, odrywa się od Elsie, od jej skóry zwisającej z kości i od obrączki ślubnej obracającej się na palcu.

Idzie powoli, oblicza czas na chodniku. Cztery godziny i pojedzie z powrotem, cztery godziny patrzenia, myślenia i prób znalezienia mapy, na której mógłby naszkicować podróż swojego życia. Z początku nie zauważa Sylvii. Jakby pojawiła się przed nim znikąd, biała z niepokoju, z drżącymi wargami, chociaż nie wypowiada ani słowa. Od dwudziestu pięciu lat nie widział takiego strachu. Od telegramów „z głębokim żalem zawiadamiamy pana”.

Eric stawia walizczkę na chodniku i kładzie jej ręce na ramionach. Ledwie się rusza, tak wbił się w nią strach. Bardzo powoli pyta ją, co złego się stało, powtarza to w kółko, wreszcie ona patrzy mu w oczy. Z początku szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszy, musi się nachylić, żeby zrozumieć. Potem słowa robią się głośniejsze, bardziej zrozpaczone. Krzyczy na całą ulicę, powtarza je, aż Eric zaczyna się zastanawiać, czy na świecie jest jeszcze ktoś, kto by ich nie usłyszał.

– Grace zniknęła. – Sylvia zakrywa uszy rękami, jakby nie była w stanie znieść wypowiedzianych głośno słów.

Ulica
numer 4

7 sierpnia 1976

Następnego dnia Tilly nie pojawiła się przy rynnie.

Zazwyczaj była tu przed dziesiątą, ale nawet kiedy pan Creasy czekał na autobus za pięć jedenasta, nawet kiedy odszedł ulicą z rękami głęboko w kieszeniach, nadal się nie pojawiła. Była tylko pani Forbes wykrzykująca na głos hasła z krzyżówki i Sheila Dakin, która opalała się i udawała, że nie słyszy.

Postanowiłam pójść do domu. Jezus nie dawał mi przyjemności bez Tilly.

Moja matka siedziała w kuchni, przyszywała guziki do koszuli mojego ojca. Popatrzyła na mnie, kiedy weszłam.

– Ktoś dzwonił? – zapytałam.

Pokręciła głową i wróciła do koszuli.

Moja matka była bardzo cicha, odkąd Andy Kilner zrobił zdjęcia. Kiedy Tilly odeszła bez pożegnania, myślałam, że matka obdarzy mnie jednym ze swoich dentystycznych uśmiechów albo powie, że Tilly śmiesznie się zachowała, ale nie zrobiła tego. Od czasu do czasu tylko spoglądała na mnie bez słowa, a potem wróciła do swoich spraw. Normalnie dałabym sobie spokój. Normalnie poszłabym do pani Morton, ale pani Morton

powiedziała, że tego dnia będzie bardzo zajęta i nie będzie miała czasu, żeby ze mną siedzieć albo zrobić dla mnie coś na deser. Powiedziała, że powinnam zostać w domu i dobrze przemyśleć różne rzeczy.

Poszłam na górę, do swojego pokoju, i próbowałam znaleźć coś, żeby wyglądać na bardzo zajęta, kiedy Tilly wreszcie postanowi zajrzeć, choć na nic nie mogłam się zdecydować. Nasłuchiwałam jej sandałków, ale słyszałam tylko spaloną, odmierzoną ciszę. Nawet ptaki nie śpiewały, było za gorąco.

O trzeciej zadzwonił telefon. Siedziałam na łóżku, przestawiałam figurki, a potem znów ustawiałam je tak, jak stały wcześniej. Nasz telefon rzadko dzwoni, więc jak już dzwoni, zawsze czuję się zobowiązana, żeby pójść na półpiętro i zająć się słuchaniem.

– Jeśli to Tilly, powiedz jej, że jestem bardzo zajęta! – krzyknęłam przez balustradę i usiadłam.

Znowu wstałam.

– No, nie tak bardzo, żeby z nią nie porozmawiać. Po prostu bardzo zajęta – dodałam.

Słyszałam, jak moja matka oczekuje kilka sygnałów. próbowałam usłyszeć, co mówi, ale ledwie zaczęła się rozmowa, odwróciła twarz do ściany i zaczęła mówić za cicho, żebym mogła ją usłyszeć. Kiedy skończyła rozmowę, odłożyła bardzo powoli słuchawkę i poszła do salonu, gdzie mój ojciec zajmował się papierkową robotą, i zamknęła za sobą drzwi.

Wydało mi się, że już bardzo długo siedzę na półpiętrze. Bolały mnie plecy, zaczęłam mieć mrowienie w nogach, ale nie

mogłam przestać patrzeć na drzwi salonu i mieć nadzieję, że się otworzą.

Dopiero kiedy się otworzyły, zdałam sobie sprawę, że właściwie to nie chciałam, żeby się otwierały.

Moja matka krzyknęła do góry.

– Grace, zejź na dół na chwilę. Musimy z tobą porozmawiać.

Nie odpowiedziałam.

Po chwili jej twarz pojawiła się u dołu schodów.

– Wiesz, naprawdę jestem bardzo zajęta. – Wypowiedziałam te słowa szeptem.

– To ważne. Obdarzyła mnie jednym z tych swoich uśmiechów.

Kiedy wstałam, nogi miałam jak z gumy, nie wiedziałam nawet, czy dojdę na nich do przedpokoju.

Usiadłam na krześle przy kominku.

Moi rodzice siedzieli naprzeciwko, na kanapie, a mój ojciec objął moją matkę ramieniem. Byli bladzi i dziwni, jakby w każdej chwili mogli się załamać.

– Musimy z tobą porozmawiać – powiedział ojciec.

Próbowałam wstać.

– Właściwie – przerwałam mu – powinnam pójść do pani Morton, więc będziecie musieli później ze mną porozmawiać. Albo może jutro.

Ojciec pochylił się do przodu i zmusił mnie, żebym znowu usiadła.

– Grace, musisz tego posłuchać. Jest coś, co musimy ci powiedzieć.

Moja matka zaczęła płakać.

A kiedy popatrzyłam na swoje ręce, zobaczyłam, że zaczęły się trząść.

7 listopada 1967

Krzyki Sylvii Bennett wyciągają ludzi z domów.

Pierwsza pojawia się Sheila Dakin. Wyciera ręce w ścierkę do naczyń, ściąga brwi, jest zła. Pyta, o co chodzi z tymi krzykami. Jej kapcie klapią o dróżkę w ogrodzie.

– Chodzi o Grace. – Eric trzyma Sylwię za ramiona. Boi się, że jak ją puści, to Sylvia wymknie mu się z rąk. – Ona mówi, że Grace zniknęła.

Sheila pędzi przez furtkę na ulicę. Ścierka do naczyń upada na chodnik.

– Zniknęła?

Sylvia mocniej ściska głowę rękami.

– Ludzie nie znikają tak, po prostu. – Sheila odsuwa Erica i łapie Sylwię za nadgarstki, odciąga jej dłonie od uszu. – Posłuchaj mnie.

Eric pozwala Sheili przejąć prowadzenie. Nigdy nie szło mu dobrze z nerwami. On jest zawsze tym, który nastawia czajnik, telefonuje, wydaje polecenia. Nie to, żeby nie był troskliwy, tyle że nie daje rady i sam też się denerwuje, i wszyscy inni też denerwują się jeszcze bardziej.

Sylvia zaczyna jęczeć, potykać się, jakby cały ten strach ją zmęczył.

– Posłuchaj mnie – mówi znowu Sheila i Sylvia cichnie, patrzy na nią jak dziecko.

Sheila zasypuje ją pytaniami, jedno pytanie przechodzi w drugie. Przerywa, żeby Sylvia coś powiedziała, ale tylko na trochę, i znów pada pytanie. Kiedy Sylvia odpowiada, chwiejne słowa szarpią się i potykają, strach odbiera zdaniom formę.

Grace była w kuchni, mówi Sylvia, w wózku. Wychodziły. Sylvia poszła na górę, zmienić buty, a kiedy wróciła, Grace i wózka nie było.

– Jak długo byłaś na górze? – pyta Sheila. Sylvia wpatruje się w chodnik, a Sheila skłania głowę, żeby schwytać spojrzenie Sylvii. – Jak długo?

– Niedługo – odpowiada Sylvia. – Nie tak długo.

Eric znów kładzie rękę na ramieniu Sylvii.

– Tak, ale jak długo, kochana? To może być ważne.

Palce Sylvii przeczesują jej włosy. Od tego jej oczy robią się jakby większe, nawet bielsze.

– Siedziałam na łóżku. Chyba zasnęłam – mówi. – Nie na długo. Tylko na minutę. Bo ja wiem.

Eric patrzy na Sheilę. Ich oczy spotykają się tylko na chwilę, ale Sylvia to widzi.

– To nie moja wina! – Teraz znowu krzyczy. – Nikt nie rozumie, jak to jest. Nikt.

Więcej ludzi wychodzi na ulicę. May Roper staje na skraju ogródka, słucha, oczy ma wielkie jak talerze, z ciekawości.

Pojada, ale z każdym zdaniem żuje wolniej, jakby musiała utrzymać w bezruchu całą twarz, żeby odpowiednio się skupić. Przy jej lewym ramieniu pojawia się Brian, ale ona wyciąga rękę, żeby nie zasłaniał jej widoku.

– Sprawdziłaś w całym domu? – pyta Sheila. – W każdym pokoju?

Sylvia kiwa głową. Teraz płacze, oczyszcza się głębokimi, dręczącymi jęknięciami, które rozchodzą się echem po całym ciele.

Sheila rozgląda się i widzi May.

– Jeszcze raz sprawdź dom – mówi. – Tak dla pewności.

May przyciska dłoń do piersi.

– Ja? – pyta bezgłośnie.

– Zrób to, May. Pośpiesz się.

May truchta przez jezdnię jak przerośnięty owad. Zebrał się już tłum. Harold i Dorothy Forbesowie, John Creasy, Cienki Brian. Stoją w kręgu wokół Sylvii, wstrzymują histerię, zamykają w określonej przestrzeni, jakby to było dzikie zwierzę, które należy złapać.

– Powiedz nam, co się stało dziś rano – mówi Sheila. – Ale wszystko. Widziałaś kogoś? Rozmawiałaś z kimś innym niż zwykle?

Eric słucha, jak Sylvia przebiega przez swój dzień. To jest bardzo zwyczajny dzień. Dziwne, jak często najgorszy dzień w życiu zaczyna się zwyczajnie, jak każdy inny. Można nawet cichutko ponarzekać, że jest taki zwyczajny. Chciałoby się, żeby działo się coś bardziej interesującego, coś, co łamałoby

kręgosłup rutynie, i kiedy już człowiek myśli, że dłużej nie zniesie się monotonii, coś się zdarza, coś, co tak wstrząsa życiem, że każdą komórką ciała chciałoby się, żeby dzień nie był taki nadzwyczajny.

– Dziś rano przespacerowałyśmy się do sklepu na rogu po mleko. – Sylvia trzyma głowę w dłoniach, jakby ciężar myślenia był za duży.

– Czy w sklepie ktoś był? Ktoś, kogo nie znasz? – pyta Sheila. – Czy ktoś za tobą szedł?

– Nikogo nie widziałyśmy. Nikogo poza listonoszem. Wyszłyśmy ze sklepu, potem Lime Crescent i ulicą. Było ciepło. Mówiłam do Grace, że wcale nie potrzebuje swetra. – Sylvia przestaje mówić i spogląda na Sheilę.

– Co? Co zapamiętałaś?

– Widziałyśmy jeszcze kogoś – mówi Sylvia. – Po drodze do domu ktoś zatrzymał się, żeby z nami porozmawiać.

– Kto to był? – pyta Eric. – Ktoś, kogo znasz?

Sylvia patrzy po kolei na wszystkie otaczające ją twarze, wreszcie odpowiada. Słowa są ciche jak bibułka, niewiele głośniejsze niż oddech.

– To był Walter Bishop – mówi. – Rozmawiałyśmy z Walterem Bishopem.

Wszyscy patrzą na numer jedenasty, przez krótką chwilę nikt nie spuszcza domu z oczu, potem zwracają się do Sylwii.

– Co ci powiedział? – pyta Sheila.

– Powiedział... – Znow zaczyna się szloch i Sylvia musi dopasować słowa do nierównego oddechu. – Powiedział, że

Grace jest taka śliczna. Powiedział, że uwielbia dzieci.

Brian znów patrzy na do numer jedenasty.

– Cóż – stwierdza – oto masz odpowiedź.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. – Eric uważa, że powinien spróbować załagodzić sprawę. Teraz ludzi jest więcej, nie mieszkają na ulicy, ale przyplłynęli w stronę awantury jak dryfujące drewno. John Creasy organizuje ich w grupy, żeby przeszukali osiedle. Zawiadomiono policję. Ktoś poszedł do budki telefonicznej, żeby zadzwonić do Dereka.

– Można dojść tylko do jednego wniosku. – Brian patrzy na dom Waltera. – Powinniśmy tam pójść. Stanąc z nim oko w oko.

– Nie można tak sobie wleźć i oskarżyć go, że zabrał dziecko. – Teraz mówi Sheila. Stoi plecami do Sylvii, próbuje uchronić ją przed tym.

– Wkrótce przyjedzie policja, niech się tym zajmą – dodaje Eric.

Brian wbił ręce w kieszenie.

– Wiecie co, on siedzi w tym parku cały dzień. Tam, na podium dla orkiestry. Gapi się na dzieci. To cholerny zboczeniec.

– Brian ma rację, to zboczeniec. Widziałam go. – Dorothy Forbes podniosła ścierkę do naczyń Sheili i mówiąc, składa ją i rozkłada. – Zawsze jest na tym podium. Tylko tam siedzi i patrzy na dzieciaki.

Wślizguje się niepokój. Eric to czuje. Niepokój wije się wokół grupy, podnosi głosy, rozpala oczy. Eric próbuje im wytłumaczyć, żeby się uspokoiłi, przemyśleli sprawę, ale Harold bębni w tłum, wyłapuje panikę i rozdziela ją.

– No cóż, ja tam idę – mówi. – Reszta zostaje na zewnątrz, próbuje pomóc. Gdzie jest Bishop? Gdzie on jest?

Harold rusza w stronę numeru jedenaście. Brian depcze mu po piętach. Eric krzyczy, żeby ich zatrzymać, ale wie, że to nic nie da. Tłum przemieszcza się po ulicy, rusza wraz z opowiadaniem, nie chce przepuścić rozdziału. Eric idzie z tyłu. Tylko tyle może zrobić.

Dom Waltera Bishopa ma drzwi frontowe, które wyglądają, jakby ich nikt nie otwierał przez ostatnie dziesięć lat. Powłoka farby łuszczy się na ramie, a kurz zamienił czerń w cichą, zmartwiałą szarość.

Harold wali w drewno nasadą dłoni.

Nic.

Wali znowu. Krzyczy. Próbuje zagrzechotać klamką od skrzynki na listy, ale rdza przeżarła zawiasy.

Znowu krzyczy.

Przez okienko w drzwiach, za szkłem w bąbelki, Eric widzi cień ruchu, krótką zmianę światła. Łańcuch trzęsie się i ześlizguje i drzwi uchylają się na kilka centymetrów. W sam raz, żeby zobaczyć bladą, porośniętą zarostem twarz, błysk okularów.

– Tak? – Głos Waltera Bishopa jest cichy i rozmazany. Słysząc w nim lekkie seplenienie, które rozciąga słowa w szept.

– Zaginęło dziecko. Grace Bennett. – W porównaniu z tamtymi słowa Harolda są jak igły. – Wiedziałeś?

Walter kręci głową. Eric widzi skraj ubrania Waltera. Też jest szare. Walter wygląda na wypranego i spłowiałego, jakby zaniechał prób wywarcia wrażenia na ludziach.

– Dziś rano rozmawiałeś z jej matką na ulicy obok Lime Crescent – mówi Harold.

– Rozmawiałem?

– Rozmawiałeś. Mówiłeś, że bardzo lubisz dzieci. – Harold trzyma nerwy na wodzy, ale wrywają się w każdej sylabie.

Walter przesuwa się za łańcuchem i Eric widzi, że luka zmniejsza się minimalnie.

– Rozmawiałem z uprzejmości – mówi.

– Z uprzejmości?

– Ludzie tak robią, prawda? – Na czole Waltera widać lśnienie potu. – Witają się, chwalą czyjeś dzieci.

– Ale parę godzin później to dziecko nie znika.

Eric czuje ciężar ludzi za sobą. Czuje, że cisną się i podniecają. Z tyłu słychać kilka głosów, na razie niskich i dudniących, ale Eric wie, że wystarczy, by jeden z nich podniósł się i cała grupa zahuczy.

– Masz jakieś pojęcie, gdzie może być Grace? – pyta Harold, powoli, z namysłem.

– Naprawdę nie wiem.

Walter próbuje zamknąć drzwi, ale stopa Harolda jest szybsza.

– Rzecz w tym, że wszyscy zaczęli jej szukać. Dołączysz do nas?

– Nie wiedziałbym, gdzie zacząć. – W głosie Waltera pojawia się drżenie. – Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Więc może pozwolisz, że rozejrzemy się po domu?

Stopa Harolda blokuje drzwi, Eric widzi nieco lepiej twarz Waltera. Jego skóra jest trochę za biała, włosy za długie. Niepokój zbiera się w kropelkach wokół okularów, Eric szuka za soczewkami ułamka zmartwienia. Niczego nie znajduje. Tylko niepokój, warstwę samoobrony.

– To prywatna własność – mówi Walter. – Muszę was poprosić, żebyście sobie poszli.

– Nie odejdziemy, póki nie znajdziemy Grace. Lepiej otwórz te drzwi i daj nam zrobić swoje.

Eric słyszy, jak buty szurają i ciągną się po dróźce. Głosy rozbudowują się, nawzajem czerpią z siebie siłę. Czuje, jak czyjś łokieć wbija mu się w plecy, popycha go do przodu.

Oddech Waltera jest płytki, gwałtowny.

– Nalegam, żebyście poszli.

Cienki Brian stoi obok Erica. Jest w nim młodzieńcza wściekłość, Eric ją wyczuwa, taki rodzaj wściekłości, która tli się, iskrzy i szuka miejsca, żeby się wyładować. Pamięta, jak sam doznawał takiej wściekłości, z czasem jak papierem ściernym starł ją do rozmiarów, które mógł okiełznać.

Tłum już ma wybuchnąć. Słyszy to w głosach, w nacisku ciała za nim. Patrzy na drzwi.

Walter Bishop nie ma szans.

Już wie, że do tego dojdzie, już przygotowuje się na uderzenie, kiedy słyszy krzyk z tyłu tłumu.

– Policja! – wołają.

I jakby rozluźnił się węzeł. Tłum rozchodzi się, ludzie odchodzą ulicą, chodnikami, jezdnią.

Harold Forbes odwraca się, a kiedy to robi, Walter Bishop zatrzaskuje drzwi.

– Było blisko – mówi Eric Lamb. – Zacząłem się martwić.

– Martwić? On porwał małe dziecko, Ericu. Zabrał, cholera, dziecko. – Harold znów obejrzał się na drzwi.

– Przynajmniej policja przyjechała, zanim zrobiło się paskudnie.

Harold, odchodząc, ogląda się.

– Tym razem – mruczy.

Ulica
numer 4

13 sierpnia 1976

Chcę jechać do szpitala.

Powiedziałam to matce i ojcu, powiedziałam to pani Morton i mówiłam to w ciemności każdej nocy, kiedy leżałam w łóżku, próbując zasnąć.

Nikt nie udzielił mi odpowiedzi. Tylko uśmiechali się albo ściskali mnie, jakbym nie wypowiedziała prawdziwego zdania. Czasem próbowali rozproszyć mnie słodyczami czy czasopismami, a kiedy odzywał się mój ojciec, zaczynał od „może”.

„Może obejrzymy telewizję”.

„Może pójdziemy do parku”.

„Może zagramy w monopoly, Grace. Nauczysz mnie”.

Nie chciałam robić niczego z tych „może”, chciałam tylko zobaczyć Tilly.

Moja matka chodziła po domu, ograniczała zmartwienie do kątów. Próbowwała schować je za wielkimi, lśniącoymi oczami, za uśmiechem tak wąskim i nieprawdziwym, że zastanawiałam się, czy jeszcze kiedykolwiek będę w stanie jej zaufać.

Pani Morton zachodziła mnóstwo razy. Siadała w kuchni z moimi rodzicami, piła herbatę, jadła herbatniki. Nie wiem,

dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam, ale teraz widziałam, że pani Morton się postarzała. To musiało się stać, kiedy piłam herbatę albo czytałam książkę, albo kiedy odwracałam się, żeby obejrzeć telewizję, ale widziałam, że się zmieniła. Jej twarz pocięły zmarszczki, a broda kłóciła się sama z sobą podczas jedzenia.

Postanowiłam stawić czoło im wszystkim, kiedy pewnego dnia siedzieli w kuchni, wymieniając przy stole ciche słowa.

Stałam w drzwiach i ciche słowa ustały. Matka rozciągnęła twarz w uśmiechu, a pani Morton próbowała coś zrobić ze smutkiem w oczach.

– Chcę jechać do szpitala – oznajmiłam.

Mój ojciec wstał.

– Może coś zjemy, co? Chciałabyś talerz budyniu? Albo jakieś chrupki?

– Chcę jechać do szpitala – powtórzyłam.

Mój ojciec znowu usiadł.

– Szpital to nie miejsce dla dzieci. – Moja matka jeszcze bardziej rozciągnęła uśmiech.

– Tam jest Tilly. Tilly jest dzieckiem.

Mój ojciec nachylił się do przodu.

– Tilly bardzo źle się czuje, Grace. Musi tam zostać, aż wydobrzeje.

Zobaczyłam, że matka patrzy na ojca.

– Już była w szpitalu – stwierdziłam. – Pielęgniarki miały lametę we włosach. Poprawiło się jej. – Poczułam gulę łez w gardle. – Wróciła do domu.

– Myślę, że opiekę nad nią powinniśmy zostawić pielęgniarkom i lekarzom. – Matka ważyła słowa. – Muszą sprawdzić, co z nią jest.

– Ma coś nie tak z krwią. – Zorientowałam się, że muszę mówić głośniej, bo Remington podszedł i usiadł mi przy nogach. – Trzeba pójść i powiedzieć im. Może pielęgniarki i lekarze nie wiedzą.

– Grace, wiedzą – powiedziała pani Morton. – Oni po prostu chcą znaleźć sposób, żeby to zatrzymać.

Patrzyłam na nich, a oni odpowiadali spojrzeniem, mur dorosłych.

– Chcę jechać do szpitala. Jest moją przyjaciółką i mam dla niej prezent. Gdyby wasza przyjaciółka była w szpitalu, też chcielibyście pójść z wizytą.

Pani Morton bardzo powoli odstawiała filiżankę na podstawkę i popatrzyła na moich rodziców.

– Myślę – stwierdziła – że czasem lepiej, żeby dzieci same się przekonały. Inaczej wypełniają luki różnymi dziwnymi rzeczami.

Ojciec kiwnął głową i spojrzał na moją matkę.

Wszyscy patrzyli na moją matkę.

– Świetnie – uznała po chwili. – Mniejsza o mnie. Zróbcie to, co uważacie za słuszne.

– Świetnie – zgodził się ojciec. – Pojedziemy.

Matka wyglądała na rozczarowaną. Była przyzwyczajona, że jej słowom towarzyszyło tłumaczenie.

Rynna

13 sierpnia 1976

Poczta! – Keithie rzucił stos listów na kolana Sheili Dakin i jego rower zniknął za rogiem garaży.

– Jezu Chryste, Keithie, dostanę przez ciebie jakiegoś cholernego ataku serca. – Sheila nagle otworzyła oczy i usiadła prosto na leżaku.

Był jeden interesujący, pismo maszynowe, biała koperta. Chwyciła go i pozwoliła, żeby te w brązowych kopertach ześliznęły się na trawę. Brian schylił się, żeby je podnieść.

– Daj sobie spokój, Brian – mruknęła Sheila. – Jak je zgubię, to elektrownia będzie łaskawa przysłać mi inne.

Popatrzyła na puste leżaki.

– Ale spokojnie, co?

Znów usiadł.

– Harold poszedł. Mówi, że już nawet nie wie, czy to jest Jezus. Że pewnie sami się oszukujemy.

Sheila popatrzyła na Jezusa i zmrużyła oczy.

– Gdzie są inni?

– Dorothy była tutaj jakiś czas temu, ale potem powiedziała, że za bardzo martwi się o Tilly i że już nie może siedzieć naprzeciwko Jezusa. Poszła do domu, żeby się położyć.

– Coś nowego?

Brian pokręcił głową i zapatrzył się w ziemię.

– Biedna, mała gówniara. – Sheila jeszcze bardziej się wyprostowała i położyła nogi na oponie, której używała jako podnóżka. – To straszne, naprawdę. Zrozumiesz, jak będziesz miał własne dzieci.

– Małe szanse. – Brian roześmiał się, ale w jego oczach nie było śmiechu.

Przyglądała mu się. Chudy i niepewny siebie, mężczyzna, który nigdy nie zrzucił niewygodnej skóry podrostka. Nawet w Keithiem było więcej pewności siebie.

– Musisz się wyprowadzić spod dwójki, zanim będzie za późno. Przetnij tasiemki, którymi przywiązała cię do fartucha.

– Zawiązała za mocne węzły – stwierdził Brian. – Marne szanse.

Sheila pokręciła głową i znów popatrzyła na kopertę.

– To chyba od rady. O pracach społecznych. Margaret mówiła, że będę zachwycona. – Podała kopertę Brianowi. – Przeczytaj na głos, proszę. Nie mam ze sobą okularów.

Koperta została w jej ręce.

Popatrzyła na niego.

– Brian?

– Nie musisz teraz tego czytać. Nie ucieknie, prawda? Później to zrobisz.

– Ale chcę wiedzieć, co napisali. – Wysunęła list trochę dalej. – Chcę wiedzieć, czy mnie przyjęli.

– Nie mogę, Sheilo.

– Jak to nie możesz? – Widziała, jak Brian czerwieni się, najpierw na szyi, potem na policzkach. Patrzył na leżaki, na rynnę, na swoje stopy – wszędzie, byle nie w jej oczy.

– Brian?

– To znaczy, że nie umiem. Po prostu nie umiem.

– Ty głupi palancie, dlaczego nic nie mówiłeś?

Brian stał przy rynnice, palił papierosa Sheili, chociaż już nie palił. Tak kaszłał, że przez pierwsze dziesięć minut nie mógł nic powiedzieć.

– Ale jak? – zapytał. – Jak miałbym to ludziom wyjaśnić?

– Zrozumieliby, Brianie.

– Zrozumieliby, że jestem głupi. Zrozumieliby, że jestem cholernym durniem.

– Nie jesteś cholernym durniem. I chyba umiesz czytać niektóra słowa?

– Niektóre. – Znowu się zaciągnął. – Ale literki pływają mi po stronie i nie potrafię ułożyć ich we właściwym porządku. Mieszają się.

Zdała sobie sprawę, że gapi się na niego.

– Widzisz, nawet ty nie rozumiesz. Nawet ty myślisz, że jestem głupi.

– Nie myślę tak, Brianie. – Widziała, jak jego frustracja zamienia się w gniew. – Próbuję zrozumieć. Naprawdę.

– Margaret Creasy rozumiała. – Ostatni raz wciągnął w płuca dym z papierosa. – Pomagała mi.

– Jak ci pomagała?

– Uczyła mnie czytać. Poprosiła, żebym wypożyczył książkę z biblioteki. Coś, co spodoba mi się na wygląd.

– Brianie. – Sheila odłożyła list i wstała. – Dlaczego tak późno się do tego wziąłeś? Dlaczego, do diabła, nie powiedziałeś tego któremuś z nas wcześniej?

– Mama powiedziała, że to nie ma znaczenia. – Popatrzył na Sheilę spojrzeniem dziecka, spojrzeniem, w którym nie ma pytania. – Mówiła, że jak będę musiał coś wiedzieć, to ona zawsze może mi przeczytać.

Rzucił papierosa i wdeptał go w żwir.

– Zresztą – dodał – jak mógłbym komuś to wyznać? Jak mógłbym znieść taki wstyd? Wszyscy byście uznali, że jestem dziwakiem.

Ulica
numer 4

15 sierpnia 1976

Wiesz, że nie będziesz mogła wejść na salę? – zapytał ojciec.

Odpowiedziałam, że tak, że wiem, bo już mi to cztery razy mówiono.

– Nie chcę, żeby Tilly złapała od ciebie jakieś zarazki. Tam wszystko musi być naprawdę czyste.

– Jestem czysta.

– Ekstra czysta. – Wziął kluczyki do samochodu.

Moja matka stała w drzwiach, stukała palcami o framugę.

– Miejmy to już za sobą – westchnęła.

Jeszcze nigdy nie byłam w szpitalu, nie licząc tego, że tam się urodziłam, ale uznałam, że to w praktyce się nie liczy. To był długi, kręty jak wąż budynek zaraz na skraju miasta i widać było, że inne budynki zostały dodane do węża, kiedy coraz więcej ludzi chorowało i trzeba było znaleźć miejsce, żeby ich wszystkich gdzieś umieścić.

Musieliśmy zaparkować samochód daleko od wejścia i iść przez parking. Moja matka objęła się ramionami, a ojciec wepchnął myśli do kieszeni. Kiedy wreszcie dotarliśmy do głównego wejścia, nie mieliśmy pojęcia, dokąd pójść. Kiedy

odwiedza się szpital, zawsze można odróżnić ludzi, którzy w nim pracują, bo mają ciche buty, a gdy idą, patrzą prosto przed siebie. Inni patrzą do góry, na znaki wiszące nad korytarzami, pokazują na plany i idą za strzałkami namalowanymi na podłodze.

– Tędy – powiedział ojciec i poszliśmy do końca długiego korytarza, pełnego obrazów kwiatów i bardzo cichych butów. Na końcu korytarza był Oddział Dziecięcy. Na ścianie, na zewnątrz, był namalowany Tygrysek.

– Hm, Tilly to wszystko pewnie się nie podoba – mruknęłam. – Ona nie lubi Tygrysa. Uważa, że jest zbyt rozbrykany.

Ojciec porozmawiał z pielęgniarką za biurkiem i pielęgniarka za biurkiem spojrzała na mnie przez ramię ojca, uśmiechnęła się i skinęła głową.

Kiedy rozmawiali, chodziłam tu i tam. Nigdzie nie widziałam Tilly.

Spodziewałam się, że na oddziale dziecięcym będzie głośniejsze. Myślałam, że tu będą gry i mazaki, i filmy rysunkowe. Myślałam, że będzie krzyk. Jak w szkole, tylko z pielęgniarkami zamiast nauczycieli. Nic z tych rzeczy. Dzieci leżały na wąskich materacach, krzesła rodziców stały blisko do łóżek, śpiące matki leżały z rękami wyciągniętymi na łóżeczkach. Tylko jedna mała dziewczynka siedziała przy stole, malowała. Kiedy odwróciła się do mnie i uśmiechnęła, zobaczyłam rurkę

wychodzącą jej z nosa. Rurka zapętleła się i zakręcała wokół jej ucha.

Wróciłam do matki i przytuliłam się do jej nóg.

Objęła mnie za ramiona.

– Mówiłam – mruknęła i gniewnie popatrzyła na plecy ojca.

Pielęgniarka poprowadziła nas innym korytarzem, obok większej liczby obrazków, wielkich zespolonych umywalek i stosów ręczników w metalowych klatkach.

Zobaczyłam, że ojciec patrzy na matkę.

– Tędy – rzuciła pielęgniarka. – Mama Tilly właśnie poszła do stołówki.

Robiłam więcej kroków, żeby nadążyć za pielęgniarką.

– Wiem, że nie wolno mi wchodzić, ale mam prezent dla Tilly.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami. Było na nich napisane „MYĆ RĘCE” dużymi literami, które jakby krzyczały na wszystkich.

– Nie możemy tam niczego wnosić – stwierdziła pielęgniarka.

– To przez ryzyko infekcji.

– Ale to ważne. – Moje słowa były długie i roztrzęsione.

– Może – powiedział ojciec do pielęgniarki – może pani dałaby to Tilly, kiedy się jej poprawi?

Zobaczyłam, że pielęgniarka spogląda na ojca.

– W porządku – odparła, nie spuszczać z niego wzroku. – Wtedy to zrobimy.

Podaliśmy jej to, a ona włożyła to do kieszeni.

Z boku drzwi było duże okno z podniesioną żaluzją. Okno było za wysoko i ojciec musiał mnie podnieść, żebym mogła przez nie zajrzeć.

Sala nie była oświetlona i niewiele zobaczyłam. Tylko krawędź łóżka, róg umywalki, ale wszystko inne niknęło w ciemności. Dopiero kiedy oczy przyzwyczyły się do niej, kiedy kształty zaczęły się łączyć i porządkować, zdałam sobie sprawę, że patrzę wprost na Tilly.

Nie miała okularów ani loków, wyglądała na małą i bladą. Łóżko ją przerastało. Głowę miała za małą jak na poduszkę, dłońmi trzymała się koca, jakby robiła, co mogła, żeby przytrzymać się tego świata.

Pomachałam do niej, mimo że oczy miała zamknięte. Machałam coraz mocniej, bo wydawało mi się, że jak będę wystarczająco mocno machać, to musi to usłyszeć i otworzy oczy.

Krzyknęłam jej imię.

– Nie krzycz, Grace – skarcił mnie ojciec.

Krzyknęłam jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Obudź się – krzyczałam – obudź się, obudź się, obudź się!

– Grace! – Ojciec opuścił mnie na podłogę. – To jest szpital, tu nie wolno krzyczeć.

– To nie jest Tilly – powiedziałam. – Gdyby to była Tilly, wiedziałyby, że to ja, i obudziłyby się.

Pielęgniarka ukucnęła obok mnie.

– Ona jest bardzo chora, Grace. Jest zbyt chora, żeby w tej chwili się obudzić.

– A co ty, do cholery, wiesz?! – krzyknęłam.

Wstałam i zaczęłam biec. Biegłam obok obrazków i umywalek, a matka i ojciec popędzili za mną aż na korytarz.

– Tilly nie może zniknąć! – wołałam. – Nie możecie pozwolić, żeby zniknęła.

Matka stanęła. Słyszałam, jak jej głos odbija się w korytarzu.

– Derek, mówiłam ci, że to zły pomysł. Do jasnej cholery, przecież ci mówiłam.

Wszystkie ciche buty odwróciły się i patrzyły na nas.

Rynna

15 sierpnia 1976

Siedziałam na żwirze przed Jezusem.

Kiedy wróciliśmy do domu, natychmiast tam poszłam. Matka chciała, żebym została, ale ojciec powiedział, że będzie dla mnie lepiej, jeśli „wyrzucę to z organizmu”.

Nie wiedziałam, co mam w organizmie, ale pomyślałam, że mi pomoże, jeśli pójdę zobaczyć Jezusa. I chociaż mówiłam do Niego już od dziesięciu minut, nadal nie czułam żadnej różnicy.

Pan Forbes zabrał wszystkie leżaki i stolik do kart. Jedyną rzeczą, która mówiła, że w ogóle tu byliśmy, był jeden kłapek Sheili Dakin, oparty o przeciwległą ścianę garażu.

Patrzyłam na Jezusa.

– Dlaczego robisz tak, że Tilly niknie? – zapytałam.

Odpowiedział mi spojrzeniem kreozotowych oczu.

– Myślałam, że jak Cię znajdę, wszyscy będą bezpieczni. Myślałam, że jak tutaj będziesz, to wszyscy znajdziemy się tam, gdzie powinniśmy.

Popołudniowe słońce pełzło po boku garażu. Toczyło się po Jezusie i po rynnie, podciągało na szczyt ściany, gdzie znalazło pająka, który tkął, plótł i planował pajęczynę.

Tilly uwielbiała pająki. Powiedziała, że są mądre, cierpliwe i łagodne. Nie rozumiała, dlaczego wszyscy tak się ich boją, a ja

chciałam, żeby to zobaczyła. Ale Tilly tutaj nie było.

Była tylko pustka, przestrzeń w moim życiu, w którym wcześniej mieszkała Tilly.

Jezus patrzył. Już rozmazywał się po brzegach, a krawędzie jego twarzy zaczęły się łuszczyć i kruszyć.

– Proszę, nie pozwól jej odejść – szepnęłam.

Ale wychodziło na to, że Jezus ma ochotę zniknąć ze wszystkimi innymi.

Ulica
numer 4

17 sierpnia 1976

Siedzieliśmy w pokoju od frontu. Ja, rodzice i miska budyniu, który matka dla mnie zrobiła.

– Nie chcesz? – zapytała.

Patrzyłam przez okno.

– Naprawdę nie jestem głodna.

Widziałam panią Dakin na leżaku i Erica Lamba przycinającego coś w ogródku przed domem, a pani Forbes chodziła z miotłą tam i z powrotem po swoim żwirze. Było tak, jakby nic się nie zmieniło, jakby świat po prostu dalej się kręcił, chociaż jego kawałek zniknął.

– Może przejrzymy katalog? – zapytała moja matka. – To ci się zawsze podobało.

Bardzo próbowała. Przewracała strony, pokazywała, próbowała śmiać się z modeli, wybierała dla nas prezenty na niby.

Doszliśmy do jednego z moich zielonych kółek, popatrzyła na mojego ojca.

– Grace, możesz mieć te klapki, jeśli chcesz.

– Nie możemy sobie na nie pozwolić – powiedziałam. – Jesteśmy biedni.

– Możemy sobie pozwolić na dwadzieścia pięć pensów tygodniowo w czterdziestu ośmiu łatwych ratach. – Ścisnęła mnie za ramiona i pokazała zielone linie.

– Właściwie nie sądzę, żeby do mnie pasowały, raczej zostaną przy swoich sandałkach – stwierdziłam.

Moja matka zgarnęła włosy z twarzy i promiennie się uśmiechnęła.

– To samochód policyjny – oznajmił ojciec.

Usłyszeliśmy wibracje silnika i głuchy odgłos zamykanych drzwi, a ojciec podszedł do okna, żeby przeprowadzić dochodzenie.

– Inspektor Hislop i ten drugi gliniarz – powiedział. – Jak on się nazywa?

– Green? – zapytała moja matka.

– Właśnie. Green.

Matka podniosła wzrok.

– Myślisz, że znaleźli Margaret?

– Nie wiem. – Ojciec trochę bardziej odciągnął zasłonę. – Ale wszyscy wyszli na ulicę.

Katalog Keys spadł na podłogę, kiedy matka wstała.

Zanim wyszliśmy, detektyw Hislop już był otoczony.

Chyba wszyscy o coś go pytali, pan Forbes i May Roper, Cienki Brian w tej swojej plastikowej kurtce i Dorothy Forbes. Machali ramionami na wszystkie strony i wpadali w histerię.

Posterunkowy Green próbował ich uspokoić, a detektyw Hislop wyciągnął przed siebie dłonie i nie chciał otworzyć oczu, póki wszyscy, do cholery, się nie zamkną. Pan i pani Kapoor stali na swoim progu i wyglądali na kompletnie osłupiałych.

– Muszę wejść do środka i zamienić parę słów z panem Creasym, bardzo proszę zejść z drogi – wyjaśnił detektyw Hislop. Próbował przejść do numeru ósmego, ale tłum przemieszczał się razem z nim jak jezioro ciekawości.

John Creasy stał na skraju chodnika. On jeden nie hałasował.

– Wszystko, co pan chce mi powiedzieć, może pan powiedzieć tutaj w obecności tych ludzi.

Detektyw rozejrzał się po twarzach. Odwrócił się do posterunkowego Greena, który tylko wzruszył ramionami i wyjął notatnik z kieszeni na piersi.

– Bardzo dobrze – rzucił.

Przerwał na chwilę, a my wszyscy wraz z nim wstrzymaliśmy oddech.

– Dzisiaj przyszedłem, żeby powiedzieć, że pańska żona zgłosiła się do jednego z naszych komisariatów i potwierdziła, że w rzeczy samej jest cała i zdrowa.

Wszyscy znów zaczęli jednocześnie oddychać, chociaż to brzmiało, jakby nabierali powietrza, a nie wypuszczali.

– Wiedziałem – odparł pan Creasy. – Wszystko wam powiedziałem, prawda? Mówiłem, że ona żyje.

Nikt nie poruszał ustami, ale naprawdę wydawało mi się, że ktoś na końcu mówi: „O mój Boże”.

– Gdzie była? – zapytał John Creasy. – Czy powiedziała wam, dlaczego odeszła?

– Coś tam mówiła, że miała mnóstwo na głowie – oznajmił detektyw Hislop. – Użyła jednego z tych nowych wyrażen, które tak się podobają kobietom w dzisiejszych czasach. Cóż to takiego było, panie posterunkowy?

Posterunkowy Green zajrzał do notatnika.

– Twierdziła, że musiała przegryźć się przez sprawy – wyjaśnił.

– Właśnie. – Detektyw Hislop pokręcił głową. – Przegryźć się przez sprawy.

Tym razem na pewno usłyszałam: „O mój Boże”.

– A, i prosiła nas, żebyśmy panu to przekazali – dodał detektyw Hislop.

Posterunkowy Green wręczył panu Creasy kopertę.

Detektyw spojrział na tłum.

– Powiedziała, że to zrozumiecie.

John Creasy gapił się na kopertę, a my gapiliśmy się wraz z nim. Detektyw Hislop i posterunkowy Green poszli z powrotem do samochodu.

– Wraca do domu?! – krzyknął pan Creasy. – Czy tak?

– Tak mi się wydaje. – Detektyw otworzył tylne drzwi pandy i usadowił się w środku.

Posterunkowy Green włączył zapłon, a detektyw Hislop odkręcił szybę.

– Ale najpierw chciałaby wpaść do komisariatu i trochę z nami pogawędzić – rzucił.

Patrzyliśmy, jak samochód policyjny jedzie ulicą i znika za rogiem. Było tak cicho, że jeszcze bardzo długo słyszało się silnik.

Pan Creasy nadal stał z listem w wyciągniętych rękach.

– Nie otworzysz, John? – zapytał pan Forbes.

Pan Creasy odwrócił kopertę.

– Tutaj jest napisane „Ulica” – powiedział.

– Więc to do nas wszystkich? – zapytała Sheila Dakin.

Pan Creasy pokiwał głową. Rozdarł kopertę i wyjął kawałek papieru. Przeczytał, ściągnął brwi i jeszcze raz przeczytał.

– No i? – zapytała Sheila. – Co tam jest napisane?

– Nie rozumiem. – Pan Creasy jeszcze raz spojrzął na list.

– Na litość boską, człowieku, wyrzuć to z siebie – zawołał Harold.

John Creasy odchrząknął i zaczął czytać.

– Tu jest napisane: „Mateusz, rozdział 7, wersy od 1 do 5”.

Wszyscy czekaliśmy.

– To wszystko? – zapytała Sheila Dakin.

– Co to, do diabła, znaczy? – Pan Forbes wyrzucił ręce w górę.

– Czy ta kobieta całkiem oszalała?

Pani Forbes i pani Roper patrzyły na siebie. Odezwały się jednocześnie.

– Nie sądz, aby ciebie nie osądzono – powiedziały. Jak w duecie.

Ulica
numer 12

17 sierpnia 1976

Sheila Dakin szarpnięciem otworzyła drzwi spiżarni i zaczęła zdejmować puszki z półek.

– Mamo? Co robisz?

Wiedziała, że butelka się skończyła, ale warto było znowu zajrzeć. Zawsze warto znowu zajrzeć. Czasem zapomniała, gdzie ją postawiła. Zawsze jest szansa.

Muszelki makaronu wysypały się na ziemię.

– Mamo? – W drzwiach stanęła Lisa, głowę miała owiniętą ręcznikiem.

– Czegoś szukam, Liso.

Może jedna jest pod zlewem. Pamiętała, że zostawiła tam coś jakiś czas temu. Może. Przepchnęła się między Lisą a deską do prasowania.

– Dwadzieścia osiem stopni. – Sheila pokazała na termometr na parapecie. – Cholerne dwadzieścia osiem stopni. Jak można funkcjonować w tym cholernym upale?

Ukucnęła na podłodze i sięgnęła do szafki. Puszki z pastą do podłóg i z płynem do okien wypadły jak kręgle.

– Mamo, co się, do diabła, dzieje?

Sheila odwróciła się przez ramię.

– Margaret Creasy, to się dzieje. Margaret Creasy wraca.
– To dobrze? – zapytała Lisa.
– Nie, niedobrze. W ogóle niedobrze. – Sheila znów odwróciła się do szafki. – Bo nie wraca sama, prawda?
– Nie sama?
– Nie, Liso, nie sama. – Puszka pasty potoczyła się po linoleum. – Wraca ze wszystkimi naszymi tajemnicami. Ma ich cały worek. Wie o wszystkim.

– No to mamy. Jesteśmy załatwieni. – W drzwiach pojawiła się Dorothy Forbes, ręce uniosła do nieba. Dymiła z niej histeria, jak ze środka burej chmury.

– O Jezus, Dot. Tego mi jeszcze było potrzeba.

Dorothy musiała iść za nią ulicą.

– Mówię ci, Sheilo. Od początku mówiłam. Ta kobieta to rozpracowała. To będzie koniec nas wszystkich.

– Dot, nie bądź taka melodramatyczna. – Sheila usiadła na druciaku do naczyń. – Musimy tylko pomyśleć, wystarczy, jeśli jasno przedstawimy nasze wersje.

– Już sama nie wiem, jaka jest moja wersja. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślę, wszystko mi się miesza.

Lisa ściągnęła ręcznik z włosów i patrzyła na nie obie.

– Musiałyście powariować – stwierdziła i odwróciła się na pięcie. Jej kroki zadudniły na schodach, a potem na suficie.

Sheila chwiejnie wstała i sięgnęła po papierosy. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, jak Dorothy zbiera z podłogi puszki i

paczki i ponownie ustawia je w kredensie.

– Dot, może przestaniesz sprzątać domy innych. To mnie doprowadza do szaleństwa.

– Nie mogę się powstrzymać. – Dorothy sięgnęła po butelkę wybielacza pod kuchennym stołem. – To te moje nerwy.

– Musimy zachować spokój. – Sheila zaczęła chodzić z papierosem po linoleum. – Musimy zebrać wszystko do kupy. Co mówiłaś Margaret? Dokładnie, co jej mówiłaś?

Sheila czekała. Czowała, jak puls od serca podchodzi jej do gardła.

Dot patrzyła na nią i mrugała.

– Dorothy?

– Sheilo, o co mnie pytałaś?

Puls jakby wypełniał całe jej ciało, wywracał żołądek, ciągnął za pierś, młotkował skronie. Patrzyła, jak Dot składa ścierkę do naczyń.

W jedną stronę, potem w drugą. Kwadraty materiału w jej rękach. Tam i z powrotem.

– Przestań wreszcie składać tę cholerną ścierkę.

– Nie mogę. To nawyk – powiedziała Dorothy. – Nawet nie wiem, że to robię.

Sheila zaciągnęła się papierosem.

– Nikt nie powinien składać ścierek do naczyń. Według Waltera Bishopa. Mnożą się w nich bakterie.

Składanie ścierki ustało, Dorothy odłożyła ją na ociekacz.

Sheila popatrzyła na ścierkę. W kuchni było cicho, ale w głowie tykał jej zegar. Znów spojrzała na ścierkę do naczyń.

Złożona. Na ociekaczu.

– Walter Bishop nie składa ścierek do naczyń – powtórzyła.

Dorothy zamrugła.

– Dot, ale ty składasz. Prawda?

Odpowiedzi nie było.

– Dorothy?

Dorothy Forbes popatrzyła na ścierkę do naczyń i znów na Sheilę. Oczy miała szeroko otwarte i bardzo niebieskie.

– Sheilo, cała ulica chce, żeby się wyniósł. Wszyscy tak mówicie. Ktoś wyświadczył ludziom przysługę.

Nie miała na to odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Sheili Dakin zabrakło słów.

Jarzębinowa Farma
numer 3

17 sierpnia 1976

Pani Morton odłożyła słuchawkę.

Myślała, że chodzi o Tilly, ale to dzwoniła May Roper. Stała w budce telefonicznej ze stosem dwupensówek i rozdzielała informację o Margaret Creasy. Pani Morton miała wrażenie, że telefon do niej mógł być jednym z długiej listy.

W osiedlu zawsze tak było. Parada ludzi połączonych nudą i ciekawością, przekazujących sobie nawzajem nieszczęścia innych jak paczkę. Tak samo było, kiedy umarł Ernest. Tak samo było po pogrzebie.

Poszła z powrotem do salonu, wróciła na krzesło i do robienia na drutach, ale chociaż wełna czekała na nią, owinięta wokół drutów pośrodku ściegu, nie potrafiła przyłożyć się do robótki. Wstała i poprawiła poduszki. Uchyliła szerzej okno, odsunęła podnózek, ale na nic się to zdało. Poczucie spokoju odeszło, cały dom przesiąknął niepewnością. Nie wiedziała, czy w związku z zadyszczanym oczekiwaniem w głosie May Roper, czy z poczuciem, że przeszłość, ostatnio codziennie, doganiała teraźniejszość, a może nie była to żadna z tych rzeczy. Może to była świadomość, że coś pominęła – coś, co dotyczyło tamtego dnia, który utkwiał

jej w pamięci, nieruchomy, wyczekujący, aż odkryje go i przypomni.

7 listopada 1967

Na półce nad kominkiem są dwadzieścia dwie kartki.

Pani Morton liczy je, chociaż wie, że liczba nie zmieniła się w stosunku do tego, co było przed trzema godzinami. Leżą ukośnie między talerzem, który w ubiegłym roku przywiozła z Llandudno, a ich fotografią ślubną, łącząc się z jej życiem szczerymi wyrazami współczucia.

Więcej kartek leży na kuchennym stole, a kilka na stoliku pod telefon w korytarzu, ale nie miała serca, żeby je przeczytać. Po prostu powtarzają się w kółko, niekończący się potok wymownych wodospadów opływających głębokimi kondolencjami. Wiele można powiedzieć o człowieku na podstawie kartki, którą wybrał. Są bezpieczne, lilie i motyle, z prostymi słowami i zwyczajnym krojem pisma. Potem idą te, które wskazują, że większe moce wzięły się do pracy, zachody słońca, tęcze i całe grzbiety górskie z interesującymi formacjami skał. I oczywiście religijne – takie, które dają do zrozumienia, że cierpi się z bardzo dobrego powodu, takie, które mówią człowiekowi, że Pan widzi jego nieszczęście. Mają kręte, złote liternictwo, bo skoro Bóg przemówił, to mógł to zrobić tylko ozdobną czcionką.

Wtedy wzywaj Mnie w dniu utrapienia. Ja cię uwolnię, mówi jeden z nich.

Beatrice Morton nie wie, czy zostanie uwolniona – nie od rozpacz i smutku, ale od wstydu.

Siedzi w zasłoniętym kotarą świetle dnia, chociaż słabe listopadowe słońce przeciska się przez materiał i rozprasza cienie. Zasłony zaciągnięto na dwa tygodnie. Utrzymują dom w przerwie między stratą a akceptacją. Zaciągnęła je, jak tylko policjant wyszedł, patrzyła zza kotary, jak idzie dróżką. Był nieśmiałym młodzieńcem, najwyraźniej niepewnym, jak zgodnie z etykietą przekazać informację, że niedawno zmarły mąż zabrał pasażerkę gdzieś między Chiswick Flyover a Reading Services. Chciała mu to ułatwić, powiedzieć, że już od dawna wie o pasażerce, że ostatnie piętnaście lat żyła w jej cieniu i że tak wiele wysiłku włożyła, by nadać kształt życiu wokół jej istnienia. Chciała zaproponować policjantowi kolejną filiżankę herbaty i wygładzić kanty rozmowy, żeby mogli razem podróżować przez skrępowanie. Ale policjant miał listę zadań do wykonania, listę, którą musiał odfajkować, zanim będzie mu wolno zostawić nietkniętą filiżankę na skraju krzesła.

„Ernest nawet nie lubił New Seekers”, powiedziała, szukając furtki, przez którą mogłaby przywrócić go do życia.

Policjant udał lekki napad kaszlu i wyjaśnił, że pasażerka przeżyła. Więcej niż przeżyła, właśnie w tej chwili siedzi na oddziale ratunkowym Royal Berkshire Hospital, pije herbatę z plastikowego kubka i wyjaśnia wszystko jednemu z jego kolegów.

„Przykro mi”, powiedział, chociaż nie była całkiem pewna, czy przykro mu ze względu na śmierć jej męża, czy przykro mu, bo kochanka jej męża przeżyła.

Kiedy patrzyła, jak wychodzi, wiedziała. Wiedziała, że wieczorem będzie rozmawiał z żoną przy kolacji, rozparty na krześle, z każdym kęsem przeżuwał szczegóły jej życia. A następnego dnia jego żona będzie siedziała na fotelu u fryzjerki i powie, nie wolno nikomu powtarzać, a fryzjerka będzie trzymała grzebień między zębami i naciągając włosy na niebieskie plastikowe lokówki, pomyśli, komu pierwszemu o tym powiedzieć. I z jaką łatwością każdy pozna tajemnicę, choć tak usilnie pracowała, żeby nikt jej nie poznał.

Ciepło słońca dociera do parapetu i wnosi do pokoju zapach gnijących kwiatów. Domem zawładnęła śmierć Ernesta. Kwiaty ukryte są wszędzie, w wazonach, słoikach po dżemie, w glinianych dzbankach. Liście wyjedzone są do kruchych szkielecików, płatki tłoczą się na dywanie w patetycznych grupach. Należałoby je wreszcie uporządkować, uporać się z gęstą, zatechłą wodą, która wypełnia powietrze powolną, cichą zgnilizną, ale brakuje energii, żeby wszystko oczyścić i zacząć od nowa. Przede wszystkim zaś, nigdy nie prosiła o ten bałagan.

Kwiaty zostawiano na progu albo przywoziła je czerwoną furgonetką miła, młoda kobieta. Nikt nie wszedł do domu. Trzy dni po wypadku Sheila i May dotarły do drzwi, napędzane ciekawością i połową butelki sherry, ale nawet one zniknęły,

kiedy zrozumiały, że wdowieństwo chodzi w beżowym kardiganie i jest bardzo małowównie. Jasne, że nie mówiło o zmarłych mężach – albo o kochankach zmarłych mężów. Chciały wiedzieć, jak sobie radzi w „takich okolicznościach”, ale to były okoliczności, o których nie chciała dyskutować nawet ze sobą, nie mówiąc o pełnych nadziei brwiach Sheili i falowaniu krtani May, unoszącej się i opadającej w fałdach jej szyi.

Nie ona, ale pogrzeb dał im strawę w jej imieniu. Pogrzeb wystawił im ucztę. Dzięki niemu każdy mógł zobaczyć jej głupotę, rozwinęły się wszystkie wątki nieszczęścia, każde kłamliwe słowo. I wiedziała, że cokolwiek by w przyszłości robiła, zawsze rozegra się to na tle jej tępoty. Nie odwróciła się, kiedy rozpoczęły się szloch. Piętnaście lat spędziła z nim twarzą w twarz i teraz nie zamierzała odwracać wzroku.

Musi iść na zakupy, ale każde wyjście z domu jest trudne. Próbuje wybrać najmniej uczęszczany chodnik, najspokojniejszą porę dnia, ale nadal czuje się jak eksponat, jak ciekawostka. Wie, że jej obecność na ulicy włączy rozmowy jak sznur lampek choinkowych. Ledwie znajdzie się poza zasięgiem słuchu, zaczną kroić jej nieszczęście i śmieszność i rozdawać je na talerzu w nadających się do strawienia kawałkach.

Idzie od sklepu do sklepu tak cicho, jak tylko może, jak ofiara.

Dłonie kobiety w spożywczym zaciskają się na jej rękach.

– I jak się czujesz? – pyta ekspedientka, przechylając głowę na bok i ściągając brwi, jakby pani Morton była zagadką, którą

trzeba rozwiązać.

– Czuje się jak funt pomidorów – mówi pani Morton – i twoja najlepsza główka kapusty.

Nie wie, jak się czuje. Albo jak powinna się czuć. Czy jej uczucia są normalne? Właściwe? Jeszcze nigdy nie straciła męża. Jakaś jej część uważa, że powinna być bardziej przybita, co rano na to czeka, przygotowuje się na smutek. Ale smutek nie nadchodzi. Czuje natomiast nieprzyjemny zamęt. Jakby podczas podróży, którą dla siebie zaplanowała, była zmuszona wybrać alternatywną trasę. Nie jest pewna, czy wstrząs, który czuje, wynika z utraty Ernesta, czy z zaskoczenia, że będzie musiała zmienić plany podróży.

Przechodzi przez High Street na stronę, gdzie jest mniej sklepów. Spojrzenia nadal ją odnajdują, ale łatwiej sobie z nimi poradzić, jeśli dobiegają z drugiej strony jezdni. Po tej stronie jest parę banków, fryzjer i sklep z dziecięcą odzieżą. Zaczęły się wyprzedaże i z każdego okna krzyczą na nią czerwone i białe reklamy.

– Beatrice!

Jest zbyt zajęta oglądaniem Wyprzedaży Nie do Pokonania w sklepie obuwniczym naprzeciwko i o mało nie wpada na Dorothy Forbes.

– Jak się czujesz? – Dorothy rozciąga słowa, żeby zapełnić cały chodnik.

– Nie mogę narzekać – mówi pani Morton.

– Nie możesz? – Dorothy nie kryje rozczarowania.

– Z tego nie byłoby nic dobrego, prawda? – Pani Morton próbuje się uśmiechnąć, ale nie wie, czy uśmiechające się wdowy są właściwe, więc robi się z tego dziwny grymas na pół twarzy.

– Tak, ale w tych okolicznościach – zaczyna Dorothy. Koniec zdania szybuje przez jakiś czas, wreszcie niknie. Wszyscy mówią o okolicznościach, ale nikt nie chce dokładnie powiedzieć o jakich.

Pani Morton wydaje jakieś dźwięki, „bardzo przepraszam”, i próbuje obejść wielką tartanową klapę na wózku na zakupy Dorothy.

– To był piękny pogrzeb. – Dorothy przesuwą się troszeczkę na lewo. – Prawie cały.

Na przednich zębach Dorothy rozsmarowana jest mandarynkowa szminka. Usta Dorothy za szybko poruszają się wokół słów, zostawiając za sobą pomarańczową plamę.

– Koszmarna sprawa między psalmem 23 a początkiem gry na organach, mówię ci.

Jest w pułapce – przyłapana między kółkami wózka a drzwiami sklepu i mandarynkowym współczuciem Dorothy Forbes.

„Szokujące. Zatrważające. Żenujące”, papie Dorothy.

– Przepraszam cię.

„Znałaś ją?”

– Muszę właśnie.

„Harold mówi, że ona nie jest stąd”.

– Naprawdę powinnam.

„Musiała być bardzo blisko z Ernestem? Że była taka smutna?”

– Potrzebuję czegoś. Stąd. – I pani Morton wślizguje się w drzwi, kończy zadawanie pytań, patrzy przez szybę, jak porażka rozchodzi się po twarzy Dorothy małymi kroczkami rozczarowania.

To jest sklep z ubraniami dla dzieci.

Nigdy tu nie była. Pachnie wełną i materiałem frotte – czystym, niezakłóconym, niezepsutym zapachem, który wydawać mogą tylko dzieci. Dziewczyna za ladą podnosi wzrok i uśmiecha się. Jest bardzo młoda, na pewno za młoda, żeby mieć dziecko, ale pani Morton wie, że straciła zdolność szacowania czyjegoś wieku. Jej barometr zbił się z upływem lat, skalibrowany jest tylko uporczywym postrzeganiem siebie samej. Dziewczyna wraca do składania. Nie patrzy na panią Morton z ciekawością. Żadnych ocen, żadnych opinii. Może odpłynęła daleko. A może szepty nie wcisnęły się jeszcze między śliniaczki a pieluszki.

Przemierza wzrokiem półki. Każda zapełniona jest wygodą. Wszystko przeznaczone jest do łagodzenia, okrywania albo kołysania. Nawet kolory są kojące: jasny błękit, róż i łagodna, rozwodniona morela. Tu jest zakątek ucieczki od ludzkiego hałasu, świadomość, że wszystko w końcu przeminie, uczucie spokoju owiniętego w szale i kołdry, schowanego między fałdami szydełkowych robótek.

– Pani ma piękny sklep – mówi. To pierwszy raz od dwóch tygodni, kiedy wypowiada się na inny temat niż śmierć.

Dziewczyna podnosi wzrok i znów się uśmiecha.

– Jest taki cichy. Uspokajający.

Dziewczyna nadal składa. Wkłada koce do polietylenowych toreb, opakowania cicho potrzaskują.

– Jasne, małe dzieci to najspokojniejsi ludzie na ziemi, chyba że płaczą.

Zdanie wypunktowane jest i pomarszczone irlandzkim akcentem.

– Pani nie stąd?

Dziewczyna uśmiecha się do składanych rzeczy. To doświadczony uśmiech.

– Nie – mówi – jestem obca.

– Nie powiedziałabym, że obca.

W oczach dziewczyny tańczą psotne ogniki.

– A ja bym tak powiedziała. To miasto zawsze się podnieca wszystkim co inne. Nie daje sobie rady z urozmaiconą dietą.

– Hm, coś w tym jest. – Pani Morton przechodzi do następnej alejki. Pełno w niej kłębków wełny w piramidach i wzorów wyrobów dziewiarskich w rzędach. Dziewiarstwo dla każdej dającej się pomyśleć sztuki garderoby, której niemowlę mogłoby kiedyś potrzebować.

– Dlatego lubię towarzystwo dzieci – mówi dziewczyna. – One widzą tylko ciebie. Nie widzą tego wszystkiego, co nosisz w kieszeniach.

Pani Morton nie zna wielu dzieci. Jest oczywiście Lisa Dakin, ale teraz cały dzień spędza w szkole, wymodelowana na Sheilę w zmniejszonej skali. Chyba tylko Grace Bennett. Często widuje

w osiedlu Grace i jej matkę, zatrzymują się, wymieniają pozdrowienia, ale Sylvia ciągle wygląda na zmęczoną, jakby dopiero co wyrwała się z drzemki. Pani Morton patrzy na wzory robótek. Chór niemowląt odpowiada jej spojrzeniami. Główki okrągłe i gładkie jak jajka, głębokie, jasne źrenice wypełnione wyłącznie prostotą. To jest to, czego potrzebuje. Oczu bez wyroku. Człowieka, który nie widzi kieszeni. Może gdyby spędzała trochę czasu z kimś, kto nie widzi jej, a tylko głupią starą babę, zaczęłaby sobie przypominać, kim kiedyś była.

– Szuka pani czegoś szczególnego? – pyta dziewczyna. – Może prezentu?

Pani Morton znów patrzy na zdjęcia.

– Tak – mówi – to jest to. Prezent.

– Chłopiec, dziewczynka? Ile lat?

– Dziewczynka. Ma prawie rok. – Podchodzi do lady, obok półek cichej ulgi. – Ma na imię Grace.

Wychodzi z pluszową zabawką – słoniem. Słoń ma wielkie kremowe uszy podbite aksamitem i bardzo poważne przyszywane oczy. Upycha go w torbie, pod kapustą i funtem pomidorów, ze strachu, że ktoś zobaczy i dojdzie do wniosku, że w końcu kompletnie i nieodwołalnie zwariowała.

Kiedy wychodzi, brzęczy dzwonek nad drzwiami.

– Do widzenia, pani Morton. Niech pani na siebie uważa – mówi dziewczyna za ladą.

Ściąga brwi i chce odpowiedzieć, ale dziewczyna już wróciła do składania.

Osiedle drzemie w obiadowej ciszy. Nie spotka nikogo. Samotność jest błogosławieństwem, pozwala jej patrzeć przed siebie, a nie ciągle na stopy stawiane na chodniku. Przygląda się drzewom pociągniętym listopadową farbą, łapie ostatnie liście, jak ręce dziecka. To ostatnich kilka dni, zanim zima otuli wieczory szatą ciemności, ostatnie spojrzenia na kredowe chmury i zielone jak jabłka trawniki, zanim wejdzie w pośpiechu mróz i wygoni je.

Ulica jest milcząca, okna puste i bierne. Ludzie pracują albo jedzą, albo podróżują dokądś przez swój dzień. Pani Morton przechodzi niepostrzeżenie obok domów. Idzie obok domu Sheili Dakin, zabawki Lisy rozsiane są po trawie, jak piechota po bitwie, wiatr stuka zasuwką niezdecydowanej furtki. Po drugiej stronie ulicy leży czysty i cichy podjazd Dorothy i Harolda, żwir prawie na pewno poddał się miotle, zanim na dobre się rozwidniło.

Zatrzymuje się tuż przed domem Grace i zawiązuje sznurowadło. Robiąc to, spogląda na dalszy ciąg ulicy, czy gdzieś, zza ocienionej szyby ktoś nie patrzy, ale kiedy się odwraca, domy z pokerowymi minami niczego nie ujawniają.

Dom Grace stoi trochę dalej od domu Dorothy. Ma spłacheć eleganckiego trawnika i starannie utrzymane rabatki, ale obok Forbesów każdy ogródek wyglądałby na mocno dopracowany.

Pani Morton przecina miejsce, na którym Derek zazwyczaj parkuje samochód, obok szyby spiżarni i korytarza, obok rzędu roślin na kuchennym parapecie, do tylnych drzwi z łuszczącą się i startą farbą.

Drzwi są lekko uchylone. Kiedy puka, otwierają się trochę bardziej, widzi kółka wózka i grube nóżki Grace kopiające ze środka.

Krzyczy: „Cześć”.

Popycha drzwi trochę bardziej.

Znowu krzyczy: „Cześć”.

Wchodzi.

Kuchnia zatrzymała słońce wczesnego popołudnia, pachnie ciepłem i zjedzonymi posiłkami. Z kranów powoli, nieustannie kapie woda, wybija rytm o zlew, a z radia stojącego na parapecie dobiegają okruchy muzyki.

Grace jest sama.

Kiedy widzi panią Morton, śmieje się, wyrzuca w górę piąstki i jeszcze mocniej kopie grubymi nóżkami. Trzeba się zaśmiać w odpowiedzi, inaczej nie da rady. Jest w tym jakaś nieuchronność. Grace chyba rozumie, że to zabawa, i znów się śmieje, krzywi twarzyczkę, wymachuje rączkami, aż cały wózek trzęsie się z zadowolenia. Pani Morton czuje, jak plecy się jej prostują i ramiona odprężają, a uczucie ulgi jest tak głębokie i potężne, że wysysa jej oddech z głębi płuc.

Sięga do zlewu i dokręca kran.

Kiedy znów się odwraca, Grace nachyla się w wózek, próbuje się dostać do otwartych drzwi.

– O co chodzi? – pyta pani Morton. – Chcesz popatrzeć na ogródek?

Trochę bardziej uchyla drzwi i popycha Grace w smugę listopadowego słońca, które rozlało się po podłodze kuchni. Grace będzie się tam doskonale czuć, to tylko chwila.

Wchodzi w wykładaną dywanem ciszę korytarza, czuje szmer strachu przed nieproszoną podróżą w cudze życie. Pokój od frontu i salon są puste, pełne tykania zegara, staje przy schodach, wygląda w stronę półpiętra. Ryzykuje kolejną cześć.

Nadal nic.

Kiedy wraca do kuchni, Grace wierci się w wózeku i wyciąga tłuste piąstki w stronę otwartych drzwi. Gaworzeniem, bulgotaniem i mnóstwem spojrzeń o różnych stopniach koncentracji próbuje wyjaśnić, o co jej chodzi.

– Chcemy poczekać na mamę w ogródku? – pyta pani Morton. Przenosi Grace na patio, pod gałęzie wiśni, chociaż płatki dawno już zdmuchnął letni wiatr. Kłótnia wróbli przemieszcza się płynnie i skacze z gałęzi na gałąź, a Grace i pani Morton patrzą, jak ptaszki ćwierkają, targują się i starają znaleźć rozwiązanie.

– Widzisz, Grace? – pyta pani Morton, ale Grace wychyla się w stronę dróżki z boku domu i wyciąga paluszki do kota pani Forbes.

– Whiskey? Chcesz popatrzeć na Whiskeya?

Idą za kotem dróżką obok domu, obok rzędu doniczek na kuchennym oknie i pęcherzykowatej szyby korytarza i spiżarni, przez miejsce, gdzie ojciec Grace zazwyczaj parkuje samochód.

– Tylko do końca podjazdu – tłumaczy pani Morton. – Dojedziemy do końca podjazdu, a potem wrócimy i zaczekamy na twoją mamę.

Kot skrada się przy murze, wróble kłócą się w gałęziach wiśni. Koła wózecka grzechoczą i trzęsą się na betonie.

Czekają na końcu podjazdu, wyglądają na pustą ulicę. Pani Morton widzi przez plastikowe okienko wózecka, że Grace odwraca się, pochyla i zwraca się do wszystkiego, co widzi, z równym zainteresowaniem: żółty dziób kawki, papierowy szept opadłych liści, srebrne zagięcie wieka pojemnika na śmieci. Wszystko zostaje potraktowane z taką samą powagą.

Odwraca się i patrzy na dom, który czeka na nie cicho i cierpliwie.

Za parę minut nadal tu będzie, ten sam.

– Dojedziemy najwyżej do skrzynki na listy – mówi pani Morton.

Ale ze skrzynki pocztowej robi się koniec ulicy, z końca ulicy remiza straży pożarnej, z remizy straży pożarnej – brama parku. Rączki wózka są jak pływaki, utrzymują ją ponad nieszczęściem i wstydem. Pozwala, tylko teraz, wyobrazić sobie, jakie byłoby życie, gdyby pozwoliło jej na własne pływaki. Nie myśli o spacerze. Nie widzi drzew, chodników ani słupów latarni. To wszystko mieści się na obrzeżach jej umysłu, kiedy idzie przez osiedle, obchodząc granice życia innych, płoty, murki i precyzyjnie przystrzyżone żywopłoty. To nie spacer, jej podróż składa się z serii myśli. Kula uczuć, twarda jak marmur, przesuwa ją z jednego miejsca na drugie.

Kiedy się ogląda, wyprawa, którą przedsięwzięła, w ogóle nie wygląda na wyprawę. Jest raczej serią drobnych decyzji, jednej bezmyślnie ułożonej na drugiej. Dopiero gdy zatrzymuje się i odwraca, dociera do niej, że znalazła się w miejscu przeznaczenia, że waga jej decyzji stała się zrozumiała. Układają się za nią jedna na drugiej, te: być może, te: innym razem, i te: kiedyś. I trzymają ją w miejscu, w którym nigdy nie chciała się znaleźć. Jej wybory stały się teraz jej częścią. Zszyły się w osobę, którą się stała, a kiedy zatrzymuje się, żeby sprawdzić, kim jest ta osoba, stwierdza, że materia, z której została uszyta, zaczyna ją dusić.

Gdy docierają do parku, pani Morton postanawia usiąść na podium dla orkiestry, z dala od jesieni, od samotnego sprzedawcy lodów i fartucha z liści na powierzchni zapomnianego stawu dla wioślarzy. W pobliżu stoją ławki, ale wszystkie są puste, nie licząc tej na samym końcu dróżki, gdzie stary mężczyzna drzemie w stronicach gazety, a jego terier, pokonany, słucha chrapania swojego pana. Kiedy tak idą ku podium dla orkiestry, pani Morton zastanawia się, czy Walter Bishop będzie na swoim zwykłym miejscu – czy będzie siedział na chusteczce, jadł kanapki z plastikowego pudełka na kolanach i kradł porcje cudzego życia od mijających go ludzi. Ale podium jest puste, nie licząc gołębia kreślącego przemijanie czasu między papierkiem po frytkach z ostatniego wieczoru a dzisiejszą poranną gazetą.

Pani Morton obraca wózek Grace w stronę ławki, a dziecko patrzy na nią wilgotnymi, niebieskimi oczami.

– Zaraz wracamy do domu – mówi pani Morton. – Wrócimy sprawdzić, co się stało z twoją mamą.

Grace uśmiecha się. Uśmiech wypełnia całą jej twarzyczkę.

– Ale najpierw trochę posiedzimy. Aż znów złapiemy oddech.

Patrzy, jak Grace naśladowuje jej miny jak lustro, małe usteczka próbują znaleźć sposób na słowa, a oczy robią się wielkie jak talarki z kreskówki. Gra przed swoją publicznością, a kiedy pani Morton się śmieje, Grace piszczy i podryguje, że też się jej udało. Jest w tym jakaś siła wyższa, iskierka początku. Początku, którego pani Morton nie znalazła w tęczach, zachodach słońca, formacjach skalnych ani płatkach na dywanie w salonie. Tego początku nie usłyszy się w płytkich słowach ani nie zobaczy w spojrzeniach dochodzących z drugiej strony ulicy. Do tej chwili nawet nie wiedziała, że to początek, a kiedy go znalazła, nie wyobrażała sobie, jak mogła go nie zauważyć.

– Może twoja mama chciałaby, żebym jej czasem pomogła? Może zostałybyśmy przyjaciółkami?

Gołąb trzepoce, zawadiacko przeciska się między słupkami balustrady na podium. To zamieszanie niepokoi Grace.

– Nie martw się. – Pani Morton nachyla się i splata paluszki Grace ze swoimi palcami. – Dopóki jesteś ze mną, nic złego ci się nie stanie, bo będę cię strzegła jak ołowiany żołnierz.

Siedzą i patrzą, jak resztki popołudniowego światła rozciągają się nad parkiem, wychwytyjąc szarość kwiatowych grządek, gdzie wcześniej rosły równe pętle czerwieni, błękitu i bieli. Światło podąża za krzyżującymi się drózkami i rzędami pustych ławek, aż do stawu z rybami, gdzie potyka się i mruga na powierzchni wody, aż rozplynie się w nicość. Dopiero kiedy światło staje się bardziej nasycone, kiedy głęboki oranż popołudnia napełnia park, pani Morton myśli, że naprawdę powinny wracać. Przypomina sobie o słońcu.

– Kiedy dojdziemy do domu – mówi – dam ci prezencik. Ale najpierw muszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Grzecznie byłoby najpierw zapytać mamę.

Jedzie z Grace do stawu, do roztrzęsionego, drewnianego mostku dla pieszych i ciemnych kolumn trzciny, ale słońce podstrzyga dachy i zaczyna rozbierać dzień. Pani Morton zatrzymuje się, podnosi wzrok i zawraca w stronę chodnika.

– Może powinniśmy wybrać krótszą drogę do domu.

Nikogo nie spotykają. Gdyby nawet spotkały, pani Morton nie zauważyłaby. Zbyt jest zajęta mówieniem do Grace, co mogłyby zrobić i co odwiedzą jutro. Może zoo. Chociaż nie, ogrody zoologiczne są zbyt okrutne, więc może poszłyby do ogrodów nad rzeką albo zrobiły sobie piknik w lesie na skraju miasta. Kiedy Grace trochę podrośnie, mogłyby nawet złapać autobus i pojechać nad morze, na całe popołudnie. Czy Grace była już nad morzem? Byłaby to przygoda dla nich obu. Kiedy Grace zacznie szkołę, będą oczywiście bardziej ograniczone, ale są

przecież weekendy i długie letnie wakacje. Zawsze można coś zrobić, dokądś się wybrać, coś wymyślić.

Pani Morton nadal mówi i skręca za róg ulicy. Objaśnia Grace, że jeden z jej kuzynów ma przyjaciela z przyczepą kempingową w Cromer. Miejsce znajduje się tuż przy dróżce wzdłuż wybrzeża. Można obserwować, jak mewy nurkują i wzlatają niesione wstążkami słonego powietrza, a wszystkie małe przyczepy wyglądają jak kawałki papieru rozsiane na trawie u szczytu urwiska. Nie widzi ludzi zebranych na ulicy ani bladej jak skorupka jajka matki Grace, ani ojca Grace siedzącego na krawężniku z dłońmi przyspawanymi do głowy. Podnosi wzrok dopiero, kiedy słyszy krzyk Erica Lamba.

– Znalazłaś ją, znalazłaś ją! – krzyczy.

I wtedy widzi tłum i gniew wyrzeźbiony na twarzach. Widzi samochód Dereka stojący kołami na krawężniku, z otwartymi drzwiami. Harold Forbes i Sheila Dakin stoją na dróżce i patrzą na numer jedenasty, z zasłonami zaciągniętymi na wszystkich oknach, jakby dom zamykał oczy przed krzykiem. John Creasy pędzi do niej przez ulicę. Dorothy Forbes składa i rozkłada ścierkę do naczyń, na twarzy ma wyszyte zmartwienie. Wszystko jest w chaosie. Ulica wygląda, jakby ktoś potrząsnął całą jej zawartością i wysypał ją na ulicę.

Pociemniałe, gniewne twarze wybiegają naprzód, Grace zaczyna płakać. Jednocześnie Sylvia wyrywa się z tłumy, ulga tak obciąża jej nogi, że ledwie może iść. Rzuca się na wózek, wtula się w dziecko, szepcze mu do ucha. Płacze tylko Grace. Sylvia wygląda na kogoś, kto wycisnął już z siebie wszystkie łzy.

– Gdzie była? – Derek stoi przed panią Morton, dłonie ma zesznurowane na czubku głowy. Pani Morton szuka znaku niedowierzania w jego oczach, ale tyle jest w nich ulgi, że niczego innego nie może dojrzeć.

Patrzy na twarze innych. Palce na rączce wózka zaciska w pięści.

– Znalazłam ją – mówi.

Sylvia wyjmuję Grace z wózka, dziecko wciska się w matkę jak kawałek układanki. Wózek jest teraz za lekki, niemal nieważki. Jakby mógł ulecieć, zniknąć i zabrać ze sobą panią Morton.

– Gdzie? – pyta Derek. – Gdzie ją znalazłaś?

Czuje to. Wielka decyzja, udaje, że jest niczym, chowa się między małymi decyzjami, z nadzieją, że jej nie zauważą, że uznają za nieważną. Przechodzi na przód kolejki, niesie wszystko w kieszeniach.

– Beatrice, gdzie ona była? – To mówi Eric Lamb, ale wszyscy słuchają. Patrzą. Czekają na jej odpowiedź.

Patrzy na numer jedenasty. Zasłony nadal ściśle przylegają do szyb, ale wydaje się jej, że w jednym z okien na piętrze widzi fragment postaci.

– Na podium dla orkiestry. – Nie odwraca wzroku od okna. – Znalazłam ją na podium dla orkiestry.

– Wiedziałem, kurwa. – Cienki Brian wydobywa się z tłumu i idzie przez ulicę do numeru jedenaście. Zatrzymuje się przy Dorothy i Haroldzie i podnosi kamień z ogródka skalnego.

– To nie jest odpowiedź! – krzyknął Eric Lamb, ale słowa to za mało, żeby powściągnąć Briana. Wystrzelił się z lufy własnego gniewu i leci w stronę Waltera Bishopa, ramiona uniesione, nerwy rozpalone.

Pani Morton patrzy na twarze wokół niej. Czuje, że zaspokaja swój zakazany głód – potajemnej aprobaty. Widzi ją w szybkich oddechach i szeroko otwartych oczach. W wilgotnych wargach Sheili Dakin, w zaciśniętej pięści Dereka. Ta iskra przebiega między nimi wszystkimi, niesie coraz większy ładunek. Pani Morton wie, że tak było przez cały czas, ale teraz iskra znalazła ujście. Teraz może się wyładować.

Brzęk kamienia na szybie wypełnia ulicę, szyba rozbija się i rozlatuje. Trzyma się przez ułamek sekundy, ale potem spada w kawałkach i rozbija o beton. Przy takim hałasie dzwoni w uszach, a tętno maszeruje po szyi. Ale nie chodzi o hałas, lecz o ciszę, która po nim nastąpiła. To jest najbardziej wstrząsające.

– Zboczeniec! – krzyczy Brian w stronę odłamków szkła. – Pierdolony zboczeniec!

Wiatr unosi skraj zasłony. Uwalnia się z okiennej ramy i materiał zaczyna uderzać o cegły, jakby próbował uciec.

Wszyscy patrzą, unieruchomieni myślą, że to, czego teraz byli świadkami, może pozostać bez odpowiedzi.

Eric podchodzi do Cienkiego Briana i staje obok niego.

– Daj spokój, chłopcze. Zostawmy to. Są inne sposoby.

Pani Morton otula się swetrem.

Dzień zaczyna blaknąć i światło przybiera purpurowoniebieski kolor zmierzchu. Stoją teraz pod

posiniaczonym niebem. Derek zabiera wózek pani Morton. Kiwa przy tym głową. Opakowuje to w krótki uśmiech, ale kiwnięcie to kiwnięcie.

Jej ręce robią się bardzo puste.

Sylvia nadal trzyma Grace, tuli do siebie główkę dziecka.

– Jak możemy ci się zrewanżować? – pyta.

Pani Morton zatrzymuje zapach jak długo może.

– To piękne dziecko. Może będę w stanie spędzać z nią więcej czasu.

Sylvia pochyła się i całuje panią Morton w policzek. Jest ten zapach. Zapach niezakłócony, niezepsuty.

Kiedy odchodzi, oni nadal stoją pod numerem jedenastym – patrzą i czekają. Znow to czuje, że to początek, ale kaleki i strachliwy. To początek, którego nie chce. Obciążona zakupami wraca do siebie pustymi chodnikami, obok domów pełnych życia innych. To małe decyzje, takie, które wślizgują się w dzień niezauważone, takie, które ukrywają swoją wagę pod pozorem nieistotności. To są decyzje, które grzebią człowieka.

Myśli o słoniu leżącym pod pomidorami i kapustą. Grace nie zapamięta. Podrośnie i pójdzie do szkoły, pozna koleżanki. Znajdzie wspólne życie dla siebie, a pewnego dnia sama będzie pewnie trzymać dziecko w ramionach, wdychać ten zapach i czuć to samo przyciąganie. I zrozumie potrzebę początku. Grace niczego nie zapamięta.

Ale słoń, słoń nigdy nie zapomina.

Rynna

21 sierpnia 1976

Jezus naprawdę nie wyglądał jak Jezus, nawet kiedy zmrużyłam oczy, przysiadłam na piętach i przechyliłam w bok głowę.

Zastanawiałam się, czy ogóle kiedykolwiek tak wyglądał. Garaże znowu były pustymi łuskami, a kałuża oleju i sparciała opona leżały milczące i zaniedbane. Nawet liście już nie szemrały w kątach.

Przytknęłam twarz do rynny.

– Czy to naprawdę byłeś Ty? – wyszeptałam.

Przyciągnęłam kolana do piersi i czekałam.

Usłyszałam – parę minut później niż myślałam, że usłyszę, ale usłyszałam – sandałki Tilly klapiące o drózkę, wolniej i ciszej niż kiedyś. Ale usłyszałam je.

Pojawiła się kilka minut później cała w uśmiechach, z zydwestką na głowie. Wyjęła spinki z włosów, ale włosy były takie same, jakby nadal w nich tkwiły.

– Moja mama mówi, że nie mogę tu długo być – powiedziała.

Przesunęłam się na trawie, usiadła obok mnie.

– Myślałam, że możesz tu być tylko przez dziesięć minut?

– Muszę wracać. – Sięgnęła do kieszeni. – Zapomniałam wziąć go ze sobą.

Popatrzyłam na leniwca.

– Nie wierzę, że nosisz tę figurkę – powiedziałam.

– Oczywiście, że tak. Ty mi ją dałaś. To ważne. – Obróciła figurkę w rękach. – Chyba mówiłaś, że nie można ich rozdzielać. Że są parą.

– Są – odparłam. I uznałam, że to jednak prawda. Wystarczy, że dwoje ludzi w coś uwierzy, żeby mieć poczucie wspólnoty.

– Zastanawiałam się. W końcu nie wiem, czy to naprawdę był Jezus.

Tilly zmrużyła oczy i przechyliła głowę na bok.

– Może nie. Ale w końcu to nie ma znaczenia, prawda?

– To znaczy?

– Hm. – Tilly wyciągnęła nogi na słońce. – Właściwie to nie ma znaczenia, czy to był Jezus, czy Brian Clough, czy tylko plama na ścianie garażu. Na jakiś czas to nas wszystkich zebrało razem, prawda?

– Na jakiś czas.

– To coś mówi – stwierdziła. – Prawda?

– Chyba tak.

– A w końcu Jezus na pewno jest w rynnie. Zawsze był.

Wyprostowałam się.

– To znaczy?

– Gracie, Bóg jest wszędzie. Każdy to wie.

I zamachała rękami dookoła, a ja roześmiałam się i też zamachałam.

Siedziałyśmy w milczeniu. Wszystko jakoś się pozmieniało. Nie bardzo wiedziałam, jak to było na początku, ale miałam wrażenie, że dzień się odwrócił i przesunął, jakby coś zniknęło z ulicy. Zrozumiałam dopiero wtedy, kiedy spojrzałam w niebo.

– Ojej – powiedziałam.

Obie podniosłyśmy wzrok.

– Słońce zniknęło – stwierdziła Tilly. – Dokąd poszło?

Niebo było stalowoszare, poczerniałe i gniewne. Kiedy tak patrzyłyśmy, robiło się coraz ciemniejsze, zaczepiało o dachy i wpędzało światło dnia pod ziemię.

– Ale wciąż jest gorąco – powiedziała Tilly. – Jak może być tak gorąco, skoro nie ma słońca?

– Bo ono nadal tam jest. – Pokazałam na coś, czego nie było. – Nie zniknęło. Nie może po prostu zniknąć. To niemożliwe. Tylko my już go nie widzimy.

Obie się nad tym zamyśliłyśmy, kiedy przypomniałam sobie, która godzina.

– Tilly, szybko, musimy iść. Już prawie jest.

– Co prawie jest? – zapytała.

– Autobus. To dzisiaj.

– Co jest dzisiaj? – Ściągnęła niżej zydwestkę i strzepnęła żwir ze skarpetek.

– Dzień, na który wszyscy czekaliśmy – odparłam. – Dzień, kiedy pani Creasy wraca do domu.

Ulica

21 sierpnia 1976

Kiedy wyszliśmy z za rogu, wszyscy zebrali się już na środku ulicy.

Pan Forbes w szortach stał obok Clive'a. Dorothy Forbes ścisnęła skraj ścierki do odkurzania, a Sheila Dakin patrzyła na to i marszczyła brwi. Cienki Brian w plastikowej marynarce stał u boku swojej matki i torebki cytrynowych landrynek, obok nich oparł się o murek Eric Lamb. Wellingtony zostawiły za sobą ślad błota aż od drzwi jego domu. Byli tam także moi rodzice. Przyjrzałam się, czy martwią się o siebie nawzajem, i stwierdziłam, że tak. Ojciec trzymał jedną rękę na ramieniu matki, w drugą zanurzył twarz. Uznałam, że to naprawdę nie ma znaczenia, czy jesteśmy biedni, bo dopóki martwimy się o siebie, dopóty wszystko i zawsze będzie dobrze. Nawet pani Morton tu była.

Wyglądała dziwnie, nieobecna duchem, zupełnie nie jak pani Morton. W rękach trzymała pluszową zabawkę. Nie byłam całkiem pewna, ale wyglądała na słonia. Pośrodku wszystkiego stał pan Creasy. Klapy marynarki opierały mu się na koszuli, w rękę trzymał bukiet kwiatów, który marniał w upale.

– Prawie czas – powiedziałam, patrząc na zegarek.

Zacznę od tego, że nie zauważyliśmy. Dopiero Cienki Brian zobaczył.

– Patrzcie na tego kota – zawołał.

Wszyscy popatrzyliśmy na wylot ulicy.

Dorothy Forbes rzuciła ścierkę do kurzu.

– Whiskey?

– Hm, niech mnie szlag – zaklął pan Forbes – po tylu latach.

Kot szedł chodnikiem, ostrożnie stawiał łapki na betonie, przechodził obok płotów i murków. Wyglądało to tak, jakby doskonale wiedział, dokąd zmierza.

Dotarł do pani Forbes i wskoczył jej na ręce.

– Whiskey – powtórzyła i pocałowała go w łeppek. – W końcu nie zniknąłeś.

– Mówiłem ci – powiedział mój ojciec. – Mówiłem ci, że wróci.

Brian popatrzył zza pleców matki.

– Dot, jak długo go nie było?

– Od nocy pożaru – wyjaśniła pani Forbes. – Prawda, pieszczoszku?

Kot mruczał i ocierał się, ugniatał łapkami sweter pani Forbes.

– Paskudna taksówka, żeby cię tak wystraszyć.

Pani Forbes odpowiedziała głaskaniem.

Sheila Dakin ściągnęła brwi.

– Co to była za taksówka, Dot?

– Ta, która przywiozła Waltera i jego matkę do domu. – Pani Forbes dalej głaskała i całowała główkę Whiskeya. –

Powiedziałam Margaret, że nic dziwnego, że uciekł. Taki wielki, przerażający samochód zatrzymuje się na ulicy w środku nocy.

– Wiedziałaś, że była w domu? – zapytała pani Dakin.

Pani Forbes uśmiechnęła się.

– Myślałam, że oboje tam są – odparła.

Pani Dakin szeroko otworzyła usta, ale nie chciało z nich wyjść żadne słowo.

– To dziw, że go rozpoznałaś – zastanawiał się Brian. – Po tylu latach.

Pani Forbes nie patrzyła na Briana, tylko na Sheilę Dakin.

– W tym rzecz, prawda? Nie zapomina się tego, co się widziało. Nawet jeśli straciło się fotografie, można to wyciągnąć z pamięci, kiedy okaże się przydatne. Wspomnienia znikają razem ze śmiercią. To niebezpieczne. Warto o tym pamiętać.

I dalej patrzyła na panią Dakin, nawet kiedy jej słowa już uleciały.

Popatrzyłam na Tilly i wzruszyłam ramionami, a Tilly popatrzyła na mnie i też wzruszyła ramionami.

Już z daleka usłyszeliśmy autobus. Jak przepycha się przez osiedle, zatrzymuje się i rusza, jak syczy hamulcami, kaszle i parska w upale. Niebo zrobiło się jeszcze ciemniejsze, a powietrze jeszcze bardziej rozrzedzone. Przyglądałam się, jak pan Forbes wyjmuje chusteczkę z kieszeni i wyciera czoło.

– Ona jest już prawie tutaj – powiedział pan Creasy.

Sheila Dakin zapaliła papierosa, ale nie zaciągała się. Po prostu trzymała go między palcami, aż spalił się na popiół, i wpatrywała się w Dorothy Forbes.

I tak staliśmy i patrzyliśmy na wylot ulicy, kiedy on wyszedł z za rogu.

Walter Bishop.

Niósł parasol, płaszcz miał przewieszony przez ramię, nie powłóczył nogami, nie patrzył w chodnik, tylko prosto na nas, kiedy szedł obok naszych domów.

– Cóż – stwierdził, kiedy dotarł do naszej gromadki. – Cały komitet powitalny, prawda?

– Pani Creasy wraca do domu – wyjaśniłam.

– Tak słyszałem. – Odłożył parasol i płaszcz, wyciągnął rękę, żeby pogłaskać Whiskeya po łebku.

– Wszyscy jesteśmy bardzo podnieceni – stwierdziła Tilly.

– Rozumiem – odparł. – Chociaż jak na podnieconych ludzi nie wyglądacie szczególnie wesoło – roześmiał się.

Stał przez chwilę i patrzył w niebo. Kiedy przestał się gapić, podniósł parasol i płaszcz i każdemu, po kolei, spojrział w oczy.

Wszyscy milczeli – w takim milczeniu tylko Walter Bishop czuł się dobrze.

Po kilku chwilach zwrócił się do pani Forbes.

– Na twoim miejscu wziąłbym kota do domu – powiedział. – Wygląda na to, że będzie padać.

Kiedy to mówił, rozległo się odległe dudnienie. Z początku myślałam, że to autobus, ale potem zrozumiałam, że nie. To był grzmot. Pełził po horyzoncie, wcinał się w ciemną szarość nieba.

Na początku był cichy i obojętny, ale potem zrobił się głośniejszy, złączył się z odgłosem silnika, aż cała ulica zaczęła warkotać i burczeć, a wszystkie domki jakby zatrzęsły się w ogródkach.

Hamulce zasyczały, silnik wydał charkot i autobus zatrzymał się u wylotu ulicy.

Właśnie wtedy pierwsze krople zaczęły uderzać o chodnik. Z początku było ich niewiele, plaskały o beton, jakby je na nas rzucono, ale potem było ich więcej, coraz więcej. Spadały i łączyły się, aż skończyły się już przerwy między dźwiękami i został tylko niezakłócony, mocny dźwięk deszczu, zmiatający upał i kurz, zmywający Jezusa, jakby Go tam nigdy nie było.

Autobus nadal czekał. A my patrzyliśmy.

– To ona – powiedział pan Creasy.

– O Jezu Chryste.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto to powiedział. Patrzyłam im wszystkim w twarze. Pan i pani Forbesowie i Clive z Brytyjskiego Legionu. Cienki Brian i jego matka, i Sheila Dakin, która już nie wpatrywała się w Dorothy Forbes. Eric Lamb i moi rodzice, i pani Morton, która wciąż trzymała się słonia.

Walter Bishop stał pod parasolem i razem ze mną przyglądał się wszystkim.

Na pewno słyszałam te słowa, ale nie wiedziałam, kto je wypowiedział.

Znów się odwróciłam, żeby czekać na panią Creasy.

To naprawdę nie miało znaczenia. To mogło być każde z nich.

Staliśmy pośrodku ulicy, patrzyliśmy. Deszcz ściekał nam z włosów i nosów, przenikał przez ubrania i moczył skórę.

Spojrzałam na Tilly, a ona uśmiechnęła się do mnie spod zydwestki.

Czuło się koniec lata.

Podziękowania

Nie sposób wyliczyć wszystkich, którzy dodawali mi otuchy przy pisaniu, chciałabym więc po prostu złożyć wielkie podziękowania całej społeczności pisarskiej za nieprawdopodobne wprost wsparcie i zachętę, a szczególnie dziękuję Kerry Hudson i Tomowi Bromleyowi. Mam wielki dług wdzięczności wobec mojej wspaniałej agentki Sue Armstrong i całego zespołu Conville & Walsh, i kochanej, bardzo utalentowanej Katie Espiner oraz zespołu z The Borough Press i wydawnictwa HarperCollins. Dziękuję także personelowi z The George Bryan Centre w Tamworth i szpitalowi psychiatrycznemu Radbourne w Derby za to, że nauczyli mnie, jak ważna jest narracja, i za to, że troszczyli się jednakowo o kozły i o owce. Wreszcie, dziękuję pacjentom, których miałam zaszczyt poznać. Nasze drogi skrzyżowały się tylko na krótko, ale wasza odwaga, mądrość i humor zostaną ze mną na zawsze.